



BAZNIJE

• ANTOLOGIA FOLK HORRORU •

BAZNIĘ



Wrocław 2022

Tytuł: *Baźnie*

Autorzy: Aleksandra Bednarska, Adam Ciszewski, Adrian Gawin, Artur Grzelak, Jarosław Klonowski, Aleksandra Knap, Krzysztof Kotlarski, Rafał Łoboda, Kornel Mikołajczyk, Sylwester Nowicki, Michał Pięta, Joanna Pyplacz, Małgorzata Sanchez, Tomasz Siwiec, Krzysztof Szabla, Maciej Szymczak, Aleksandra Woźniak, Alan Żegota

Copyright © Wydawnictwo Dom Horroru, 2022

Copyright © Aleksandra Bednarska, Adam Ciszewski, Adrian Gawin, Artur Grzelak, Jarosław Klonowski, Aleksandra Knap, Krzysztof Kotlarski, Rafał Łoboda, Kornel Mikołajczyk, Sylwester Nowicki, Michał Pięta, Joanna Pyplacz, Małgorzata Sanchez, Tomasz Siwiec, Krzysztof Szabla, Maciej Szymczak, Aleksandra Woźniak, Alan Żegota, 2022

Dom Horroru, ul. Gorlicka 66/26, 51-314 Wrocław
Wszelkie prawa zastrzeżone.

Projekt okładki: Kornel Mikołajczyk
Redakcja: Aleksandra Bednarska, Krzysztof Szabla
Korekta: Karolina Stasiak, Kornel Mikołajczyk
Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I
Wrocław 2022

ISBN 978-83-67342-52-0

www.domhorroru.pl
facebook.com/domhorroru
instagram.com/domhorroru

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Wstęp](#)

[Maciej Szymczak Krypta](#)

[Adam Ciszewski Biała sukienka](#)

[Joanna Pyplacz Strzyga](#)

[Michał Pięta Prawdziwie polski black metal](#)

[Artur Grzelak Sianokosy](#)

[Rafał Łoboda Smak młodości](#)

[Tomasz Siwiec Podziemnik](#)

[Krzysztof Kotlarski Czerwona kalina](#)

[Aleksandra Bednarska Studnia niegasnącej iskry](#)

[Sylwester Nowicki Sługa ludu](#)

[Aleksandra Knap Wszyscy jesteście grzeszni](#)

[Alan Żęgota Nocna Parada Stu Demonów](#)

[Małgorzata Sanchez Mordnik](#)

[Krzysztof Szabła, Aleksandra Knap Czarny motyl](#)

[Kornel Mikołajczyk Jędrzońskie posiukańce](#)

[Jarosław Klonowski Lady in Red](#)

[Aleksandra Woźniak Raz, dwa, trzy, Baron Samedi patrzy](#)

[Adrian Gawin Trwoga w Gałązkach](#)

Wstęp

Strach jest częścią naszej codzienności od zawsze, zajmuje więc ważne miejsce również w folklorze. Lęk ma wiele źródeł, dlatego też w tym zbiorze postaramy się pokazać, jak różne bywają jego oblicza.

Czasem rolą strachu jest przestroga. Stąd snucie historii o tym, co czyha w ciemności i czai się w zakamarkach, dokąd z jakiegoś powodu nikt się nie zapuszczał. Innym razem pomaga oswajać smutek, radzić sobie z bólem po stracie. Tak powstają opowieści o życiu po śmierci, legendy o duchach opiekuńczych i upiorach. Najczęściej strach służy jednak po to, by tworzyć poczucie bezpieczeństwa, iluzję tego, że świat wokół nas działa na z góry określonych zasadach. Że złoczyńców i tych, którzy nie szanują tradycji rządzących wspólnotą, prędzej czy później spotka zasłużona kara.

Horror jako gatunek wywodzi się w dużej mierze z dawnych wierzeń, zabobonów, legend i baśni. Ludzie, próbując zrozumieć otaczający ich świat, nadawali niezrozumiałym zjawiskom cechy bóstw i demonów. Po zagłębieniu się w folklor pochodzący z różnych stron świata można odnieść wrażenie, że stanowi on niewyczerpane źródło inspiracji. Folk horror to swego rodzaju połączenie pierwotnej roli strachu w życiu człowieka z odrobiną rozrywki. Lubimy się przecież bać, zwłaszcza siedząc w fotelu z kubkiem herbaty.

Dlatego też w "Bażniach" przynosimy Wam osiemnaście świeżych, choć osadzonych w klasyce, opowieści o strachu. Każda z nich za punkt wyjścia przyjmuje folklor, dodając do znanej formuły nieco świeżej krwi. Poczujcie zatem dreszczyk rodem z ludowych mądrości w wielu odcieniach i smakach.

Maciej Szymczak

Krypta

Mateusz przekręcił klucz w zamku. Głuchy trzask rozniósł się po klasztornych murach, masywne wrota otwały się, skrzypiąc przeciągle. Zakonnik zagłębił się w mroczny korytarz, wychodząc na ciasną klatkę schodową. Błądził dłońmi po omacku, szukając włącznika światła.

- Nie! Wiesz przecież, jakie są zasady - usłyszał za plecami karcący głos brata Tymoteusza. - Zapal lampę naftową!

- Ale...

- Cii... - Zakonnik szarpnął Mateusza za rękaw, nakazując milczenie. Młody kleryk wyjął z kieszeni pudełko, ostrożnie je otworzył i prawie zaklął, kiedy na podłogę posypały się zapałki. Obficie się pocąc, odpalił ostatnią ocalałą zapałkę, którą zdążył chwycić palcami. Knot zapłonął, rzucając słabe światło na schody prowadzące do podziemi.

- Nie pisałem się na takie rzeczy. - Mateusz przetarł chusteczką czoło - Wstępując do zgromadzenia, pragnąłem jedynie służyć Bogu i zgłębiać tajemnice wiary, a nie...

- Mówiłem ci już, abyś milczał - upomniał starszy kolega. - Nie wolno nam poruszać tego tematu. I to pod groźbą ekskomuniki - dodał zalekniony. - Każdy człowiek nosi swój krzyż, a ten nasz jest trochę cięższy. Niezbadane są boskie plany, nie musisz wszystkiego rozumieć. No dalej, idźże, bo nie zdążymy. Wiesz, jakie czekają nas wtedy konsekwencje.

Mateusz przełknął ślinę, nawilżając wyschnięte na wiór gardło. Chwyił się zimnej poręczy i jął ostrożnie schodzić po wąskich stopniach. Przeżegnał się przezornie, choć podejrzewał, że gest ten na niewiele mu się zda. Jeśli się spóźnią, to sam pan Bóg nie będzie im w stanie pomóc. Lampa naftowa ledwo co oświetlała rozciągającą się przed nimi ciemność. Kiedy zeszli na sam dół, brat Mateusz dostał ataku paniki. Zesztywniał, sparaliżowany nagłą grozą. Serce waliło w piersi jak oszalałe, instynkt bił na alarm, każąc jak najszybciej się wynosić. Kleryk zaczął się wycofywać, lecz powstrzymał go przytomny uścisk starszego kolegi.

- Nawet o tym nie myśl! Weź głęboki oddech i wchodzimy.

Mateusz poczuł, jak nogi się pod nim uginają. Zebrał jednak w sobie resztki odwagi i ruszył przodem. Schylił głowę w przejściu i wkroczył do krypty. Braciszkwowie stanęli obok trumny, wsłuchując się w złowrogą ciszę. Pierwszy z letargu otrząsnął się Tymoteusz, wyrwał koledze z rąk lampę i poświecił nad szklaną gablota.

- Uff! - Oblat odetchnął z ulgą, widząc leżącego tam trupa. - Zdążyliśmy. Zabrałeś ze sobą pokarm?

- Tak, daj mi moment... - Młodszy zakonnik gorączkowo przeszukiwał kieszenie w todze. Pojemniczek z krwią wolontariuszy, którzy oddawali ją w ramach corocznej akcji organizowanej przez ojców Oblatów. Nawet tak niewielka ilość wystarczyła, aby poskromić głód bestii. Trzeba było tylko uwinąć się przed północą, nim wiedziony głodem wampir wydobędzie się z krypty.

- Długo jeszcze? - ponaglił kolegę Tymoteusz.

- Mam! - krzyknął Mateusz, przekazując buteleczkę.

Brat Tymoteusz zbliżył się do trumny. Przez dłuższą chwilę przyglądał się ciału arystokraty, gdy wtem doznał szokującego odkrycia. Spojrzał na swojego kompana oszołomionym wzrokiem.

- Za późno... - rzekł głosem wyzbytym nadziei.

Mateusz dostrzegał w świetle jego bladą jak kreda twarz.

- Spóźniliśmy się. Wąpierz nas przechytrzył.

- Jak to: spóźniliśmy się? Przecież wyszliśmy o czasie - zaprotestował Mateusz. Żołądek powoli podchodził mu do gardła.

- Którą masz godzinę? - zapytał zakonnik.

- Jest wpół do... - Mateusz zamilkł, spoglądając z niedowierzaniem na cyferblat. Było wpół do dwunastej, czyli dokładnie ta sama godzina, kiedy ostatnim razem zerkał na zegarek zanim zszedł do piwnicy. Cholerny czasomierz stanął, ale kiedy?! Ile czasu tak naprawdę minęło? Zakonnik uzmysłowił sobie, w jak trudnej sytuacji się znaleźli.

- Ale zdążyliśmy, wszak ciało nadal leży w grobie? Znaczy się, on nie zbudził się jeszcze? Prawda? - Szukał pocieszenia w oczach kolegi.

- Sam lepiej spójrz.

Tymoteusz oświetlił szklaną gablotę trumny. Mateusz zbliżył się z duszą na ramieniu. W środku, obok zmumifikowanych zwłok księcia Jeremiego Wiśniowieckiego, leżało dodatkowe, świeże ciało. Zmarły arystokrata wyglądał jak pijaczek, który właśnie uciął sobie drzemkę. Zaróżowione policzki i zaczerwieniona skóra na krągłej, pyzatej twarzy. Truposz miał bujny, czarny wąs i także włosy sięgające do ramion. Co najstraszniejsze, w jego ramionach spoczywała starsza kobieta z dwoma nakłuciami na szyi. Ze świeżych ran wciąż ciekła krew. To była pątniczka z grupy pielgrzymkowej, która zatrzymała się u nich na noc. Twarz seniorki wykrzywił strach, w jej sinych rękach błyszczał medalik z Matką Boską. Zakonnik zbladł, upodabniając się do swojego towarzysza niedoli. Zakręciło mu się w głowie, zimny pot zrosił kark; omal nie zemdłał, czując, jak nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

- Co teraz? - Pełne desperacji pytanie wybrzmiało w duszącym mroku krypty.

W odpowiedzi usłyszeli ohydne mlaskanie. Dźwięk ssania dobiegał z wnętrza trumny. Duchowni odskoczyli od niej z krzykiem na ustach. W tym samym momencie szklana gablota drgnęła. Wieko trumny się uniosło. Do ich uszu dotarł szyderczy śmiech zmarłego księcia. Zakonnicy ujrzeni w świetle lampy przeciągającego się wampira. Zupełnie jakby wybudzał się z pijackiego snu po hulaszczej zabawie. Wąpierz wyrzucił z grobu pozbawione krwi zwłoki. Trup padł na ziemię, wydając głuchy łomot. Upiór spojrzał pożądliwie na kurczących się w strachu Oblatów. Martwe oczy emanowały szkarłatną poświatą, wydatne policzki zarumieniły się jeszcze bardziej, a sine usta ociekały krwią. Upiór spuchł jak kleszcz, kły błyszczały spod okazałego wąsiska. Spoglądał na nich z przewrotną inteligencją. Kąciki ust rozszerzyły mu się w kpiącym uśmiechu. Wypełził z grobu, a zakonnicy przywarli do ściany. Zaczęli żarliwie modlić się do Matki Boskiej, prosząc ją o ocalenie.

- Czemuż to trwonicie czas na modły? Wiecie przecież, kim jestem - wysyczał.

- Mam... Mam dla ciebie krew - stęknął Mateusz, wręczając złemu buteleczkę. - Zgodnie z umową.

- Dziękuję, ale już objadłem się do syta - syknął wampir, zbliżając się do zakonników. - Może poprzetrącam wam teraz te głupie łby? Co wy na to?

Tymoteusz nie wytrzymał i popuścił. Strumień moczu zapaskudził posadzkę. W krypcie uniósł się kwaśny zapach uryny.

- Zsikałeś się w moim domu?! - wzburzył się wąpierz, prężąc się jak lew.

- Proszę panie, zlituj się nade mną. - Tymoteusz padł przed nim na kolana.

- Panie? To teraz ja jestem twoim bogiem? - zapytał kąśliwie Zły. - Tylko tyle w tobie wiary, marny człowieczku? Myślicie sobie zakłócać mój sen i jeszcze mnie obrażać?!

- Nie możesz mnie skrzywdzić - zaprotestował zakonnik. - Zawarłeś z nami pakt, święte przyrzeczenie, które obowiązuje od setek lat! Nie wolno ci! Odejdź, siło nieczysta!

- Siło nieczysta? Doprawdy? Gadasz przecie, że obowiązuje mnie jakaś umowa, a znasz chociaż jej treść? Spóźniliście się. Wiesz zapewne, czym się to dla ciebie skończy?

Ojciec Tymoteusz dygotał ze strachu, nie potrafiąc odpowiedzieć. Trzęsącą się dłoń zacisnął na różańcu, a potem w akcie desperacji zamachnął się nim na upióra. Oblicze wampiera zmieniło się nie do poznania. Kpiący uśmiešek zniknął zastąpiony grymasem nienawiści. Czerwone lico zrobiło się trupioblade. Wampir rozwarł szeroko szczękę, ukazując rząd kłów ostrych jak sztylety. Tymoteusz nie zdążył nawet krzyknąć, gdy ten doskoczył do niego i przetrącił mu kark. Mateusz usłyszał dźwięk pękających kręgów szyjnych. Nie czekał, aż wampir skończy z Tymoteuszem. Puścił się pędem schodami do góry, objając palce nóg o kamienne stopnie krętych schodów. Przerażliwy odgłos chleptania niósł się z klasztornych piwnic. Dźwięk utkwił mu w głowie i pozostał w niej przez resztę bezsennej nocy.

* * *

Brat Mateusz klęczał na posadzce prezbiterium, ściskając w dłoni różaniec. Nie potrafił skupić się na modlitwie, bo wciąż myślał o wczorajszym koszmarze. Jak to możliwe, że diabeł ukrywa się w domu Pana? Dlaczego władze zakonu pozwalają panoszyć się tutaj złu? Cóż to za dziwny układ Beliala z Chrystusem? Czy upiór faktycznie był zmarłym, zasłużonym księciem Wiśniowieckim? Czy tylko tak o nim mówiono, by osłodzić zakonnikom fakt dokarmiania abominacji?

Biedny ojciec Tymoteusz. Mateusz miał nadzieję, że nie cierpiał długo, gdy wampir rzucił się na niego, zadając tak okrutną śmierć. Jedno jest pewne, nie mógł pozostać w tym gnieździe zła i zepsucia. Dobrowolnie nie dadzą mu odejść, należy przeto uciekać. Poprzysiągł wierność i posłuszeństwo Oblatom, ale przyjdzie złamać śluby. Pomyśleć, że wstąpił do klasztoru, szukając Boga, a znalazł...

- Bracie Mateuszu? - usłyszał za plecami znajomy głos - Przeor oczekuje na brata w swoim gabinecie.

Mateusz spojrział na znienawidzonego przez wszystkich służbistę, Barnabę.

Ten gapił się na niego z wyższością, kryjąc uśmiech za fasadą zatroskanej miny. Mateusz ruszył w milczeniu za sekretarzem zakonu. W gabinecie przeora Dominika czekał na niego również biskup świętokrzyski, Jan Piotrowski. Kleryk wzdrygnął się na widok przełożonych, ich surowe miny mówiły same za siebie. Hierarcha żuł nerwowo gumę, mrużąc z niezadowolenia powieki.

- Dziękujemy ojczy Barnabo. Proszę, zostaw nas samych - nakazał przeor podwładnemu.

- Z Panem Bogiem - odpowiedział tamten grzecznie, a potem cicho zamknął za sobą drzwi.

- Z Panem Bogiem.

Przeor Dominik spochmurniał, piorunując wzrokiem Mateusza.

Młody zakonnik nie potrafił znieść ciężaru spojrzenia zwierzchnika.

- Patrz na mnie, jak do ciebie mówię, do cholery! - Przeor aż poczerwieniał ze złości.

Mateusz natychmiast posłuchał rozkazu. Ostatniej nocy nie zmrużył oka i ledwo co mógł ustać na nogach.

- Przysięgałeś Misjonarzom Oblatów Maryi Niepokalanej posłuszeństwo, ślubowałeś wierność i tak nam odpłacasz?! - grzmiał przeor, krążąc po gabinecie.

- Zegarek stanął - odparł zawstydzony zakonnik.

- Zegarek stanął. Tylko tyle masz nam do powiedzenia? Zegarek stanął. Patrzenie go!

- To ten cholerny wampir, to jego wina. Oszukał nas!

- Nie klnij w domu bożym, kurwa mać! - Wydarł się na podwładnego, tupiąc demonstracyjnie nogą. - Nie tłumacz się więcej, bo kompromitujesz nasz zakon, ten klasztor i cały Kościół Katolicki! Czy ty pojmujesz, na co nas naraziłeś? Jeden z naszych braci nie żyje, turystka z Warszawy także. Od rana rozpętało się tutaj prawdziwe piekło, na oczekaniu wymyśliliśmy jakąś bajkę. Ojciec Barnaba skłamał, że widział, jak kobieta nocą wymknęła się z klasztoru i ruszyła samotnie na gołoborza. Opiekun pielgrzymki kupił tę historię, ale i tak będziemy mieć policję na karku! - Przeor krążył wokół Mateusza niczym wściekła hiena, gotowa w każdej sekundzie rzucić mu się do gardła. - Na dole w krypcie są dwa trupy, dwa cholerne pozbawione krwi ciała! Sarkofag księcia Jeremiego Wiśniowieckiego jest już niedostępny dla turystów. I to przez ciebie! Nasze największe źródło dochodów wysycha! Wiesz, ile kosztuje nas każdy dzień zamknięcia krypty? Zdajesz sobie sprawę, na jakie straty nas naraziłeś?!

- Ale...

- Ani słowa, robaku! - Milczący dotąd biskup włączył się do rozmowy. - Myślisz, że pieniądze rosną na drzewach? Uważasz, że łatwo utrzymać taki stary klasztor? Ile środków na to potrzeba?! Ten wampir spadł nam prosto z nieba, weszliśmy z nim w idealny układ, który ty zrujnowałeś!

- Zawiniłeś śmierci tych ludzi - powiedział oskarżycielskim tonem ojciec Dominik. - Gdybyś sumiennie wykonywał

obowiązki, nic takiego by się nie wydarzyło. Ich krew bruka twoje ręce!

Mateusz spuścił pokornie głowę. Przeor zmarszczył gniewnie brwi, a potem wymienił z biskupem Janem porozumiewawcze spojrzenia.

- Pozbędziesz się ciała turystki jeszcze dzisiaj w nocy. Nie możemy zwlekać, grozi nam niebywały skandal! O brata Tymoteusza się nie martw, już o niego zadbałem.

- Ale... - Mateusz próbował powiedzieć coś na swoją obronę, lecz przeor gestem dłoni nakazał mu milczenie.

- Posprzątasz po sobie i wyniesiesz zwłoki pątniczki na gołoborza. Rankiem, jak ją znajdą służby leśne, będzie to wyglądało na wypadek w górach. Ciało leży w krypcie. Zabierz je stamtąd.

- Ale tam jest ten potwór! - zaprotestował zakonnik z przerażeniem.

- Dlatego udasz się tam przed północą, gdy wszyscy turyści będą smacznie spać. Tym razem zostawisz krew w umówionym miejscu punktualnie. Kara i tak ciebie nie ominie. Teraz zejźdź mi z oczu, bo nie mogę na ciebie patrzeć!

- Błagam o litość, ekscelencjo! - Mateusz położył się krzyżem przed hierarchami, żebrząc o miłosierdzie.

- Ty, on chyba jakiś głupi? Kogo wy przyjmujecie do zakonu? - szydził biskup głosem pozbawionym współczucia.

- Wynoś się stąd, robaku! - Przeor Dominik rzucił się na młodego księdza z furią, okładając go laską.

Zszokowany Mateusz wycofał się z gabinetu, zasłaniając przed kolejnymi bolesnymi razami twardej lagi.

* * *

Brat Mateusz ostrożnie stawiał kroki, zagłębiając się w mrok klasztornych piwnic. Serce waliło mu jak młot w kuźni

kowalskiej. Czuł bolesne klucie w klatce piersiowej, obawiał się, że nie wytrzyma napięcia i umrze w przeklętych podziemiach na zawał. Żałował, że nie było przy nim brata Tymoteusza. Towarzysz niedoli zawsze potrafił podnieść go na duchu. Teraz cały ciężar spoczywał na jego barkach. Zadanie wydawało się ponad siły zwykłego śmiertelnika. Kto zagwarantuje, że wąpierz nie zbudzi się przed północą? Był teraz jak Perseusz wchodzący do ciemnej jaskini, gdzie czekała na niego mściwa Meduza.

Zakonnik rozpoznał zapach rozkładu. Nie myślał na razie o tym, w jaki sposób wyniesie nieboszczkę. Obecnie największe wyzwanie stanowił strach, który go paraliżował. Był nim owładnięty i nie potrafił zrobić ani kroku naprzód. Przypomniawsobnie przerażający głos wampira, głos zmarłego sprzed wieków. Wiedział, że trzeba działać, bo inaczej skończy jak biedny Tymoteusz. Mateusz wziął głęboki oddech, a potem pochylił się i wszedł do krypty.

Smród gnijącego ciała omal nie przyprawił go o wymioty. Dociskając białą chusteczkę do ust, skierował światło lampy naftowej na sarkofag. Musiał wpierw upewnić się, że tu wszystko jest bez zmian.

- Uff! - Odetchnął głośno, wypuszczając parę z ust. W trumnie leżał nieruchomo książę Jeremi. Zakonnik zrobił krok naprzód i wtem potknął się o zalegającego na ziemi świeższego trupa. Upadł twarzą na posadzkę, tłukąc lampę. Kryptę zalała ciemność. Przez parę mrozących krew w żyłach chwil trwał nieruchomo w absolutnej czerni. Z rozbitego nosa ciekła ciurkiem krew. Co gorsza, stłuczone szkło przecięło skórę, wbijając się w dłoń. Mateusz czuł się prawie jak święty stygmatyk z Asyżu. Wyszarpnął z rany odłamki szkła, a potem sięgnął do kieszeni po butelkę. Ta niestety roztrzaskała się przy upadku.

- Co robić, co robić?! - Wpadł w panikę.

Na szczęście zabrał ze sobą latarkę czołówkę. Założył ją na czoło i zaczął szukać na czworakach pątniczki. Odnalazł ją po paru sekundach, siną i napuchniętą. Odwrócił natychmiast wzrok od szkaradnego oblicza. W końcu zmusił się i chwycił trupa pod ramiona. Nie miał czasu zapakować ciała do worka. Kryptę plamiła jego świeża posoka, władna wybudzić wąpierz ze snu. Wstrzymując oddech, by uniknąć odoru śmierci, ciągnął zwłoki w górę po schodach.

Strach dodawał siły, adrenalina buzowała w żyłach. Już prawie osiągnął cel, gdy nagle do jego uszu dobiegło skrzywienie zawiasów: dźwięk otwierającej się trumny. Omal nie upuścił trupa, gdy usłyszał złowieszczy śmiech. Potroił wysiłek i wytaszczył ciało na parter. W tym samym momencie zastukały kroki na schodach. Wywłókł truchło na korytarz. Nie potrafił zapanować nad ruchami rąk, kiedy sięgał do kieszeni po pęk kluczy.

- No dalej! - Rysował kluczem po powierzchni drzwi, usiłując włożyć go w dziurkę.

- Kurwa! - wrzasnął, zdjęty trwogą.

Tymczasem Zły zbliżał się do niego.

Po nerwowej dłubaniu brat trafił wreszcie kluczem w zamek, lecz ten się zaklinował. Szarpał się z nim, ale na nic się to zdało. Metalowy klucz ugrzązł na dobre i za cholerę nie dało się go przekręcić. Mateusz podniósł gnijące brzemię z ziemi i przerzucił je sobie przez bark. Uginając się pod ciężarem seniorki, wybiegł na zewnątrz, zagłębiając się w mrok nocy. Nagły skurcz poraził jego plecy, krzyknął z bólu, upuszczając denatkę. Pojękując z cierpienia, chwycił nieboszczkę za nogi i ciągnął ją w kierunku puszczy bukowej. Na spoconej twarzy czuł zimny powiew wiatru. Co rusz oglądał się za siebie, obserwując mroczne mury Bazyliki Świętego Krzyża. Nagle jakiś cień prześlizgnął się po kościelnej wieży. Ciemny kształt w mgnieniu oka osiągnął wysokość dachu. Potem wzniósł się w

powietrze, odbijając od krawędzi. Poszybował w stronę rozłożystych koron drzew. Mateusz pojął, że wampir zamierzał na niego zapolować.

Zakonnik ciągnął uparcie trupa przez zarośla. Zdawał sobie sprawę z tego, że wampir go śledzi, wypatrując z góry niczym drapieżny ptak. Ostatkiem sił przedarł się przez gęstwinię i kompletnie wyczerpany, wytargał seniorkę na gołoborza. Porzucił zwłoki na kamiennym polu, a następnie zrobił krok w przód. Zaraz jednak przystanął, gdyż jego organizm się zbuntował. Zgiął się wpół, kurczące się z wysiłku płuca próbowały złapać oddech. Był totalnie wyczerpany, lecz musiał ruszać dalej, aby ocalić skórę. Obejrzał się przezornie za siebie, po raz ostatni...

W świetle księżyca z puszczy wyłoniła się postać. Mateusz cofnął się odruchowo, zahaczając nogą o kamień. Runął na plecy, uderzając potylicą w gładzowisko. Z rozciętej głowy trysnęła czerwień. Leżał zamroczony obok pątniczki, niezdolny wykonać jakiegokolwiek ruchu. Gdy się ocknął, natychmiast zeszytniał ze strachu. Upiór pożerał go wzrokiem.

- Witaj, klecho! - Wilczy, charkotliwy głos wybrzmiał ponurym echem na gołoborzach. Jeremi Wiśniowiecki górował nad nim w swoim rozsypującym się, magnackim stroju. Trupią twarz wykrzywił jadowity uśmiech. Prawica wampira spoczęła na główicy szabli, którą wciąż nosił przypasaną.

- Durne księżulki myślały, że będą mnie tu trzymać bez końca! A ja pragnę wolności. Nawet nie wiesz, jak długo czekałem na taką szansę. - Wbił w Mateusza pusty wzrok.

Obolały zakonnik mimowolnie poczuł dreszcze na całym ciele.

- Wasze gusła nie zdołają mnie dłużej więzić.

- Czego ode mnie chcesz? - wybełkotał słabym głosem.

- Czego od ciebie chcę? - Upiór się zaśmiał. - Właściwie to chcę ci podziękować.

- Jak to?!

- Gdybyś wtedy zdążył do krypty, pewnie nigdy nie poczułbym głodu, który wygonił mnie z trumny. Ojczulkowie karmili mnie tylko taką ilością, jaka pozwalała mi przetrwać. Byłem zbyt słaby, aby poruszać się o własnych siłach, dlatego po wypiciu tych nędznych paru kropel, znów zapadałem w sen. Lecz wczorajszej nocy łaskawy los pchnął mnie w objęcia staruszki, która najwyraźniej zbłądziła i zesłała do krypty, bo jakiś gamoń zapomniał ją zamknąć. Taka szansa się nie powtarza, więc z niej skorzystałem. Siły żywotne tej starej pudernicy wniknęły we mnie, odżywiły. Teraz jestem wolny i nie obowiązują mnie żadne przymierza. A wszystko to zawdzięczam tobie!

- Kim ty właściwie jesteś?! Nie wierzę, że byłeś księciem Wiśniowieckim! - krzyknął Mateusz - Powinieneś przecież trafić do piekła! Jak to możliwe, że w ogóle istniejesz?!

Wampir nie odpowiedział od razu. Wyglądało to tak, jakby nad czymś głęboko się zamyślił. Kpiący uśmiech znikł z jego twarzy.

- Jak dla ciebie... jestem księżę Jeremi Wiśniowiecki, obrońca tej ziemi, hojny darczyńca kościoła. Moje przeznaczenie związało się z tą przeklętą górą. Była ona jeszcze w moich czasach miejscem kultu pogańskiego. To, że postawiono tutaj klasztor, niczego nie zmieniło. Wieśniacy pod osłoną nocy nadal odprawiali gusła na gołoborzach. Wierzyli, tak jak ich pradziadowie, że gnieźdzą się tu wielkie moce. Gorliwi ojczulkowie nie potrafili wyplenić starych wierzeń, więc zwrócili się do mnie o pomoc. Jako władca krainy ślubowałem przed bogiem obronę kościoła, toteż zgodziłem się rozwiązać trapiący ojców kłopot. Urządziłem zasadzkę na wieśniaków w Jare Gody, święto, podczas którego poganie rozpalają ogień na szczycie Łysej Góry. Chciałem raz a dobrze rozprawić się z bałwochwalstwem, tak aby nikt więcej nie ważył się czcić na tej

górze bożków. Wybiliśmy niemal do nogi wszystkich mężów, oszczędzając kobiety, starców i dzieci. Dziewki oczywiście zostały zabrane do koszar, aby tam służyły chuci wojaków. Jedna z nich była wyjątkowo urodziwa. Kazałem ją zabrać na zamek w Chęcinach i uwięzić w komnacie. Młoda i wyjątkowo powabna białogłowa, charakterna i bezczelna. Gwałciłem ją co noc, zmuszając do najbardziej odrażających aktów. Nie doceniłem jednak tej czarownicy...

Po jakimś czasie złagodniała i zgodziła się być moją nałożnicą. Na imię miała Natka. Zdobyła moje zaufanie, więc pozwoliłem jej na swobodne poruszanie się po zamku. Pewnego razu, gdy się z nią zabawiałem, zmógł mnie sen. Obudziłem się spragniony jak nigdy dotąd. Chwyciłem za dzban wina i duszkiem wypilem zawartość. Ta suka, czarownica... Nie wiem, co tam wyspała, co to za przeklęte zioła. Powiadają przecież, że na stokach Łysej Góry w bezksiężycową noc raz do roku wyrasta czaracie ziele. Ma ono moc przemieniania ludzi w upiory. Natka zapewne uciekła o zmroku z zamku i nazbierała tego przeklętego kwiatu. Zemściła się na mnie okrutnie. Krótco po wypiciu wina zachorowałem. Długo trawiła mnie śmiertelna gorączka. Ogromny ból łamał kości i szarpał mięśnie, wyłem jak pies po nocach. W końcu śmierć nadeszła, ale nie umarłem. To było jak sen obłąkanego, z którego nie sposób się obudzić. Stałem się upiorem, postrachem żywych na zamku. Wstałem z martwych podczas swojego pogrzebu. Leżałem w trumnie, a przy mnie czuwała rodzina.

Kiedy poruszyłem sinymi dłońmi i otworzyłem oczy, na zamku rozpętało się piekło. Wszyscy latali wokół jak pogorzelnicy. Nie rozumiałem wtedy, co się ze mną stało, wilem się jak cień, krążąc po zamkowych komnatach. W końcu przerażeni grodzianie chwycili za kołki i pochodnie. Dopadli mnie, gdy wyszedłem na dziedziniec. Nie pamiętam, w jaki sposób udało mi się zbiec. Z Chęcina do klasztoru na Łysej

Górze jest długa droga prowadząca przez przepastne knieje. Zakonnicy, pamiętając moje wcześniejsze zasługi, ukryli mnie w swym klasztorze. Zawarłem wtedy z nimi pakt, że oni będą mnie żywić, a ja nigdy nie opuszczę tego miejsca. Zostałem ich więźniem, i tak od ponad czterystu lat leżałem w krypcie, ku uciesze patrzącej na mnie gawiedzi. Mój los jest po stokroć gorszy od śmierci. Ale ja tam już więcej nie wrócę. Tyś mi to umożliwił. – Wąpierz zaśmiał się chytrze.

Mateusz przypatrywał mu się zaszokowany. Ta historia się nie kleiła. Coś nie pasowało, nie wiedział tylko co. Przecież historycy podejrzewali, że prawdziwe ciało staropolskiego arystokraty spłonęło w pożarze w tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym roku. Co się naprawdę wtedy wydarzyło? Kim zatem był ten upiór?

Wampir postąpił krok w jego stronę.

Zakonnik przeczuwał, na co się zanosi, więc jął żałośnie skomleć:

– Proszę, panie, oszczędź mi okrutnego losu! Miej serce i okaż łaskę mnie, nędznemu robakowi. Idź w swoją stronę, nikt nie dowie się przecież, gdzie się ukryłeś! Jestem pobożnym mężem, poświęciłem życie Bogu, nie chcę stać się przeklętym.

– Obowiązuje mnie święte przyrzeczenie, a te trzeba wypełniać. Liczba wampirów w krypcie winna się zgadzać. Nie bój się, to wcale nie zaboli. No, może troszkę.

– Neeee... – Mateusz zawył żałośnie, a potem zamilkł, gdy szczęka wąpierza zacisnęła się na jego gardle. Poczł niewyobrażalny wręcz ból rozchodzący się wzdłuż ciała, zupełnie jakby wampir wstrzyknął mu w tętnice kwas. Mateusz miotł się w drgawkach jak ryba wyjęta z wody. Wtedy wampir odgryzł mu z szyi kawał mięsa ze skórą, odsłaniając krwawiące żyły. Zakonnik skonał w męczarniach.

* * *

- Myślisz, że się zbudzi?

Głos. Cichy i przytłumiony. A wokół ciemność.

- Lepiej się pośpieszmy, nim będzie za późno! - Ktoś wypowiedział swoje obawy nerwowym tonem.

- Szybko, przygotuj krew dla księcia! - odparł ten sam młodzieńczy głos. Krew. Na dźwięk tego słowa otworzył ociężałe powieki. Wokół panowała ciemność i duchota. Uwięziony w jakimś pudle, miał na sobie szykowny strój. Nie pamiętał, jak się tu znalazł, ani co wydarzyło się zeszłej nocy.

Unieruchomiony, leżał w ciasnym miejscu, odgradzony od świata szklaną gablotą. Głodny i osłabiony... Wtedy zwęszył krew. Ona zaś spowodowała, że oładnęło nim nieznane wcześniej pragnienie. Poruszył się, dotykając palcami chłodnej szyby. Zawarczał jak zwierzę, mimowolnie, jakby skowyt wydobywał się z gardła wbrew jego woli. Wpadł we wściekłość, walnął pięścią w gablotę. Ta odsunęła się samoistnie, a on usiadł z gracją w trumnie. Doskonale widział w ciemności. Blask światła lampy naftowej raził go w oczy. Trzymał ją w ręce płaszczący się ze strachu zakonnik wraz ze swoim młodszym kompanem. Młodzieniec w habicie zrobił ostrożnie krok do przodu. Dzierżył coś w dłoni, jakąś szklaną buteleczkę. Bez trudu dostrzegł znajdujący się w niej płyn, który mienił się dla niego isticie rubinowym kolorem. Gdy młodzieniec się pochylił, Mateusz zachłannie wyrwał zakonnikowi życiodajny pokarm.

Wypił krew, zatracając się w ekstazie. Krwinki rozchodziły się po ciele, uśmierzając bolesne pragnienie. Ogarnęła go euforia, stan podobny do narkotycznego uniesienia. Mnisi uciekli w popłochu, a on oszołomiony doświadczeniem położył się z powrotem do trumny. Było mu dobrze jak nigdy dotąd. Powoli zapadał w sen, wracając do królestwa zmarłych.

Nie pamiętał już, kim jest ani jak się tutaj znalazł. Może nazywał się Jeremi? A może Mateusz? Chyba zrobił coś,

kiedyś... Zgwałcił kogoś? Zabił? Bez znaczenia. Liczyła się tylko krew płynąca w jego martwych żyłach.

Adam Ciszewski
Biała sukienka

Często wspominam dzień, w którym po raz pierwszy wziąłem ją w ramiona. Była wyczerpana i zziębnięta, ważyła nie więcej niż dziecko. W tamtych godzinach, kiedy nie wiedziałem, czy ją uratuję, kiedy już miałem kazać Olafowi kopać dla niej grób, wtedy, wlepiając spojrzenie w ciężkie wskazówki zegara... Nie, to nie tak, że ją pokochałem. Ale poczułem się za nią odpowiedzialny i nie chciałem odstępować jej na krok.

Co w sumie na jedno wychodzi.

Młoda kobieta, błąkająca się po lesie od Bóg wie jak dawna, wyglądała na zbiegłą więźniarkę. Stara Wenderowa w kółko powtarzała, że jeśli „ta przybłąda” jest zamieszana w działalność konspiracyjną, to jej los i tak jest przesądzony, a pokątne trzymanie jej w ośrodku ściągnie na nas wszystkich kłopoty.

Wenderowa głosiła swe tyrady również nad łóżkiem bezimiennej, która przez większość czasu pozostawała nieprzytomna. Raptem parokrotnie otworzyła oczy, tylko raz skierowała ku mnie mętne spojrzenie. Na jej ciele nie znalazłem żadnych poważnych obrażeń.

Umieściłem ją w izolatce, niedaleko gabinetu, i każdą wolną chwilę poświęcałem temu, by jej doglądać. Przywykłem do trwania przy pacjentach, z których powoli wycieka życie, miałem za sobą wiele gorzkich pożegnań. Czulem jednak, że

jeśli drobna kobieta umrze, trudno mi będzie się z tym pogodzić.

Rzecz jasna pamiętam moment, w którym w końcu przemówiła. Zawieszałem kroplówkę na stojaku, kiedy usłyszałem najbardziej oczywiste pytanie:

- Gdzie jestem?

- W bezpiecznym miejscu - pospieszyłem z gotową odpowiedzią. Niski głos, tak bardzo niepasujący do bezimiennej, sprawił, że niemal zapomniałem języka w gębie. - Jak ci na imię?

- Maria.

W ciągu ostatnich dni przyjrzałem się każdemu szczegółowi jej twarzy. Wiedziałem, że pierwsze wrażenie okazało się mylne. Nie była nastoletnią dziewczyną ani nawet młodą kobietą, o czym świadczyły zmarszczki pokrywające czoło i okolice oczu. Ale w kasztanowych włosach nie znalazłem nawet pojedynczych pasm siwizny.

- Pamiętasz, co się stało? - zapytałem.

- Nie.

Tego się spodziewałem. Bez większej nadziei na to, że odświeżę jej pamięć, podałem parę szczegółów z tamtego dnia: Powiedziałem, w co się odziała (tylko bieliznę); wyznałem, że to ja, wyglądając przez okno gabinetu, dostrzegłem, jak wyłania się spomiędzy drzew. Napomknąłem też, że kiedy wziąłem ją w ramiona, z ufnością do mnie przywarła i natychmiast, jakby świadoma tego, że dotarła do bezpiecznej przystani, straciła przytomność.

Co gorsze, Maria nie pamiętała również swojego nazwiska, wieku czy miejsca zamieszkania.

Imię. Wyłącznie tyle.

Uwierzyłem jej. Dobrze, że Wenderowa, nieufna i wścibska z natury, miała akurat wychodne.

Po południu wróciłem do Marii z talerzem zupy.

- Mówisz z interesującym akcentem - zagadnąłem, patrząc, jak wprawnie sięga po łyżkę.

- Naprawdę?

- Tak. Szorstki, ale miły dla ucha. Nic ci się nie przypomina?

- Nie. Ale nie mam w głowie zupełnej pustki. Trudno to opisać. Jakbym próbowała przywołać z pamięci szczegóły snu, wyłoić je z mgły. One gdzieś tam są, tylko że nie chodzi tu przecież o detale, nie pamiętam...!

Położyłem dłoń na chudym ramieniu, po czym szybko ją cofnąłem. Maria oddychała ciężko, z trudem hamując łzy.

- Co się teraz ze mną stanie? - wyszeptała.

- Znajdę dla ciebie miejsce, zostaniesz tutaj tak długo, jak trzeba.

Nie podziękowała mi, ale wiem, że przyjęła moje słowa z ulgą i wdzięcznością.

Kolejnego dnia wstała z łóżka o własnych siłach. Jej twarz zaokrągliła się i nabrała kolorów, oczy pojaśniały. Pięknie prezentowała się w białej sukience, którą znalazłem dla niej w garderobie.

- Czy noszę ubranie po zmarłej? - zapytała, czesząc włosy przed lustrem.

- Tak - odparłem szczerze. - Czy to ci przeszkadza?

Odwróciła się do mnie i po raz pierwszy obdarzyła uśmiechem.

- Nie. Ale chciałam wiedzieć.

Po śniadaniu postanowiłem pokazać jej ośrodek z zewnątrz, zabrać do ogrodu i do stajni, w której trzymaliśmy naszą klacz - Furię.

Kiedy wyjaśniłem Marii, czym się zajmuję, odniosłem wrażenie, że mi nie dowierza.

- Sanatorium? Przerobiłeś dworek na sanatorium?

- Można tak to ująć.
- Pomagasz tym wszystkim ludziom za darmo?
- Oczywiście. To wyrzutki. Staram się ich wesprzeć i oddaję ich światu. Albo pozwalam zostać na dłużej.

Nagle Maria zatrzymała się na zwirowej alejce i spojrzała w stronę drzew.

- Gdzie podziewa się tamta pani?
- Wenderowa? Jest na wychodnym.
- To pielęgniarzka?
- Tak. Choć asystuje mi nie tylko przy pacjentach. Prawdziwa kobieta czynu, wszędzie jej pełno.
- Długo nie wraca.
- Prawda - przyznałem, zdumiony jej spostrzegawczością. - Coś musiało ją zatrzymać.

Na stołówce Maria chętnie zajęła miejsce na skraju żeńskiego stołu, obok spokojnej Hiacynty. Naprzeciwko siedziała Olga, która wcale nie była zachwycona jej widokiem i z trudem hamowała wrogość.

Ze zrozumiałych względów obecność Marii wzbudziła spore zainteresowanie mężczyzn. Szeptali i pokazywali ją sobie palcami. Wtedy w ośrodku przebywało piętnaścioro pacjentów, z przewagą kobiet, których miałem pod opieką dziesięć.

Kiedy Maria zapytała, czy może wziąć udział w sesji grupowej, zgodziłem się. Przyznaję, że ciekawiło mnie, jak jej niezapowiedziana obecność wpłynie na przebieg spotkania. Niektórzy pacjenci niechętnie otwierali się przed innymi i chciałem się przekonać, czy pełna spokoju, taktowna kobieta zdoła ich ośmielić.

Ledwie zajęliśmy miejsca, kiedy do salonu wpadł Olaf. Choć wielokrotnie napominałem go, by przy pacjentach powściągał temperament, teraz nie zamierzał tego robić:

- Doktorze! Prędko! - krzyknął. Pobladł jak ściana, nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie. Wybiegając z pomieszczenia, odwróciłem się i krzyknąłem:

- Mario! Zostań z nimi, proszę!

Pomknąłem za Olafem. Mimo pięćdziesiątki na karku poruszał się naprawdę zwinie.

Ujrzałem ją z holu, przez otwarte drzwi. Klęczała na schodach, usiłowała wczłogać się na portyk.

Wydarzenia sprzed tygodnia odbiły się w krzywym zwierciadle. Z trudem podniosłem Wenderową i ruszyłem z nią do gabinetu. Ważyła dużo więcej niż Maria i w przeciwieństwie do niej była przytomna. Przyznam, że wcale mnie to nie cieszyło - nie mogłem znieść przerywanego jękami płaczu.

Opuściłem ją na kozetkę, wpytując, co się stało. Nie reagowała na słowa, razem z Olafem musieliśmy ją trzymać, aby nie zsunęła się na podłogę. Jej suknia została przemoczona i pokryta plamami. Włosy, zawsze starannie upięte, spływały na ramiona lepkimi, brudnymi pasmami.

Kiedy złapała mnie za nadgarstek, krzyknąłem z bólu. Próbowałem wyswobodzić rękę, ale w sekundzie uścisk zelżał, a jęki ustały. Wiedziałem, że stara Wenderowa nie żyje.

Dla pewności sprawdziłem puls. Olaf stał nad nieboszczką, przykładając dłonie do twarzy.

- Słyszał doktor? - wyszeptał.

- Co? - sapnąłem, opadając na krzesło.

- Powtarzała w kółko: Licho, lichy, lichy.

- Licho?

- Spotkała je w lesie.

Z trudem powstrzymałem wybuch gniewu. Policzyłem do dziesięciu, podniosłem się z krzesła i powiedziałem:

- Biedaczka się zgubiła.

- Licho ją zwiódło - jęknął Olaf, lustrując martwe ciało. -
Błądziła po miejscach, co ich ludzkie oko nie powinno oglądać.
Umarła ze strachu.

Po raz drugi ugryzłem się w język. Powiedziałem tylko:

- Musimy... wszystko przygotować.

Stara Wenderowa nie miała rodziny. Wspominała mi, że jeśli
odejdzie, powinniśmy pochować ją tutaj.

Wróciłem do salonu.

- Kończymy na dzisiaj. Wyjdźcie na świeże powietrze,
korzystajcie z pięknej pogody.

Poszedłem do gabinetu, zaciągnąłem story i zapadłem się w
fotelu. Trwałem tak dobrą chwilę, ale nim zdążyłem pozbierać
myśli do kupy, rozległo się ciche pukanie.

Do pokoju weszła Maria. Zapaliłem lampkę, nie chciałem
rozsuwać zasłon. Widziałem, że gabinet zrobił na niej wrażenie;
dokładnie przyjrzała się wysokim półkom z książkami i
etażerce, na której wyeksponowałem moje ulubione bibeloty.
Stąpając ostrożnie po perskim dywanie, podeszła do biurka i na
moją prośbę usiadła naprzeciwko.

- Co to? - zapytała, sięgając ku rozłożonym na biurku
kartkom.

- Test - odrzekłem.

- Plamy atramentu?

- Tak. Każdy widzi w nich co innego. W zależności od tego, o
czym marzy i czego się boi. Pozornie błahe skojarzenia potrafią
dużo powiedzieć o naturze człowieka.

Zamilkłem. Dopiero po chwili przełamałem ciszę:

- Przepraszam za tamto.

- Za co?

- Poprosiłem cię, abys została z pacjentami. Zrzuciłem na
ciebie dużą odpowiedzialność. Nie powinienem.

Uśmiechnęła się i pokręciła głową; najwidoczniej to, że wyróżniłem ją w ten sposób, budziło w niej radość i dumę, a nie oburzenie.

- Nic się nie stało - szepnęła. W świetle lampy skóra na jej szyi przybrała ciepłą, miodową barwę. Odwróciłem spojrzenie.

- To chyba nie pierwsze zadanie, które mi pan zleci. Sądzę, że przyda się panu pomoc - kontynuowała, ignorując moje zakłopotanie.

- Jak to?

Uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Czy to, co teraz powiem, zostanie między nami? - zapytała.

- Oczywiście.

Zwilżyła usta językiem i wyrzuciła z siebie:

- Pan Olaf zdradził dziewczynom, co spotkało panią Wenderową, a wtedy Agnieszka powiedziała, że czym prędzej się stąd wynosi i pobiegła się pakować.

Uderzyłem ręką w stół. Cholerny plotkarz! Mówiąc o „dziewczynach”, Maria miała na myśli dwie pracownice, które pomagały w prowadzeniu pensjonatu. Zajmowały się wszystkim, od sprzątanía pokoi, po przyrządzanie posiłków. Ich pracę nadzorowała Wenderowa.

- Wybacz - odezwałem się po chwili. - Jestem zdenerwowany. Muszę pilnie znaleźć nową pracownicę.

Nie zabrzmiało to fortunnie.

- Okropne, że podchodzę do tego tak praktycznie - przyznałem. - W końcu niecałą godzinę temu, niemal na moich rękach, zmarła bliska mi osoba.

Maria skinęła głową.

- Ja również, zamiast opłakiwać zmarłą, zaczęłam zastanawiać się nad tym, jak teraz pan sobie poradzi.

Po raz pierwszy usłyszałem w jej słowach jakieś fałszywe nuty. Opłakiwać staruszkę, której nie znała?

- Czy pan w to wierzy? - Ponownie zniżyła głos do szeptu.

- Słucham?

- W to, co mówił pan Olaf. Że to lichy wystraszyło panią Wenderową na śmierć.

- Moja droga! Bez żartów.

Musiała poważnie odebrać tę przyganę, bo aż zacisnęła wargi. Zaraz wróciła jednak do istoty rozmowy:

- Chętnie wezmę na siebie trochę obowiązków. Proszę powiedzieć, jak mogę pomóc.

* * *

Wczesnym wieczorem pochowaliśmy Wenderową.

Pośród nielicznych mogił wyrosły już polne kwiaty, ciepłe powietrze pachniało skoszoną trawą i bzem. Pozwoliłem pacjentom wziąć udział w ceremonii. Ocenilem, że żaden z nich nie przypłaci pogrzebu niczym więcej niż paroma łzami.

Agnieszka rzeczywiście odeszła jeszcze tego samego dnia, a Maria niezwłocznie przejęła jej obowiązki. Nie byłem pewien, czy dogada się z drugą dziewczyną, Anną, na którą nagle spadła rola gospodyni. Następne dni pokazały, że moje obawy okazały się niesłuszne.

Podziwiałem Marię, która, mimo dziury ziejącej w świadomości, bezbłędnie odnalazła się w nowym środowisku. Jeszcze bardziej zdumiało mnie to, że znalazła wspólny język z pacjentami; spędzała wolne chwile w pokoju dziennym, inicjując gry i zabawy. Zdarzyło się, że coś śpiewała albo deklamowała poezję.

Jej obecność na spotkaniach grupowych nie przyniosła żadnych rewolucyjnych zmian, ale na mnie działała kojąco. Podziwiałem Marię za to, że chce towarzyszyć pacjentom w lepszym poznawaniu samych siebie. Ona - pozbawiona jakichkolwiek wspomnień.

- Kształty we mgle - powtarzała mi każdego ranka.

Złapałem się na tym, że ciągle o niej myślę. Moją głowę zaprzętała nie tylko tajemnica jej pochodzenia, ale i każdy aspekt fascynującej osobowości. Śniła mi się niemal każdej nocy.

Dobre dni. Szkoda, że było ich tak niewiele.

Kiedy przebywaliśmy w tym samym pomieszczeniu, nie potrafiłem oderwać od niej wzroku; błdziłem spojrzeniem po twarzy, starannie uczesanych włosach, nadgarstkach, tali... Nic dziwnego, że dokładnie widziałem przebieg zdarzenia, które miało pociągnąć za sobą tragiczne konsekwencje.

Przy obiedzie Maria roznosiła talerze z zupą. Nieoczekiwanie Maksim, łagodny paranoik o imponującym wzroście, poderwał się z siedzenia i zacisnął dłonie na jej ramionach. Pośród krzyków i brzęku tłuczonej porcelany pchnął swą ofiarę na stół i przygniótł własnym ciałem.

Doskoczyłem do dryblasza i sięgałem ku czerwonej z podniecenia twarzy. Nie szczczędząc sił, wbiłem palce w parę rozbieganych oczu.

Przez chwilę Maksim nic sobie z tego nie robił, za wszelką cenę próbując przywrzeć wargami do ust wyrrywającej się kobiety. W końcu jednak wydał z siebie jęknięcie i odskoczył do tyłu. Wtedy na stołówkę wbiegł Olaf i we dwóch powaliliśmy agresora na podłogę.

Rzuciłem Marii klucz do gabinetu i krzyknąłem:

- Strzykawka! W szufladzie biurka! Biegiem!

Pomknęła, nie zadając pytań. Wróciła błyskawicznie. Wręczyła mi środek uspokajający, a ja natychmiast podałem go wyrrywającemu się mężczyźnie. Napięte mięśnie zwiotczały, krzyk uwiązł w gardle.

Maria, opierając dłonie na blacie stołu, oddychała przez otwarte usta. Choć jeszcze przed chwilą była czerwona na

twarzy, teraz zupełnie zbladła. Pociągnąłem ją ku wyjściu, na odchodnym zwracając się do Olafa:

- Zanieście go z Anną do izolatki. Podołacie. A reszta...

Rozejrzałem się. Pacjenci stali jak wryci, niektórzy płakali.

- Dzisiaj nie będzie rozmów ani spotkania grupowego. Wyjdźcie na świeże powietrze, korzystajcie z pięknej pogody.

Nie marnując więcej czasu, ruszyliśmy w stronę gabinetu. Kiedy wyszliśmy po schodach na piętro, Maria niemal upadła, musiałem ją podtrzymać.

- Możesz iść?

- Tak - sapnęła.

Ale po kilku krokach nogi odmówiły posłuszeństwa. Znajdowaliśmy się akurat przy mojej sypialni. Bez wahania otworzyłem drzwi i przenieśliśmy ją na łóżko.

- Czy coś ci się stało? Skrzywdził cię? - Ująłem piękną twarz w dłoń i starałem się cokolwiek z niej wyczytać. Na próżno. Maria zamknęła oczy, dolna warga odsłoniła rząd równych zębów. Straciła przytomność.

Dostała gorączki, ale temperatura ciała szybko wróciła do normy. Rozłożyłem koc i położyłem się na podłodze. Nie miałem siły ani ochoty, by sprawdzić, jak czują się moi podopieczni.

Zasnąłem przed zmierzchem i spałem twardo do samego świtu.

Obudził mnie wrzask.

Poderwałem się i w pierwszej chwili spojrzałem na Marię. Wciąż spała. Oddychała płytko, ale miarowo.

Wybiegłem na korytarz. Otwarte drzwi izolatki nie wróżyły niczego dobrego. Puste łóżko, obok którego leżała skłębiona pościel, również.

Wybiegłem na dwór. Dostrzegłem blady księżyc wiszący tuż nad drzewami, niebo zasnuły ciemne, deszczowe chmury. Na podjeździe stał wóz, zaprzęgnięta do niego Furia kręciła łbem i

przebiegała kopytami. Olaf, jak co środa, wybierał się na targ do miasteczka.

Znalazłem go przy krzaku forsycji, który rósł niemal pod samym oknem mojej sypialni. Dojrzały mężczyzna, który niejedno w życiu widział, klęczał na ziemi i ryczał jak dziecko, przyciskając do twarzy kaszkiet.

Od razu rozpoznałem nagie ciało. Okrągły brzuch i uda zalewała krzepnąca krew, a skórę, od łydek po czoło, pokrywały niewielkie, fioletowe siniaki. Z bladej twarzy Maksima bił zagadkowy spokój, kąciki ust zadzierały się ku górze. Na szyi dostrzegłem podłużną pręgę.

- Dobry Boże...! Dobry Boże...! - zawodził Olaf.

- Czy domyślasz się... - Przełknąłem ślinę, odwracając spojrzenie od nieprzyjemnego widoku. - Czy podejrzewasz może, kto mógł...

- Diablice! Leśne diablice! Czemu doktor nie wierzy, choć wszystko widać?! Nocą zawiodły go tutaj, obcałowały i posiadały, a potem udusiły i... Boże! Miej nas w swojej opiece!

Olaf wierzył, że to rusalki rozprawiły się z Maksimem. Najpierw ofiarowały mu kilka rozkosznych chwil, potem udusiły, a jako trofeum zabrały ze sobą najwrażliwszą męską część ciała.

- Doszło tu do ohydnej zbrodni! - powiedziałem. - Musimy czym prędzej sprawdzić...

Olaf poderwał się z klęczek i obdarzył mnie gniewnym spojrzeniem.

- Jadę do komisarza. Namieszała panu doktorowi w głowie.

- Co takiego?

- Ta sukienka.

- Kogo nazywasz „sukienką”?!

- Wenderowa niby zgubiła się w lesie? Ona, stara baba? Tamta wiedziała, że Wenderowa chce ją zgłosić i nastąpiła

demona. A teraz to. Żeby się zemścić. Starczy tego.

Olaf wskoczył na wóz i sięgnął po lejce.

Aż trząśłem się z gniewu. Ruszyłem ku drzwiom, ale zamarłem w pół kroku. Maria stała między kolumnami portyku i patrzyła w stronę odjeżdżającego wozu.

- Pamiętam - powiedziała. - Pamiętam pociąg. Straszny huk i ból. Dym, dużo dymu. Pociąg. Wykoleił się.

Nic nie odpowiedziałem, tylko wziąłem ją za rękę.

W tamtej chwili podjąłem decyzję.

Zerwał się wiatr, z nieba spadły pierwsze krople deszczu.

- Bez względu na wszystko, nie bój się.

- Co?

- Nie bój się.

Usłyszeliśmy ryk. Dziesiątki spłoszonych ptaków wleciały nad korony drzew. Obserwowałem, jak woźnica zatrzymuje konia i rozgląda się. Kolejny ryk, dużo głośniejszy, sprawił, że zeskoczył z wozu i ruszył pędem w naszą stronę.

Od budynku dzieliło go nie więcej niż pięćdziesiąt metrów, kiedy bestia wypadła spomiędzy drzew. Maria krzyknęła i próbowała rzucić się ku drzwiom. Ścisnąłem jej rękę i powtórzyłem:

- Nie bój się.

Starszy mężczyzna nie miał szans. Biegł do mnie, wyciągając ręce. Krzyczał, abym uciekał, co nawet mnie wzruszyło.

Włochate cielsko runęło na Olafa, przygważdżając go do ziemi. Pazury czterech łap rozdarły ubranie i wbiły się głęboko w ciało.

Maria za wszelką cenę próbowała się wyrwać. Nie bez trudu przygarnąłem ją do siebie i unieruchomiłem.

- Dlaczego mnie nie słuchasz? Nie bój się!

Bestia uciszyła wrzeszczącego Olafa, zatapiając kły w jego karku. Następnie podeszła do nas i, mrucząc, wystawiła

ociekający krwią pysk na pieszczoty. Zmierziłem czarną sierść, szepnąłem parę czułych słów, po czym nakazałem wrócić do lasu.

Czułem, jak ciało Marii wiotczeje. Przywarła plecami do kolumny, usiadła. Kiedy szukałem odpowiednich słów, rozpadało się na dobre.

- Nie tak wyobrażałem sobie tę chwilę - przyznałem.

Już bałem się, że zemdlą, ale nie; tylko przymknęła oczy. Usiadłem obok niej.

- W głowie kotłuje ci się pewnie z tysiąc pytań, a ja nie potrafię odpowiedzieć na nie teraz. Wiedz tylko, że kocham cię, Mario, i jestem gotów zrobić dla ciebie wszystko.

Nie odniosła się do moich słów. Zamiast tego zapytała:

- To pan kazał ich zabić?

Czułem, jakbym dostał w twarz. Z trudem utrzymałem nerwy na wodzy.

- Stara idiotka, Wenderowa, nie chciała cię tutaj - rzekłem najspokojniej, jak umiałem. - Tamten bezmózgi dryblas śmiał położyć na tobie brudne łapy. A jeśli chodzi o niego - skinąłem na poszarpane zwłoki, leżące niemal u naszych stóp - to sama słyszałaś jego słowa.

- Kim pan jest?

- Jestem kimś, kto cię pokochał - szepnąłem.

- Tamtego dnia nie podałam mu leków.

Odgadłem, że miała na myśli Maksima. Roznoszenie medykamentów należało do obowiązków Marii.

- Pacjenci się boją. Nie wierzą, że pan im pomaga - kontynuowała, spoglądając mi prosto w oczy. - Czemu dostają jakieś dziwne tabletki? Czemu wypytuje ich pan o szczegóły z przeszłości? Na czym polega to całe leczenie?

- Tysiące pytań - odparłem. - Nie odpowiem na nie teraz. Liczę jednak na to, że ty udzielisz mi odpowiedzi.

Wzięłem głęboki wdech.

- Myślisz, że warto wracać do twojego dawnego życia, z którego zostały same strzępki?

Zamiast odpowiedzieć, głośno przełknęła ślinę.

- Byłem pewien, że samotnie doczekam tu starości, łamiąc sobie głowę nad tajemnicami ludzkiej duszy. Ale ty to zmieniałaś. Możemy się pobrać, a potem sprzedać majątek i stąd wyjechać, podróżować po świecie... Mario?

To, co wydarzyło się potem, pamiętam jak przez mgłę. Maria wzięła mnie za rękę i powiodła ku schodom. Moment później leżałem na łóżku, a kobieta, którą pokochałem, nachyliła się nade mną i pogładziła po twarzy. Krople deszczu bębniły o szybę, kiedy przywarliśmy do siebie. Objąłem ją i pocałowałem. Wyrzucałem z siebie zapewnienia i obietnice, pragnąłem ją pojąć, wchłonąć, złączyć nasze ciała w jedno. Jej wargi były miękkie, ale zimne, co zaskoczyło mnie i zaniepokoiło.

W następnej sekundzie poczułem ukłucie.

Wbiła igłę w kark, głęboko i niewprawnie, aż dziwne, że jej nie złamała. Nie marnując czasu, wybiegła z pokoju.

Gdzie uciekasz, głupia? - pomyślałem.

Jak najdalej od ciebie - sam udzieliłem sobie odpowiedzi.

Oczami wyobraźni zobaczyłem więdnący liść - takim obrazkiem uraczył mnie zasypiający umysł. Zapłakałem.

Potem zrobiło się ciemno.

* * *

I pomyśleć, że uważałem się za stoika.

Oczywiście w potocznym, nieprecyzyjnym sensie. Niemal każda z koncepcji filozoficznych, kiedy się w nią wgryźć, przypomina w gruncie rzeczy religię i przesiąknięta jest metafizyką, którą ja w całości odrzucam jako bzdurę stojącą na drodze prawdziwemu poznaniu rzeczywistości.

Wiem, że niejednen z płomiennych obrońców wiary gotów byłby się ze mną spierać. Jeszcze do niedawna chętnie podjąłbym polemikę z każdym, kto osładza sobie egzystencję. Ale po tym, jak zawiodłem samego siebie i bezpowrotnie utraciłem zaufanie do jedynej osoby, której mogłem ufać, czuję się żałośnie słaby i chwiejny.

Zacząłem kwestionować moją pracę. Po ucieczce Marii przez tydzień nie potrafiłem podnieść się z łóżka. Opieka nad pacjentami została na głowie biednej Anny, która stanęła na wysokości zadania i poradziła sobie z szeregiem wyzwań, choć, jak zauważyłem, przestała się uśmiechać i schudła. Pogrzebała obu nieszczęśników - Olafa i Maksima. Dbała o dom i o pacjentów.

A jednak mnie zawiodła. Postanowiła wyjechać. Kolejna bliska mi osoba zapragnęła ode mnie odejść.

Kiedy tylko odzyskałem siły, zwołałem spotkanie. Do salonu wkroczyłem pełen troski o stan moich podopiecznych. Ba, czułem nawet wyrzuty sumienia i mało brakowało, a zacząłbym się łajać. Jednak z minuty na minutę, a raczej z sekundy na sekundę, narastało w moim sercu rozczarowanie, za którym podążał gniew.

- To był zły rok - oświadczyłem zebranym.

Odpowiedziała mi cisza. Cisza zamkniętych, ludzkich skorup.

- Jakie zrobiliśmy postępy?! - krzyknąłem. - Co dobrego przyniosły nasze wysiłki? Jaki z nich pożytek?!

Hiacynta wybuchła płaczem, a Igor zaczął kołysać się w przód i w tył, zatykając uszy. To zupełnie wyprowadziło mnie z równowagi.

- O tym mówię! - wrzasnąłem, uderzając go otwartą dłońią w twarz. - Nie mogę do was dotrzeć!

Co za farsa! Aż brał mnie śmiech. Uległem dziwnemu napadowi wesołości. Rechotałem długo, wylewając morze łez.

- To już koniec!

Pomknąłem prosto do gabinetu. Choć pełen zwątpienia, myślałem klarownie jak nigdy.

Wybrałem wolność.

* * *

Dot. sprawy nr KAR820

Fragmety przesłuchania Olega (nazwisko nieznane), jedyne ocalałego.

- Ile macie lat?

- Czterdzieści.

- Jak trafiliście do dworku w lesie?

- Zeszłej jesieni doktor zaczął mnie na ulicy i zapytał, czy nie potrzebuję pomocy.

- Dlaczego o to zapytał?

- Było zimno, a ja nie miałem porządnego płaszcza. Byłem głodny. No i pijany.

- Zabrali was do dworku?

- Tak. Zgodziłem się z nim jechać, bo niby czemu nie?

- Nie macie stałego miejsca zamieszkania?

- Nie.

(...)

- Jak wyglądała wasza codzienność w tym dworku? Co tam się działo?

- Różne rzeczy. O niektórych strach mówić.

- Doktor znęcał się nad wami?

- Nie. Ale zamęczał długimi rozmowami. Pytał o różne rzeczy, na przykład o to, czy jako dziecko chciałem zabić mojego ojca albo czy nie kusi mnie czasami, żeby wejść do szafy i sobie w niej posiedzieć.

- W jakim celu zadawał te pytania?

- Nie wiem.
- I te rozmowy były takie straszne?
- Nie. Straszny był las. Mieszkają w nim upiory.
- Wierzycie w upiory?
- Nie muszę wierzyć. Widziałem je.

(...)

- Jak doszło do pożaru?
- Nie wiem.
- Czy myślicie, że to doktor podłożył ogień?
- Możliwe. Ostatnio zachowywał się jeszcze dziwniej niż zwykle.
- Czyli?
- Ubierał się w suknię i udawał kobietę.
- Udawał kobietę?
- Chodził tak śmiesznie, zarzucał biodrami. Mówił w babski sposób, piszczął. I to, o czym mówił, to też było dziwne. To znaczy, raz podszedł do mnie i powiedział, że jestem jego kochanym osiłkiem i mnie pocałował. Tu, w policzek. Raz za coś takiego Maksim pobił go na stołówce. A potem tego Maksima udusiły rusalki.
- O czym wy opowiadacie?
- Wyciągnęły go nocą z pokoju i udusiły. Miałem łóżko przy oknie, wszystko słyszałem.

(...)

- Czy w trakcie pobytu w ośrodku piliście alkohol?
- Nie, ale doktor częstował mnie papierosami.
- A leki?
- Były leki na sen.
- Jakie?
- Nie wiem. Takie okrągłe pastylki. Gorzkie.

(...)

Tomaszu,

Poniższy fragment nie trafił do protokołu i przeznaczony jest wyłącznie dla Twoich oczu. Zniszcz go po przeczytaniu. Na wszelki wypadek mam kopię w bezpiecznym miejscu.

- Wiecie, że tylko wy przeżyliście pożar?

- Tak.

- Jedynie wy możecie udzielić odpowiedzi na pewne pytania. Mówcie prawdę.

- Ja cały czas mówię prawdę.

- Na tym waszym cmentarzu znaleźliśmy dziesiątki trupów. Co to za ludzie?

- Pechowcy.

- Co?

- Pechowcy. Dopadły ich upiory.

- O czym wy bredzicie?!

- Pan doktor mówił, że jeśli się wchodzi do lasu, to można już z niego nie wyjść. Ale czasami las przychodził do nas.

- Mówicie, że doktor nigdy nie podniósł na was ręki? Ani na was, ani na innych pacjentów?

- Nigdy.

- Jak wytłumaczycie to, że w ziemi znaleźliśmy poszarpane zwłoki? Jednej kobiecie wypruto flaki. Raptem kilka dni temu.

- To Anna. Ze służby.

- I to nie doktor ją zabił?

- Miała pecha. Dopadły ją upiory.

Maglowałem go przez trzy dni, na końcu spuściłem wpierdol. Nie przestawał bredzić o upiorach.

Nie ma sensu ciągnąć sprawy. Szkoda, że tamtego świra nie spotka kara. Dziedzic w dupę jebany. Darmozjad. Najwidoczniej z nudów zaczął bawić się w

lekarza i biegać pośród czubków w damskich fatalaszkach. No i mordować.

Słyszałeś, że jak go wygrzebali, to rzeczywiście miał na sobie sukienkę? Świr. Ponoć jak był mały, to matka rzuciła mu się pod pociąg. Na jego oczach. Dorastał w tym dworku z babką; pamiętam, że wyzywali ją od czarownic. Stare dzieje. Jak się spotkamy, to opowiem Ci to i owo.

-Z

Joanna Pyłacz

Strzyga

- Bój ty się, synu, Boga! Pan Jezus w grobie leży, a ty cały wieczór wygrywasz!

Stara kobieta stanęła w drzwiach pokoju, piorunując wzrokiem grającego na skrzypcach, bladego młodzieńca o długich włosach, odzianego w granatowy, aksamitny surdut. Wychudła szyja poruszała jej się pod koronkową stójką, a na twarzy malował się grymas świętego oburzenia.

- Ubieraj się i marsz do kościoła!

Smyczek zsunął mu się po strunach, brutalnie przerywając fragment *Lata* Vivaldiego. Spojrzał przed siebie, poprzez nią, swymi wielkimi, nieobecny oczyma. Jego dusza znajdowała się w innym miejscu; dryfowała po skąpanej w promieniach popołudniowego słońca Wenecji, pływała wąskimi kanalikami pomiędzy wyrastającymi z wody budynkami o strzelistych oknach, śniła i marzyła. Seniorka przemawiała do samych skrzypiec, choć i one jej nie słyszały. Słyszały wyłącznie muzykę.

- Wstydu nie ma! Żeby tak w Wielki Piątek! Barbarzyństwo!

Nie docierało do niego to, co mówiła. Coś za to mąciło mu tok snów na jawie. Popsuty utwór przelał czarę goryczy. Nie spał już tyle nocy, stracił apetyt, przyjechał tu wyłącznie po to, żeby zregenerować siły przed serią występów, a tymczasem nawet w rodzinnym majątku, który dotąd zawsze inspirował

jego twórczość, czuł się jak więzień zamknięty w oślizgłym, zapleśniałym karcerze.

- Wstydu nie ma! - głos staruszki niósł się jak echo po pomieszczeniu.

Jej głos, jej energia. Jej wszędobylstwo i wścibstwo. Esencja nieprzyjemności. Podobno umarła, ale nadal siedziała w tych murach. Chłopak był tego świadom, choć nie mógł usłyszeć ani zobaczyć nieboszczki. Ona sama pewnie również nie wiedziała, że snuje się po dworze, wydziwia i strofuje, że nigdy się stąd nie wyprowadziła, tak samo jak niezniszczalna woń naftaliny, którą za swego czarno-koronkowego żywota poutykała do wszystkich szaf i komód. Znajdowała się w grobie i we dworze zarazem - fenomen bilokacji umarłych.

Czasami, nie zdając sobie sprawy z przyczyny powstawania tego rodzaju myśli, snuł dywagacje, czy pewna wiejska dziewczyna, której kondukt żałobny widział przed dwoma dniami z okna, mieszkała jeszcze u siebie, czy już po drugiej stronie, a jeśli i tu, i tam, to w jakich mniej więcej proporcjach? Która jej część została, a która odeszła? Czy tęskniła? Czy oni w tych swoich grobach w ogóle cokolwiek odczuwają? Zapamiętał jej imię, spazmatycznie wyszochiwane przez matkę, a także wygląd trumny, bogato umajonej kwiatami z okolicznych pól.

- Wiktoria - westchnął melancholijnie.

Zrobiło mu się zimno.

Zaczął fantazjować na temat spotkania z Wiktorią. Zwizualizował ją sobie wyjątkowo dokładnie, nadając jej przypuszczalne rysy twarzy, przypuszczalny kolor włosów, ubierając w przypuszczalną suknię. Wymaginowana, kasztanowowłosa Wiktoria, wystylizowana na biedermaierowską damę, usiadła na otomanie naprzeciwko niego, patrzyła na wprost i uśmiechała się smutno, tak jak przystało na zmarłą przed czasem młodą kobietę.

Szkoda, że się nie poznali! Ona samotna u siebie, a on u siebie; ona w trumnie pełnej gnijących kwiatów, skażona przez rozkład i napoczęta przez larwy, on we dworze, owładnięty obsesją na punkcie śmierci, pozbawiony snu i apetytu, ze zniszczoną koncentracją. Pasowali do siebie i gdyby istniała taka opcja, użyczyłby jej swojego domu, swojej krwi, w zamian za jej o wiele cenniejszy skarb: *requiem aeternam*. Życie zbyt go zużyło.

Był to jeden z tych malowniczych, mglistych wieczorów, które dawniej tak bardzo go fascynowały. Dawniej, nie teraz. Teraz, kiedy zawładnęła nim melancholia, nie umiał się cieszyć absolutnie niczym. Krople deszczu na parapetach nie przypominały już preludium, lecz stały się zwykłym, irytującym hałasem. Mgła nie kojarzyła mu się z delikatnym welonem panny młodej, ale z całunem okrywającym zwłoki – zwłoki świata, który dla niego umarł, ze świętej pamięci Wiktorią oraz z nim samym na czele.

Godziny mijały nieznośnie wolno. Nie mógł nikogo odwiedzić, nie mógł jeść ani spać. Nie mógł grać, gdyż ilekroć usiłował dokończyć swojego Vivaldiego, złośliwość rzeczy martwych niweczyła wszelkie jego wysiłki: smyczek zsuwał się ze strun zawsze w tym samym, trudnym i niedopracowanym miejscu; przysięgłby, że nawet ukochane skrzypce mu się sprzeniewierzyły.

Otworzył okno, dokładnie to samo, przez które dojrzał niedawno procesję pogrzebową z trumną Wiktorii. Nie słychać było lamentów ani nabożnych śpiewów, lecz wycie wiejskich psów oraz dyskretne pokrzykiwania nocnego ptactwa. Rozciągająca się nad cmentarzem mgła sprawiała wrażenie, że nie ma on ani początku, ani końca. Jego granice zacierały się w mlecznej białości. Stwierdził, iż obraz ten niesie w sobie wydzźwięk niezamierzenie symboliczny: umysły ludzkie spowija mgła nieświadomości, która nie pozwala z całą pewnością

rozgraniczyć życia od śmierci, sfery żywych od sfery tych, którzy w teorii nie żyją. Czy też jednak żyją?

Dziwnie ciągnęło go na ten cmentarz. Dawno tam nie zaglądał: od czasu śmierci ciotki Eugenii, czyli rok z kawałkiem... Nie zaniósł nieboszczce znicza, zupełnie o niej zapomniał. Teraz dopiero dotarło do niego, iż to, czego mu brakuje w ten wielkopiątkowy wieczór, to właśnie jej łajania, wymówek, dewocyjnego oburzenia na to, że w takim czasie gra sobie beztrąsko na skrzypcach, nie bacząc na metafizykę chwili. Nie wiedział, bo skądże miał wiedzieć, że ciotka przebywała w domu, że już go zbesztala i przywołała do porządku. Ona z kolei nie wiedziała, że nadal tam mieszka oraz że uczyniła zadość tradycji.

Postanowił ją odwiedzić. Nabożeństwo dobiegło końca, kościół stał prawie pusty, jedynie nieliczni wierni, którzy zostali w nim dłużej, zdawali się lewitować w ławkach i stallach na podobieństwo zbłąkanych dusz czyścicowych, chwiejąc się nieznacznie w mdłym, żółtawym świetle. Młodzieniec czuł, jak wsysa go mgła. Muskała jego policzki, otulała go sobą, przypominała o tym, jak krucha jest doczesność i jak koniec końców na wszystkich czeka wilgoć i zgnilizna. Piękna, straszna, obrzydliwa mgła dusiła go pającą siecią niepokoju.

Kiedy już znalazł się wewnątrz niej, odgradzony białym murem od świata zewnętrznego, ogarnął go strach. Po cóż właściwie tu przyszedł? Czy kiedykolwiek wcześniej zależało mu na odwiedzaniu grobów krewnych? Ileż to razy, spacerując tu dla czystej przyjemności, stawał przy obcych nagrobkach, ładniejszych i bardziej przyciągających uwagę, a te „swoje” po prostu zaniedbywał? Wreszcie, czy ciotka w ogóle przywiązywałaby wagę do tego, czy pali jej światełka czy nie? Uśmiechnął się z politowaniem dla własnej, cikliwej naiwności.

Nie zdążył dotrzeć do miejsca wiecznego spoczynku staruszki, gdy odniósł wrażenie, że nieopodal znajomej mogiły

stoi ludzka postać. Albo duch, albo ktoś równie szalony co on, a może jeden z tych natchnionych poetów, co to włączają się po cmentarzach? Ktoś ewidentnie tu przyszedł, oby ktoś żywy i życzliwy.

- Niech będzie pochwalony! - zawołał.

Odpowiedział mu dziwny, piskliwy odgłos. Krzyk ptaka? Przeszył mu uszy na wylot, aż zabolowało go w środku czaszki.

Postać stała nieruchomo, słabo widoczna, dość drobna, w jasnej, skromnej sukni: młoda kobieta. Podszedł bliżej i wówczas serce stanęło mu w gardle: zauważył jej dłonie: całe we krwi, poobdzierane ze skóry, pozbawione paznokci, powykrzywiane nieludzkim cierpieniem i pobrudzone ziemią. Spomiędzy palców lewej dłoni zwisał różaniec, również zalany posoką.

Znieruchomiał, sparaliżowany przez zgrozę, niezdolny nawet przełknąć śliny, która w odruchu wymiotnym intensywnie napływała mu do ust. Dziewczyna miała zakrwawione nie tylko ręce, lecz także dolną część twarzy, zupełnie jakby właśnie wgrzyzła się w żywe wnętrzości, zwierzęce bądź ludzkie. Chciał krzyknąć, lecz nie zdołał wydobyć z siebie żadnego dźwięku. A ona patrzyła... Prosto w oczy... A ona szła na niego... Prosto na niego! Rozchyliła wargi, ukazując nienaturalnie ostre zęby. Dostrzegł w jej spojrzeniu paradoksalną cechę dzikich drapieżników - ich obliczalną nieobliczalność.

Pokaleczona, pokryta resztkami ziemi, oblepiona drzazgami oraz źdźbłami trawy, zjawa przypominała złego ducha, przed którym kiedyś ostrzegała go - o ironio - właśnie ciotka Eugenia. Straszyla go, że jeśli będzie grał w Wielki Piątek, zabierze go strzyga. Czyżby to ona? Czyżby los spletał mu aż tak perfidny żart? Słyszał oddech dziewczyny: miarowy, nienaturalnie szybki, coraz głośniejszy w miarę, jak podchodziła coraz bliżej i bliżej. Zatracił pewność, co odbierał

wyraźniej: ten oddech idącej po niego nieuchronnie śmierci, czy bicie własnego, oszalałego ze strachu serca.

Co ciekawe, jeszcze niedawno fantazjował o śmierci, o zostaniu złożonym do wyściełanego czarnym jedwabiem, cynowego sarkofagu, o słodkim zapachu białych kwiatów na ołtarzu, o *Requiem* Mozarta, które, jak mniemał, winno zwieńczyć jego doczesny żywot. Fantazjował też o niej, o Wiktorii; dziewczynie-trupie ponadprzeciętnie wrażliwej na muzykę, odczuwającej to samo, co on, lecz w innym wymiarze – współmartwej z nim w upiornie estetycznej, trumiennej unii dusz.

Drżał jak osika, dławił się własnym oddechem i gdyby nie owa obezwładniająca duszność, zapewne zaczęłyby głośno szlochać. Jakież to wszystko żalosne i karykaturalne, jak nieprawdziwą jawiła się wystylizowana przez niego Wiktorii! Teraz, w świecie realnym, dalekim od świata fantazji oraz z tymże sprzecznym, tępo wpatrywał się w stojącą naprzeciwko, lekko zgarbioną, chudą postać o ciemnych włosach, w jasnej, prawdopodobnie białej sukni, tak poszarpanej, że odsłaniała fragmenty nagiego ciała, bosą, pokrytą sińcami i zadrapaniami, z umazanymi krwią dołem twarzy oraz kończynami. Widok okazał się tak przerażający, że, nie mogąc go dłużej znosić, poddał się w końcu i już bynajmniej nie marzycielsko, lecz fizycznie aż do granic, życzył sobie śmierci.

Odgadł, że stoi przed nim owa przedwcześnie umarła chłopka, będąca do niedawna obiektem jego śmiesznych urojeń. Nie miał pewności, czy nadal żyła, czy już nie, czy też przebudziła się ze śmiertelnego snu wyłącznie po to, by zabić go i samemu przetrwać. I to właśnie ona – już nie sztucznie śliczna, lecz upiornie prawdziwa – zwabiła go podstępem na cmentarz! Wiedziała, na której strunie zagrać, by trafić prosto do podświadomości, w najgłębsze jej rewiry, gdzie drzemała potężna siła – siła artystycznej egzaltacji.

Czekał już tylko, aż zmarła podejdzie i gotował się na własną śmierć. Po raz pierwszy w życiu nie wykrzesał nawet siły, aby marzyć. Wiktoria tymczasem przybliżała się do niego. Nie szła po omacku, lecz całkiem prosto, świadomie i przytomnie, jak wilk bezszelestnie stąpający w kierunku ofiary. Oczy miała lśniące, a na tęczęwkach brakowało pośmiertnego zmętnienia. Nie pachniała też rozkładem, lecz ziemią, naftaliną i podsuszonymi kwiatami, których resztki gdzieś tam czepiały się jej sukni oraz włosów. Wówczas dopiero zrozumiał, co się stało: Wiktoria pochowano żywcem!

Zamknął oczy. Poczuł na sobie jej lodowate palce. Chociaż sine, pulsowała w nich krew. Dziewczyna wbiła zęby w jego szyję i zacisnęła szczękę z całej siły, aż z przerwanych tkanek wytrysnęły strumienie świeżej krwi. Wydawała przy tym niskie, chrapliwe tony charakterystyczne dla ucztującego zwierzęcia.

Tymczasem z kościoła wyszły dwie starsze kobiety. Młaskanie, warczenie i rżenie dobiegające od strony cmentarza kazało im podejść do ogrodzenia i sprawdzić, skąd pochodzą niepokojące odgłosy. Gęsta mgła uniemożliwiała pełny ogląd rozgrywającego się w oddali kosmaru: dostrzegły zaledwie szczone postaci, męską i żeńską: ta pierwsza klęczała na murawie, druga zaś, pochylona nad nią, dusiła ją bądź zagryzała. Gdy mężczyzna w końcu upadł, kobieta wyprostowała się na tyle, na ile pozwalały jej obrażenia doznane w czasie desperackiego wyswobodzenia się ze śmiertelnej pułapki, tragicznie i nieumyślnie zastawionej na nią przez najbliższych. Następnie, chwiejnym krokiem, zaczęła się przemieszczać w stronę studni.

Nie dotarła jednak do celu i po drodze osunęła się na ziemię. Jej sylwetka zlała się w oczach staruszek z gruntem, mgłą oraz paroma niższymi grobami, tak jakby rozplynęła się w ciemnościach. Widoczny był tylko mężczyzna – ciemna, nieruchoma bryła z daleka podobna do głazu. Staruszki

spojrzały po sobie okrągłymi z przerażenia i niedowierzania oczyma. Jedna z nich nerwowo się przeżegnała.

W tej samej chwili kościół pogrążył się w mroku: zdawać by się mogło, że wskutek nagłego, niezrozumiałego zgaśnięcia wszystkich oświetlających go świec oraz lamp, sam zgasł od wewnątrz, przemieniony w posępny szkielet. Kobiety drgnęły i równocześnie odwróciły głowy w kierunku świątyni. Stały tak jeszcze długo, oniemiałe i spetryfikowane, aż wreszcie, nieco ochłonawszy, wsiąkły w ocean mgły.

Michał Pięta

Prawdziwie polski black metal

To było chore. To, w czym brałem udział, było chore.

Zespół krzesał z siebie najprawdziwszy ogień. Wicher klepał blasty z zapamiętaniem godnym pedofila, przez pomyłkę zatrudnionego w przedszkolu; Szpila, pochylona nad basem, zamiatała grzywą podłogę, a Henryk katował wiosło w obłądnym tańcu przypominającym balet tresowanych niedźwiedzi. Dookoła okoliczności wnętrza zrujnowanego kościółka, zmyślnie oświetlone luną kilku ognisk i dzicz podlaskiego interioru, nieustępująca w niczym mrokom lasów Skandynawii. Chwytałem obiektywem kamery magię rozgrywającego się przede mną bluźnierstwa, szczególną uwagę poświęcając wykoślawionej w parodii uśmiechu mordzie Demiurga. Bo Demiurg nie robił nic innego. Szczęrzył się tylko wprost do kamery. Miał skrzeczeć do mikrofonu i miotać się jak pozostali, siedział na krześle ustawionym na froncie zaimprovizowanej naprędce sceny. Łeb przekrzywiony, oczy zamknięte i ten głupi uśmiech faceta, któremu wszystko jedno. Bo Demiurgowi było już wszystko jedno. Nie żył. Od jakiejś półgodziny. Nie mogłem uwierzyć, że kręcę to na trzeźwo. Serio, nigdy wcześniej nie odczuwałem tak dotkliwej potrzeby napicia się.

A band piłował black metal tak rasowy, że ptaki w lesie składały kwadratowe jaja. Pełna blasfemia. W tempie dwustu osiemdziesięciu uderzeń na minutę.

* * *

Osobiście nie przepadam za black metalem. To taka ślepa kieszka w rozwoju muzycznej ekstremy. Trochę jak z punk rockiem. Dobrze, że powstał, bo od czasów Johnny'ego Rottena stało się jasne, że nie trzeba ani umieć śpiewać, ani dobrze wyglądać, żeby zostać gwiazdą rocka, ale jakoś szczególnie dobrej muzyki to panowie z irokezami po sobie nie zostawili. No, chyba że się nie znam. Ale się znam. Każdy metroseksualny drwal, z którym złapałem się za łby na jakimś czacie o muzyce, tracił pewność głoszonych przekonań, gdy tylko podesłałem mu fotkę swoich półek z płytami. A zresztą gusta, moje czy czyjekolwiek, nie miały tu znaczenia. Sprawa była o wiele bardziej przyjemna.

Przez tę wojnę zrobiło się jakoś tak, że na Zachodzie dostali mały na ekstremę ze Wschodu. Że niby tak bohaterko stawiamy się ruskim, no i w ogóle, mało brakowało, a okazałoby się, że najmodniejszy obecnie look to ciemnoblonde wąsacz o ufnym spojrzeniu niebieskich oczu, z piwnym brzuszkiem i przerzedzoną plerezą. Czyli tak, jak w Białymstoku wyglądał co drugi facet mijany na ulicy. I w tym rzecz. Marzyła im się ekstrema ze Wschodu, ale takiego wyratowanego z piekła komuny unijnymi dotacjami, gdzie bez zatrzymywania się na granicy można na jednym baku dojechać z Liege czy Dusseldorfu. Słowem: dzicz w wyobrażeniu tych wszystkich debili znużonych zachodnioeuropejskim dobrobytem.

Tak złapałem się na tę robotę. To znaczy idąc tym tropem. Wideoklipy to nie moja bajka, szczególnie metalowe, ale jeśli skręcenie kilkuminutowego filmiku mogło przynieść milion odsłon na YouTube to czemu nie. Szczególnie że wszystko mogłem zrobić sam. Oświetlić plan, skręcić materiał, zmontować go, dodając kilka smaczków w postprodukcji. Estetyka podszytego Szatanem pato-noir, w jakiej obracały się

blackowe kapele, nie należała do wymagających. A ja potrzebowałem odbić się od dna po miesiącach covidowej posuchy.

Dlatego teraz kręcę ten cholerny teledysk.

* * *

- Dobra, band, mamy to! - krzyknąłem, gdy dźwięki nagrania, odtwarzanego przy kolejnym podejściu, wybrzmiały i zgasły. - Dobra robota. A teraz zwijajmy się stąd.

Zacząłem pakować sprzęt, nie patrząc na pozostałych. Jako profesjonalny wyrobnik miałem tę przewagę, że po skończonej robocie zbierałem graty i do widzenia. Nigdy mnie tu nie było. Co zrobią z trupem, nie moja sprawa. Z tym państwem się nie znamy. Połowa stawki, której wypłacenie z przezorności wymusiłem przed nagraniem, w zupełności mi wystarczała. Kłopotów z policją nie potrzebowałem.

- Ej, chłopie, wolnego! - Henryk odłożył wiośło i zeskoczył ze sceny, podchodząc do mnie tym swoim krokiem Wielkiej Stopy na haju. - Weź to na spokojnie. Nic się nie dzieje.

Zerknąłem w kierunku sceny. Nie, trup Demiurga nie zniknął.

- Okej, stary. - Uniosłem ręce. - To wasz kumpel odwalił kitę. Nic mi do tego. Starczy, że jesteśmy tu nielegalnie.

Szpila zarechotała. Przypominała Małą Mi, której ktoś dołał do zupy kwasu.

- Nielegalnie? - Henryk szczerze się zdziwił. - Daj spokój, pies z kulawą nogą nie zechciałby obszczać tych murów. Na takim zadupiu nie istnieją pojęcia legalnie i nielegalnie. Nie robimy nic złego. A Demiurg? Shit happens. Ciężki przypadek, trzymaliśmy go w zespole tylko dlatego, że nieźle growlował.

Henryk to była najprawdziwsza oaza spokoju. Jeśli tylko odłożył gitarę. Wielki, brodaty, normalnie misiek, że do rany przyłoż. Miał dwa fakultety. Obydwa z dziedzin, przy których

granie ekstremalnych odmian metalu stanowiło coś w rodzaju zabezpieczenia na wypadek konieczności zapewnienia sobie dochodów.

- To był zajebisty pomysł. - Szpila odłożyła bas. - Trup Demiurga w tym wideo to będzie kult!

Henryk pokiwał głową.

- W rzeczy samej, stary. Załapałeś się na kawał historii black metalu. Prawdziwie polskiego black metalu!

Zaplótl ramiona na piersi, stając przede mną w pozie zwycięzcy zmagających gladiatorów. No, do normy to im trochę brakowało.

- Dawid, Dawid. Takie polskie to twoje imię. - Wicher wylazł zza bębnow, zataczając się niczym pasażer biorącego wodę „Titanika”. - Ty jesteś jude, widzę to! Ty jesteś plemię Abrahama!

Spojrzałem na chłopaka. Niesamowite. Ledwie trzymał się na nogach, a blasty sadził tak równiutko, jak musiały chodzić tłoki w dieslowskim silniku U-Boota w dziewiczym rejsie.

- Nie słuchaj go. - Henryk machnął dłonią. - Najebał się i miesza mu się z czasami, kiedy był skinem. Na trzeźwo jest niegroźny.

Jak na zawołanie Wicher narzygał sobie pod nogi. Szpila odepchnęła go z odrazą, wyzywając od najgorszych.

- Rzecz w tym, że potrzebujemy twojego wozu. - Henryk pacnął mnie w ramię. - Nie zostawimy tu przecież Demiurga, a do naszego się nie zmieści. Załatwimy to jakoś, no nie?

Nie do wiary. Czort wie, z jakiej przyczyny stygnący nieopodał facet wykitował dwadzieścia metrów stąd, w krzakach, w ciemniejszym zmierzchu głębokich, podlaskich ostępów, a oni nie dość, że przywlekli go tu, profanując zwłoki, to jeszcze próbują zmienić mój wóz w karawan! Niedoczekanie!

- Stary! Jesteście pojebani! - wypaliłem. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego! Zabieram sprzęt i walę prosto do Warszawy. Gotowy materiał prześlę wam pocztą. A teraz nie znamy się i tyle! Cześć!

Złożyłem ostatni statyw, zarzuciłem torbę na ramię i trzęsąc się z nerwów ruszyłem ku wyjściu z kościółka.

Kolejna niespodzianka czekała na mnie, gdy doczłapałem do zaparkowanego pod murami świątyni samochodu.

* * *

- Nie wierzysz?! Pocięte, co do jednej!

Henryk pochylił się nad nadkolem mojej terenówki z namaszczeniem przyświecając sobie latarką ze smartfona.

- Nożem, nożem pocięli!

Grzmiałem nad włochatą głową chłopaka, jakby miało mu to w czymś pomóc. Sam nie wiem kiedy w dłoń wskoczył mi papieros.

- Pocięte, faktycznie. Wszystkie cztery. Ciekawe, czy zapas ocalał? - Henryk uniósł głowę, z głupkowatym uśmiechem zwracając się do Szpili.

- Lepiej zobacz w naszym - zganiła go dziewczyna.

Chłopak doskoczył do wysłużonego lanosa z przyczepką, który ledwie dociągnął tu sprzęt.

- Cholera, siedzi na felgach. Co teraz? Leżymy...

Fakt, że nie tylko mój wóz padł ofiarą jakiegoś idioty z nożem w pewien sposób mnie uspokoił. Nie ma nic gorszego niż gówno, które przyklei się tylko do ciebie. Grupowe kłopoty - to już inna śpiewka. Zatoczyłem dookoła światłem halogenowej latarki. Jedynej, jaką mieliśmy.

- To musiało stać się niedawno - oznajmiłem. - Pewnie w trakcie nagrań.

Otoczał nas gęsty młodnik, jaki wyrasta na terenie porzuconym przez ludzi. Dzikie kłębowisko samosiewek i niskich krzaków, przez które dorosłemu facetowi trudno jest przeleźć. Las, ten prawdziwy, prastara puszcza pamiętająca łowy na naprawdę grubego zwierza, zaczynał się nieco dalej, tam, gdzie kończył się teren niegdysiejszego sioła, po którym ostały się jedynie ruiny kościółka. Wymarzona lokacja na black metalowe wideo, serio, w tym kraju takich miejsc nie było zbyt wiele.

- Gdzie Wicher? - zapytał Henryk.

- Padł. Do rana mamy go z głowy.

- Dobrze, jednego debila mniej - sapnąłem pod nosem.

Szpila zganiła mnie spojrzeniem, od którego tapety schodziły ze ścian. Henryk spuścił ramiona wzdłuż tułowia, świecąc sobie tym debilnym smartfonem pod stopy.

- To co teraz? Deju, masz jakiś pomysł?

Cholera, dwa fakultety, image staronordyckiego półboga, a jak coś, to mam ratuj. Dzieciaki!

- Zasięgu tu nie ma - stwierdziłem. - Trzeba będzie wrócić przez las, do jakiejś wsi. Tylko ostrożnie, bo coś mi się wydaje, że ten wasz koleżka to nie był wypadek. Co, chłopczyku?

Zwróciłem się do Henryka, który sterczał obok zakurzonego lanosa niczym makabryczna imitacja Sasquatcha. Facet był ode mnie wyższy co najmniej o głowę, w barach szerszy niż ja w pasie, a mimo to podszedłem do niego krokiem detektywa Poirot, mającego lada moment wskazać spośród zgromadzonych mordercę. Wyciągając uzbrojoną w papieros dłoń najbezczelniej w świecie zaświeciłem mu latarką w twarz. To on znalazł zwłoki. To on więcej niż zasugerował, że to był wypadek. Że Demiurg wyrznął po pijaku i przydzwonił łbem o kamień. Ot, zdarza się, pili przecież z Wichrem równo, a takie wideo z trupem, to będzie hit, kult, który rzuci podwaliny pod legendę prawdziwie polskiego black metalu. Zbyt wiele mi tu

śmierdziało. Nie, Henryk go nie zabił. Na to była z niego zbyt duża dupa wołowa. Musiał jednak poznać, że Demiurg nie leżał w krzakach, bo padł zmęczony przemożną siłą dobrej matki grawitacji; że po prostu dostał w łeb. Od kogoś. I ten ktoś musiał być w pobliżu. Wciąż. Załatwił samochody, załatwi i nas. Jak w najtańszym horrorze.

Gdzieś z głębi lasu dobiegł nas krzyk.

- Szpila! - huknąłem na dziewczynę. - Sprawdź, co z Wichrem. A ty, ptaszku, śpiewaj, jak to było z tym Demiurgiem. Ktoś go dziabnął, tak? Komuś podpadliście? No, przecież wiem, jak się takie gówno zaczyna. Gadaj!

Zippo strzeliło w moich palcach niczym colt w dłoniach wytrawnego rewolwerowca. Odpaliłem trzymanego w ustach papierosa i zaciągając się, spojrzałem na chłopaka.

Nie musiał odpowiadać. Było jasne, że trafiłem.

* * *

- No, pokaż to wreszcie! - Wyrwałem z dłoni Henryka smartfon i wcisnąłem „play”.

Nagranie z popołudnia. Ekipa w trasie, dzielnie przedziera się przez podlaskie bezdroża. Humory dopisują. Ojciec-dyrektor Henryk prowadzi, wyduszając z lanosa ostatki koni mechanicznych. Szpila pilotuje, co chwilę odwracając się do tyłu i śmiejąc zalotnie, jak zwykła małolata podrywana przez chłopaków. A chłopaki z tyłu ostro dają radę. Filmuje Demiurg, co i raz łapiąc w kadr kilka opróżnionych flaszek płaczących się pod nogami. Paczcie państwo, jak metale pijom! Dziadostwo. Wicher, z najprawdziwszą literatką w dłoni - dziś rzadko widzi się już takie rzeczy - ordynuje kolejne toasty, wymieniając dawno zapomnianych herosów metalowego podziemia. Chyba jest też zjarany albo na innej fazie, bo oczy ma jak spodki, a gęba śmieje mu się do czort wie czego. Demiurg pewnie też nagrany, bełkocze bez sensu, no, widać, że panowie się

dobrali. Rock and roll na maksa. W sumie to im zazdroścę. Te dwadzieścia lat temu też krzesalem ogień.

Przerwa na siku, pośrodku niczego. Złote łany kładącej się na wietrze pszenicy, nitka bitej drogi, gdzieniegdzie zagajnik, w tle ciemniejąca linia lasu. Białe kołtuny suną po niebie jedynie dla urozmaicenia krajobrazu i gdzieś tam, wysoko, zawieszona w przestworzach kropeczka skowronka obmywa okolicę krągłym trelem. Błogość. Panowie metale biorą ją pod buty. Darcie japy, śmiechy, bluźnierstwa i wyzwiska. Fruwa to dookoła niczym pociski po niebie Verdun. Kilkanaście metrów dalej, w polu, stoi krzyż. No, tyle wystarczy - chłopaki lecą tam jak nakręcenii. Nie jest to zwykły, drewniany krzyż, jakie spotyka się przy drogach wszędzie tam, gdzie żyją normalni ludzie, tylko ciosany z kamienia postument, przypominający krzyż pokutny. Może zresztą faktycznie takim jest, trudno stwierdzić, bo napisów i symboli na nim wyrzytych nie sposób odczytać. Telefon skacze w dłoniach Demiurga, obraz rozmywa się, kadr jest żaden. Wicher dokonuje bluźnierczej, we własnym przekonaniu, profanacji znaku Chrystusowego. Pluje, wierzga, wygina się, warcząc jak dzikie zwierzę. Brawo. Szatan jest w pełni ukontentowany. Ale nie, wróć. Teraz kolega Demiurg pokaże się z lepszej strony. Telefon wpada w dłonie Wichra, przez jakiś czas celując a to w niebo, a to w zdeptaną trawę. A potem dostajemy wisienkę na tym przepysznym ciasteczku. Kadr znowu łapie krzyż, na który Demiurg, ściągawszy spodnie, stara się nasrać. Chwila nerwowego wyczekiwania. Cisza. Brunatna klucha wychodzi w końcu spomiędzy chuderlawych pośladków i spada w dół, muskając kamień. Touchdown. Krzywię się z odrazą, nie mogąc wyjść z podziwu, z jak wybitnej klasy debilami przyszło mi pracować. Ale to nie koniec. Ktoś krzyczy. Demiurg podciąga spodnie, dumny ze swego wyczynu. Krzyk powtarza się. Filmujący scenę Wicher robi zwrot. Na drodze stoi facet. Zwykły facet z rowerem,

jakich po wsiach łązą miliony. Dziadek właściwie, siwy włos, przechodzona wiatrówka, czapka na bakier, jak nosiło się przed wojną. Krzyczy coś; widać, że był świadkiem popisu Demiurga. Chłopcy rzecz jasna odpowiadają kanonadą wyzwick. „Spieprzaj, dziadu”, tylko tak bardziej hard, jak na metali przystało. Obraz kotłuje się, niebo znów miesza się z trawą, a zaraz potem dziadek jest już tuż obok, szarżując na chłopaków.

- ...błuznisz przeciw świętej wierze!

To jedyne, co daje się wyłowić z kakofonii dźwięków, towarzyszących skaczącemu bez sensu obrazowi. Szamotanina, beład, chaos. Wreszcie telefon upada. Podnosi go Szpila, bo w kadrze Henryk odciąga za kołnierze obu bohaterów, a starszy pan wygraża im zostając w tle. Nerwowe posapywanie dziewczyny towarzyszy nam aż do samochodu. Ostatnie ujęcie ukazuje leżący na drodze rower. Stara Ukraina. Nie widziałem takiej od dziecka.

- Wszystko jasne - rzuciłem, oddając smartfon. - Koniec dochodzenia.

- Myślisz, że to on? - Henryk kiwnął głową w kierunku kościółka, który został za nami. - To przecież jakiś dziadyga...

Zatrzymałem się, posyłając chłopakowi ciężkie spojrzenie.

- Czy ty cokolwiek rozumiesz? - zapytałem. - Nie dziwi cię, że w tym kraju kościół zarasta, porzucony w lesie? Tam była wieś, łąbie. Nikt by przecież nie murował w głuszy.

- Jak to?

- Tak to. Nie znasz historii? Była wieś, a teraz jej nie ma. Niemcy wymordowali w odwecie za akcję partyzantów albo coś podobnego, nie wiem. W czasie wojny takie rzeczy zdarzały się bez przerwy.

- No i co?

- No i nic! Nasraliście na pomnik tej tragedii! Mało ci, bohaterze?!

- Ej, chłopie. - Henryk wciąż nie rozumiał. - Ten dziadyga dostałby tam w łeb, gdybym nie odciągnął chłopaków. Co on, John Rambo?

- Synku, jesteście na wsi. Tu ludzi wciąż łączą więzi. I pamięć. Dziadyga ma syna, a najpewniej ze trzech. Każdy z nich kolejnych trzech, jurnych chłopaków, co to na zabawach rozbierają sztachety z płotów, żeby prac się nimi po japach. Myślisz, że rąbnięcie takiego gnoja, jak ten wasz koleżka, to dla nich wyzwanie? Ot, rzuci się truchło do dołu z wapnem i cześć. Szukaj wiatru w polu. A policja napisze takie raporty, że jeszcze bekniesz za te wyczyny pod krzyżem. Bo komendant to szwagier siostry teścia brata, swój znaczy. I tego muru nie przebijesz. To jest, kurwa, prawdziwe polski black metal, nie to wasze popierdywanie dla Szatana!

Cisza, która zapadła, niemal dzwoniła w uszach.

- Gramy pagan... - wycodziła Szpila. - Sławimy słowiańszczyznę...

Zachnąłem się i ruszyłem w czeluść mroczniejącej przesieki, mając słowiańszczyznę w najgłębszym poważaniu. Henryk zerknął na telefon. Zasięgu nie było. I Wichra, zostawionego w kościółku, też nie. Zniknął, gdy wyzłosiwiałem się nad pociętymi oponami naszych aut.

Brnęliśmy leśną przesieką w nadziei na dostrzeżenie gdzieś w oddali światła najbliższej wsi. Dobrą godzinę. Zaczynało mżyć.

* * *

- Widzisz go? Dawno poszedł...

Bardzo chciałem powiedzieć, że tak, Henryk już wraca, że zdawało nam się i tam, pomiędzy drzewami, nikt się nie kręci, ale nie zamierzałem kłamać. I bez tego nasza sytuacja wyglądała nieciekawie. Kilka godzin marszu doprowadziło nas dokładnie donikąd. W miejsce, gdzie apka z kompasem w

Henrykowym smartfonie odmówiła współpracy, a przesieka, która wedle moich nadziei powinna nas wyprowadzić z lasu, zatarła się tak skutecznie, że nie miałem pojęcia, w którą stronę iść, aby wrócić do pozostawionych pod kościółkiem samochodów. Mokrzy, zmęczeni i kompletnie zdezorientowani, przycupnęliśmy w omszałym wykrocie, z którego wychyliwszy się, widziałem tyle, co nic. Mglisty opar zasnuł las, gdy tylko przestało padać.

- Zaraz wróci - sapałem, modląc się, by tyle wystarczyło. - Poszedł tylko sprawdzić...

Wystraszona Szpila nie miała w sobie już nic z wulgarnej Julki, gotowej ostrzem złośliwego sarkazmu płatać na kawałki utyskującego dziadera. Zwinięta w kulkę leżała na mchu, dygocząc z zimna.

- Poszukam go - zdecydowałem, gestem powstrzymując lęgnący się na ustach dziewczyny protest. - Poczekaj. Coś ci pokażę.

Sięgnąłem do przewieszanej przez ramię torby, gdzie targałem sprzęt, z którym po prostu nie mogłem się rozstać.

- Popatrz. - Wskazałem. - W kamerze mam noktowizję. Tobie zostawię latarkę. Zapalisz ją, jeśli coś będzie nie tak. Wtedy wrócę. Ok?

Pokiwała głową, zerkając w ekran kamery, na którym zaprezentowałem możliwości mojego sprzętu. Podąłem jej latarkę.

- Wszystko gra?

Uśmiechnęła się tak kwaśno, że pożałowałem pytania. Ruszyłem między drzewa.

Mogłem sobie pogratulować - przyjęta przeze mnie w czasach przekraczania pierwszych progów operatorskiego fachu zasada nie oszczędzania na sprzęcie, sprawdzała się po raz kolejny. Obraz, wyświetlany na ekranie kamery, mimo oblepiającej okolicę mgły, pozostawał doskonale czytelny.

Zatonąłem w nim, niczym wracający z rejsu marynarz w łonie portowej ladacznicy.

Do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak dogłębna spowijała nas cisza. Las tonął w ogłuszającej martwocie. Żadnych trzasków łamanych pod stopami gałązek, brak wiatru kołyszącego wierzchołkami drzew, zero odległych nawoływań nocnych drapieźników. Dziwne. Jakby ktoś z obrazu, podawanego mi przez ekran kamery, wyciął fonię. Nawet moje posapywanie astmatyka zniknęło.

Henryka znalazłem niebawem. Siedział przed czymś, co najpierw wziąłem za stertę kamieni. Skołtuniona łepetyna, sweter spływający ze zwalistej sylwetki niczym błotne osuwisko ze wzgórza i dłonie złożone na kolanach, jak u japońskiej uczennicy. Podszedłem, dając na ekranie zbliżenie. Nie, nie na chłopaka. On niewart był choćby klatki w taśmie filmu mojego życia.

To nie były kamienie. Wysoką na jakiś metr dwadzieścia pryzmę usypano z czaszek. Ludzkich? Może. Na pewno zwierzęcych. Wydłużone ryje najróżniejszych kształtów wślepiały się we mnie czarnymi dziurami oczodołów, szczerząc obnażone zębiska. Pstrzyły je ciemniejące plamy porostów, przerastały drobne witki tarniny. Z wierzchołka usypiska piał się w górę pał, udekorowany rzędami wzorów i niemówiących mi wiele symboli. Jego szczyt wieńczyła czaszka byka o rozłożystym porożu, w której oczodoły ktoś powcisnął kamienie. Wzdrygnąłem się. Odrażające dziwadło.

- Nyj - szepnął Henryk, widząc, że zachodzę go z prawej.

- Co?

- Nyj. - Wskazał na maskarę. - Słowiańskie bóstwo świata podziemi.

Popatrzyłem na chłopaka. Jego twarz płonęła niezdrową ekscytacją. Cóż, szło się domyślić, z jakich fakultetów robił dyplomy.

- Wstawaj i chodź. Szpila ledwo żyje.

- Rozumiesz, Dejw, w procesie chrystianizacji święci często przejmowali cechy pogańskich bóstw. Nyj to imię związane z praindoeuropejskim słowem oznaczającym „płynąć” i łacińskim *navis*, czyli „łódź”. To protoplasta postaci świętego Wojciecha. Pamiętasz, on wyruszył nawracać Prusów łodzią. Ta figura to pomost przerzucony pomiędzy współczesnością a przedchrześcijańskim okresem życia naszego państwa.

- Chłopie, ochłoń. Musimy wracać. - Szarpnąłem go za ramię.

- Nie. - Odrzucił moją dłoń. - Jest piękny.

Nie był. Omiotłem maskarę okiem kamery, jak gdybym potrzebował utwierdzić się w przekonaniu. Raz, a potem drugi. Sam nie wiem, czy nie dlatego, że ornament żłobień zdobiących pał zapalił czerwoną lampkę w zwojach mózgowych urodzonego wzrokowca. Tak. Ten symbol... Ja go już widziałem...

- Henryk, daj telefon.

Minęła chwila, nim polecenie przepoczwarzyło się w skołtunionej łepetynie w reakcję, lecz aparat w końcu wylądował w mojej dłoni.

- Co to jest? - Przyświeciłem latarką ze smartfona, wskazując na fragment ornamentu przypominający przekreślony romb.

- Morwa. Znak Nyja.

Pokiwałem głową, wyszukując w pamięci telefonu oglądane wcześniej nagranie.

- A to?

Puściłem fragment filmiku z popisami kolegów metali. Aparat przejął właśnie Wicher. Kotłowanina góra-dół, niebotrawa, trawa-niebo, aż wreszcie kadr łapie krzyż, przy którym Demiurg ściągnął już spodnie. Zatrzymałem odtwarzanie.

Obraz był rozmazany, lecz na tyle czytelny, aby wyryć w mej podświadomości kształt znaku, który teraz dostrzegłem na palu.

- Zdaje się, że w tej okolicy święci przejęli cechy pogańskich bóstw jakoś szczególnie nadgorliwie - rzuciłem. - To ta twoja morwa na chrześcijańskim krzyżu.

- Nie... - Henryk pochylił się nad smartfonem. - Wiesz, co to oznacza?

Zamiast odpowiedzieć, wcisnąłem „play”.

- ...błuznisz przeciw świętej wierze! - Wzburzony głos starszego jegomościa zabrzmiał nagle zupełnie inaczej.

Spowijającą nas ciszę rozdarł krzyk. Odwróciłem się. Gdzieś pomiędzy drzewami dostrzegłem blask elektrycznego światła halogenowej latarki.

Był daleko. Cholernie daleko.

Chwyciłem kamerę, rzucając się między drzewa.

* * *

Godzina i czterdzieści trzy minuty. Jedna godzina i cholerne czterdzieści trzy minuty. Tyle czasu, według zegara kamery, minęło, odkąd Szpila zniknęła, a ja zostawiłem Henryka sam na sam z jego fascynacjami. Wpatrzony w podawaną mi przez ekran mozaikę zieleni, której stopień nasycenia wahał się od mglistej bladej zieleni, po gładko przechodzącą w czerń zieleń butelkową, błądziłem ostępami w poszukiwaniu nadziei. Na co? Cholera go wie. Po godzinie i pięprzonych czterdziestu trzech minutach nie pamiętałem nawet, jak się nazywam.

Wyjście na otwartą przestrzeń otrzeźwiło mnie jak haust powietrza złapany po zbyt długim przebywaniu pod wodą. Od razu poznałem to miejsce. Nie wszędzie geometryczny porządek dzieła ludzkich rąk mieszał się z chaosem młodego listowia w tak obłądnych proporcjach. Kościółek. Skoczyłem ku zaparkowanym nieopodal samochodom, lecz rzut oka na obraz

wyświetlany przez ekran kamery zgasił płomień nadziei. Wozy były zniszczone. Szyby potłuczone, koła przebite, karoserie wgniecione i odrapane. Zawartość skrytek oraz wszystko, co luzem wałało się po pojazdach, rozrzucone dookoła. Przykryłem ten bałagan serenadą zmiędlonych w ustach przekleństw. Cholera. Bezwład wydarzeń dzisiejszej nocy domagał się, aby poskładać go do kupy i nadać jakiś sens, lecz czy mogłem liczyć na to, że dojadę gdziekolwiek na felgach? Choćbym odpalił, to... Zrezygnowany przysiadłem na masce Henrykowego lanosa.

I wtedy jakby ktoś zdjął mi z głowy metalowy garnek.

Tam, w kościółku, ktoś był.

Wycelowałem obiektyw kamery w portyk głównego wejścia i wpatrując się w ekran, nadstawiłem ucha. Tak, nie zdawało mi się. Z wnętrza kościółka dobiegał jakiś jęk.

Doskoczyłem do budynku. Chciałem zawołać, ale kogo? Szpilę? Henryka? Nie, bezpieczniej będzie, jeśli sprawdzę to pozostając niezauważonym. Przywarłem do ściany i obróciwszy ekran kamery w bok, na siebie, wsunąłem szklane oko w czeluść rozwartych drzwi. Sensory urządzenia rozproszyły mrok, nie ukazując mym oczom nic nadzwyczajnego. Zniszczona posadzka, przyzma gnijących pod ścianą liści. Potem w kadrze pojawił się sprzęt: gitarowy wzmacniacz, instrument na statywie, kłębiące się po posadzce kable, skrzynia typu transportowy case. Obraz otwierał się, im głębiej wtykałem kamerę w czeluść rozwartych drzwi. W końcu dostrzegłem Demiurga. Wiotkie ciało siedziało na krześle, ręce zwieszono bezwładnie, głowa spuszczone na pierś. Tak jak go zostawiliśmy. Niemal już pchnąłem drzwi i wślizgnąłem się do środka, gdy widok na prezbiterium osadził mnie w miejscu.

On tam był. Ta maskara.

Patrzyłem w ekran, nie do końca rozumiejąc, w co się wpatruję. Na pierwszym planie głowa Demiurga. Zakrwawiona

i wciąż z wyrazem tego głupawego uśmiechu. W tle elementy zestawu perkusyjnego. W głębi, bliżej ściany, postać, odwrócona do mnie plecami. Spływające z ramion okrycie i rozchodzące się ze zdeformowanej głowy poroże. Tkwił w bezruchu, lecz ruch, po chwili, pojawił się w kadrze. To leżąca na posadzce Szpila osłaniała się przed niewidocznymi ciosami. To jej szloch słyszałem. Szloch, który teraz przechodził w dojmujący okrzyk bólu.

Oderwałem się od ściany, uciekając, byle przed siebie. Potknąłem się, upadłem, przekoziółkowałem. Spadł na mnie cios. Jeden, drugi, kolejne. Skuliłem się, zasłaniając rękoma, lecz ciosów padało zbyt wiele. Zaraz potem leżałem tylko, wyjąc z bólu. Nieopodal, na trawę, upadła moja kamera. Świetlista zieleń ekranu przyciągnęła spojrzenie. W ostatnim kadrze, jaki udało mi się zarejestrować, ujrzałem kamienną ścianę kościółka i wsparty o nią rower marki Ukraina.

Nie widziałem takiego od dziecka.

Artur Grzelak

Sianokosy

Ogniska rozświetlały panującą wokół ciemność. Iskry krzesane z wciąż dorzucanych do płomieni drzew wznosiły się, przypominając błędne ogniki, widywane czasem na pobliskich bagnach. Na podobieństwo duchów wirowały na tle nieboskłonu, tworząc niesamowity, hipnotyzujący wręcz widok. Płasający ludzie obracali się w tańcu, zataczając szerokie kręgi wokół ognisk. Śmiali się, krzyczeli, trzymali za ręce, radując się dzisiejszą nocą i perspektywą jutrzejszego święta.

- Tańcz!
- Baw się!
- Pij!

Dźwięki bębnow i piszczałek wprowadzały mieszkańców wioski w swoisty trans. Taneczny korowód poruszał się w nieregularnym, rwanym rytmie, wijąc się i wyginając niczym spotykane niekiedy w lasach zaskrońce.

- Tańcz!
- Baw się!
- Pij!

Danika zewsząd słyszała podobne nawoływania. Co chwilę ktoś inny porywał ją do płasów. Kręciło jej się w głowie i czuła się już odrobinę zmęczona, jednak nie dawała tego po sobie poznać.

- Tańcz!

- Baw się!

- Pij!

Obróciła się i o mało nie upadła, lecz powstrzymała ją silne, męskie ramiona. Nawet nie wiedziała, do kogo należą. Twarze i sylwetki rozmywały się i zlewały w niekształtne zarysy. Uśmiechnęła się, poprawiła opadający na oczy wianek i nim zdążyła złapać oddech, ponownie wirowała do wybijanego bębnami rytualnego rytmu.

- Tańcz!

- Baw się!

- Pij!

Ktoś wcisnął jej w dłoń gliniany kubek wypełniony kumysem. Napiała się. Gorzki smak rozlał się po języku. Napitek został mocno doprawiony ziołami. Rozgrzana płomieniami ognisk oraz tańcem, wypiała cały kubek, ignorując ohydny posmak. Już po chwili Danika poczuła przypływ energii. Wzrok jej się wyostrzył, a zmęczenie minęło, jakby ręką odjął.

- Tańcz!

- Baw się!

- Pij!

Wkroczyła w krąg tańczących ludzi. Prawie od razu odnalazła z nimi wspólny rytm. Wirowali wokół ognisk. Płomienie buchały coraz wyżej i wyżej, rzucając blask na radosne twarze świętujących mieszkańców wioski. Rumiane, spocone, błyszczące, coraz bardziej pijane.

- Tańcz!

- Baw się!

- Pij!

Nagle piszczałki ucichły, a bębny zaczęły bić spokojniej. Ludzie zatrzymali się i rozpięchli. Część udała się po strawę i napitki, część ogrzewała się przy ciepłe ognisk. Kilka par

zniknęło w ciemności, zamierzając oddać się miłosnym uniesieniom.

Danika oddychała głęboko, wciąż rozgrzana. Wiedziała, co teraz nastąpi. Wyprostowała się, poprawiła wianek i spojrzała w stronę jednego z ognisk. Zastanawiała się, kto się tam pojawi. Skrycie chciała, żeby był to Jovan, syn bednarza, w którym kiedyś się podkochiwała. Chociaż równie dobrze mogli być to Ognjen, Rastko, Miodrag lub paru innych chłopców z wioski w podobnym wieku.

W blasku płomieni dostrzegła postać. Był to mężczyzna o szerokiej klatce piersiowej i muskularnych ramionach. Ubrany jedynie w biodrową przepaskę i zasłaniającą twarz maskę przedstawiającą pysk wilka. A więc jednak nie jest to Jovan, pomyślała z żalem Danika. On był o wiele wyższy i szczuplejszy. Mimo to, kiedy mężczyzna zbliżył się do niej, doznała przypływu pożądania. Wiedziała, że odpowiada za to mieszanka ziół, którą wcześniej wypijała. Musiała jednak przyznać, że był pociągający. Umięśnione ciało lśniło, odbijając ogniste refleksy. Kiedy ją objął, poczuła zapach jego potu, dymu ogniska oraz słodko-korzenną woń kumysu.

- Jesteś gotowa? - spytał, a Danika lekko się zdziwiła i przestraszyła.

Nie miała pewności czy jest gotowa. Dotychczas o tym nie myślała. Wyparła to ze świadomości. Postępowała zgodnie z tym, co nakazywała tradycja i pradawne obrzędy. Uśmiechnęła się więc tylko i skinęła potakująco głową.

Wilczogłowy złapał ją za dłoń i poprowadził w stronę ołtarza, gdzie czekał na nich wołchw. Danika widziała go kilkakrotnie, kiedy odwiedzał wioskę, przynosząc ludziom lekarstwa czy odprawiając rytuały odpędzające złe duchy. Był to brodaty starzec, ubrany w uszytą z wilczego futra opończę. Dzierżył sękaty kostur, obwiązany licznymi rzemykami, amuletami i niewielkimi kośćmi.

Danika wraz z wilczogłowym zbliżyła się do niego, a wołchw odłożył kostur, sięgnął po dwa gliniane kubki, do których jął dosypywać ziół i proszków z ukrytych pod futrem woreczków. Szeptał przy tym modlitwę lub zaklęcia. Dziewczyna nie potrafiła rozróżnić wypowiedzianych słów. Wymieszał stworzone napitki i podał Danice oraz towarzyszącemu jej mężczyźnie.

- Napijcie się magicznego wywaru, moje dzieci. Stańcie się Panią i Panem Plonów. - Jego głos zdawał się rezonować. Wibrować pradawną magią.

Napój smakował jeszcze gorzej niż pity wcześniej kumys. Dziewczyną targnął odruch wymiotny, jednak wiedziała, że powinna wypić do końca. Zamknęła oczy, przechyliła kubek, starając się zignorować wstrętny smak. Mimo to zakasłała, a puste naczynie prawie wypadło jej z dłoni. Danice zakręciło się w głowie. Słyszała, że stosowane przez wołchwów dekokty mają magiczne właściwości, ale nie spodziewała się, że zadziałają tak szybko. Świat wokół zaczął wirować, kolory się rozmazały, a w dole brzucha rozlało się przedziwne ciepło, które rosło z każdą chwilą. Zachwiała się i o mało co się nie przewróciła. Na szczęście wilczogłowy był przy niej. Przytrzymał ją i dawał oparcie muskularnym ramieniem.

Minęli wołchwa i weszli na stojący na podwyższeniu ołtarz, ozdobiony kolorowymi kwiatami, gałęziami jemioli, czeremchy i wiciokrzewu. Płonęły świece, dające nikły poblask. Choć w głowie wciąż jej wirowało, Danika zauważyła, że wokół ołtarza zbierają się ludzie. Znów zagrały bębny i piszczałki. Wołchw zainicjował rytualny taniec, do którego wkrótce dołączyli pozostali mieszkańcy wioski. Wilczogłowy zdjął maskę i dziewczyna rozpoznała, kim jest.

Miodrag zrzucił również opaskę biodrową, a Danika aż drgnęła. Dostrzegła jego nabrzmiałą męskość. Ciepło w dole brzucha zaczęło rozlewać się po całym jej ciele. Zdjęła szatę.

Była naga, jednak nie doskwierał jej chłód. Wręcz przeciwnie, czuła, że jest rozpalona, jakby miała gorączkę.

Położyła się na ukwieconym ołtarzu, a mnogość zapachów poraziła jej nozdrza. Przymknęła oczy, a kiedy je otworzyła, Miodrag był już przy niej. Pogładził ją po brzuchu, delikatnie chwycił za pierś, musnął szyję, a następnie pocałował. Danika nigdy nie całowała się z chłopakiem. Raz małoletni brat jej przyjaciółki cmoknął ją w policzek, ale dziewczyna szybko go popędziła. Teraz poddała się pieścizocie, czując język Miodraga w ustach. Oplotła rekami jego ramiona, gładząc kark i plecy. Twarda, ciepła męskość ocierała się o jej brzuch. Chwyciła ją w dłoń i zaczęła masować, nie bardzo wiedząc, co począć dalej.

Miodrag zaś doskonale wiedział. Zdecydowanym ruchem rozchylił jej uda, zsunął się odrobinę niżej i naparł delikatnie. Danika krzyknęła, czując ból oraz rozlewające się na dole ciepło i wilgoć. W obronnym geście wbiła paznokcie w jego plecy. Chłopak jednak nie przestawał. Poruszał biodrami coraz mocniej, całym ciężarem swego ciała. Ból szybko przerodził się w rozkosz, a dziewczyna ochoczo się jej poddawała. Oplotła kochanka nogami, a także uniosła się odrobinę, aby mógł wchodzić głębiej. Zamknęła oczy i jęknęła, poddając się nieznannej wcześniej przyjemności. Bijące bębny nadawały rytm, w którym Miodrag się poruszał. Słony smak jego potu osiadł na jej wargach, kiedy ponownie ją pocałował. Chwyciła go za pośladki, aby pomóc mu sięgnąć dalej, aby mógł napierać mocniej. Danika jęczała, poddając się miłosnemu uniesieniu.

Zgromadzeni wokół ołtarza ludzie wirowali w rytualnym tańcu. Wołchw wił się i wymachiwał kosturem, inkantując zaklęcia nad połączonymi w seksualnym uścisku kochankami. Wznosił modły nad Panią i Panem Plonów.

Mieszkańcy wioski krzyczeli i się radowali. Zbliżały się sianokosy.

Wąskie strużki dymu unoszące się znad dogasających ognisk zwiastowały nadchodzący świt. Świętowanie trwało prawie całą noc. Większość mieszkańców wioski powróciła do domostw. Jedynie nieliczni snuli się przy stołach, dopijając resztki kumysu i dojadając pozostawione jadlo. Gdzieś z oddali dochodziły jeszcze śmiechy i radosne okrzyki jakiejś wciąż spragnionej rozrywki pary.

W miejscu wczorajszej biesiady kilka psów węszyło za porzucanymi tu i ówdzie resztkami jedzenia. Współ z nimi grzebały w piachu kury, kaczki i gęsi. Na stołach siedziały dziobiące w misach i garnkach wilgi, sójki, rudziki i wróble.

Wołchw spał u podnóża ołtarza, opierając głowę o nieodłączny kostur. Kręciło się przy nim parę kotów, najwidoczniej zwabionych rozchodzącym się wokół, intensywnym zapachem ziół. Miauczały i ocierały się o jego wilczą oponcę. Nagle mężczyzna warknął przez sen i obrócił się na drugi bok. Wystraszone kocury rozpierzchły się w mgnieniu oka.

Danika leżała przykryta wełnianym kocem, obserwując to wszystko spod wpeł przymkniętych powiek. Za jej plecami spał Miodrag, pochrapując sporadycznie. Czuła jego ciepło i w sumie cieszyła się, że nie jest sama. Po trwającym całą noc świącie, podczas którego utraciła dziewictwo i została Panią Plonów, była zmęczona i zmieszana.

Wstała, starając się nie obudzić Miodraga, i rozejrzała się w poszukiwaniu zagubionej szaty. Znalazła ją zawieszoną na kwietniku. Kiedy się ubierała, spojrzała na swoje uda. Zaszła na nich krew, znacząc skórę szkarłatnymi śladami. Na szczęście obok stał dzbanek z wodą, więc Danika ukryła się za przewyższeniem ołtarza i podmyła łono oraz uda. W pewnym sensie czuła się skalana, straciła coś, czego już nie odzyska. Jednak wiedziała, że stało się to w wyższym celu. Ziemia w tym

roku słabo obrodziła, panowała susza, dlatego starszyzna wioski zdecydowała się poszukać pomocy u wołchwa. A ten postanowił odprawić rytuał sianokosów, którego wczorajsze nocne świętowanie było jedynie preludium do tego, co miało się wydarzyć dzisiaj. Dziewczyna aż drgnęła na tę myśl. Nie sposób stwierdzić czy z powodu porannego chłodu, czy z powodu tego, co miało nadejść.

- Hmm... - chrząknął Miodrag, który w międzyczasie się obudził. Spojrzał na Danikę i uśmiechnął się smutno. Jego twarz wyglądała na odrobinę spuchniętą, oczy podkrążone i przekrwione. Kumys nie był jedynym alkoholem, jaki wczoraj spożywał. - Dawno wstałaś?

- Chwilę temu - odpowiedziała, unikając wzroku Miodraga. Niedawne miłosne uniesienia, wzmocnione wołchwowymi dekoktami, powodowały u niej wstyd i skrępowanie.

Pojawiły się pierwsze promienie wschodzącego słońca, oświetlając wioskę pomarańczowymi smugami. Nad okalającymi okolicę polami i łąkami zawisła mgła. Danika odniosła wrażenie, że zrobiło się chłodniej. Miodrag podszedł do niej i złapał za ramiona. Drgnęła zaskoczona i lekko przestraszona, choć dotyk chłopaka był miły i delikatny.

- Nadchodzi świt. Dziś sianokosy.

Danika nie odpowiedziała. Pokiwała tylko głową i dyskretnie otarła spływającą po policzku łzę.

* * *

Od samego poranka w wiosce trwał wzmożony ruch i gorączkowe przygotowania. Większość mieszkańców wciąż odczuwała skutki wczorajszego świętowania, co tylko potęgowało panujący rozgardiasz. Dawno nie padał deszcz, więc wszędzie było pełno pyłu, który dostawał się do ust i nosa. Ludzie byli przez to rozdrażnieni. Niosły się przekleństwa oraz złożeczenia na panującą spiekotę.

Dijana przebiegła obok mężczyzn niosących drewniane belki. Uskoczyła przed kobietą dźwigającą dwa kosze wypełnione kiełbasami i gomólkami sera. Pomknęła dalej, w stronę miejsca, gdzie przez ostatnie kilka dni miejscowi cieśle wznosili ołtarz ku czci Pani i Pana Plonów. Miała nadzieję, że zdoła ujrzeć na nim siostrę. Niestety, zanim tam dotarła, z ołtarza została tylko składająca się z kilku desek konstrukcja, systematycznie rozbierana przez pracujących mężczyzn. Siostry nigdzie nie było widać. Dijana poczuła wzbierającą złość.

Wczoraj wściekła się, gdy rodzice powiedzieli jej, że z powodu zbyt młodego wieku nie będzie mogła uczestniczyć w świętowaniu. Mimo to postanowiła wymknąć się i przyjrzeć rytualnym tańcom przy ogniskach. Kiedy podkradała się by podejrzeć obrzędy, natknęła się na niosącą napitki i jadło Snezanę, przyjaciółkę matki, która nakazała jej czym prędzej wracać do domu. W związku z czym Dijana, ku swemu rozczarowaniu, mogła się jedynie przysłuchiwać śpiewom i dźwiękom towarzyszącym nocnym ceremoniom.

Rozpierała ją duma z tego, że to właśnie jej siostrę, Danikę, starszyzna wybrała na Panią Plonów. I dziewczyna koniecznie chciała zobaczyć ją podczas uroczystości. Miała nadzieję, że zdoła ją ujrzeć chociaż dzisiaj.

Jakiś mężczyzna nie dał rady chwycić podawanej mu belki. Kawał drzewa spadł z łoskotem, o mało nie przygniatając Dijany, która ledwo zdążyła odskoczyć.

- Czego się tu kręcisz, gówniaro! - krzyknął czerwony na twarzy chłop. Śmierdział nieprzetrawionym kumysem. - Uciekaj stąd, zanim krzywdą się komuś stanie.

Dijana pokazała mu język, czym wzbudziła wesołość pozostałych mężczyzn rozbierających ołtarz. Obróciła się na pięcie i czym prędzej popędziła w stronę domu.

Kiedy jakiś czas później wpadła zdyszana do chaty, za stołem zastała jedynie ojca, wyjadającego resztki kaszy z glinianej miski. Siostry nigdzie nie dostrzegła.

- Gdzie Danika? - spytała dziewczyna.

Ojciec podniósł wzrok, a Dijana aż się przestraszyła. Miał zamglone, smutne oczy, a twarz napuchniętą i czerwoną. Wyglądał, jakby był pijany, co mogło być prawdą, ponieważ w ostatnim czasie bardzo często zdarzało mu się rozpoczynać dzień kubkiem kumysu.

- Szykują się - mruknął tylko i wrócił do wyskrobywania kaszy. - Nie przeszkadzaj im.

Dijana minęła ojca i otworzyła drzwi do drugiego pomieszczenia, wewnątrz którego zastała matkę i siostrę.

- Jak pięknie! - krzyknęła z zachwytem.

Danika wyglądała olśniewająco. Miała na sobie prostą, białą, upstrzoną kwiecistymi wzorami suknię. Jej głowę zdobił kwietny, różnokolorowy wianek, upleciony z pięciornika, chabrow, firletki i wierzbownicy. Dijana sama zbierała owe kwiaty i zaplatała wraz z kilkoma innymi dziewczętami z wioski. Chciała zrobić taki również dla siebie, ale została zrugana przez matkę. Wianek mogła nosić jedynie Pani Plonów.

Danika zmierzwiła włosy siostry i uśmiechnęła się.

- Kiedyś też zostanę Panią Plonów i będę wyglądała tak ślicznie jak ty.

Twarcz Daniki posmutniała, a oczy delikatnie się zaszkliły. Matka drgnęła i zganiła córkę wzrokiem.

- Nie gadaj głupot - powiedziała oschle. - I zjedz coś. W kuchni powinno być jeszcze trochę kaszy.

- Chcę wam pomóc!

- Idź do kuchni, powiedziałam! I niech ci przez myśl nie przejdzie, żeby wybierać się na sianokosy. To nie miejsce dla małych dzieci.

- Nie jestem mała! - wydarła się Dijana i na znak protestu tupnęła nogą.

- Prosisz się o lanie.

Danika podeszła do siostry i zmierzwiła jej włosy. Przyklękła, spojrzała dziewczynce w oczy i przytuliła. Mocno.

- Zostań w domu - wyszeptła do ucha Dijany. - Nie przychodź na sianokosy.

Dijana nie rozumiała, czemu siostra się smuci. Złapała ją za rękę, na której błyszczał pierścionek, który kiedyś podarował jej ojciec. Zakupił go podczas jarmarku w Semederewie, a Danika go uwielbiała. Choć nie był wykonany z prawdziwego złota, wyglądał, jakby sporządzono go dla królowej. Dijana przytuliła się do siostry i powiedziała:

- Kocham cię, siostrzyczko.

- Ja też cię kocham. A teraz zmykaj, muszę się przygotować na ceremonię.

* * *

Słońce stało wysoko na nieboskłonie, nieprzesłaniane przez żadną chmurę. Delikatny wiaterek przyjemnie chłodził, mimo to Danika czuła, że zaraz zemdleje. Na przemian zalewały ją fale zimna i gorąca, kręciło jej się w głowie, nogi były jak z waty. Stojący obok Miodrag również był wyraźnie zdenerwowany. Jego biała, lniana koszula nosiła ślady potu. Krople perliły się na czole chłopaka.

Uroczystość sianokosów odbywała się na pobliskich polach pszenicy. Wokół zgromadziła się większość dorosłych mieszkańcy wioski. Mężczyźni trzymali w dłoniach kosy, których ostrza lśniły w promieniach słońca. Niektóre kobiety dzierżyły grabie, inne worki oraz zwoje sznurków. Wszyscy stali, nie odzywając się do siebie ani słowem w pełnej napięcia ciszy, przerywanej jedynie odgłosami leśnego ptactwa.

Danika spojrzała w niebo, zmrużyła oślepienie przez słońce oczy i ujrzała krążący nad polami kształt. Był to okazały ptak, zataczał szerokie kręgi, szybując majestatycznie, wypatrując żyjących wśród kłosów pszenicy gryzoni. Nagle ptak obniżył lot i zapikował w dół. Dziewczyna nie zdołała dostrzec, co pochwycił, ale widziała niewielkie, popiskujące stworzenie w jego szponach, kiedy ponownie zerwał się do lotu.

- Idzie - szepnęła Miodrag, wrywając Danikę z zamyślenia. Chwycił ją za rękę, a dziewczyna mocno ją ścisnęła. Oboje mieli spocone, śliskie dłonie.

W stronę pól zbliżał się wołchw. Tym razem był nagi. Kościste ramiona, lekko uwydatniony brzuch, a także chude nogi nie dodawały mu majestatu. Mimo to mieszkańcy wioski opuszczali głowy, oddając mu hołd. Starzec nawet na nich nie spojrział. Wartko parł w stronę Pani i Pana Plonów, w jednej dłoni trzymając kostur, a w drugiej zakrzywiony sierp. W końcu stanął przed nimi i wyrzekł swym przedziwnym, wibrującym głosem:

- Dziś sianokosy. Święto, które odbywa się tylko w razie najwyższej potrzeby. A taka potrzeba właśnie nastąpiła. Susza i zaraza zjadły nasze plony. Dlatego wymagana jest żertwa. Ofiara, która sprawi, że Bogini Ziemi, Władczyni Pól i Lasów, ześle nam plony, które wyżywią nas i nasze dzieci. Która sprawi, że nie będziemy cierpieć głodu ani niedostatku. Która sprawi, że w naszej spiżarni wciąż będzie strawa. Chwała Bogini!

- Chwała Bogini! - ryknął tłum, a po skórze Daniki, mimo panującego gorąca, przeszły ciarki. Dotychczas starała się wyrzucić z głowy fakt, że dzisiejszy dzień jest jej ostatnim. Że tego popołudnia skończy się jej życie. Dopiero teraz zaczęło to do niej docierać. Starszyzna wioski i wołchw poili ją i Miodraga dekoktami, które miały sprawić, że Pan i Pani Plonów

zobojętnieją, staną się bezwolni. Danikę ogarnął strach, chciała uciekać. Przez pola, ku pobliskiej ścianie lasu, jak najdalej od wioski.

- Klęknijcie! - Głos wołchwa był władczy i nieznoszący sprzeciwu.

Miodrag pociągnął dziewczynę za ramię i uklękła tuż obok niego, czując się jak sparaliżowana. Obejrzała się, starając wypatrzeć w tłumie matkę i ojca. Jednak nie dostrzegła nigdzie ich sylwetek.

Wołchw tymczasem podszedł do Miodraga i położył mu dłoń na głowie. Chłopak spojrzał na Danikę, jego oczy były puste, nie wyrażały emocji, jakby duch opuścił jego ciało. Uśmiechnął się do dziewczyny kącikiem ust i zamknął powieki. Wołchw szybkim ruchem podciął mu gardło. Kiedy chłopak charczał, walcząc o oddech, starzec zaintonował modlitwę:

- Niech krew Pana Plonów skropi ziemię. Niech wyrośnie na niej kłos, który wyżywi wiele pokoleń. Niech ta ofiara pójdzie na chwałę Bogini!

Danika drżała z przerażenia. Po policzkach płynęły jej łzy. Patrzyła na dogorywającego spazmatycznie Miodraga, wciąż trzymając go za coraz bardziej wiotką dłoń. Odwróciła wzrok, aby nie widzieć krwi wypływającej z chłopaka, która plamiła jej suknię i wsiąkała w suchą jak wiór ziemię. Wtem wśród zabudowań wioski dostrzegła postać i zamrugowała. Skulona za cembrowną studni, aby nie wypatrzył jej nikt ze starszyny, siedziała Dijana. Błyszczącymi ze strachu i niedowierzania oczami przyglądała się obrzędowi.

- Kocham cię, siostrzyczko - wyszeptwała Danika.

Wołchw podszedł do dziewczyny, chwycił za głowę i...

* * *

Dijana krzyknęła rozdzierająco, kiedy wołchw przyłożył sierp do szyi Daniki. Wskoczyła zza studni i zaczęła biec w kierunku

siostry. Nic jednak nie mogła zrobić. Zobaczyła tylko tryskającą krew, bezwładnie upadające ciało oraz usłyszała słowa modlitwy:

- Niech krew Pani Plonów skropi ziemię. Niech wyrośnie na niej kłos, który wyżywi wiele pokoleń. Niech ta ofiara pójdzie na chwałę Bogini!

Ktoś ją złapał, nie pozwolił dobiec do siostry. Wyrывała się, krzyczała, kopała i gryzła. Jednak silne, męskie ramiona trzymały jak kowalskie kleszcze.

- Uspokój się. - Rozpoznała głos ojca.

- Pozwoliliście zabić Danikę! - Dziewczynka płakała, uderzając rodziciela drobnymi piąstkami. - Pozwoliliście zabić swoje dziecko!

- To sianokosy. Pradawny obrzęd. Wyższa konieczność. - Głos ojca łamał się, choć wciąż starał się brzmieć pewnie i stanowczo. - Ona zginęła, aby inni mogli przeżyć.

W końcu puścił ją, a Dijana spojrzała na niego hardo.

- Nienawidzę was! - krzyknęła i pognęła w stronę domu.

* * *

Dalsze obrzędy trwały do późnych godzin nocnych. Kiedy krew Daniki i Miodraga użyźniła glebę, ich ciała przeniesiono na specjalnie przygotowany stos ofiarny. Szczątki spalono, a następnie rozsypano na okalających wioskę polach. Mieszkańcy ucztowali, pili, tańczyli i spółkowali. Śpiewy, śmiechy i radosne okrzyki niosły się po okolicy. Wszyscy święcie wierzyli, że sianokosy odwrócić zły los i ofiara z dwójki młodych osób nie pójdzie na marne.

Dijana postanowiła, że czym prędzej opuści wioskę. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby dalej mieszkać pod jednym dachem z rodzicami, którzy wydali na śmierć własne dziecko. Dosyć dorastania w wiosce, w której zabobony i pradawne obrzędy są ważniejsze niż ludzkie życie. Choć miała dopiero

dwanaście lat, postanowiła uciec i zostawić za sobą rodzinny dom. Powędrować do miast. Semeredewa, Pugajna lub do samej Dagodiny. Posmakować innej egzystencji, z dala od prowincjonalnego znoju i rutyny. Jeszcze w ciągu dnia spakowała kilka niezbędnych rzeczy i wymknęła się z chaty. Przeczekała trwającą biesiadę w lesie, a kiedy w końcu odgłosy ucichły zakradła się do wioski.

Znalazła miejsce, gdzie ułożono stos ofiarny i zaczęła grzebać w jego pozostałościach. Dłonie i ramiona miała czarne od sadzy. Dijana już zamierzała dać sobie spokój z poszukiwaniami, ale wreszcie jej się udało. Odnalazła pierścionek, który Danika nosiła na palcu tego poranka. Był trochę okopcony, na szczęście nie strawiły go płomienie. Wystarczyło dobrze go wyczyścić, aby odzyskał dawny blask. Dziewczynka założyła go na palec, wiedziała, że dzięki niemu nigdy nie zapomni o siostrze. Ostatni raz odwróciła się w stronę wioski, po czym zagłębiła w las.

W tym samym momencie zaczął padać deszcz.

* * *

Tego roku zniwa udały się wyjątkowo obfite. Najstarsi mieszkańcy wioski nie pamiętali tak dużych plonów. Kłosa pszenicy dźwigały niespotykane ilości ziarna, główki kapusty i brukwi były dwa razy większe niż zazwyczaj. Strączki fasoli i bobu aż uginały się od wypełniających je nasion. Spizarnie i kuchnie wypełnione zostały żywnością, a niektórzy mężczyźni jeździli sprzedawać nadwyżkę plonów na jarmark do Semeredewa. Dzięki zarobionym pieniądзом mogli zakupić towary, o jakich nigdy wcześniej nie słyszeli. W wiosce pojawiły się orientalne przyprawy, egzotyczne owoce oraz morskie ryby. Małżonki co większych gospodarzy zaczęły nosić jedwabne suknie i naszyjniki z kamieniami szlachetnymi.

Obrzęd sianokosów, zgodnie ze swoim przeznaczeniem, przyniósł upragnione szczęście i dostatek. Jedyne rodzice Daniki i Dijany, którzy tego samego dnia utracili dwie córki, nie podzielali powszechnego entuzjazmu. Ojciec się rozpił, a nim minęło lato, znaleziono go powieszzonego w okolicznym lesie. Samotna matka zaczęła biedować i, pomimo że sąsiedzi oferowali pomoc, powoli popadała w szaleństwo. Aż pewnej nocy dom, w którym mieszkała, stanął w płomieniach, o mało nie podpalając innych domostw. Na szczęście prędko ugaszono pożar, lecz kobiety nie udało się uratować.

Pozostali mieszkańcy dość szybko zapomnieli o tych wydarzeniach, ciesząc się dobrobytem. O ofiarach złożonych z Pani i Pana Plonów nigdy głośno nie wspomniano.

Aż do następnej suszy.

Rafał Łoboda

Smak młodości

Nie pamięta, czy kiedyś była młoda.

Wciąż ima się jej kilka ostatnich wspomnień o chacie wypełnionej głosami niewinności i szczęścia. Tęskni za nimi. Za radością w wielkich oczach i białymi ząbkami obnażonymi w uśmiechu. Czuła się wtedy potrzebna. Żywa.

Wydaje się jej, że dawno temu miała imię, które zapomniała z upływem lat. Dlatego, gdy niebo przybiera barwę uschniętej trawy, wychodzi do drzew i pyta:

- Jak mnie zwano?

Umęczone gałęzie skrzypią; z wnętrza grubego pnia słychać głos:

- Nie potrzebujesz imienia.

Gniewa ją ta odpowiedź, ale nie spodziewała się innej. Wyciąga długi nóż. Nacina głęboko korę, a korzenie pod stopami zaciskają się pod wpływem bólu. Z rany powoli wypływa kropla - biała jak mleko, lecz słodsza, och, o ileż słodsza. Podsuwa glinianą misę i cierpliwie zbiera gęsty płyn. Później czyni tak z pozostałymi drzewami. Gdy ponad koronami widać gwiazdy, wciąż jest jeno staruchą. Graby i jesiony płaczą drżącymi liśćmi.

Wraca do chaty, gdzie aromat gęstej słodyczy z naczynia cofa się ze wstrętem i niknie.

Nie pamięta, czy kiedyś była młoda.

Zostało wyłącznie *teraz*, a *teraz* cuchnie pergaminową skórą, wyblakłymi żyłami oraz pajęczyną włosów. Starość, zapomnienie i ona. Starucha. Jej woń snuje się po izbie, wokół dawno nieotwieranych słoików, martwych pajaków pod dachem, wlewa się w skrzypiące drewno ścian i nadgniły siennik. Zupełnie jakby przy każdym kroku zostawiała wokół część siebie, znaczyła terytorium jak wilk.

Tylko piec pachnie inaczej.

Czasem zbliża do niego wykrzywioną twarz i głośno wciąga zwierzały zapach cierpiącego mięsa. Gdy już naprawdę nie może wytrzymać głodu, otwiera żelazne drzwiczki - w które tak często uderzały małe piąstki - po czym zagląda do środka, szukając zaschniętych linii tłuszczu. Wysuwa cienki jak u węża język i przesuwając nim po czerniałych śladach, mlaskając głośno, gdy wspomnienie dawnych smaków rozlewa się po brzuchu.

Mieszka tu od... zawsze? W ciemnej chacie gdzieś w lesie. Samotna, jeśli nie liczyć Gryzka, choć czarny kocur raptem tu nocuje, w dzień zaś znika między gęstymi krzakami, by wieczorami przynieść w darze polne myszy oraz żaby, pokryte krwią i śliną. Razem jedzą ich wiotkie ciała, ale bezrozumne zwierzęta smakują ziemię oraz odchodami, a mięsa na cienkich kosteczkach jest mało, wiecznie za mało.

Pewnej nocy starucha śni o bieli i czerni, o historiach, które opowiadano i które umarły wraz z ostatnimi słuchaczami. Czuje pieczeń pokrytą jałowcem, tymiankiem, czosnkiem (nawet przez sen oblizuje wargi), wysłuchuje lamentów pieca - wielkiego krzywego pieca o ścianach wydrapanych skreconymi od żaru paznokciami.

- Zapomniałaś o mnie - burczy zimny otwór. - Ale wkrótce nasycimy się wszyscy. Nadchodzą. Biel i czerń. Czerń i biel.

Rankiem leśne zwierzęta - zbyt młode i głupie, by trzymać się z dala od chaty - nadstawiają uszu. Starucha śpiewa, jak to

robiła dawno temu. Śpiewa, biorąc się do pracy, zmuszając do wysiłku słabe od głodu ręce.

Nakłada drewno, krzesze ogień. Gdzieś zza żelaznych drzwiczek dobiega radosne pomrukiwanie. Piec pamięta, wie, co się zbliża.

Starucha sypie do miski mąkę ze sparcałego wora, dodaje jaja leśnego ptactwa i dużo, dużo, dużo słodkiej masy wyprutej z drzew. Przeciąga szponem po wrażliwym miejscu na policzku. Kapie krew. Zlatuje łąza. Na koniec spluwa gęstą śliną i miesza wszystko kościstym palcem.

Jeszcze słowa. Nachyla się nad misą i szepcze do niej słowa starsze nawet od lasów.

Ciasto łąduje w piecu. Dojrzewa powoli, bo magia jest niemal żywa. Bywa kapryśna, obca i krnąbrna. Jak dziecko.

Słońce wędruje za oknami, z początku w górę, później w dół. Odbija się na tafli pobliskiego jeziora jak rozsypane iskry.

Targana niezrozumiałym instynktem, stara wygląda przez okno. Dostrzega skrawek bieli wśród krzaków leszczyny, a obok przeblysk ciemnej ręki.

Dziewczyna i chłopczyk. Ona rozszerza oczy na widok chaty, usta czerwone jak krew rozciągają się w uśmiechu. Krótka sukienka odsłania zdrową, złocistą skórę, marszczy się na piersiach, które dopiero zakwitną. On? Niski, czarnoskóry, chuderlawy. Pełne wargi są zaciśnięte i szare, oczy zaś mętne, puste, wodniste. Starucha cmoka, z niezadowoleniem oceniając patykowate nogi, kościste ramiona.

Nic, czego nie można naprawić.

Magia wybucha z całą siłą zaklęcia.

Raz, dwa, brzuch wygrywa melodię – stanowczo, ale cicho, uprzejmie; starucha płąsa w kierunku drzwi po piernikowej podłodze, piruet wzdłuż biskoptowych ścian, podskok obok

szafeczek z kandyzowanych skórek pomarańczy. I już - chwyta kłankę z lukrecji!

- Biedne maleństwa! Proszę, wejdźcie, odpocznijcie. - Jej głos jest słodszy niż czekoladowa strzecha, lepki niczym pajęczyna.

Obawa na twarzy dziewczynki miesza się z ciekawością, ostrożność ustępuje radości. Chłopczyk tylko patrzy.

- Pewnie jesteście zziębnięte i głodne. Mam tu przysmaki, że palce lizać.

I starucha oblizuje się w myślach.

Kłania się nisko, wpuszcza dzieci i, gdy siedzą już na krzesłach, zamyka drzwi - szybko i ostatecznie jak drzwiczki od pieca.

- Jak was zwą?

- Jestem Atrament - odpowiada wesoło dziewczynka, następnie wskazuje chłopczyka - a to Później.

Starucha kiwa głową. Nie musi rozumieć, nie musi oceniać. Z pieca wyciąga pękate, parujące ciasto, nakłada dzieciom. Dziewczynka dmucha na swój kawałek i wsadza łapczywie do buzi. Wywraca oczami, mrużąc. Chłopak nie je. Zerka na Atrament z niewyraźną miną.

- Jedz - rozkazuje dziewczynka.

Więc je. Wpierw nieśmiało, po chwili łapczywie jak wygłodzone szczenię.

Atrament uśmiecha się jak gdyby nigdy nic.

- Dziękujemy. Bałam się, że nie znajdziemy schronienia przed nocą. Wędrujemy tak długo...

- Już dobrze - uspokaja starucha. - Jedzcie, maleństwa. Jedzcie. Śmiejcie się, mówcie. Ten dom lubi słyszeć dzieci. Ja również.

- Och! - wzdycha Atrament i głaszcze chłopczyka po głowie. - Później zna cudowne historie. Dalej, nie wstydź się.

Opowiedz coś.

Później przełyka głośno.

- Dawno temu pewien mężczyzna szukał miejsca, w którym nie ma śmierci. Chodził od wioski do wioski, wypatrując cmentarzy, a jeśli zauważył choćby najmniejszy, wtedy wędrował dalej. W końcu dotarł do osady, gdzie nie spostrzegł żadnego grobu, mieszkańcy zaś byli gościnni i serdeczni. Sam szejek, nadzwyczaj młody, przyjął go pod swój dach. W trakcie kolacji, na której podano wyborne mięsiwo, mężczyzna zapytał: „Czy jest u was śmierć?”. „Nie”, usłyszał w odpowiedzi, „Tylko życie bez końca”. Podróżnik się ucieszył, lecz zdziwiony wiekiem przywódcy wioski, zapytał: „Gdzie twój ojciec?”. „Tutaj”, odparł młody szejek, wskazując na mięso.

Starucha śmieje się długo, klaszcząc.

- Och, jaka cudowna opowieść. Nie żałujcie sobie, jedzcie. Więcej, więcej. - Kroi szczerze kawałki ciasta i podaje dzieciom. - Nie jesteście rodzeństwem.

- Podróżujemy razem - odpowiada Atrament, później szepcze, jakby sama do siebie: - Rodzina... Na przykład brat.

- A skąd się tu wzięliście, w samym środku lasu?

- My... - Dziewczyna marszczy brwi, wodzi oczami po chacie, nagle uśmiecha się szeroko. - Zabłądziliśmy! Nie znamy drogi. I... I zostaliśmy porzuceni przez rodziców. Tak! Porzucili nas, prawda?

Oczy staruchy widziały wiele dzieci. Smutnych, wesołych, pełnych nadziei, płaczących. I głupich. Tak. Tych też nie brakowało. Ważne, aby jadły. Lubi tłusciutkie dzieci. Piec jest wielki, dużo zmieści.

Patrzy na nie z uśmiechem.

Znów czuje się potrzebna. Żywa. Jakby nie mięsa potrzebowała, ale samego widoku mięsa. Obietnica posiłku bywa lepsza niż posiłek. Idealna. Nieskazitelna. W myślach

zatapia zęby w kruchym udzie chłopca – nie spotkała jeszcze nikogo o tak czarnej skórze. Gdyby tylko nie był tak chudy...

Czeka, aż ciasto zniknie w uśmiechniętych buziach, wtedy szepcze do wierzb za oknem. Giętkie korzenie przebijają podłogę, chwytają nogi dzieci. Atrament krzyczy, szarpie się, starucha rechocze głośno, chłopczyk... zbiera okruchy z policzka i wsadza sobie do ust. Bez strachu, spokojnie, obojętnie.

Zamiera pisk dziewczynki i śmiech staruchy, nawet korzenie się zatrzymują. Gryzek przestaje myć łapkę i przekrzywia łebek znad sernikowej półki. Za oknem słysząc muchy, zwabione słodką uczta.

Atrament marszczy brwi, warczy:

- Bój się.

Chłopak od razu wybałusza oczy. Zaczyna wrzeszczeć i płakać, dziewczynka dołącza po chwili.

Starucha znów wybucha śmiechem, ale w głębi serca podejrzewa, że coś fałszywego wpęzło do jej chaty. Jakby ugryzła jabłko z błyszczącą skórką, lecz zgniłe od środka.

- Nie szarpacie się! – syczy, gniewem maskując moment słabości. – Wierzba trzyma mocno i nie puści.

Załamane twarzyczki oglądają kajdany na swych nogach.

- Jesteś zła! – krzyczy Atrament.

I po raz pierwszy odkąd pamięta, starucha pragnie się wytłumaczyć. Nie wie, czemu, ale przeczuwa, że to ważne. Dla niej samej.

- Zła? W lesie nie ma zła, są tylko drapieżcy i ofiary. A mięso nie może się zmarnować.

- Chyba nie zamierzasz... – Atrament milknie, wielkie oczy zerkają na metalowe drzwiczki. – Jesteśmy dziećmi!

- Niedźwiedź zjada własne młode, gdy głoduje. Wataha nie pogardzi jelonkiem. Głupiaś! – Starucha grozi kościstym

palcem. – Trzymaj swoją moralność z dala od lasu. Wy, młodzi, myślicie, że stare oznacza słabe. Stare od zawsze karmiło się młodym!

Magia zamiera, cofa się jak wody podczas odpływu. Piernik znów staje się podłogą, pełną drzazg od wyrosłych korzeni, ciasteczka zakurzonymi słoikami, a ściany, zamiast kusić czekoladą, zachodzą niemi porzuconych pajęczyn. Krwawy blask słońca wlewa się oknami, szarymi od brudu i tłustych plam.

Starucha milknie. Dlaczego nie widziała tego wcześniej? Wszystko jest brudne i krzywe. Nawet ona. Czy zawsze tak mieszkała? Jak... zwierzę?

Rzuca dziewczynie miotłę.

– Posprzątasz tu. Wyczyścisz całą chatę i obejście. Upieczesz ciasta. Chłopiec się ciebie słucha, więc każesz mu jeść. Byle dużo i często! Te kościste kończyny mają zniknąć, rozumiesz? Do roboty albo wydrapię ci oczy i nakarmię nimi kota!

– To były same kłamstwa, prawda? Jesteś złą czarownicą! Wiedźmą! – krzyczy Atrament, ale chwyta miotłę i zamiata.

Te słowa uderzają staruchę jak obuchem. Duszno jej, gorąco. Chwiejnym krokiem wychodzi na zewnątrz. Słyszy wiatr, szum liści, szelest pałek wodnych – mieszają się, splatają w jeden wielki szyderczy śmiech.

Starucha osuwa się na ziemię.

Wiedźma, czarownica. Czy tak ją zwano? Dlaczego nie pamięta?

Czy to jej imiona?

* * *

Dni suną jak wąż wśród traw. Pachną słodkim ciastem. Cuchną odchodami, których pełne wiadra dziewczyna wynosi o brzasku.

Starucha czuje się wypędzona z własnego domu.

Nie lubi tam wracać. Nie lubi patrzeć na jasne włosy Atrament, na jej złocistą skórę i usta, które bez przerwy coś szepeczą. A może tylko ruszają się bez sensu? Codziennie obiecuje sobie, że zatopi ostrze w sercu dziewczynki i codziennie tego nie robi. Przeklinając słabe plecy, powoli zbiera chrust. Szuka ziół na ukrytych polanach i grzybów wśród wilgotnych cieni. Godzinami patrzy bez celu na szuwary, słuchając rechotania żab, cierpliwych nawoływań czapli.

Wiedźma, czarownica. Te słowa kłębią się jej w myślach jak uwięzione trzmielce.

Wieczorami, gdy starucha wraca i kładzie się w kącie na świeży siennik, dziewczynka odpoczywa. Czarownica obserwuje ją spod w półprzymkniętych powiek i obiecuje sobie, że jutro, tak, jutro z pewnością zabije to dziecko, a potem upiecze i zje ze smakiem, chociaż to pieczone żywcem smakują najlepiej, ale dobrze, można zrobić wyjątek, tak, tak, zabije ją i wszystko będzie jak dawniej.

Chłopiec jest posłuszny. Siedzi spocony w kącie, z zapalem pożera wypieki przygotowywane przez Atrament. Piec cierpliwie pracuje, rozgrzewa chatę jak małe słońce, czekając, aż zamknie w sobie ofiarę z dymiącego mięsiwa.

Przed snem Atrament mówi do chłopca o dziwnym imieniu:

- Opowiedz mi historię, której nie znam.

Toteż Później opowiada. Codziennie inną. O dziewczynie, która poślubiła złego ducha, o wędrówce Króla Węży, o tym, dlaczego nietoperze latają w mroku. Cudaczne historie z dalekich krajów.

Pewnego wieczoru, leżąc obolała po zbieraniu gałęzi, wiedźma wysłuchuje bajkę o pięknej córce zółwia morskiego, i uświadamia sobie, że zna jej zakończenie. Słyszała ją parę nocy wcześniej.

- Nie! - Atrament podrywa się na nogi. - Już to opowiadałeś!

- Nie znam więcej historii - tłumaczy spokojnie Później.

Dziewczyna unosi mu głowę, by spojrzeć jej w oczy.

- Przypomnij sobie! Proszę!

- Przykro mi. Słyszałaś już wszystkie.

- Zostaw go - burczy wiedźma. - Idź spać.

Chłopiec odwraca się do niej i uśmiecha po raz pierwszy.

- Nie czuję strachu. Nic nie czuję. Mnie tu nie ma.

Atrament wybucha płaczem, dusi się od przetykanych łez. Starucha nie zwraca na to uwagi. Nieraz słyszała lamenty dzieci. Młode płaczą. To normalne.

Zasypia więc i śni o ludziach z wykrzywionymi twarzami, których usta są otwarte, wypełnione błotem czarnym jak trucizna. Chcą coś powiedzieć, słowa wzbierają w nich jak czerwce pod skórą, ale czarna maź tylko bulgocze.

I nawet we śnie wiedźma rozumie, że to nie błoto.

To atrament.

* * *

Nazajutrz jest pełnia. Biały jak oko ślepcy księżyc wisi na zimnym niebie. To dobry czas, magiczny czas, dlatego starucha zbiera lubczyk i inne zioła.

Wkrótce stare plecy sztywnieją od jesiennego chłodu. Czarownica coraz częściej myśli o ciepłej chacie, w końcu ulega, poddaje się i wraca.

Po cichu wchodzi do środka i dostrzega, że nagi chłopiec stoi nieruchomo pośrodku balii z parującą wodą, pozwalając, by Atrament obmywała szmatką jego spoconą skórę. Zaokrąglił się tu i tam, ale mało, och, wciąż za mało tego cudownego tłuszczyku. Jeszcze nie jest gotowy. Wiedźma kładzie się na sienniku. Słoma trzaska jak łamane kości.

Księżyc wychodzi zza chmur, jego blask pada przez okna wprost na jasne włosy dziewczyny, które nagle żarzą się

srebrem jak włosy staruchy. Refleksy wody suną po twarzy Atrament, rzeźbiąc fałszywe bruzdy zmarszczek. Ciepła skóra i krótka sukienka tracą barwy, teraz lśnią; cała Atrament lśni jak odprysk księżycy, jak samotność, jak łaknący liter pergamin.

Wiedźma uświadamia sobie, że wstrzymuje oddech, bo gorąca pięść strachu ściska jej gardło. Ma ochotę zerwać się i biec, byle dalej, byle szybciej, ale nic z tego – leży, niezdolna do ruchu jak sarna uwięziona w płonącym lesie. Może jedynie czekać.

Zauważa, że i Później jest inny. Krople wody spadają mu z włosów niczym okruchy diamentów, po plecach zaś suną płynnym złotem, rozświetlone aurą płomieni z pieca. Chłopczyk zaczyna śpiewać, chrapliwie i mocno; obce dźwięki są pełne tęsknoty.

Wtem Atrament otwiera usta i wpierw cichutko, później coraz głośniej, jej pieśń w nieznanym języku wypiera zawodzenie Później, pożera opowieść z jego słów, aż zostaje tylko jeden śpiew i cisza w ustach chłopca.

- To bajka - mówi Atrament. - Ostatnia bajka o małym uczniu szamana. Tworzył wiele opowieści, a one w końcu zabrały go do siebie, by został ich częścią.

- Bzdury - mruczy starucha.

- Ale oszukały go, bo nikt nie jest tak okrutny, jak historie. Umieściły w złej bajce, wcisnęły w niepasującą rolę i czekały, aż słowa naprawią błąd. Aż go zjedzą, gdy przestanie być ważny. - Gąbka kreśli ósemki na czarnej skórze. Atrament wstaje i myje włosy chłopca. - Lecz ty jesteś ważniejsza niż on. Ważna dla wielu, wielu ludzi.

Wiedźma prycha, odwracając się na drugi bok.

- Głupiaś. Mnie nikt nie zna, nikt nie chce znać. Nawet nie wiedzą, że tu mieszkam.

- Wiedzą, że coś mieszka w lesie. To wystarczy. Resztę dopowiedzą sobie sami.

- Dopowiedzą! Ludzkie języki wypaczą wszystko, o czym nie mają pojęcia, zozydzą i zakłamią.

- Kłamstwa tworzą najlepsze historie - szepcze Atrament.

Wiedźma zamyka oczy.

- Idź spać!

Nie zna żadnych historii, choć uważa, że powinna; starzy ludzie składają się ze wspomnień i opowieści, zasklepionych w ich głowach jak blizny. Dlaczego nie ona? Jej życie obraca się wokół zagubionych dzieci. Zwabia je, pożera, znów czeka. I tak bez końca. Jakby istniała tylko w tym celu.

Zasypia, ale nawet wtedy nie odnajduje spokoju.

Kroczy wśród ludzkich ciał, nagich i poskręcanych, lecz żywych. Ciągną się po horyzont. Usta mają zaciśnięte z całych sił, aż słyszeć, jak skrzypią zęby.

Ktoś jeszcze tu jest.

Świetlista postać bez płci. Nachyla się nad leżącą kobietą, rozwiera jej wargi i wyrywa język - papierowy, długi i skręcony, zapisany tysiącami liter. Ostry, cienki wrzask przeszywa uszy wiedzmy, słodki zapach przypiekanego mięsa wkrada się do nozdrzy...

Starucha otwiera oczy, zrywa się z siennika, wciąż oszołomiona przez tę krótką chwilę, kiedy sen przeplata się z rzeczywistością, ale nie - wrzask nie mija, a w chacie jest gorąco jak w rozgrzanym...

Atrament przestępuje z nogi na nogę, dłonie trzyma po bokach głowy, zagubione w gęstwinie rozrzuconych włosów, i krzyczy, krzyczy, krzyczy, lecz nawet jej głos nie może zagłuszyć wycia dochodzącego zza żelaznych drzwiczek ani szczęku zasuwy, gdy ktoś uderza w nie z wnętrza pieca.

- Nie był gotowy! - Wiedźma zrywa ze ściany rękawicę, wściekła i rozespana. Próbuje odciągnąć zasuwę, ale metal trzyma mocno. - Puść!

Piec warczy groźnie, po czym znów mruczy zadowolony. Nie odda chłopca, dopóki sam nie nasyci się jego bólem. Teraz należy do niego, wraz ze skwierczącym tłuszczem, pękającą skórą i płucami czerniejącymi przy każdym parzącym oddechu.

Starucha jęczy, uderza wściekle w drzwiczki, raz, drugi, odwraca się do Atrament.

- Co ty sobie...?

W młodych oczach widzi strach, lecz także ponurą determinację. Czas zamiera między jednym oddechem a drugim. Wiedźma dostrzega każdy szczegół zydła w rękach dziewczyny: krzywo zbite nóżki, wyszczerbione siedzisko, sterczące drzazgi...

Samo uderzenie jest rozbłyskiem bieli.

To stary mebel, kruchy jak próchno, i tylko dzięki temu wiedźma wciąż żyje. Przysiada jak podcięta, krew spływa po czole, w kark bucha piekielny żar, uszy świdruje pisk Później. Nóż. Gdzie nóż? Odrętwiała ręka - jakby nie jej - błądzi po fałdach sukni. Powoli, zbyt powoli.

Atrament chwyta oparty o ścianę ożóg i wznosi go do ciosu.

Wiedźma patrzy obojętnie. W jej głowie tańczą krzyki, śmieją się runy i zwiędłe liście. To nie w porządku - pojawia się nagle myśl. Przecież stare zawsze karmiło się młodym.

Korzeń okręcony wokół kostki dziewczyny zaciska się i ciągnie ją gwałtownie, by ochronić swą panią. Atrament pada. Krótki jęk cichnie, gdy twarz z chrupnięciem uderza o podłogę, rozbryzgując na deskach krwawy kleks.

Palce wiedźmy zaciskają się na rękojeści noża. Teraz! Póki ta przeklęta dziewczyna leży z rozłożonymi rękoma jak porzucona lalka. Wiedźma idzie na czworakach, mdła żółć napływa jej do gardła, w oczach świat drga niczym powietrze nad paleniskiem.

Atrament rzezi, podnosi głowę. Ze strzaskanej szczęki wystają ostre końce połamanych zębów.

- Bła... gam...

Nóż wbija się w ciemność Atrament prawie po rękę. Jedno oko ucieka w głąb czaszki, drugie nabiega czerwienią.

- B... B... - Usta dziewczyny wciąż mówią, jakby nie rozumiały, że są już martwe; dłoń drapie deski, paznokcie odchodzi z trzaskiem, zerwany do żywego mięsa. Siły uciekają z Atrament w jednej chwili i ciało nieruchomieje.

Zeskoczywszy z półki, zbliża się Gryzek. Idzie miękko, z podniesionym ogonem, obojętny na wszystko jak to w zwyczaju kotów. Niucha plamę krwi wokół rozrzuconych włosów dziewczyny i zaczyna ją chleptać ze smakiem.

Wiedźma prychnęła na ten widok, po czym bada własną głowę, sycząc. Czekają ją kilka dni na sienniku. Stare ciało nie goi się tak szybko jak młode. Tak, odpoczynek. I dobre jedzenie... Starucha pociąga nosem. Ten aromat! Chłopak wkrótce będzie gotowy. Mięso - nie tyle, ile chciała, ale wciąż więcej niż u żab lub myszy, och, ileż więcej! Było nie przypalić. Trzeba pilnować...

Ból głowy rośnie jak wezbrana rzeka. Wiedźma mruży oczy. Nie wolno zasnąć, powtarza sobie, nie wolno. Ciemność pod powiekami robi się coraz głębsza, rozlewa się na głowę i ciało wiedźmy, pochłania ją całą.

Jak atrament.

* * *

Wciąż z zamkniętymi oczami uświadamia sobie, że coś gryzie, że trzyma coś w dłoniach, że siedzi na krześle. Zna to uczucie, zna ten zapach, a przede wszystkim... przede wszystkim zna ten smak, wzmocniony jałowcem, tymiankiem i czosnkiem. Kruchy. Lekki.

Otwiera oczy.

Nie jest zdziwiona, widząc szeroką jesionową deskę i spoczywające na niej czarne ciało - Później ma usta otwarte w

niemym krzyku, zęby rozłupane żarem, skóra jak spękana od suszy ziemia błyszczy bogactwem przypraw. Na udzie widać miejsce, gdzie odkroiła kawałek mięśnia, który teraz żuje. Ruch z lewej przyciąga spojrzenie wiedźmy. Moment później zimny strach przeszywa jej kręgosłup, jakby ktoś wbił tam sopel i pchał bez litości.

- Zabiłam cię - szepcze starucha.

Atrament wzrusza ramionami. Jej dłoń z drewnianą łyżką zbliża się do głowy chłopca. Ktoś odkroił mu czaszkę na czubku, równo i starannie. Łyżka wchodzi do środka z mokrym odgłosem. Czarownicy zdaje się, że na dnie okrągłych dziur, w których nie został nawet ślad po wygotowanych oczach, dostrzega ruch drewna trącego o kość. Dziewczyna nabiera skurczone od żaru resztki mózgu, wyciąga niecierpliwie, po czym zjada szybko.

- Ukryte - mówi ze zmarszczonymi brwiami. - Zagrzebane głęboko, na samej granicy pamięci.

- Zabiłam cię - powtarza wiedźma, patrząc na dziewczęcą twarzyczkę i złote włosy.

- Racja, ale nie o to nam chodzi, prawda? To byłby dziwny koniec. I dla ciebie, i dla mnie.

- Demon.

- Tylko kiedy potrzeba. Potrzeba, ot co. Bohater, smok, księżniczka, diabeł, dziecko. Nieskończenie wiele innych, wciąż na nowo i na nowo.

Wiedźma siedzi nieruchomo. W nozdrzach czuje natrętny aromat mięsa, ale w ustach tylko popiół, jakby wypaliła sobie język. Powoli sięga do swych włosów, spodziewając się - nie, licząc na to - że opuszkami wyczuje pozlepiany zakrzepłą krwią kołtun.

Włosy ma suche, czyste i rzadkie. Jak zawsze. Ani śladu rany.

Atrament oblizuje łyżkę.

- Przychodzą z uczuć. Większość ze strachu, z niewiedzy, z konieczności zrozumienia świata. Nosimy je w sobie i pragniemy więcej. Wszyscy bez wyjątku. Jak ja, jak ty. I on. - Spogląda na Później. - Odsunął od ciebie uwagę. Przepraszam. Nie powinnam zabierać go ze sobą, ale tak często robię się głodna. Zostawiłam go sobie na... później. - Chichocze.

Wiedźma gorączkowo szuka wyjaśnienia, z trudem wydobywa na światło umysłu czytane przed laty wersy z magicznych ksiąg. Dlaczego tak mało pamięta? Tak niewiele potrafi? Dziewczyna spogląda w jej oczy.

- Ponieważ tym właśnie jesteś. Starą kobietą, której przeszłość nie ma znaczenia.

- Wynoś się z moich myśli! - Czarownica zrywa się z krzesła. - To tylko sen. Uderzyłaś mnie w głowę! Nie żyjesz, a ja śnię.

- Więc jedz! - Atrament chwytą zeszywniałą dłoń Później, odłamuje ją z chrupnięciem i wyciąga w stronę wiedźmy. Czarny palec sterczy oskarżycielsko. - Dlaczego nie jesz?! Teraz, dopóki jeszcze możesz, dopóki bajka nabiera kształtu i wciąż można coś zmienić!

- Nie. To nie bajka - zaprzecza wiedźma.

- Skąd wiesz? A jeśli ktoś właśnie o nas mówi? Prowadzi jak marionetkę na festynie, sznurek tu, sznurek tam? Tak! Tworzy mnie słowo po słowie, a ja, tworząc własne istnienie, stwarzam jednocześnie ciebie! - Twarz Atrament wykrzywia wściekły grymas, w kącikach ust zbiera się piana. - Jedz! Nie jestem okrutna, pozwalam ci! Jedz, zanim pożrę nas obie!

Starucha spoglądała w oczy leśnym duchom, tańczyła nago wokół błękitnego ognia. Dotykała szaleństwa. Zamiast z nim walczyć, dlaczego go nie objąć? Dlaczego nie pozwolić, by przepłynęło wokół ciebie niczym fala? I wtedy... Może zostawi cię w spokoju.

Dobywa noża, sprawnie odcina parujący kawał chłopięcego uda i zatapia w nim zęby.

Gorące mięso smakuje jak atrament.

* * *

- Proszę! Obudź się!

Wiedźma podnosi głowę. Mruga oczami. W zeschniętym na wiór gardle czuje drapanie. Siedzi przy stole; na blacie jest tylko zimny kaganek.

Spod ściany dobiega westchnienie ulgi. Atrament klęczy, unieruchomiona korzeniem zaciśniętym wokół jej kostki. Włosy ma brudne, policzki zapadnięte. Złocista skóra poszarzała, zbladła.

- Spałam - stwierdza wiedźma.

- Tak. Cztery dni. Proszę! Jestem głodna.

Sen. Kiedy się zaczął? Czarownica rozgląda się, szukając podstępu, wytłumaczenia, sama nie wie czego. Za oknem widzi żółknące liście. Od wygasłego pieca zieje pustym chłodem.

- Puść ją.

Korzeń cofa się i znika pod podłogą.

- Wynos się. - Starucha odchrząkuje. - Dalej! Wynos się! - krzyczy w stronę zaskoczonych dziewczyny. - Wynos się! Już!

Dopiero po długiej chwili Atrament nieśmiało rusza do drzwi, skulona, jakby obawiała się kary. Po drodze łapczywie pije wodę z dzbanka, zabiera parę nadpsutych jabłek i resztki placka, wciąż bacznie obserwując wiedźmę. Wychodzi tyłem przez drzwi i dopiero wtedy jej twarz rozjaśnia cień uśmiechu. Rzuca się biegiem ku drzwiom.

Starucha wygląda przez okno. Nie cieszy się. Nie, jeszcze nie. Wie, co widziała i co czuła. Zna koszmary podróżujące w ciemności i sama uważała się za jeden z nich. Wtedy ją to nie obchodziło, ale teraz?

Ostatni skrawek sukienki znika między krzakami.

- Nie. To by się nie zdarzyło - wiedźma słyszy głos Atrament za plecami. - Ale dziękuję.

Może nie pamięta wiele, może tylko liznęła prawdziwej mocy, ale rozumie Ciemność, rozumie, kiedy wpada się w jej łapy, one zaś nigdy nie puszczają. Decyzja przychodzi nagle jak ćma, która nocą wlatuje w blask płomienia. Nie czas na rozważania o ogniach piekielnych lub duszy. Nie trzeba jednać się z Bogiem czy przebłagiwać Szatana. To coś w chacie, ta dziewczyna - nie ma nic wspólnego ani z jednym, ani z drugim.

Wystarczy chwycić wierny nóż.

Lekkie syknięcie, chwila kłującego bólu i wiedźma już leży na plecach, plując, parszcząc, krztusząc się metalowym smakiem wypływającym z podciętego gardła.

Gasnącymi oczami widzi nachylającą się nad nią Atrament.

- Dlaczego? Przecież takie zakończenie jest bez sensu.

Świat ciemnieje. Nadzieja na nicość umiera ostatnia.

* * *

Siedzi i żuje. Zna ten smak. Popiół. Strach.

Z ciała Później nie zostało wiele: naga czaszka, obgryzione kości, parę strzępów na brudnej desce. Wiedźma uświadamia sobie, że po raz pierwszy od dawna zapełniła żołądek. Mdli ją. Nie z powodu śmierci, ale z powodu życia. Nie rozumie, dlaczego nie pozwolono jej umrzeć. Od dawna nie płakała, ale teraz czuje, że stare oczy powoli przypominają sobie, jak wypuścić łzy.

Atrament kołysze się na krześle.

- Jestem w piekle? - pyta wiedźma. Przez moment żałuje wyborów, których dokonała, a potem uświadamia sobie, że to już bez znaczenia.

- Nie, jeszcze nie.

Mrok wypełza z każdego kąta, obejmuje wnętrze chaty. Gdzieś w oddali milknie pohukiwanie sowy. Gryzek śpi pod ścianą, koci tułów unosi się miarowo i spokojnie. Świat za oknem ciemnieje, jakby gubił kolory. W końcu niebo, jezioro, pełne słodczy drzewa zmieniają się w plamę czerni. Nie słychać już nic prócz cichych oddechów.

Atrament wstaje i zbliża się do pieca, pod którym nagle strzelają płomienie. Gołymi dłońmi otwiera żelazne drzwiczki. W środku powietrze syczy od żaru, jakby już od dawna czekało rozpalone.

- Będziesz ich fascynować.

- Kogo? - Wiedźma nie może oderwać wzroku od rozgrzanych ścianek.

- Ludzi. To, co zrobiłaś. Dlatego opowiedzą o tobie. Napiszą.

Starucha nagle domyśla się, jaki finał ma ta historia - w jednym momencie rozumie ją od początku do końca. Widzi opowieść rozchodzącą się między głodnymi słuchaczami jak zaraza, patrzy na pióro z kroplą atramentu na stalówce spisujące słowa w wielkiej księdze. Ogląda czasy, gdy jej podobizny będą w małych kolorowych księgach, powszechnych jak żdźbła traw. I wszędzie tam ostatecznie czeka na nią gorejący piec.

- To nie opowieść - skrzeczy wiedźma, ale nawet ona słyszy niepewność w swoim głosie. - Ja istnieję! Istnieję!

- Oczywiście - prycha Atrament. - Może zaistniałaś, kiedy prymitywni ludzie po raz pierwszy zastanawiali się, co spotkało dziecko, które wyszło z jaskini, by nazbierać jagód i nigdy nie wróciło. Może byłaś sylwetką w ciemności, lękiem ukrytym wśród drzew, cieniem na granicy postrzegania. Stworzona jako przestroga. A może... Nie. Liczy się tylko zło ukryte w lesie, wielki piec i kusząca obietnica słodkiej chatki. Reszta to historia dzieci. A teraz... teraz już pora.

- Nie!

Wiedźma dopada drzwi, wybiega wprost w ciemność gęstą jak smoła, ale to nic, zna ten las jak samą siebie, mieszka w nim od... lat.

Biegnie na ślepo, pod stopami czuje trawę i miękką ziemię, krzaki chłoszczą ją po twarzy. Ucieka, nie oglądając się wstecz, jak najdalej.

Zwalnia. Staje.

Przecież nie powinna móc biec. Nie ze swoimi obolałymi plecami, słabymi nogami i zwiotczalym ciałem.

Światło na horyzoncie zbliża się jak spadająca gwiazda. Rośnie szybciej i szybciej, i wkrótce wiedźma dostrzeżę ognistą czeluść pieca i stojącą przy nim Atrament.

Siedzi na krześle zrezygnowana.

Dziewczyna patrzy na nią z żalem.

- Szczegóły są nieważne. Ludzie i tak często je zmieniają. Imiona, wiek, kolor włosów, otoczenie. Ale słowa muszą paść, by wprawić w ruch wydarzenia. Tym razem ci pomogę. Ty masz do odegrania swoją rolę, a ja... dziś będę sprytną dziewczynką. - Głos Atrament zmienia barwę: robi się cieńszy, podszyty strachem i fałszywą pewnością siebie. - Zobacz, pani, czy żar już odpowiedni. Nie umiem rozpalać pieca.

Starucha pragnie wyc i wyje, ale tylko we własnych myślach, bo gardło odmawia jej posłuszeństwa. Oczy wilgotnieją. Usta poruszają się same, chrapliwie wypowiadając kolejne słowa:

- Głupia dziewczucha! Na niczym się nie znasz.

Jej zbuntowane ciało podnosi się i drepcze do pieca, a on syczy i młaska ognistym jęzorem. Atrament stoi bokiem; może to gra światła oraz cieni tańczącego ognia, ale wiedźma przysięgłaby, że tak jak tamtej nocy, znów widzi starą, bardzo starą twarz pod obliczem dziewczynki.

Stare karmi się młodym - przypomina sobie własne słowa i myśli o pierwszych ludziach, którzy poczuli głód opowieści.

Gdy się pochyla, czuje, jak żar wysusza jej oczy.

A potem zastyga w bolesnym oczekiwaniu, aż małe dłonie spoczną na plecach i pchną ją ku zakończeniu.

Tomasz Siwiec

Podziemnik

Nienawidziłem ojca.

Bałem się go i nie posiadałem wystarczającej odwagi, aby się mu przeciwstawić. Kiedy tylko słyszałem jego podniesiony głos, wiedziałem, że będzie źle. Oczywiście, jeśli istniała taka sposobność. Ale czasami się nie dało i pokornie znosiłem jego pijackie wybuchy agresji. Bywało, że bolesne. Ojciec miał ciężką rękę. Potrafił nieźle przyłożyć.

Nie jestem już dzieckiem, ale zasiane przez niego ziarno strachu na tyle mocno wykiełkowało, że kiedy się pojawia, paraliżuje mnie lęk. Gdy zaczyna bić, pragnę wyłącznie, aby jak najszybciej skończył. Nie bronię się ani nie błagam o litość. Wychodzę z założenia, że i tak dopnie swego, więc niech zrobi to najszybciej jak może, a potem nastanie spokój. Aż do kolejnego razu.

Mama uciekła z domu, kiedy liczyłem sobie trzynaście lat. Od dawna przeczuwałem, że mnie nie kochała i tego dnia otrzymałem twarde dowody. We wsi mówili, że poszła się gonić jak suka. Smuciłem się, kiedy rzucali takie hasła, ale ludzie tutaj traktowali się bez skrupułów czy taryf ulgowych. Zapatrzeni w siebie. Jak bezuczuciowe zwierzęta, gotowe rozszarpać i zabić wszystko, co napotkają na drodze. Wiejska znieczulica, w której sentymenty odgrywają drugorzędą rolę. Jest za to agresja, wyśmiewanie i przemoc. Jakby nic innego nie trzymało ich przy życiu. Sens istnienia i zarazem kara.

Od odejścia mamy minęło prawie trzy lata. Czy ona nadal mnie pamięta? Któż to zgadnie. Ale wydaje mi się, że wciąż za nią tęsknię. Od czasu do czasu mi się śni. Jest wesoła i uśmiechnięta. Taka jak kiedyś. Mimo że bardzo mnie skrzywdziła i nieraz przysięgam sobie, że nigdy jej nie wybaczę, to i tak zawsze biegnę i padam w te szczupłe ramiona. Tulę się do niej i błagam Boga, aby ta scena nie okazała się snem. Ściskam z całej siły jej wątłe ciało, ale za każdym razem się wybudzam. Rozpacz i gorzyc, jaką wówczas przeżywam, jest nie do opisanania.

Staram się zapomnieć o tych przykrych chwilach, których razem doświadczyliśmy. Wściekłość wiecznie pijanego ojca. Te awantury i zadane przez niego ciosy. Próbuje wyrzucić z pamięci tę krew na jej opuchniętym policzku i niezliczoną ilość łez. Tego się jednak nie da ot tak wymazać. Wspomnienia są jak kleszcze. Toksyczne i siejące spustoszenie w organizmie. Niekiedy udaje mi się wrócić do miłych chwil. Do czasów, kiedy wieczorem czytała mi książkę. Właściwie to razem je czytaliśmy. Pewnej nocy w nasze ręce wpadła księga dawnych wierzeń. Zawierała historie o dziwnych stworach, upiorach oraz przerażających demonach zamieszkujących lasy i pola. Pamiętam, że szczególnie jedno zwróciło moją uwagę. Był to Podziemnik. Egzystował w lesie, a ten, na kogo spłynęło jego szczęście, wychodził z tego spotkania spełniony i bogaty. Zależało, na kogo tak naprawdę natrafieś.

Te mroczne historie rezonowały we mnie szczególnie mocno, ponieważ zamieszkiwałem na skraju lasu. W zasadzie las był jedynym miejscem, gdzie czasami udawało mi się schować i odetchnąć. Dlatego właśnie tak często tam uciekałem. Spacerowałem bez celu, wałęsając się między drzewami. O odpowiedniej porze roku zbierałem grzyby oraz jagody. Jeśli nie uśmiechało mi się głodowanie, to musiałem o to zadbać. Ojciec

z pewnością zabiedziłyby mnie na śmierć. Liczyć na niego to jak liczyć na nadejście kostuchy.

Pewnego dnia postanowiłem uciec z domu, zanim tata się obudzi i znowu będzie szukał zaczepki. Z moich rachunków wynikało, że skończył mu się zarówno alkohol, jak i pieniądze. Tyle mu wystarczyło, aby mnie uderzyć i rozkazać coś zarobić. Kiedyś myślałem, że to dobry pomysł, bo przecież jakąś część przeznaczyłbym na jedzenie, ale on zawsze mi wszystko zabierał. Pod wpływem bólu i strachu oddasz tyranowi wszystko, byle tylko dał ci spokój. Z trwogą patrzę na mój źle zrosnięty palec wskazujący. Ojciec połamał mi go w zeszłym roku, kiedy zorientował się, że ukryłem kilka złotych w kieszeni. Do tych jego cholernych, przygłuchych uszu dobiegł dźwięk uderzających o siebie monet. Wykręcił mi rękę i chwycił za palec. Próbowałem to jakoś przetrzymać - oddanie ich oznaczało głód - ale kość nie wytrzymała. Trzasnęła niczym sucha gałąź. W ogóle się tym nie przejął. Dłoń spuchnęła niemiłosiernie, ale zabronił mi iść do lekarza. Bał się problemów. Długo cierpiałem, zanim przestało boleć. Źle zrosnione kości utrudniały wykonywanie codziennych czynności, ale nie miałem się komu poskarżyć. Jeszcze kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, garstka nauczycieli zainteresowała się moją sytuacją. Zaniepokoiły ich sińce na rękach i nogach. Niestety postanowiłem milczeć. Liczyłem, że ojciec się zmieni. Błąd. Po ukończeniu szkoły podstawowej magicznie zapomniano o Tomaszu Kolczyńskim, a mnie nie udało się dostać do żadnej ponadpodstawowej.

Zdarzały się dni, że chciałem stąd uciec. Obojętnie gdzie, jak najdalej. Problem polegał na tym, że kompletnie nie wiedziałem, dokąd się udać. Nie posiadałem znajomych. Z jakąkolwiek rodziną, z uwagi na awanturnictwo, nie utrzymywaliśmy kontaktów. Byłem zupełnie sam i bałem się tego, co mógłbym zastać chociażby w sąsiedniej wsi. W

zasadzie to nigdy nigdzie nie podróżowałem. Kiedy moja klasa wyjeżdżała na wycieczki, z braku pieniędzy, zostawałem w szkole na zajęciach z innymi klasami. Niestety, tamte dzieci, które czerpały wzorce od bezdusznych rodziców, również nie traktowały mnie miło. Czułem się jak podrzutek oraz odszczepieniec. W pewnym sensie odetchnąłem z ulgą, kiedy odebrałem ostatnie świadectwo.

Zawsze marzyłem, żeby spotkać Podziemnika. To ten stwór, o którym wcześniej wspominałem. Pamiętam, że to właśnie on wyciągał do ciebie pomocną dłoń. Kiedy odważyłeś się odwzajemnić jego uścisk, to albo wynagradzał cię za to, albo pociągał w dół. Spacerując po lesie zastanawiałem się, czy takie stworzenia rzeczywiście istnieją. Dawno przestałem wierzyć w świętego Mikołaja. Ale co jeśli legenda okazałaby się prawdziwa? Czy zaryzykowałbym podanie mu dłoni? Z opowieści wynikało, że jeśli źle trafisz, czekały cię straszne konsekwencje decyzji. Podziemnik wciągał do swoich mrocznych korytarzy, abyś tam w całkowitej ciemności poddawał się jego okrutnym zachciankom. To uczucie, jakbyś się obudził w trumnie, bez szans na najdrobniejszy ruch, a wijąca się wokół ciebie bestia, zrobi z tobą, co się jej żywnie podoba. I tak nie miałem nic do stracenia. Czy będzie gorzej niż teraz? Z rozmyślenia wyrwał mnie widok dwóch podgrzybków, które nagle pojawiły się pod moimi stopami. Szybko sięgnąłem po dorodne dobra natury i wrzuciłem je do reklamówki. Podgrzybki lubiły rosnąć w niedalekiej odległości. Sięgnąłem po sterczący z pobliskich krzaków patyk i zacząłem przeczesywać pobliskie trawy. Parę kroków dalej natknąłem się na trzy nieco mniejsze sztuki. Ominąłem stary dąb, którego wielgachne gałęzie zwisały aż do podłoża, a następnie wgramoliłem się w stertę gęstych chaszczki. Machnąłem kijem, aby rozsunąć suche liście i w tym momencie zamarłem. Po ciele przebiegł zimny dreszcz. Przez chwilę myślałem, że to

złudzenie. Gra słońca i cienia. Odruchowo postąpiłem krok w tył. Jeszcze raz uważnie spojrzełem na znalezisko. Nie, to nie pomyłka. Tuż obok kolejnego podgrzybka spod ziemi wystawała koścista dłoń. Kilka much tańczyło na niej w podmuchach letniego wiatru. Kościana ręka tkwiła zanurzona w ziemi aż po łokieć. Wydawało mi się, że gdzieś tam szarzą się jakieś strawione zębem czasu tkanki, z którymi leśne robactwo nie zdążyło się rozprawić. Uważnie rozejrzałem się wkoło, upewniwszy się, że jestem sam. Zastanawiałem się, czy aby nie ponosi mnie wyobraźnia. Pomyśl racjonalnie, zawołałem do siebie na głos. To nic więcej jak legenda. W rzeczywistości nie istnieją stwory, które uczynią cię bogatym i szczęśliwym. To bajki. Wymyślone historyjki, stworzone po to, aby ludziom żyło się lepiej. Oferowały one złudzenie nadziei. Iluzje lepszego jutra. Rozumiałem to, ale coś pchało mnie w stronę tej ręki, aby ją uścisnąć. Przecież nie zaszkodzi spróbować. Najwyżej nic się nie stanie. Tylko czy to właśnie nie będzie w tym najgorsze? A co jeśli to na serio mroczne, leśne stworzenie, które wciągnie mnie pod ziemię? Czy przygotowałem się mentalnie na taki koszmar? Wokół nikogo, kto w razie problemów by mi pomógł. Nikt nie usłyszałby mojego krzyku tak daleko od domostw. Kościana dłoń była prawdziwa. W to nie wątpiłem. Sterczała spod ziemi i zdawała się czekać. Westchnąłem zrezygnowany. Czulem, że nie wykrzesam z siebie odwagi, aby jej dotknąć. Tchórz. Nawet wizja normalnego życia, o które z pewnością bym poprosił, zbledła i nagle stała się nie warta ryzyka. Odwróciłem się i ruszyłem do domu. Burczący brzuch dopominał się o jedzenie. Wiedziałem jednak, że w domu czekają na mnie jedynie puste garnki i strach.

- Gdzie się włóczyłeś przez cały dzień?

Po tonie jego głosu wyczułem, że skończy się na awanturze. Stał oparty o szafę i patrzył na mnie błędnym wzrokiem.

- W lesie - odparłem pokornie. - Pomyślałem, że coś nazbieram na...

- Zamiast szwendać po tym cholernym lesie - wszedł mi w słowo - to powinienes chwycić się jakiejś roboty. Zarobić coś. Gównno nazbierałeś! - warknął.

Otworzyłem usta, by zaprotestować i wspomnieć o podgrzybkach, ale zdałem sobie sprawę, że z tego wszystkiego zapomniałem zabrać reklamówki z lasu.

- Nic nie znalazłem - skłamałem.

- Trzeba być na serio tępym i ślepym idiotą, aby o tej porze nic nie znaleźć. Chuj by cię strzelił, Tomek. Ta cholerna dziwka mogła cię ze sobą zabrać. Nie wkurwiałyś mnie teraz.

Zbliżył się ku mnie i uderzył w ramię. Śmierdziało od niego alkoholem i czymś jeszcze. Jakbygnił od środka.

- Zabierz się do prawdziwej roboty. Wałęcki pytał o ciebie.

Ojciec wbił we mnie przekrwione ślepie, czekając na moją reakcję. Nie chciałem więcej oberwać, więc pokornie skinąłem głową. W rzeczywistości zebrało mi się na wymioty. Wałęcki to potwór w ludzkiej skórze. Nasz sąsiad. Na pierwszy rzut oka łagodny dziadunio, który potrzebuje pomocy przy codziennych czynnościach koło domu. A tak naprawdę zboczony typ ze skłonnością do wkładania dzieciom ręki w majtki. Zresztą nie ograniczał się do ręki. Nigdy nie zapomnę tego, co się wydarzyło dwa lata temu. Dziś wiem, jak to nazwać, ale wówczas pozostawałem nieświadomym i naiwnym dzieciakiem. Pewnego dnia stanął w progu naszego domu i zaproponował, że pozwoli mi u siebie trochę popracować. Tamtego dnia pili z ojcem jakiś alkohol. Zgodziłem się, bo przecież to i tak nie mój wybór, ale na serio planowałem coś dorobić. Tego samego dnia pomagałem mu układać drewno w drewnutni. W pewnym momencie poczułem uderzenie w nogi. Straciłem orientację i upadłem na deski. Nie zdążyłem się podnieść, kiedy Wałęcki przygniótł mnie do podłoża swoim ciężarem. Prosiłem go, aby

przestał, ale chwycił mnie za włosy i uderzył moją głowę o deski. Z nosa pociekła krew. Potem zsunął mi spodenki i zrobił ogromną krzywdę. Z zakrwawionymi nogami dowlokłem się do domu. Pomimo że czułem do ojca odrazę, to zamierzałem mu się poskarżyć. Nie do końca rozumiałem to, do czego właśnie doszło, ale potrafiłem rozpoznać okropieństwo. Ku mojemu zdziwieniu i rozczarowaniu tata zaśmiał się na mój widok. Potem spojrzął na mnie z pogardą i zapytał, ile kasy zgarnąłem. Szybko zrozumiałem, że doskonale wiedział, co zaszło. Mimo to nic nie zamierzał zrobić. Totalnie mu zobojętniałem. Liczyły się jedynie pieniądze na alkohol.

- Podejdę do niego - odparłem, choć nie zamierzałem tego robić. Zdesperowany, pragnąłem wrócić do lasu i spróbować odwrócić los. Tutaj czekało mnie wyłącznie piekło. Rozumiałem, że jeśli wyjdę z domu, to nie będę miał tu po co wracać. Chyba że...

Bąłem się. Tak potwornie się bąłem, że po drodze zebrało mi się na wymioty. Zrzygałem się pod drzewem i przez jakiś czas starałem się złapać oddech. Kręciło mi się w głowie. Las wirował we wszystkich kierunkach. Zrezygnowany opadłem z sił i usiadłem na ziemi. Rozpląkałem się jak małe dziecko. Zamierzałem się pomodlić, ale Bóg nie reagował na moje błagania. Nawet wówczas, kiedy wyłem jak pies, aby sprawił, żeby tata przestał się nade mną znęcać. Byłem niemal pewien, że Bóg nie istnieje. Jednak wciąż wątpiłem w obecność Podziemnika. Co prawda widziałem jego wyciągniętą ku mnie dłoń, ale tylko tyle. To stanowiło niemniej jakiś dowód. Przetarłem łzy i ruszyłem ku staremu dębowi. Nie dbałem już o to, co mnie czeka. Żadne piekło nie mogło się równać z tym, przez które przechodziłem.

Dłoń wciąż sterczała z ziemi, lecz teraz przechadzał się po niej chrabąszcz. Zbliżyłem się ku niej i wziąłem głęboki oddech.

Pomyślałem o tym, o co poprosić Podziemnika. Nie interesowały mnie pieniądze ani bogactwo. Pragnąłem świętego spokoju ze strony ojca. Żeby zdechł, a wraz z nim ta cholerna wioska. Mieszkańcy, którzy co dzień obserwowali moje cierpienie, ale nie reagowali. Każdy odwracał głowę, bo to przecież nie ich problem.

Nie namyślałem się długo. Pojąłem, że spotkanie Podziemnika to ogromne szczęście. A mnie ono spotkało. W końcu zebrałem się na odwagę i wyciągnąłem ku niemu dłoń. Przestraszony chrabąszcz czmychnął do trawy. Moja ręka drżała, kiedy zetknęła się z tą kościaną. Zacisnąłem na niej swoje palce i zgodnie z opowieścią pociągnąłem ku sobie. Na początku nic się wydarzyło. Mimo to serce waliło mi jak opętane. Przyjrzałem się miejscu, z którego wystawała i zauważyłem, że u nasady jest opleciona korzonkami. Czyżby należało jakoś silniej pociągnąć? Nie zwlekając dłużej, zaparłem się nogami o ściółkę i z całej siły szarpnąłem kościaną dłoń ku sobie. Ku mojemu przerażeniu spod ziemi wy dostało się najpierw ramię, a wraz z nim dalsza część korpusu. Zaskoczony straciłem równowagę, pociągając za sobą czyjeś zakopane zwłoki. Zrozumiałem w jednej chwili. To nie Podziemnik ani inny demon. Ciało, które wytargałem spod ziemi, wciąż nosiło postrzępione ubranie. Wiły i przelewały się przez niego dziesiątki larw i białych robaków. Wrzasnąłem przerażony, strącając je z siebie. Przeczółgałem się kawałek dalej i znowu spojrzałem na trupa.

Pamiętam, kiedy widziałem ją po raz ostatni i właśnie dlatego tak mocno zapadło mi w pamięć jej charakterystyczne ubranie. Moja mama chodziła w jasnozielonej bluzce z nadrukiem wielkiego, uśmiechniętego jabłka. Pod jabłkiem figurował napis - *Eat me!* Zakładała także tę żółtą spódnicę w kolorowe kwiaty. Wszystko się zgadzało. Spojrzałem na stopy trupa. Białe tenisówki z namalowanymi przeze mnie dwoma

sercami. Właśnie takie obuwie tkwiło na nogach umrzyka. Powoli docierało do mnie, kogo tak naprawdę znalazłem. Z moich ust wydobyło się ciche „Tato, coś ty uczynił?” Zdałem sobie sprawę, że ona wcale nie uciekła. Ojciec musiał ją zabić i tutaj zakopać. Pewnie jak zwykle się upił, więc nie zrobił tego zbyt dokładnie i stąd ta ręka. Odnosiłem wrażenie, że lada moment zemdleję. Nie miałem pojęcia, co dalej. Jakimś cudem udało mi się przeczołgać pod pobliskie drzewo. Wsparłem się o twarde pień i zamknąłem oczy. Nie mogłem tego tak zostawić. Potrzebowałem jednak minutki, aby to przemyśleć i podjąć odpowiednie decyzje.

Wierzcie sobie w legendy i mityczne stworzenia lub nie, ale ja wiem jedno. Coś nad nami czuwa. Żywe czy martwe, ale kiedy zechce, wpływa na nasze życie. Ja zaufałem Podziemnikowi. Pragnąłem podać mu dłoń, a potem poprosić o wyzwolenie. Przez jakiś czas wydawało mi się, że wcale go nie spotkałem. Teraz, kiedy popijam herbatę w moim domu i spoglądam przez okno, zaczynam rozumieć. Już się nie boję. Bo niby czego? Jest spokój i cisza. To, czego najbardziej pragnąłem. Ojca aresztowali jeszcze tego samego dnia. Po moich zeznaniach naszego sąsiada również. Podobno moją sprawą zainteresowały się lokalne media. Ktoś zupełnie mi obcy opisał mą historię, a ludzie dobrego serca postanowili wesprzeć mnie materialnie. Nie do końca rozumiem, co to jest ten Internet i te zbiórki charytatywne, ale niczego więcej mi nie potrzeba. Wierzę, że podałem rękę Podziemnikowi, ale na moją prośbę odpowiedziała mama. W końcu to ona przeczytała mi tę historię. To nie zbieg okoliczności. Zrozumiałem to, ale musiałem się nauczyć odczytywać znaki. Otaczają nas każdego dnia. Otwórz oczy i patrz uważnie.

Krzysztof Kotlarski

Czerwona kalina

Kula z makarowa gładko weszła w potylicę uciekającej co sił staruszki. Nim opuściła jej ciało przez oczodół, ofiara padła martwa obok kilku innych „szczęśliwców”.

- Kurwa, Ljocha... Ty to masz oko! - wykrzyczał z podziwem Witalij, unosząc lekko wojskową czapkę z daszkiem i drapiąc się intensywnie w dawno niemytą głowę. - Niby stara, ale, suka, zapierdalała naprawdę szybko. Jak ty to, do kurwy nędzy, robisz?

- Ech, Witia... z tym się po prostu trzeba urodzić - odparł protekcyjnym tonem Aleksiej, kręcąc makarowem młynka i chowając go do kabury. - A ty urodziłeś się z kartoflem zamiast mózgu. Na pewno nie jesteś z Białorusi? - zapytał i pacnął Witalija w czoło tak, że aż czapka naszła mu na oczy. - Czyja teraz kolej?

Witalij bez słowa przełknął zniewagę przełożonego i poprawił nakrycie głowy.

- Chyba Żeni. Siedzi w czołgu z młodym.

- Żenia! Żeń! - zawołał Ljocha.

- Co, kurwa? - odparła umorusana smarem głowa, wyłoniwszy się z czołgowego wjazdu.

- Przywlecz tu swoje zawołańskie dupsko. Twoja kolejka. I weź młodego - dodał po namyśle. - Niech się uczy, kurwa, wojaczki.

Sierżant Jewgienij Naumow zniknął na moment w trzewiach żelaznej bestii z wymalowaną na boku literą „Z”. Po chwili na dachu T-80 pojawił się młody chłopak, na oko dziewiętnastoletni, w stanowczo za dużym mundurze i wojskowych butach. Celny kopniak wychodzącego za nim sierżanta ekspresowo sprowadził poborowego na ziemię.

- Co, piteński pedale, myślałeś, że całą wojnę w czołgu przesiedzisz? - spytał Witalij, nonszalanckim krokiem podchodząc do młodzieńca. Odpalił papierosa, a tłącą się jeszcze zapalkę upuścił tuż przy twarzy chłopaka. - Bym ci zaproponował, ale, kurwa, brzoskwiniowych kissów nie palę.

Żenia zarechotał tak głośno, że śmiech odbił się echem od pobliskich ruin.

- Może jest tym... no... faperem! - dodał od siebie.

- Czym, kurwa? - zainteresował się Aleksiej, czyszczący z pietyzmem broń.

- No tym, kurwa, co elektroniczne jara.

- Vaperem, debilu.

- Vaper, faper, wszystko, kurwa, jedno. - Żenia wzruszył ramionami. - Jedna pizda.

- Wstawaj, Artiom - rzekł spokojnie Ljocha. - Rozkaz kapitana.

Chłopak dźwignął się powoli. Zaraz jednak zamarł, widząc porozrzucane wszere drogi ciała.

- Teraz twoja kolej. - Aleksiej wyszarpał z rąk protestującego Witii wintorieza i podał Artiomowi. - Masz, na początek damy ci fory.

Skinął na sierżanta. Ten bez słowa skierował się do marketu spożywczego, jedyne nietkniętego budynku w okolicy. Gdy otworzył zaryglowane drzwi, z wnętrza dobiegły go stłumione jęki, płacz dzieci i błagania kobiet. Żenia nie zabawił tam długo

i wkrótce wrócił, trzymając w żelaznym uścisku wrzeszczącą i szamoczącą się dziewczynę w zaawansowanej ciąży.

- Pamiętaj, Tioma - zwrócił się sierżant do chłopaka. - To wciąż się liczy jako jeden punkt.

Naumow ponownie zarzął i pchnął dziewczynę między żołnierzy.

- Ładniutka - zauważył Witalij. - Może by się trochę zabawić przed kolejną rundą?

- Brzuchatą będziesz jebał? - zainteresował się Żenia. - Nie brzydzisz się?

- Brzuchata, niebrzuchata, otwór ma na mego gnata - odparł wesoło Witia. - I to nie jeden... - Przykucnął obok dziewczyny i musnął jej policzek wyciągniętym zza pasa nożem.

Ukrainka przestała płakać. Siedziała tylko w kompletnej katatonii, głaszcząc rękoma swoje nienarodzone dziecko. Nagle jej zamglone błękitne oczy znów stały się przytomne i dziewczyna z całą mocą, na jaką było ją stać, splunęła żołdatowi w twarz.

Witalij zeszkrobał ostrzem resztki śliny z policzka, a następnie powolnym ruchem zlizął je z ostrza, spoglądając głęboko w oczy kobiety.

- Dobra - powiedział w końcu. - Mam pomysł na inną zabawę. Nazywa się „pokaż kotku, co masz w środku”. Przytrzymajcie kurwę! - zwrócił się do reszty, chwyciwszy mocniej kosę.

- Spokój, Witia. - Rozległ się ostry głos kapitana. - Musimy dać Artiomowi uczciwą szansę, prawda?

Żołnierz niechętnie schował broń i odstąpił od dziewczyny. Artiom, do tej pory sparaliżowany strachem, teraz w panice wodził rozbieganym wzrokiem po towarzyszach.

- Ludzie! Kurwa mać! - wykrzyknął łamiącym się głosem. - Przecież tak nie można! To przestępstwo, zbrodnia... co, do

kurwy... – Artiom zaniósł się głośnym szlochom i ukrył twarz w dłoniach.

– Szeregowy Gromow! – Aleksiej podszedł do Artioma tak blisko, że niemal zetknęli się czołami. Jego wzrok świdrował dziurę w czaszce chłopaka. – Czy mam rozumieć, że odmawiasz wykonania bezpośredniego rozkazu?

Tioma z najwyższym trudem zdołał się nieco opanować.

Powinien teraz cieszyć się pierwszym rokiem uniwersyteckiego życia. Podrywać studentki spacerujące w promieniach wiosennego słońca po newskich bulwarach. A nie uczestniczyć w teksańskiej masakrze piłą mechaniczną. W dodatku to on odgrywał tego złego.

– Co na to generał? – Artiom złapał się ostatniej deski ratunku. – Na pewno nie sankcjonował takich działań.

– „Na pewno nie sankcjonował takich działań” – przedrzeźniał go Żenia. – Ej, towarzyszu generale! Czy zezwala pan na przeprowadzenie specjalnej operacji mordowania nazistowskich kurew? – zawołał do mężczyzny siedzącego na skąpanej w słońcu ławeczce.

Generał Arkadij Giennadiewicz Izjumow, głównodowodzący 4. Korpusu Zmechanizowanego Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej, był zalany w trupa. Gdyby nie założone na oparcie ławki ramiona, prawdopodobnie już dawno runąłby na siedzisko. Zasnęte wymiociny, które skleiły ze sobą medale na klapie kamandira, świadczyły o tym, że znajduje się w tym stanie od dłuższego czasu.

– Zezwalam, zezwalam – wychrypiał dowódca zdartym głosem. Machnął ręką, jakby chciał odgonić natrętną muchę i powrócił w objęcia ciepłego basenu wypełnionego samogonem, jakim był obecnie jego umysł.

– Widzisz? Generał właśnie usankcjonował nasz konkurs. – Kapitan położył dłoń na ramieniu Artioma. – A teraz podejdiesz tam, każesz ukraińskiej dziwce uciekać, a

następnie rozpiardolisz głowę tej suki przy użyciu snajperki, rozumiemy się? - Aleksiej dla jasności przekazu przyłożył zabytkowego makarowa do skroni chłopaka.

Poborowy przez chwilę stał jak kamień, analizując w głowie wszelkie możliwe scenariusze. W każdym z nich ktoś ginął.

- Służę Rosji, panie kapitanie! - Artiom wykonał szybki salut drżącą dłonią i postąpił do przodu. - Biegnij - rozkazał dziewczynie, wskazując kierunek wintówką.

Nie poruszyła się. Nawet na niego nie spojrzała. Wpatrywała się tylko tępo w nieokreślony punkt w oddali. Artiom przykucnął na linii jej wzroku.

- Biegnij - powtórzył błagalnym tonem, gdy Ukrainka skupiła się na jego twarzy.

Dziewczyna, zdaje się, pojęła zamysł, który niemal telepatycznie próbował przesłać jej Artiom. Powoli wstała i zaczęła się cofać. Szła najpierw tyłem, a gdy uwierzyła, że nikt nie rozstrzela jej od razu, odwróciła się i pognąła ku odległej linii drzew tak szybko, jak pozwalał jej stan.

- No, Tioma, to twój chrzest - dopingował go Żenia, obejmując ramieniem. - Wykończ ją i pójdziemy się napić!

Artiom uniósł do oka celownik optyczny. Sylwetka wycieńczonej kobiety była doskonale widoczna na tle otaczających miasteczko pól. Ukrainka nie przebyła nawet połowy drogi dzielącej ją od lasu. Potknęła się, nie po raz pierwszy, na błotnistej ziemi i obejrzała za siebie. Artiom przez lunetę karabinu widział jej przerażone oczy. Nadszedł moment decyzji. Chłopak miał tylko nadzieję, że okaże się słuszna.

- Strzelaj. - Dobiegł go napięty głos kapitana.

- Ucieka ci, kurwa! - dodał zdecydowanie bardziej podniecony Żenia.

Gromow zwlekał. Może jeśli zaczeka, podnosząca się nad czarnoziemem mgła skryje dziewczynę.

- Dawaj, pedale! - warknął Aleksiej wyprowadzony z równowagi. Próbował wyszarpać wintorieza z dłoni Artioma, ale ten uczeplił się broni najmocniej, jak potrafił. W końcu kapitan przyłożył mu z główki prosto w nos, a następnie poprawił kopniakiem w brzuch. Ostatni cios odrzucił chłopaka na dobre dwa metry w tył. Upadając, Artiom uderzył w asfaltową nawierzchnię drogi i jego umysł ogarnęła ciemność. Zdążył jeszcze zarejestrować, jak Ljocha podnosi wintówkę do strzału, a następnie siarczyście klnie.

* * *

- I po chuj młodego ciągnąłeś? Wiadomo było, że tak to się skończy - skomentował Witia, odpalając kolejnego papierosa. Nadlatująca pięść kapitana sprawiła, że nie zdążył nacieszyć się szlugiem.

- Bierz chłopaków, sprzęt i znaleźć mi tę kurwę! - ryknął Aleksiej. - Żenia, odpalaj KAMAZ-a.

Sierżantowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Sekundę później zniknął w szoferce. Pozostali zgarnęli plecaki i pospieszyli za nim, zwołując po drodze kilku innych żołnierzy z oddziału. Gdy wszyscy znaleźli się na pace maszyny, Witalij dał znak Żeni i silnik KAMAZ-a zaryczał jak zarzynane prosię. Ruszyli w stronę lasu.

- A po kiego chuja my właściwie ganiamy połowę jednostki za jedną kurewką? - zagadnął Jewgienij. - Zostało nam ich jeszcze mnóstwo.

- Suka potem dotrze do jakiejś chujem smyranej Polszy i będzie rozpowiadać, jak to uciekła spod nosa 4. Korpusu, bo jakaś pizdeczka się nad nią ulitowała. Niedoczekanie, kurwa - odparł Aleksiej z zawziętą miną. - Dodaj gazu!

- To nie pierdolone ferrari - odgryzł się Żenia, ale docisnął pedał do podłogi.

Gdy dotarli do linii drzew, kapitan kazał się zatrzymać.

- Dobra. Ty, Witia, idziesz w prawo, a ty, Żenia, w lewo. Ja wykręcę tym złomem do trasy i upewnię się, że nie wróciła na drogę. Tworzycie czteroosobowe pododdziały, rozumiano? Wiecie, kurwa, gdzie prawo, a gdzie lewo, prawda, jełopy? A, i biorę ze sobą Nurbeka.

Dwaj żołnierze z kwaśnymi minami zebrali ekwipunek i opuścili pojazd, dobierając po trzech kompanów do każdej z grup. Aleksiej zawrócił i, bezlitośnie traktując ukraińską ziemię buksującymi kołami KAMAZ-a, odjechał w kierunku szosy.

* * *

Grupa Witalija zaraz po wejściu między drzewa rozdzieliła się z oddziałem Żeni i skręciła w prawo. Tereny wokół miasteczka były opanowane przez rosyjskie siły. Nie oczekiwali żadnego zagrożenia, kałasznikowy luźno zwieszały się z pleców tropicieli. Uważnie rozglądali się jednak na boki i wsłuchiwali w niesione wiatrem odgłosy. Próbowali złapać ślad ciężarnej dziewczyny. Witii cierpliwości starczyło na jakieś dwadzieścia minut.

- Kurwa, ja pierdolę - podsumował krótko wyprawę. - Na froncie nasi chłopcy się biją, na tyłach piją, a my się tu pierdolimy, kurwa, w lesie, jak jacyś spedaleni grzybiarze. Jeszcze nas tu, kurwa, coś napromieniuje jak tych pod Czarnobyłem. Wracamy do obozu.

Na komendę oddział zrobił w tył zwrot i ruszył po własnych śladach.

Zaledwie po kilku krokach Witalij raptownie się zatrzymał. Gestem nakazał towarzyszom uczynić to samo. Przytknął palec wskazujący do ust i zaczął nasłuchiwać. Po chwili spomiędzy drzew dobiegła ich ledwie słyszalna melodia. Ktoś śpiewał. Witia uśmiechnął się od ucha do ucha, a dwa złote zęby zaśniły w promieniach wiosennego słońca, przebijających przez korony drzew. Machnął ręką w kierunku źródła dźwięku i oddział

ruszył naprzód. Po około pięćdziesięciu krokach wspięli się na niewielkie wzniesienie. Tam drzewa zrzedły, jakby napotykały jakąś niewidzialną barierę. Oczom żołdatów ukazała się kwiecista łąka i oślepiające odbitym blaskiem jezioro. Witalij nie pamiętał wzmianki o jeziorze w pobliżu, ale też nigdy nie uważał szczególnie na odprawach taktycznych. Śpiew, który moment wcześniej ucichł, dało się usłyszeć ponownie, znacznie już wyraźniej:

*Ой у лузі червона калина похилилася,¹
Чогось наша славна Україна зажурилася.
А ми тую червону калину підіймемо,
А ми нашу славну Україну, гей-гей, розвеселимо!*

Witalij wyszarpał z kieszeni lornetkę i spojrzał na jezioro. Na brzegu zobaczył dwie młode dziewczyny zajęte praniem koszul, umilające sobie czas wspólnym śpiewem. Ewidentnie żadna z nich nie była w ciąży.

- Baby to są jednak głupie - zaśmiał się Witia, przekazując lornetkę jednemu z kolegów. - Tu wkoło wojna...

Żołnierz z prawej trącił go łokciem i wskazał na niebo. Witalij skinął głową i na wszelki wypadek się przeżegnał.

- Tu wkoło trwa specjalna operacja wojskowa - poprawił się - a te, kurwa, przepierkę robią. Chodźcie, chłopaki, zerwiemy się trochę przed powrotem.

Pomaszerowali skrajem lasu, by podejść do dziewczyn, pozostając jednocześnie niezauważonymi. W najdogodniejszym punkcie Witalij zatrzymał oddział i rozkazał czekać. Sam zaś podkraść się do sporego głazu narzutowego i skrył w jego cieniu. Od kobiet dzieliło go zaledwie kilka metrów. Nie było szans, żeby im uciekły.

Już miał chwycić za broń i opuścić kryjówkę, gdy dziewczęta przerwały śpiew. Zaczęły zdejmować z siebie proste, lniane

tuniki, które bardziej pasowały do jakiegoś skansenu niż współczesnej ukraińskiej wsi. Zapewne po zakończonej pracy planowały wykąpać się w jeziorze.

Witia zastygł w bezruchu. Dziewczyny były oszałamiająco wprost piękne. Obie blondynki, jedna z misternie zaplecionymi warkoczami, a druga z prostymi włosami sięgającymi niemal do pasa. Gdy zrzuciły odzienie, żołnierz z trudem powstrzymał jęk podniecenia. Właścicielka warkoczy posiadała piersi tak jędrne, że uwolnione z tuniki podskoczyły sprężyście. Idealnie zaokrąglone pośladki prezentowały się smakowicie niczym bochenki świeżo wypieczonego chleba. Przewyższała koleżankę o głowę i wyglądała na nieco starszą. Gdy pochyliła się, by podnieść z ziemi ubranie, widok jej ciasnej szparki sprawił, że Rosjanin nie wytrzymał i wsadził rękę w spodnie. Druga miała bardziej dziewczęce ciało, ale jej twarz należała do tych, przez które wszczynają się wojny. Witalij porównałby ją do Heleny Trojańskiej, gdyby czytał książki. Ale nie tracił czasu na takie bzdury. Zamiast tego rozpiął do końca pas i z pulsującym członkiem w dłoni ruszył do akcji.

- Witam, drogie panie! - Ukłonił się z najwyższą gracją, na jaką pozwalały spuszczone portki i dyndający na boki nabrzmiały kutas. - Obawiam się, że znajdujecie się w strefie zamkniętej. Ja i moi koledzy będziemy was musieli przeszukać. Dogłębnie - dodał, oblizując spierzchnięte usta.

Co ciekawe, dziewczęta nie krzyknęły w panice ani nie próbowały zasłonić nagich ciał. Nieziemsko piękna bogini, z cyczkami niczym kule do car-puszki, paluszkami zachęciła jedynie, by podszedł bliżej. Witalijowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zagwizdał, dając reszcie oddziału znak, by wyszli z ukrycia. Potem jego uwaga skupiła się na stojących przed nim aniołach, które zamierzał sprowadzić na bardzo złą drogę.

- Ale z was, Ukrainek, małe kurewki - wymamrotał, rozbierając się. - Władimir Władimirowicz miał rację;

faktycznie bardzo przyjaźnie nas witacie. W Wołgogradzie nikt mi, kurwa, nie uwierzy.

Nieskrępowane w najmniejszym stopniu dziewczyny otoczyły Witalija, ich biodra kołysały się hipnotyzująco niczym dzwony kurantów na kremłowskiej Spasskiej baszcie. Starsza przywarła do niego gorącymi piersiami. Jej sutki sterczały jak pociski w systemie raketowym BUK. Nie tylko one zresztą były gotowe do wystrzału. Gdy ręka młodszej kobiety zamknęła się na członku Rosjanina, tylko przywołanie obrazu świętej pamięci babci powstrzymało Witię od przedwczesnej detonacji.

Dziewczyny obsypywały go pocałunkami, każdy kolejny gorętszy od poprzedniego. W pewnym momencie zaczęły parzyć, ale Witia miał to gdzieś. Zamknął oczy i upajał się miękkimi dłońmi gładzącymi niespiesznie jego przyrodzenie i smakiem obfitej piersi, którą ssał łapczywie. Reszta świata przygasała. Dźwięki dochodziły do żołnierza stłumione, jakby znajdował się pod wodą. Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że słyszy krzyki. Ale to działo się gdzieś tam, na zewnątrz. Nie wpływało na Witalija i to święte połączenie ciał.

Po momencie w raju - nie wiedział, czy były to sekundy, czy godziny - kobiety sprowadziły go na ziemię pokrytą miękkim trawiastym kobiercem. Dziewczyna o twarzy niewinnej jak nowo narodzone dziecko pochylała się nad nim, gładząc po policzku. Z kaliny nad jej głową zwisały dorodne czerwone owoce, których ciężar nachylał krzew w stronę kochanków. Witalijowi wydało się, że przed chwilą roślina wypuszczała zaledwie pierwsze wiosenne listki, ale ta myśl uleciała z jego głowy równie szybko, jak się pojawiła. Opanowało go bowiem zupełnie nowe doznanie. Druga z dziewcząt zamknęła lufę czołgu Witii w swoich pełnych ustach i zaczęła metodycznie przesuwając się po niej w górę, i w dół, w górę, i w dół... Jaźń Witalija opuściła ciało, wznosząc się gdzieś wysoko, ku gorącemu słońcu.

- Panie kapralu! Kurwa, ja pierdolę! Proszę się nie ruszać, panie kapralu! - Jakiś natrętny owad próbował przerwać idyllę Witii.

Żołnierz z najwyższym wysiłkiem uniośł powieki, by przegnać źródło hałasu. Niebo, jeszcze niedawno ubrane w piękny odcień błękitu, teraz było ciemne, groźne i zasłane chmurami. Rosnąca nad nim kalina nie ugięła się już od owoców. Cała gniła, a po jej konarach pełzały ogromne, ociekające śluzem larwy.

- Co do kurwy...? - zapytał mózg Witalija, wrzucający dopiero pierwszy bieg.

Żołnierz uniośł się na przedramionach, by zobaczyć, co stało się z dziewczynami. Wciąż tam były. Tak jakby. Wpatrywały się w niego dwa przedziwne, włochate stwory. Przypominały nieco orangutany, jeśli orangutany posiadałyby trzydziestocentymetrowe szpony. Piersi większej pokraki, które z taką namiętnością pieścił, teraz zwisały obleśnie niczym czarne, spalone na węgiel bliny. Dziwadło wyszczerzyło w uśmiechu pełną ostrych zębów paszczę.

Świat Witii ponownie ruszył. Z pyska bestii zwisały resztki tak dobrze mu znanego i drogiego Witalija Juniora. Ułamek sekundy później kosmos zlitował się nad Rosjaninem i przesłonił makabryczny widok fontanną krwi i moczu tryskającą z jego krocza.

Z gardła żołnierza wydobył się przeciągły pisk, dosięgający rejestrow, których nie powstydzilyby się najznamienitsze sopranu Teatru Bolszoi.

- KURWA! Kurwa! Kurwa! Kurwa! Kurwa! Kurwa! Kurwa! - wrzeszczał Witalij, po omacku szukając pistoletu. Ten jednak leżał, zawinięty w onucę razem z ubraniem, poza zasięgiem Rosjanina. Powietrze przecięła seria z kałasznikowa, której nie udało się zagłuszyć zawodzenia rannego. Kule dosięgły stwora przeżuwającego żylastą kuśkę kaprala, nie robiąc na potworze

większego wrażenia. Mniejsza poczwara rzuciła się w kierunku reszty oddziału.

- Suka... - wysapał Witia, bo nie miał sił krzyczeć. - Zajebię cię gołymi rękoma.

Były to ostatnie słowa kaprała Witalija Dmitrijewicza. Chwilę później ostre jak gilotyna pazury odseparowały większość jego twarzy od czaszki. Oko Witii, które pozostało w oczodole, zarejestrowało jeszcze wychodzące z wody, nabrzmiące od gazów, rozkładające się trupy. Za nimi kroczył potwór z ciałem zawodnika sumo i pokrytą szczecinią głową ropuchy. W rękę dzierżył złoty trójząb, który miłościwie zatopił w piersi Witalija.

* * *

Sierżant Jewgienij Naumow obrał zgoła inną taktykę. Gdy tylko pożegnali oddział Witalija, zawrócili na skraj lasu. Znalazłszy wygodne miejsce pomiędzy świeżo obsianymi polami, postanowili urządzić piknik.

- Na chuj się męczyć? - tłumaczył towarzyszom Żenia, przeszukując swój magiczny plecak, w którym zawsze była wódka i zakąska. - Co my, kurwa, medale dostaniemy za to, żeśmy znaleźli dziunię, której wcześniej daliśmy uciec? Nie sądzę. A jak jej nie znajdą, to i tak wszystko pójdzie na młodego. Generał to potwierdzi, jak wytrzeźwieje. - Triumfalnie uniósł litr chortycy i pęto grubej kielbasy, wywołując oklaski i wiwaty członków oddziału.

Butelka krążyła już od jakiegoś czasu, gdy jeden z żołnierzy, Misza, zapytał:

- Panie sierżancie - zaczął niepewnie - ale tak szczerze, podoba się panu to, co tutaj robimy?

Jewgienij z miną zawiedzionego pedagoga pokręcił głową.

- Co, heroiczny czyn naszego poborowego namieszał wam w głowie? - Żenia zawiesił głos i zatrzymał wzrok na kielkującej w ziemi pszenicy. - Wiecie, że moja matka jest z Ukrainy?

Mieszka w Kijowie. Tyle lat prosiłem, żeby przeniosła się do mnie, do Kazani. Odmawiała. Skoro nie chce wrócić do prawdziwej ojczyzny, to ojczyzna wróci do niej. – W oczach Żeni stały łzy, a jego mocarna pięść trzykrotnie uderzyła w pierś. – Robię to wszystko dla niej!

– Strzelanie do cywili, gwałcenie i kradzieże też? – dopytywał Michał.

– Nie, to robię dla zabawy – odparł Jewgienij i zagrzmiał śmiechem. Wesołość żołnierza jednak raptownie się urwała. – A teraz stul dziób, pij i nie kwestionuj rozkazów. Bo zajebię jak psa.

Po kilku kolejkach dwóch żołdatów udało się do małego zagajnika za potrzebą. Misza leżał bez świadomości, oparty o swój plecak.

– Litr na czterech, a ten odpada – głośno myślał Żenia, chwiejnie podnosząc się na nogi. – Od razu widać, żeś zdrajca i faszysta. Zgłoszę to kapitanowi! – Sierżant pogroził śpiącemu palcem. Po chwili uznał, że trybunał może poczekać, aż się wysika. Nie poszedł niemniej za dwójką pozostałych, przecież nie był pedałem. Zamiast tego udał się na środek poletka, gdzie stał strach na wróble, i uzdatnił nieco glebę dla wzrastającej pszenicy.

Proces trwał dość długo, więc Żenia postanowił się w międzyczasie rozejrzeć. Pijany wzrok sierżanta zatrzymał się na słomianej kukle. Strach na wróble wyglądał bowiem dość niecodziennie.

– He, he – zarżał Żenia. – Masz większego kutasa ode mnie! – W odmętach umysłu odszukał informację, że taką kukłę Ukraińcy nazywali Kostrubonko. Matka mówiła, że na wsi robili im rytualny pogrzeb kończący zimę i zwiastujący wiosnę. Gigantyczna faja zaś zapewniała udane zbiory.

– Zima dawno skończona, kolego, zapomnieli o tobie – poinformował kukłę sierżant.

Strzepnął resztki moczu z członka Dumy Państwowej i z niemałym trudem zapiął rozporek. Dopiero wtedy podniósł wzrok i zauważył, że na głowę stracha ktoś taśmą przykleił jego własną podobiznę. Fotografia pochodziła z jego paszportu, więc rzecz jasna wyglądał na niej jak ziemniak.

- O, przepraszam. - Żenia uniósł dłonie w geście pojednania. - Nie wiedziałem, że jest zajęte. - Zachichotał. - I co się, kurwa, śmiejesz, pedale jeden! - Sierżant natychmiast spoważniał i wymierzył solidnego kopniaka w podtrzymujący kukłę kij. Drewno pękło z trzaskiem, a Kostrubonko zwał się na ziemię.

- Może ten pomysł z pogrzebem nie jest taki głupi - zastanowił się głośno Jewgienij. - Już pora, żeby pozbyć się ciebie raz na zawsze. Trzydzieści pięć lat się z tobą użeram. Koniec tej gejozy. Ani dnia dłużej!

Sierżant odwrócił się od swego słomianego bliźniaka, by przynieść z plecaka saperkę. Zaraz jednak zatrzymał się, by poprawić strategiczne rozmieszczenie swojego oddziału w majtkach. Zsunął lekko spodnie i włożył rękę pod bieliznę.

Przyjemne łaskotanie w okolicy odbytu podnieciło Jewgienija bardziej, niż gotów był przyznać. Wyjął rękę zawstydzony, lecz delikatny dotyk wywołujący gęsią skórkę nie ustawał. W następnej sekundzie męskość Żeni poddana została ogromnej próbie, gdy ktoś zerwał jego bokserki i brutalnie wtargnął mu w odbył. Wszelkie pozory i lata nienawiści do samego siebie zniknęły w jednej chwili. Odrzucił głowę w tył przepełniony ekstazą i zawył niczym wilk przy pełni księżyca. Od strony lasu odpowiedziały mu podobne zawołania, ale Jewgienij nie zarejestrował tego, upajając się wolnością pierwszy raz w życiu. Ktoś zarzucił mu jego własny pas na szyję i ujeżdżał jak dojrzałą kobyłę.

Dla Żeni trwało to wieczność. Wokół niego padały strzały, rozlegały się wrzaski, w któryś momencie na twarz sierżanta

chlusnęła ciepła ciecz. Żenia wędrował tymczasem przez inny plan egzystencji, gdzie królowały miłość i braterstwo, a tęcza nigdy nie schodziła z niebieskiego firmamentu.

Ze świata zakazanych, zachodnioeuropejskich fantazji wyrwał go potworny ból. Żenia z wysiłkiem obrócił przytrzymywaną pasem głowę. Wpatrywały się w niego jego własne, przenikliwe oczy. Nie była to wyłącznie papierowa maska, lecz jego tłamszone przez lata alter ego, z idiotycznie szerokim uśmiechem na twarzy. Przytroczone do słomianego ciała ogromne warzywo, najprawdopodobniej kabaczek, coraz głębiej penetrowało dziurę sierżanta. Oczy Jewgienija praktycznie opuściły orbity w wyrazie strachu i bólu. Wyjął, zdołał wycedzić:

- Przestań... proszę... Matuszko, tak bardzo boli...

Kostrubonko potężnym pchnięciem wprowadził swojego wegańskiego penisa jeszcze głębiej. Żenia padł twarzą w żyzną ukraińską ziemię. W tym momencie marzył jedynie o tym, by umrzeć lub chociaż stracić przytomność. Czuł, jak każdy kolejny ruch rozrywa jego jelito. Ostatkiem sił wymacał w kieszeni zapalniczkę. Odpalił dziadkową zażygałkę i rzucił w pierś zboczonego potwora. Ten natychmiast zajął się ogniem. Zdecydowanie szybciej niż powinien. Ogień objął także szmatę, w którą zawinięty był nieszczęsny kabaczek. Płomienie trawiły wnętrze Żeni, gdy ten gasnącym wzrokiem wpatrywał się w lizaną językami ognia twarz swojego prawdziwego JA.

Jewgienij Naumow ocknął się jakiś czas później. Zasklepiona ogniem rana zatrzymała krwawienie, co przedłużyło zarówno jego życie, jak i cierpienie. Kierowany instynktem przetrwania, pełził przed siebie w poszukiwaniu pomocy. Wkrótce przytępienie bólem ucho sierżanta dosłyszało kobiecy śpiew. Żołnierz, niczym robak na mokrej ziemi, sunął w kierunku głosu.

*Ой у полі ярї пшениці золотистий лан.²
Розпочали стрільці січовїї з ворогами тан.
А ми тую ярую пшеницю ізберемо,
А ми нашу славу Україну, гей, гей, розвеселимо!*

W końcu zamglony wzrok sierżanta dostrzegł sylwetkę na swej drodze. Żenia zebrał wszystkie siły i skupił się na postaci.

- Proszę, pomóż. W imię Boga Jedynego... - wymamrotał żołnierz.

Kobieta odwrócona do niego plecami zamilkła. W pierwszej chwili Żeni wydało się, że ubrana jest w ślubną suknię. Jednak białe koronki rozsunęły się, tworząc przepiękne skrzydła, lekkie niczym utkane z samych chmur. Stopy postaci nie dotykały ziemi. Drobną dziewczyna odwróciła się powoli i rzuciła coś Żeni. W sierżanta wpatrywały się teraz zastygłe w przerażeniu oczy spoglądające z odciętej głowy Miszy. Jewgienij spróbował jeszcze podnieść wzrok, ale zdołał jedynie usłyszeć świst przecinającego powietrze sierpa, nim podzielił los towarzysza.

* * *

Gwałtownemu zatrzymaniu kół KAMAZ-a towarzyszył przeraźliwy pisk. Pojazd zaliczył lekki poślizg na zmoczonej rześistym deszczem drodze. Aleksiej wysiadł z szoferki i zbiegł na pobocze. Chusta wisząca na rosnącym nieopodal krzewie jałowca bez wątpienia należała do uciekinierki. Pozostawione w mokrej, przydrożnej ziemi ślady stóp wskazywały, że ponownie skierowała się do lasu, prawdopodobnie słyszac nadjeżdżające auto.

- Wysiadka, panowie! - krzyknął Ljocha do żołnierzy na pace KAMAZ-a. - Idziemy na polowanie.

Pięcioosobowy oddział zebrał ekwipunek i zagłębił się w gęsty las. Na czele szedł Nurbek, którego za młodu, w rodzinnym Kirgistanie, nauczyli sztuki tropienia. Z łatwością

odnajdywał ślady obuwia, strzaskane gałązki i zdeptaną ściółkę. Już po kilkunastu minutach pośród drzew dało się dosłyszeć ciche, regularne chrupnięcia. Kirgiz gestem nakazał reszcie się zatrzymać. Zlokalizował kierunek, z którego dochodził dźwięk, i powoli, uważając, gdzie stąpa, ruszył dalej. Jego towarzysze odbezpieczyli broń. Wkrótce oczom żołnierzy ukazał się starzec w łachmanach, który szedł, podpierając się sękatym kosturem. Nurbek ponownie zatrzymał się i poczekał, aż podejdzie do niego kapitan.

- Nie wygląda mi on na ciężarną kobietę - zwrócił się Aleksiej do tropiciela.

- Ten staruch ma stopy wielkie jak korzenie dębu, to nie on zostawił ślady - zauważył Kirgiz. - Musiała przebiec obok niego. Może wie, w którą stronę związała?

Twarz Ljochy złagodniała.

- Niewykluczone. Zapytajmy go - powiedział i z głośnym metalicznym szczęknięciem przeładował wintorieza. - Hej, dziadula, dokąd idziecie? Pomoc wam nie potrzebna?

Staruszek przystanął i odwrócił się do żołnierzy. Mimo nienaturalnie wręcz bladej twarzy sprawiał wrażenie przyjaznego.

- Oj, synku, do chaty zmierzam, a gdzieżby indziej? - Dziadek przywitał żołdatów szerokim uśmiechem spod gęstej, siwej brody. - Tylko na deszcz w kościach łamie, iść ciężko. Pomóżcie staremu człowiekowi, chłopcy! Na pewno pamiętacie ze szkoły taki wierszyk:

Deszczyk, deszczyk, nie mocz brody.

Deszczyk, deszczyk, wstrzymaj wody.

Daj do domu dojść temu

Dziadkowi siwemu.

Członkowie oddziału wymienili spojrzenia, a Nurbek zagwizdał i zakręcił palcem przy skroni. Samotny staruch w środku lasu ewidentnie był niespełna rozumu.

- Tak, dziadziu - uspokoił starucha Ljocha. - Pewnie, że pomożemy. Ale najpierw ty możesz pomóc nam. Nie widziałeś biegnącej przez las kobiety przy nadziei? Zgubiła się. Ten tu, Dima - wskazał na jednego z żołnierzy - to jej brat i bardzo się martwi.

- Niewiasta w błogosławnym stanie, powiadacie? - Staruszek w zadumie przeczesywał brodę, z której sypały się liście i kawałki kory. - Tak, widziałem z daleka jakąś młódkę kilka minut temu. Tam zmierzała. - Wskazał Aleksiejowi kierunek. Ten już zbierał się do biegu, gdy starzec zagroził mu drogę kijem. - Ale dobrze wam radzę, chłopcy, nie idźcie tam.

- A to niby czemu? - zapytał zirytowany Ljocha, odtrącając ręką kostur.

- Nie słyszycie? - Starzec przyłożył dłoń do ucha i wznosił oczy ku niebu. - Leszy spuścił swe psy z uwięzi. Będą dziś ucztować.

- Jaki, kurwa, Leszy? O czym on pierdoli? - Dima zaniósł się nerwowym śmiechem. Uśmiech zastygł mu jednak na twarzy, gdy z miejsca wskazanego przez pomyłonego staruszka rozległo się przeciągłe wilcze wycie.

- Leszy to pan tych lasów - uprzejmie pospieszył z wyjaśnieniem dziadek. - Dbą o każdą roślinę i każde stworzenie przebywające pod opieką tej kniei. - Starzec rozłożył ramiona i wykonał radosny piruet. - A wy od kogo przybywacie, chłopcy? Aby nie komuniści? - Nagle przestał się obracać jak w tańcu i, zmrużywszy oczy, przyjrzał żołnierzom. - Leszy nie lubi komunistów. Nie szanują drzew!

- Ależ skąd, dziadula! - odparł Aleksiej, udając zdziwienie i puszczając oko do kamratów. - My od nowego cara!

Pozostali głośno zarechotali. Tylko Dima wciąż rozglądał się, wypatrując w coraz mroczniejszym lesie dzikich bestii.

- Cara, powiadacie? - Stary zadumał się i podrapał po potylicy. - Chyba zbyt długo z chaty nie wychodziłem. A batiuszka car jak się odnosi do sprawy ukraińskiej?

- Bardzo pozytywnie! - zapewnił Ljocha. - Właśnie przeprowadzamy specjalną operację, która zlikwiduje wszystkie... problemy Ukrainy.

- Oj, coś wam nie wierzę. - Starzec spochmurniał, podobnie jak niebo nad nim. - Szkoda was, dzieci. Młodzi jeszcze i głupi. Ale Wielki Żmij wydał ukaz, a Leszy zobowiązany jest do posłuchu. Tysiąc lat Żmij spał spokojnie, pozwalał rozwijać się waszej „cywilizacji”. Ale nie, trzeba było wprost na leże bestii bomby zrzucić! Tu naród dobry i dawnych prawd nauczony. Wiedział, jak o pieczęci dbać. Kto teraz Żmija poskromi, skoro braci swoich w pień wyrznięliście, co? Wracajcie, skąd przyszliście. Dziadkowi za jedno, cali czy w porcjach!

Nie zważając na osłupiałe miny żołnierzy, staruszek zaczął płaść po polanie, tym razem potwornie przy tym fałszując:

*Марширують наші добровольці у кривавий тан,³
Визволяти братів-українців з московських
кайдан.*

*А ми наших братів-українців визволимо,
А ми нашу славу Україну, гей-гей, розвеселимо!*

Coraz bardziej nerwowo Dima padł na kolana i wyszarpał spod kurtki wisiorek z symbolem kołowrotu. Zamknął oczy i skierował twarz w stronę słońca, mamrocząc pod nosem.

- Widzę, że i wśród was nie wszyscy zapomnieli o rodzimej wierze! - Starzec zakończył taniec i podszedł do Dmitrija. - Witaj, synu. Dziś dostaniesz szansę, by zmasać przewiny.

- Zamknij ryj, ojciec! - wykrzyknął Sierioża czekający dotychczas w odwodzie, po czym wystrzelił pojedynczą kulę w kierunku starca. Strzał okazał się celny i pocisk przeszył klatkę piersiową dziadka, który bez jęku padł na ziemię.

- Idioto! - warknął Aleksiej. - Ten wariat mógł nas poprowadzić przez ten las. - Odwrócił się w stronę Siergieja, ale żołnierza już tam nie było. Jedynie kołyszące się gałązki świadczyły o tym, że chwilę wcześniej stał obok. - Jeśli to dezercja, to rozstrzelam bez trybunału! I ciebie, Dima, też!

Nad głową Ljochy coś zaszeleściło. W gasnącym świetle dnia jego wzrok nie mógł spenetrować gęstej korony drzewa. Wciąż jednak było wystarczająco jasno, by kapitan rozpoznał trzymające karabin ramię, które z głuchym tąpnięciem spadło mu pod nogi. Wpatrywał się bezmyślnie w oderwaną kończynę, gdy nagle zza jego pleców dobiegło kolejne gruchnięcie, tym razem znacznie głośniejsze.

- Ja pierdołę, wilkurwakołak! - wrzasnął Nurbek i wypuścił długą serię z automatu.

Kapitan obrócił się w momencie, gdy ogromna włochata łapa uderzyła w niego z siłą końskiego kopniaka. Cios opróżnił płuca Aleksieja z powietrza i z dużym prawdopodobieństwem złamał kilka żeber. Żołnierz nie stracił jednak przytomności. Nie mogąc złapać oddechu, ze zgrozą obserwował, jak przerażająca hybryda wilkora z małpoludem ogania się od pocisków wypluwanych przez karabin Kirgiza jak od irytującego robactwa. Nurbek zapomniał, że nie gra w amerykańskim filmie. Na jego twarzy pojawił się wyraz kompletnego zaskoczenia, gdy po kilkunastu sekundach opróżnił magazynek. Niepowstrzymywany już niczym potwór zaszarżował i swoją masą przygwoździł żołnierza do drzewa. Uniósł zwiotczałe ciało gorylą łapą i złamał kark mężczyzny niczym suchą gałązkę.

Ljocha w tym czasie robił, co w ludzkiej mocy, by wstać. Niepokojąco blisko rozległo się wilcze wycie. Ostatni ocalały

żołnierz z oddziału podbiegł do kapitana i pomógł mu dźwignąć się na nogi.

- Spierdalamy! - wydał mu krótki rozkaz Ljocha.

Podkomendny na moment przystanął sparaliżowany, z przerażeniem i fascynacją spoglądając na spektakl rozgrywający się na polanie. Po prawej likantrop pożerał właśnie wnętrze Nurbeka, z góry zaś spadał deszcz pozostałych fragmentów Sierioży. Wzrok żołnierzy przyciągało jednak przede wszystkim ciało zastrzelonego starca, które raptownie uniosło się i zaczęło rosnąć. Stare szmaty, które miał na sobie dziadek, pękły, ustępując potężnym mięśniom na nienaturalnie rozrośniętych kończynach. Z dłoni wyrosły mu długie pazury, pokrzywione niczym gałęzie pradawnego drzewa. Twarz staruszka rozciągnęła się i nabrała szlachetnego wyrazu, a z głowy wykiełkowały olbrzymie łopaty łosia.

- Ostrzegalem, że moje psy będą dziś ucztować - powiedział Leszy. - Powstań, Dmitriju, i podążaj za mną. Czeka nas tej nocy wiele pracy.

Mityczny stwór poczłapał w stronę Aleksieja. Kruszył ziemię z każdym krokiem, jakby wrywał z niej korzenie. Żołnierze puścili się biegiem w kierunku drogi. Wilki wciąż pożerały ciała ich kolegów, więc szybko zostawili potwory w tyle. Ljocha jednak słabł z minuty na minutę i wkrótce towarzysz musiał praktycznie nieść go na plecach. Gdy dotarli do szosy, KAMAZ-a nie było w zasięgu wzroku. Szacując, że odbili za bardzo na północ, kapitan wysłał ostatniego członka oddziału drogą w przeciwnym kierunku, nakazując mu znalezienie auta i powrót.

Po kilku minutach w ciemności pojawiły się dwa reflektory. Ciężarówka musiała stać niedaleko. Ljocha wstał, podpierając się o drzewo. Żołnierz za kierownicą zatrzymał auto i uśmiechnął się.

- Chyba im uciekliśmy, kapitanie.

- Nie gadaj tyle, tylko się posuń - wycedził Aleksiej przez zaciśnięte z bólu zęby i wcisnął się na miejsce kierowcy. - Zbierzemy chłopaków i czołgi i zajebimy to... Czymkolwiek to było.

Ljocha wrzucił jedynkę i dodał gazu. Wtem jego świat zawirował. To ciężarówka obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Olbrzymie poroże Leszego zerwało z KAMAZ-a naczepę. Kapitan natychmiast wrzucił wsteczny i wdepnął pedał do podłogi. Pan lasu spokojnie patrzył, jak odjeżdżają, a następnie wydał z siebie przeciągły gwizd.

Aleksiej wykonał zwrot, którego nie powstydziliby się drifterzy pędzący w swych supersamochodach po nocnych ulicach Moskwy. Silnik KAMAZ-a krztusił się niczym pacjent w stanie terminalnym na oddziale covidowym. Coś uderzyło z hukiem w podwozie zerwanej naczepy. Żołnierz na siedzeniu pasażera wychylił się przez okno z odbezpieczonym karabinem, by sprawdzić źródło hałasu. Kątem oka Ljocha zauważył, jak przerośnięte wilcze szczęki zamykają się na jego głowie. Kości chrupnęły, gdy potwory oderwały łeb żołnierza od ciała wraz z fragmentem kręgosłupa.

Druga z bestii ześlizgnęła się z dachu, z przeraźliwym piskiem pazurów drapiąc metal, i próbowała przebić przednią szybę. Na szczęście model przeznaczony na potrzeby wojska wyposażono w wersję kuloodporną, dzięki czemu nie poddała się po pierwszych ciosach. Aleksiej przyłożył stworowi po nosie wycieraczkami. Pomiedzy bijącymi wściekle kończynami kapitan dojrzał skraj lasu i światła obozu. Gwałtownie wdepnął sprzęgło i pedał hamulca, zatrzymując rozpędzony pojazd. Uczepione szoferki wilkołaki poleciały kilka metrów w przód. Kapitan wrzasnął z bólu, gdy napięte pasy ścisnęły jego połamane zębra. Szybko jednak przegnał ciemną zasłonę sprzed oczu i uruchomił długie światła, które skutecznie oślepiły potwory. Widząc, że się podnoszą, ruszył z impetem i

potrącił po drodze jedną z bestii. Wyrwał się na wolność. Skraj lasu był w zasięgu wzroku. Potem jeszcze tylko kilkaset metrów i znajdzie się w bezpiecznym obozie.

Niespodziewanie asfalt na drodze przed nim pękł. Spod ziemi wyrósł korzeń, który z powodzeniem mógł należeć do największej amerykańskiej sekwoi. KAMAZ wystrzelił w górę i wykonał obrót, który zdobyłby uznanie w każdym skateparku, po czym gruchnął dachem o ziemię. Aleksiej niemal stracił przytomność, gdy jego układ nerwowy próbował odmówić dalszego przekazywania pełnych cierpienia impulsów do mózgu. Kapitan potrząsnął jednak głową i zdołał opanować napływającą przed oczy ciemność. Wypłatał się z pasów, precyzyjnie obok bezgłowego zewłoku współpasażera i wypełził przez rozbitą szybę. Wyzuty z sił padł na ziemię i przewrócił się na plecy.

Widok rozgwieżdżonego nieba i falujących czubków drzew przesłoniła mu sylwetka starca.

- I co, zmiennokształtny ojczulku, przyszedłeś dokończyć dzieła osobiście? - westchnął Ljocha.

- Nie, synku - odparł staruszek, a na jego twarzy ponownie zagościł uprzejmy uśmiech. - Las tu się kończy. Nie moja to dziedzina. Mnie i moich ogarów nie musisz już się obawiać. I jeśli ta historia czegokolwiek cię nauczyła, wrócisz prosto do domu. Nie przystawaj ani na chwilę i ni razu nie patrz za siebie.

Po tych słowach odwrócił się i spokojnym krokiem wszedł ponownie między drzewa. Ljocha został całkiem sam.

* * *

Po kilku minutach ból ustąpił na tyle, że Aleksiej zdołał wstać i, powłócząc nogami, udać się do miasteczka. Tam wszystko wyglądało spokojnie. W zajętych budynkach paliły się światła, a gdy podszedł bliżej, powitał go gwar prowadzonych przy

ognisku rozmów. Wydawało się, że przeklęte monstra rzeczywiście grasują tylko w lesie, jak powiedział staruch. Zastanawiał się, czy Witę i Żenię spotkał podobny los. Nie, żeby byli mu jakoś szczególnie bliscy, ale chociaż umieli się zabawić. Nie było ich jednak wśród żołnierzy zgromadzonych przy palenisku.

Ljocha podszedł do płonącej sterty mebli, przy której koledzy piekli zrabowaną kiełbasę, i ciężko padł na ławkę. Przekręcający właśnie kijek nad ogniem oficer z insygniami sierżanta spojrzał na niego przelotnie. Gdy do otumanionego wodą mózgu biesiadującego żołnierza w końcu dotarło, co przed chwilą zobaczył, raptownie odwrócił się, upuszczając tłustą kiełbasę w płomienie.

- A tobie co się, kurwa, stało? - zapytał sierżant, a jego oczy rozszerzyły się do rozmiarów carskiego imperiała.

- Nie chcesz wiedzieć - wyszeptał Ljocha. Zamknąwszy oczy, cieszył się powiewem chłodnego, nocnego powietrza. - Wódki daj.

Sąsiad w milczeniu podał mu butelkę. Ljocha, nie otwierając oczu, przytknął ją do ust i pochłonał jej zawartość na raz. Wiatr się wzmógł i zaczął wiać od strony ogniska, przez co kapitan poczuł na twarzy żar płomieni. Wtedy nocne rozmowy przerwała seria z ciężkich karabinów KPW, które zamontowano na niektórych budynkach na wypadek ataku lotniczego. Byli jednak daleko za linią frontu, niemożliwe, żeby ukropy przedarły się aż tutaj.

- Smok, kurwa! Jak w pierdolonej „Grze o Tron”! - wrzasnął ktoś niedaleko.

Aleksiej otworzył oczy i spojrzał w górę. Nad obozem krążyła ogromna skrzydlata gadzina, co jakiś czas plująca strumieniem ognia w stanowiska obrony przeciwlotniczej.

- A więc przybył i sam pan Wielki Żmij. Moje uszanowanie - wymamrotał Ljocha, a jego usta wykrzywiły się w pełnym

obłądu uśmiechu. Zerwał się do biegu, zmierzając do naprawionego przez Żenię czołgu.

* * *

Kolejny rozkładający się trup został wciągnięty w gąsienice czołgu Aleksieja. Stanowiły zdecydowanie najłatwiejszy cel, ale udało mu się dorwać też kilka rusałek, mamun i kikimor. Celny strzał pociskiem przeciwpancernym oderwał zaś głowę jednej z demolujących obóz strzyg. Najbardziej irytowały go wszelkiej maści niematerialne stwory, które po prostu przechodziły przez metalowy korpus pojazdu, jakby go tam nie było, pozostawiając po sobie uczucie nadnaturalnego chłodu. Na szczęście we wnętrzu nie miały dość miejsca, by się ponownie zmaterializować.

Gdzieś tam jeszcze oddziały 4. Korpusu Zmechanizowanego podejmowały heroiczną walkę z wrogiem. W większości jednak żołnierze albo leżeli na ulicach w różnym stopniu rozczłonkowania, albo zajmowali się bezładnym odwrotem w kierunku granicy. Ale Ljocha nie zamierzał uciekać.

Dotarł do usianego trupami i zwęglonymi szkieletami sprzętu wojskowego zgrupowanego w centralnym placu. Załadował kolejny pocisk i czekał. Nie zawiódł się. Skrzydlata bestia przewodząca demonom opadła na ziemię po drugiej stronie placu, wywołując małe trzęsienie ziemi. Potworny gad mierzył przynajmniej dziesięć metrów wysokości i jego paszcza z dwoma rzędami ostrych zębów wystawała ponad dachy okolicznych domów. Spokojnie wpatrywał się w T-80 Aleksieja oczami pełnymi inteligencji i starożytnej wiedzy. Ljocha wycelował lufę czołgu prosto między nie i wystrzelił.

Pojazd gwałtownie odrzuciło do tyłu, a przeciwpancerny pocisk poszybował prosto w smoczą gardziel. W tym samym momencie gadzina wypuściła z siebie słup ognia tak gorący, że

kinetyczny pocisk wyparował. Żmij wzbił się w powietrze, pikując w stronę opancerzonego pojazdu. Pazury bestii zamknęły się na wieżyczce czołgu i uniosły maszynę w przestworza. Na wysokości kilkudziesięciu metrów spawy i nity łączące wieżę z nadwoziem zaczęły jęczeć, a następnie pękać.

Ljochą otworzył właz czołgu.

- Zdychaj, kurwa, zdychaj! - wykrzyczał poprzez szum powietrza i wystrzelił cały magazynek zabytkowego makarowa w podbrzusze gadziny. Stwór, zdaje się, nawet tego nie zauważył.

Ostatnie łączenia dały za wygraną i pojazd runął w kierunku ziemi. Aleksiej, szaleńczo wymachując nogami, resztką sił trzymał się klapy włazu. Żmij odwrócił wieńczącą długą szyję głowę i spojrzał prosto na Ljochę, po czym rozluźnił łapy, wypuszczając wieżyczkę czołgu.

* * *

Generał Arkadij Giennadiewicz Izjumow przebudził się poirytowany, gdy tuż obok niego rozległ się głośny huk, a na jego twarz poleciały krople jakiejś cieczy. Pozwolił im, kurwa, na zabawę, ale do rana mieli się od niego odpierdolić!

Otworzył oczy i w świetle samotnej ulicznej lampy dostrzegł, leżącą tuż obok, powykrecaną wieżyczkę czołgu T-80, a pod nią świeżą krwawą plamę, w której z trudem rozpoznał ludzki kształt.

- Co, do kurwy? - generał skierował pytanie do wszechświata i podniósł się z ławki.

Oświecenie spłynęło na niego z nieba i z głośnym tąpnięciem przyziemiło kilka metrów dalej. Izjumow uszczypnął się kilkukrotnie, po czym wymierzył sobie siarczysty policzek. Jednak smok, jak żywcem wyjęty z amerykańskich filmów, wciąż zbliżał się, stawiając wolno kroki.

Dłonią trzęsącą się jak galareta generał wymacał pistolet i wycelował do bestii.

- Jestem generałem rosyjskiej armii! Rozkazuję ci się zatrzymać! - wykrzyknął głosem, który był zdecydowanie zbyt wysoki i drżący, by wybrzmiał w nim autorytet. Mimo to stwór się zatrzymał. Przez chwilę wpatrywał się w oficera. Nagle powietrze między nimi rozgrzało się i zafalowało niczym w upalny letni dzień. Pojawiły się w nim ogniste litery.

*Иди на хуй, русский генерал!*⁴

Gadzina wyszczerzyła podwójne uzębienie w potwornym uśmiechu, a generał Arkadij Giennadiewicz Izjumow poczuł ciepłą strużkę spływającą mu po prawym udzie. Wielki Żmij w swoim nieskończonym miłosierdziu szybko przerwał upokorzenie oficera. Odgryzienie górnej połowy ciała skutecznie zatrzymało dopływ moczu. Żmij przeżuł kilka kęsów z niesmakiem, po czym wzbił się w przestworza i ruszył w pościg za najeźdźcami.

* * *

Artiom z trudem uniósł się na przedramionach. Głowa mu pękała, a przed oczami miał mroczki. Dudniące z każdej strony serie z automatów, wystrzały z czołgów i pochłaniające wszystko jaskrawe płomienie bynajmniej nie pomagały.

Odetchnął głęboko i spróbował zebrać myśli. Jedynym logicznym wytłumaczeniem panującego chaosu był ukraiński kontratak. Chłopak próbował się podnieść, jednak ból głowy stał się wówczas nie do zniesienia. Pomacał tył łepetyny, a palce natychmiast poczuły ciepło świeżej krwi. Ze zgrozą doszedł do wniosku, że jego obrażenia muszą wyglądać bardzo poważnie. Uraz czaszki powodował już halucynacje. Inaczej bowiem nie potrafił sobie wyjaśnić ciągnącej drogą kawalkady. W potwornym korowodzie, maszerującym przed oczami

Artioma, dojrząc można było wszelkiej maści demony: utopce, rusałki, mamuny, kikumory, strzygi, licha, wodniki, zmory, bagienniki, wążpierz i inne, których nazwy dawno zostały zapomniane. Chłopak w panice przeczołgał się kilka metrów do tyłu, połykając powietrze szybkimi, gwałtownymi haustami. Plecy oparł o drewnianą ławkę.

- Oj Tiomka, Tiomka - rozległ się głos z góry, co spowodowało, że Artiom zadarł nos, wywołując u siebie tym samym falę oszałamiającego bólu. - Nie powinno cię tu być. To nie miejsce dla ciebie - rzekł do niego starzec w podartych łachmanach i z liśćmi wplecionymi w długą brodę.

- Nie chciałem tu przyjeżdżać! - bronił się Artiom, mimo że wiedział, że rozmawia jedynie z wytworem swojej wyobraźni. - Zmusili mnie, nie dali mi wyboru. Chcę... Chcę tylko wrócić do domu. - Po twarzy chłopaka spłynęły łzy.

Zafrasowany staruszek delikatnie pogłaskał go po głowie.

- Zawsze mamy jakiś wybór, Artiom - powiedział tonem przeznaczonym dla małego dziecka. - Ty dziś wybrałaś słusznie. Idź do domu, do matuszki, i nie patrz za siebie.

- A co z nim? - Artiom dopiero teraz zauważył, że miejsce po prawej stronie starca zajmuje jeszcze jeden ocalały żołnierz. Wbił wzrok w ziemię, jakby nie chciał spojrzeć towarzyszowi broni w oczy.

- Dimka będzie moim asystentem! - oznajmił Leszy, klepiąc żołnierza po plecach i wybuchając rubasznym śmiechem. Potem dodał znacznie już poważniej: - Gniew Wielkiego Żmija najpierw spadnie na sprawców tej tragedii, ale nie skończy się na nich. Póki ludzka krew podsyca jego wewnętrzny płomień, będzie upajał się destrukcją. Moje lasy staną się szarym popieliskiem... Dlatego my z Dimą go powstrzymamy, prawda? - Dokończył, a w jego głosie ponownie zabrzmiały kpiarskie nuty.

Dmitrij skinął jedynie głową, nie odrywając wzroku od podłoża.

- Niestety, chłopcy, wojna nie kończy się wtedy, gdy jedna strona zwycięża drugą. Wojna skończy się, dopiero gdy wszyscy przestaniemy walczyć... No, pora na ciebie.

Siwy mężczyzna wstał z ławki i palcem wskazał Tiomie kierunek. Chłopak nagle uświadomił sobie, że ból głowy ustał, a i on sam czuje się już znacznie lepiej. Starzec i potwory nie zniknęli jednak. Żołnierz przez moment jeszcze wpatrywał się w uprzejmie uśmiechniętego mężczyznę, po czym pobiegł we wskazaną stronę. Ani razu nie obejrzał się wstecz.

1 Oj, na łące czerwona kalina pochyliła się/ Czemuś nasza dumna Ukraino zasmuciła się?/ A my ciebie, czerwona kalino, podniesiemy/ A my naszą dumną Ukrainę - Hej, hej! - rozweselimy.

2 Oj, na polu, gdzie jarej pszenicy złocisty łan/ Rozpoczęli strzelcy rodem z Siczy z wrogami tan/ A my ciebie, jara ty pszenico, wnet zbierzemy/ A my naszą dumną Ukrainę - Hej, hej! - rozweselimy!

3 Maszerują nasi ochotnicy, idą w krwawy tan/ Wyswobodzą ukraińskich braci z moskiewskich kajdan/ A my naszych ukraińskich braci wyzwolimy/ A my naszą dumną Ukrainę - Hej, hej! - rozweselimy.

4 Pierdol się, rosyjski generale!

Aleksandra Bednarska
Studnia niegasnącej iskry

Dręczysz mnie w myślach, choć serce masz ponoć z kamienia. Mówił tak Kuno, syn młynarza, gładząc mnie po kolanie i Ambros, syn kowala, gdy rozpuszczałam włosy. Mówili też bracia Loewe, których niezgrabne palce rozsypywały mi koszulę. A teraz milczą, spuszczać głowy. Zerkają na mnie ukradkiem, chowają się zbyt chętnie za cudzymi plecami. Poca się, jakby to ich pojmano bez sądu, kręcą palcami młynki. Milczą ze strachu, że gdy zostaną odkryci, zawisną na pierwszym lepszym drzewie.

Dziś dzień odpustu, ale win się nie wybacza. Stragan, gdzie sprzedają przypalone podpłomyki, wciąż jest otwarty, a ciepłe piwo leje się w gardła spragnione krwawej jatki. Plac przed domem wójta zalał tłum niedzielnych gapiów. Mrużą oczy w letnim słońcu, którego po pracy w polu zwykli unikać. Przyszli tu dla mnie, choć nie dlatego, że do niedawna byłam tu cudem większym niż relikwia sprowadzona z daleka. Przyszli, bo są głodni igrzysk, a wójta nie stać na lepsze.

- Przyznaj się, dziecko - powtarza inkwizytor. Gestem daje znak katu, by przygotował, co należy. - Widzieli cię przecież, jak spólkowałaś z diabłem, nikt poza nim nie dałby ci tej piekielnej mocy.

- Wywłoka! Ladacznica! - wtóruje chór żon i matek.

Nie pojmuję, o kogo mu chodzi. Tyłu ich się przewinęło... Żaden rogaty, kulawych paru, z ogonem góra jeden. A wszyscy

łasi nie na dzban jagód, a na dziewczkę z lasu, tę dziką, bosą i bez Boga w sercu.

Gdyby wiedzieli o tym ludzie księcia, nie ciążyłyby na mnie więzy ani pokutna koszula. Możliwym zdarzało się pojmować w lot, kim jestem. Miewali przecież doradców, stare księgi, a czasem nawet napaśtek własnego rozumu. Może więc wystarczyłoby grać na zwłokę i przeczekać? Ale to za ledwie jedna z wielu jego wsi, jeden z dziesiątek wyroków, które przywozi ospowaty skryba. Czekać na majestat znaczy kusić los, a ja o własnym zwykłam stanowić.

- Przyznaj się, w imię Ojca i Syna! - Inkwizytor macha mi przed nosem zbitym z deszczulek symbolem.

Śmieję mu się w twarz, jak Arminowi, który poszedł na mnicha. Zanim przywdział worek, a na głowie wygolił gniazdo, lubił mnie ganiać po lesie. Dostawał to, czego nie dały mu hymny i pacierze. Iskrę, której inaczej nie potrafił z siebie wykrzesać.

Z natury nie jestem skąpa, a darem wypada się dzielić. Zanurzali się we mnie jak w studni; gasiłam pragnienie, zostawiając okruszki na drodze do wodopoju. Wracali najszybciej jak mogli. Wkrótce we wsi nie było takiego, który nie chciałby posmakować mocy u źródła. Silniej od pragnienia zakorzenił się w nich tylko wstyd.

- Rozdarłaś naszą wspólnotę, zbałamuciłaś mężów, rozbiłaś małżeńskie stadła... - Inkwizytor wygłasza wyrok. - Twoich grzechów nie zmyje woda, tej ziemi nie oczyści ogień. Zginiesz więc śmiercią odpowiednią do winy.

Kobiety plują zazdrosnym jadem, rzucają we mnie kośćmi i ogryzkami. Najchętniej same wymierzyłyby karę. Trudno mi je potępić za coś poza naiwnością, skoro mężowie kłamali im w twarz. Nie połam ich przecież trucizną ani nie ciągnęłam za uszy. Kat dwoi się i troi; zadanie ma niełatwe. Cztery konie uwiązano do słupa, pod którym siedzę. Przeczuwają swoją rolę,

rzą więc i rwą się z kopyta. Łańcuchy przymocowane do chomąt dzwonią dziś głośniejsze od dzwonów w kościele. Tak płacą tu za hojność i rozmiękanie na drobne.

- Spokojnie - szepce kat. Zaciska mi kajdany na kostkach i nadgarstkach. Jego rękawice są szorstkie i zimne, podobnie do spojrzenia. Kiedy ostatni raz mnie dotykał, w oczach błyszczała mu iskra, twarz pozbawioną maski wykrzywił spazm rozkoszy.

Słup, do którego siedzę plecami, unosi się, a ja wraz z nim. Uścisk sznura w talii na chwilę odbiera mi oddech. Silne ramiona cieśli i jego czeladnika odklejają się od drewna. Nieraz znikaliśmy w ich uścisku. Teraz przewracam się pod ciężarem słupa, wydając zduszony jęk.

Kat strzela z bata na niespokojne konie. Idą stępa, każdy w inną z czterech stron świata, odrywają mnie wraz ze słupem od ziemi. Ciało przeży się mimo woli, ścięgni napinają jak struny gotowe pęknąć. Konie maszerują, kopytami wygrywając tren. Struny mięśni rwie ból, spazmy wstrząsają stawami, z których wyrwano mi kończyny. Wrzeszczę, zdzierając gardło. Nie słyszę własnego głosu, bo cała stoję się wrzaskiem.

Skóra pęka wolno, napięta w uścisku więzów, szarpana siłą końskich grzbietów. Rany rosną w oczach, krew sączy się nieśmiało, dopóki nie przebiją ich kości. Opadam z sił i chyba przestaję krzyczeć. Jucha bryzga po czołach zebranych, za końmi ciągną się oderwane członki. Znaczą czerwienią kurz i pył, które unoszą się spod kopyt. Iskra wsiąka w ziemię, cykl zatacza koło.

- Spalcie to truchło, mistrzu małodobry - rozkazuje inkwizytor. Zbiera do sakwy narzędzia tortur i święte artefakty.

Kat pochyla się nade mną. Gdyby cechowała go wylewność, powiedziałby coś o przedwcześnie zdeptanym kwiecie, który otwierał się zbyt chętnie przed byle trzmielcem. Niewiele mówi, widzi więcej niż pozostali. Jako pierwszy dostrzega pęknięcie pod mostkiem, wzdłuż zrostu żeber. Nie broczy ono krwią, ani

nie sterczą z niego połamane kości. Zieje ciemnością, gniewem duszonym w sosie własnym dłużej niż było trzeba. Uchodzi ze mnie wściekłość podlana żalem. Unosi się w powietrzu zwałami mgły, a ta oślepia złoczyńców i gapiów.

Nie ma dymu bez iskry. Kobiety padają jedna po drugiej, ich gniew stanowił odbicie głupoty mężów, więc nie posmakują cierpienia. Martwe ciała plaskają o ziemię rozgrzaną słońcem, a muchy zlatują się do nich jak do wodopoju. Opar wciąż unosi się i gęstnieje. Poszycia dachów toną w mlecznobiałych kłębach, spłoszone konie uciekają w las.

- Wyjdźcie na żer - mówią moje martwe usta.

Ciało rozpada się wzdłuż kipiącego mgłą pęknięcia, spaja z ziemią i niebem, spleta w kopułę nad głowami przerażonych wieśniaków. Połykam ten zaścianek, by przeżuć go i wypluć. Nikomu nie pozostaną dłużna.

Mówiono, że nie urodziłam się, lecz wyłoniłam z mokrego od rosy mchu. Albo że wypluło mnie niebo podczas letniej burzy. Las dał mi schronienie, iskrę odkryłam, gdy spotkałam ludzi. Nie znali jeszcze języka ani bogów, ale wiedzieli, co to świętość.

- Spadł na was gniew Boży! - grzmi inkwizytor. - W Sodomie i Gomorze nie widziano bezceństw, które splugawiły tę ziemię!

Nie myli się po raz pierwszy tego dnia. Byłam studnią, która gasiła pragnienie, odpowiedzią na każde z pytań, źródłem i ostoją niegasnącej iskry. On i jemu podobni zrobili ze mnie dziwkę, oblubienicę diabła. Mówili, że wcieram sobie między nogi sporysz, że latam na sabaty, że z martwych niemowląt przyrządzam bielidło. Nie siałam jednak zamętu, pod sercem hodowałam życie. Zbierałam plon tego, co zasiali w moim ciele.

- Diabły rogate, maskary...! - wrzeszczą wieśniacy, uciekając na oślep.

Moje dzieci przypominają ludzi, lecz nie do końca. Niektórym wyrosły kopyta, innym rogi i szpony. Pod powłoką ich bladej skóry szarzeją grube żyły, a oczy wbite głęboko w

czaszkę zalewa czerni źrenicy. Stąpają krokiem ledwie narodzonych źrebiąt, a ich ścieżkę znaczą kapiąca z ust ślina sycząca jadem o podłoże. Zęby u nich ostre, apetyt zaś – nieposkromiony. W łonie matki nie zaznały głodu, więc to uczucie jest im obce. Spragnione sytości, ruszają na łów we mgle. Chłoną paszczami kęsy nowych wrażeń, oblizując unurzane w posoce pazury.

– Litości, Panie miłosierny! – Inkwizytor wyciąga ręce ku niebu, na którym zgasło słońce.

Moje dzieci rozrywają gardło jemu i reszcie tych, z których żądz się zrodziły. W krwawe ochłapy zamieniają się Kuno, syn młynarza, i bracia Loewe. Łańcuch z trzewi kata buja się na gałęziach. Mnich Armin zderza się ze ścianą kopuły, plecy przebijają mu szpony. Ambros, syn kowala, a może czeladnik cieśli, próbuje wskoczyć do wilczego dołu. Nim dobiegnie do krawędzi, łapczywe ręce rozrywają go na strzępy.

– Dostyc psot. – Mój głos niesie się echem.

Kopuła ciała zaciska się nad wioską, połyka szczątki, dławiąc kawałkami pobojowiska. Dzieci syte i zmęczone układają się do snu, pod sercem matki niczego im nie brak. Pęknięcie wzdłuż tułowia zasklepia się, oderwane przez konie członki wracają na miejsce.

Cykl życia kończy iskra we mnie, trawi resztki tych, którzy grzali się w jej blasku. Śnię o nowym początku, a sny moje to sny prorocze.

O świecie księżę von Pless znajdzie mnie nagą na zgliszczach wioski. Jego ludzie rozpierzchną się, szukając przyczyn, on zaś uklęknie obok. Onieśmielony, bo kobiety widuje głównie na kościelnych malowidłach, owinie mnie płaszczem i powie, że jeśli z nim nie pójdę, mam serce z kamienia. Z uśmiechem podam mu rękę, pozwolę posadzić się w siodle. Przez szkarłat płaszcza dotrze do mnie, że pragnie iskry i że utonie w źródle, gdy tylko zostaniemy sami.

Po drodze niby żartem wskażę studnię w polu, tę zbudowaną z kamienia uważanego dawniej za świętą. Książę zatrzyma się i zsiądzie z konia, by do niej zajrzeć. Obejdzie cembrowinę, poklepie szorstki brzeg obutą w rękawicę dłonią i zapyta, czy to właśnie moje serce. Zmierzę go rozbawionym wzrokiem z wysokości siodła i odpowiem, że lepiej, by się o tym nie przekonał. Chwyci mnie wtedy za rękę i ścisnie, bo na własnym dworze nie przywykł do drwin rzucanych prosto w twarz. Uśmiechnę się, tym razem tak, że książę poprawi łańcuch z herbem i zapomni o wątpliwościach. Stuknie pięścią w napierśnik, jakby składał przysięgę. Widząc, że znów jestem mu przychylna, wskoczy w siodło, dając orszakowi znak, że czas ruszyć z kopyta.

Książę wie swoje. Pewnie dużo czyta albo zdarza mu się posłuchać doradców. A ja z natury nie jestem skąpa, więc skoro tamtych tak długo obdzielałam iskrą i jemu nie mogę żałować.

- Uważaj, jeśli nie chcesz skończyć jak tamci - szepnę, gdy znów stanie w strzemionach. - Po tych, którzy nie szanują źródła, nie wypluwam kości.

Sylwester Nowicki

Sługa ludu

Spod plastra nad prawym okiem sączyła się krew. Janik otarł ją mankietem. Rękaw miał rozdarty, ubranie na plecach i na boku ubrudzone jasnym pyłem, a na kołnierzu plamę zasychającej krwi. Wpatrywał się w jakiś punkt daleko za oknem.

- Po coś tam poszedł, Stefek?

Posterunkowy Kruk pstryknął parę razy długopisem, ale Janik nie zareagował.

- Stefan? Słyszysz mnie? - powiedział głośniej.

Janik spojrzał na niego.

- Powiesz mi, po co tam poszedłeś?

- Nic nie zrobiłem; wiesz, że nie kradnę.

Zdzisław Kruk kierował posterunkiem od siedmiu lat. W tym czasie zdążyły mu wypaść dwa zęby i prawie wszystkie włosy. Przytył osiem kilo, przeżył czterech ministrów MSW i trzech komendantów wojewódzkich. Nie był specjalistą od przestępczości zorganizowanej ani narkotyków, za to dobrze wiedział, kto w okolicy kradnie. Stefan Janik nie kradł.

- To co robiłeś o tej porze za kościołem?

Kolejna kropla krwi spłynęła po policzku. Kruka zaczynało to irytować.

- Dociśnij mocniej plaster. - Podniósł głos.

Janik zastygł, wpatrując się znów gdzieś przed siebie.

- Stefek! - Policjant niemal krzyknął. - Słyszysz? Dociśnij plaster.

Mężczyzna otrząsnął się z letargu i docisnął plaster.

- Co robiłeś za kościołem?

- Szedłem do sklepu. Widzisz, co się ze mną dzieje bez śniadania. - Janik uniósł trzęsącą się dłoń.

- Mieszkasz z drugiej strony wsi.

- Nie spałem dziś w domu. Obudziłem się koło cmentarza.

Kruk odłożył długopis i westchnął. Zastanawiał się, czy jest sens to spisywać.

- A czemu tam spałeś?

- A bo ja wiem? Nie mam już dwudziestu lat. Po małpce urywa mi łeb. - Janik odwrócił się do stojącego w otwartych drzwiach aspiranta Dusia, który gapił się na parking.

- Młody, skoczyłbyś po seteczkę.

Duś spojrział na posterunkowego, który zrobił zrezygnowaną minę, po czym znów zapatrzył się na parking.

Kruk przesunął kartkę z zeznaniem w stronę Janika i położył na niej długopis.

- Podpisz - powiedział.

- Kiepsko widzę bez okularów.

- A gdzie masz okulary?

- Nie mam. - Janik wyszczerzył zęby w tym swoim szczerym uśmiechu.

Krukowi zrobiło się go żal. Nie odstawiał butelki od kilku lat, ale był nieszkodliwy. Ludzie go lubili. Może gdyby żona nie zmarła mu tak młodo, wszystko ułożyłoby się inaczej.

- I nie przyznaję się.

- Nie jesteś o nic oskarżony.

Janik wziął długopis i pochylił się nad kartką.

Kruk podszedł do Dusia.

- Pojedziesz z nim do szpitala. Kiepsko wygląda. Powiedz, że z interwencji i poczekaj. Jeśli go nie wezmą na oddział, to wróćcie. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Podpisałeś już? - Kruk odwrócił się do Janika, który cały czas siedział nieruchomo. - Ej!

Dźgnął go palcem w ramię. Mężczyzna podniósł głowę, rozejrzał się, popatrzył na policjanta, potem na kartkę i podpisał.

- Pojedziesz z Dusiem na badanie.

- Muszę? - Janik się skrzywił.

- Musisz. - Kruk usiadł na krześle. - Na pewno nikogo tam nie widziałeś?

- Już ci mówiłem. Pusto, cicho, spokojnie. I nagle trzepnęło. Rzuciło mnie na ziemię i tyle. Jak otworzyłem oczy... - Janik znów zapatrzył się gdzieś w dal. - Wisiała nade mną taka czarna chmura. A potem mnie odcięło.

- Chmura? - Policjant pochylił się nad biurkiem. - Dym?

- Nie czuć było dymem. Miała takie jakby oczy. Pojawiła się i znikła. Jak duch.

Kruk zrezygnowany opadł plecami na oparcie.

- Widziałeś ducha?

- Nie takie rzeczy widziałem na kacu.

Janik znów wyszczerzył zęby.

* * *

Wielka dziura o postrzępionych krawędziach pojawiła się w ścianie szopy z samego rana przy akompaniamencie głośnego huku i była tam nadal, kiedy Kruk wrócił.

Barokowy kościół z dwoma wieżami miał ponad trzysta lat, podobnie jak mur okalający plac przed nim. Za to zielona siatka z tyłu - niecałe dwa. Posterunkowy pomagał ją zakładać.

Przylegająca do niej szopa znajdowała się tam od tak dawna, że nie pamiętał, kto i kiedy ją zbudował.

Aspirant Nowacki zdążył już ogrodzić teren taśmą.

- No i co? - zapytał proboszcz Bogumił Wroński, kiedy stali na zasypanym odłamkami trawniku. Był dziarskim siedemdziesięciolatkiem z siwą czupryną i siwymi brwiami, co przy ciemnej karnacji rzucało się w oczy.

- To nie Janik - odpowiedział Kruk.

- Tyle to ja wiem. Mógłby co najwyżej naszczać na szopę, ale nie wysadzić.

- Sprawdzimy na monitoringu.

Proboszcz podrapał się po policzku.

- Nie działa od lutego. Może Janik coś widział?

Posterunkowy westchnął.

- Mówi, że ducha.

- W jego stanie to możliwe. Dobrze, że nie kosmitów. Trzeba tu posprzątać.

- Najpierw zbierzemy materiał do ekspertyzy. Fotograf przyjedzie za dwie godziny. Powinni też przywieźć psa.

Proboszcz uniósł brwi.

- To nie bank, Zdzisiu. Szopa była do wyburzenia, nic nie zginęło. Szkoda marnować czas.

- Jak to „nie zginęło”?

- Wikary się trochę zagalopował.

- Ale wpłynęło zgłoszenie. Muszę mieć porządek w papierach.

Proboszcz nie zamierzał dać za wygraną.

- A ja na parafii. W niedzielę jest procesja. Posprząta się trawnik i po wszystkim. Dzieciaki pewnie rzuciły petardę.

- Petardą byś ściany nie wysadził. - Kruk pokiwał głową. - Może w środku stała jakaś butla z gazem?

- Nie używamy gazu.

- Może nie pamiętasz?

Proboszcz się skrzywił.

- To rupieciarnia. Przedwczoraj tam zaglądałem, bo dzieciaki od Klimczyka przywiozły jakiegoś świętego z placu po Gromniku.

- Świętego?

- Tego tam. - Wroński ruchem głowy wskazał ledwo widoczną w rogu szopy figurkę wyrzeźbioną w pniu drzewa. Mierzyła na oko z metr wysokości i patrzyła posępnie z półcienia. - Zwożą mi czasem tym swoim wózkiem jakieś rupiecie, żeby im dać parę groszy. Wiesz, jaka u nich bieda. Zdzisiek, przenieś śledztwo do siebie. Muszę tu posprzątać jak najszybciej, bo kobiety mi łeb urwą. W niedzielę procesja.

- Dobra. Módl się tylko, żeby Janikowi nic nie było, bo wtedy zrobi się grubsza sprawa.

Proboszcz poklepał go po ramieniu i poszedł do kościoła.

* * *

Kruk nie lubił przerywać oglądania filmów, nie lubił niedokończonych krzyżówek i spraw, których nie rozumiał. Odesłał Nowackiego na posterunek, a sam przykucnął na trawniku i zebrał parę odłamków drewna do torebki strunowej.

Żaden kawałek nie był osmalony. Brakowało też zapachu spalenizny. Wahał się chwilę, ale w końcu stwierdził, że pies pewnie znów nic nie znajdzie. Podszedł do szopy. Drzwi zamknięto na kłódkę. Przeszedł do wielkiej dziury i zajrzał do środka. W szopie wałało się pełno rupieci: szafa bez drzwi wypchana foliowymi workami z ubraniami, spłowiwały bordowy fotel pogryziony przez myszy, na którym leżała kupka pożółkłych książek, lampa z rozerwanym kloszem, zardzewiałe narzędzia ogrodnicze. No i święty, posępnie lypiący z rogu.

W środku panował półmrok. Kruk zaświecił latarkę i zbliżył się do rzeźby. Na lewej nodze brakowało grubej drzazgi

długości około trzydziestu centymetrów. Przez pierś biegło pęknięcie. Drewno poszarzało z wierzchu, ale wewnątrz wciąż było jasne, przez co szczelina wyglądała jak blizna.

Powyżej pęknięcia zauważył znak: okrąg, w którym wyryto sześciokąt. Przeciwnie wierzchołki łączyły przecinające się w centrum linie. Kruk nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Nie miał pojęcia, co może oznaczać.

Wstał i rozejrzał się uważnie. W szopie nie dostrzegł ani jednego odłamka, wszystkie leżały na zewnątrz. Na książkach wciąż zalegał kurz. Stał tak parę minut, zastanawiając się, jak to wytłumaczyć, ale do głowy przyszło mu jedynie, że to niemożliwe.

Zrobił telefonem parę zdjęć i wyszedł. Wracając na parking, zauważył migający na zielono szyld apteki po drugiej stronie ulicy. Pod szyldem wisiała kamera.

* * *

Aptekarz wyjaśnił, że za obsługę monitoringu odpowiada jego syn. Przyjdzie za pół godziny.

Policjant wsiadł do radiowozu, oparł się wygodnie i przymknął oczy. Próbował poukładać sobie wszystko w głowie. Może to nie był wybuch? Kto miałby tyle siły?

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu.

- Co z Janikiem? - zapytał.

- No właśnie mamy problem.

Duś zazwyczaj przechodził na liczbę mnogą, kiedy coś spieprzył.

- Jaki problem?

- Janik uciekł.

Posterunkowy poczuł, że włosy na rękach mu się jeżą. Potrzebował chwili, żeby się opanować.

- Jak to uciekł?

- Siedzieliśmy na izbie przyjęć. Poszedłem do toalety, a jak wróciłem, już go nie było.

- Miałeś go pilnować.

- Musiałem do toalety.

Kruk zacisnął usta. Używanie logiki w rozmowie z Dusiem się nie sprawdzało. Zrobił dwa głębokie wdechy.

- Ledwo chodzi, daleko nie zwiął. Szukałeś go?

- Nie wiem gdzie.

- Idź do ochrony przy bramie. Niech sprawdzą na kamerze. I spytaj ich o najbliższy monopolowy. - Starał się nie podnosić głosu, ale słabo mu to wychodziło. - Bez Janika nie masz po co wracać. Możesz mieć spore kłopoty, jeśli mu się coś stanie, a ja razem z tobą.

- Tak jest.

Połączenie zostało zakończone.

* * *

Kruk zabrał nagranie z apteki i wrócił na posterunek. Odtworzył je na służbowym komputerze. Kamerę z boku budynku ustawiono w stronę wjazdu. W górnej części kadru widniał fragment kościoła. Drogę za nim też dało się zauważyć, ale tylko niewielki odcinek, bo resztę zasłaniały drzewa.

Przewinał do piątej pięćdziesiąt. Było już zupełnie widno, ulicą co chwila przejeżdżały samochody. Na trzy minuty przed szóstą pojawił się Janik. Szedł powoli. Kiedy niemal zniknął za kościołem, coś szarpnęło nim tak, że upadł na plecy. Po kilku sekundach zza budowli wypłynęła ciemna chmura. Nie miała w sobie gwałtownej energii wybuchu, sunęła jak obłok po niebie. Jeden jej koniec znajdował się nad Janikiem, drugi chował się za kościołem. Chwilę później po prostu zniknęła.

* * *

Klima nie działała, więc Kruk odsunął okno. Zrobiło się duszno jak przed burzą. Przejechał już połowę drogi do miasta, kiedy zadzwonił Duś.

- Znalazłem go - krzyknął zdyszany.

- Wszystko z nim w porządku?

Posterunkowy potrzebował chwili, żeby złapać oddech.

- Ciężko powiedzieć. Spał w lesie za szpitalem.

- Nawalił się?

- Nie, chyba trzeźwy.

- No to jak spał? - Kruk nie bardzo rozumiał. - Jak go znalazłeś?

Duś się uspokoił i przeszedł do tego swojego triumfalnego tonu, jakby co najmniej odnalazł Bursztynową Komnatę.

- Poszedłem do ochrony. Na kamerze zobaczyłem, jak wychodzi i idzie wzdłuż ogrodzenia, a tam jest ścieżka do lasu. Leżał w krzakach, tylko buty wystawały. Zabrali go na badania.

Kruk zaklął pod nosem.

- Zaraz będę.

* * *

W izbie przyjęć nikt nie wiedział, gdzie jest pacjent i nikt nie kwapił się go szukać. Pielęgniarka, którą Kruk próbował wypytywać, uraczyła go w końcu sztyletującym spojrzeniem. Wytrzymał je, ale dał za wygraną. Kazał Dusiewi wracać na posterunek i zająć się z Nowackim technikami.

Czekał cierpliwie, żując swoje myśli. Janik odnalazł się pół godziny później na drugim piętrze. Lekarz nie miał czasu zejść, więc policjant wszedł na górę.

- Pacjent stabilny, ale nie udało się nawiązać kontaktu.

- Ciągłe jest nieprzytomny? - Krukowi nie podobało się to, co usłyszał.

- Odzyskał dwa razy na krótko przytomność.

- Spotkała go dziś przygoda.

- Pana kolega nam mówił. - Lekarz pokiwał głową. - Zrobiliśmy rezonans, nie stwierdzono urazów. Oględziny nic nie wykazały. Parę zadrapań, żadnych stłuczeń ani złamań.

- Był trzeźwy? Ma mały problem z alkoholem.

- Mały? - Lekarz odwrócił się w stronę Kruka. - Przeprowadziliśmy badania. Jest mocno wypłukany, ale trzeźwy. Toksykologia również nic nie wykazała. Podaliśmy mu środki na wzmocnienie i obserwujemy. Nie występuje bezpośrednie zagrożenie życia.

Kruk się trochę uspokoił.

- Mówił coś, kiedy odzyskał przytomność?

Lekarz zawahał się.

- Można tak powiedzieć. Czy on zna jakieś obce języki?

Tym razem Kruk uśmiechnął się ironicznie.

- Chyba tylko łacinę.

- Coś mówił. Patrzył nawet przytomnie, ale nie dało się go zrozumieć. Za drugim razem tak samo. Pielęgniarka zażartowała, że trzeba będzie wołać księdza na egzorcyzmy.

Aparat zapiszczał nierówno i lekarz podszedł do łóżka. Kruk stanął z drugiej strony i przyjrzał się śpiącemu Janikowi. Ktoś go umył i zmienił opatrunek nad okiem.

Kiedy lekarz poprawił sondę i cofnął rękę, posterunkowy poczuł na plecach dreszcz. Na środku piersi Janika, parę centymetrów poniżej obojczyków, zadrapania układały się w znajomy wzór. Sześciokąt był nierówny i brakowało mu boku, wewnętrzne linie prawie niewidoczne, a okrąg obejmował mniej niż połowę symbolu. Daleko mu do precyzji tego na rzeźbie, ale nie mogło być wątpliwości, że to ten sam.

- Co to jest? - spytał, wskazując palcem pierś Janika.

- Zadrapania. Nic groźnego. Zdezynfekowaliśmy, obejdzicie się bez opatrunku.

Kruk zostawił lekarzowi numer telefonu. Przed wyjściem zrobił zdjęcie znaku na piersi. W drodze powrotnej zignorował telefon od Nowackiego.

W Jaworcu zjechał na niewielki plac na zakręcie. Stała tam kapliczka z gipsową figurą Matki Boskiej. Jeszcze kilka lat temu figura była drewniana, ale spróchniała. Podobno wyrzeźbił ją Gromnik.

Ruszył boczną drogą, mijając kapliczkę. Kiedy skończył się asfalt, musiał zwolnić. Koła co chwilę wpadały w zagłębienia wypłukane deszczem i samochód kołysał się nieprzyjemnie. Za ostatnimi domami żwirówka zamieniła się w polną drogę. Po lewej stał opuszczony dom Bernatów. Za nim rósł niewielki lasek. Posterunkowy zjechał pod drzewa, zgasił silnik i wysiadł.

W cieniu zrobiło się chłodno. Krukowi pociły się dłonie. Wytarł je o koszulę i ruszył pieszo. Po prawej drzewa rosły rzadziej. Wzdłuż drogi ciągnęły się krzewy dzikiej róży splecione z innymi zaroślami tak, że niewiele było przez nie widać. To tutaj Gromnik miał swoje królestwo. W jednym miejscu to naturalne ogrodzenie ktoś przeddeptał. W ziemi zostały ślady kółek po wózku Klimczyków.

Kruk zastanawiał się, gdzie właściwie iść. Lata temu przyjechała tu komisja konserwatora zabytków. Wtedy jeszcze przed domem znajdował się niewielki plac. Resztę podwórka, jeśli tak je można nazwać, przecinały tylko wydeptane ścieżki. Drzew niewiele, wszędzie rosły krzewy. Gdzeniegdzie Gromnikowa wycięła trochę krzaków i sadziła warzywa. Resztę zajmowała dzika roślinność i rzeźby. Gromnik był rzeźbiarzem.

Rzeźb zostało niewiele. Część zabrano do skansenu, do muzeum, niektóre przepadły. Reszta niszczała pod gołym niebem: dwumetrowy milicjant, samolot, wiatrak... Gromnik był samoukiem, nie dbał o detale czy proporcje.

Policjant dotarł do domu. Plac porastała trawa, z samego budynku zostały się tylko trzy węgły. Obejrzał okoliczne rzeźby. Nie znalazł na nich żadnych znaków. Wrócił do furtki i odszukał ślady wózka. Prowadziły w dół, gdzie gęściej rosły drzewa. Ślady ledwo było widać, niekiedy ginęły zupełnie, i Kruk kręcił się w kółko, zanim je znowu znalazł.

Przecisnął się między krzakami, odczepił gałąź, która złapała go za rękaw, i stanął na kawałku wydeptanej trawy. Ścieżka się skończyła przed zarośniętym pagórkiem. Wyglądało to na ślepy zaułek.

Na zboczu pagórka, spod traw, mchu i ułamanych gałązek wystawały kawałki dwóch desek. Przykucnął i spróbował je pociągnąć. Uniosły się łatwiej, niż się spodziewał.

Deski stanowiły element szerokiej na jakiś metr kłapy. Porośnięte zielenią, nie rzucały się w oczy. Z wnętrza powiało nieprzyjemnym chłodem.

Kruk wyprostował się, zdziwiony. Zapach wilgoci i pleśni drażnił nos. Oparł drzwiczki o zwisające gałązki i zajrzał do środka. W dół prowadziły wąskie schodki wyżłobione w piaskowcu. Nie widział, dokąd wiodły.

Stał tak parę minut, wahając się. Pierwsze co przyszło mu do głowy, to odejść.

Opanował się, wyciągnął z kieszeni telefon i włączył latarkę. Wziął parę oddechów i ruszył. Naliczył szesnaście stopni. Krótki korytarz skręcał w prawo. Zaraz za zakrętem znajdowało się pomieszczenie. Zaświecił do środka.

Po plecach przebiegł mu dreszcz; czuł, jak oblewa go zimny pot. Telefon upadł na ziemię latarką do dołu. Przykucnął, a może to nogi się pod nim ugięły. Namacał szybko aparat i podniósł go. Plecami oparł się o ścianę. Na środku komory stało pięć postaci.

Ustawione w kręgu, zwracały się twarzami do siebie. Miały z metr wysokości. Krukowi zajęło chwilę, nim zrozumiał, że to

rzeźby. Zaklął i wstał.

Sklepienie trzymało się na paru belkach. Podłogę ułożono z piaskowca. W sercu pomieszczenia znajdowała się duża, okrągła, kamienna płyta. Rzeźby ustawiono na niewielkich okrągłych postumentach. Jednej brakowało. Z pustego postumentu wystawała drewniana igła. Wyglądała jak wyrastająca z kamienia. Nie mógł jej wyciągnąć ani oderwać.

Figurki wyrzeźbiono staranniej niż te na zewnątrz. Każda na piersi miała znak. Sześciokąt w okręgu z przecinającymi się przekątnymi.

Na kamiennej płycie nie widniały żadne znaki, ale zauważył pęknięcie idące przez jej środek. Znaki wyryto na podłodze. Wokół płyty wyrysowano sześć trójkątów. Postumenty z figurkami stały w środku podstawy każdego z nich, a wierzchołki schodziły się w centrum i ginęły pod płytą.

Kiedy policjant omiatał latarką pomieszczenie, cienie figurek przesuwają się po ścianach. Zdawało mu się, że to same rzeźby się poruszają, ale wiedział, że to niemożliwe. Cofnął się do wyjścia i zatrzymał. Ktoś musiał sobie zadać sporo trudu, żeby to zbudować. Zrobił zdjęcie.

Na zewnątrz ruszył się wiatr. Kłapa zakołysała się na gałęziach. Kruk usłyszał pomruk gromu dobiegający z oddali. Pogoda się psuła i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie wrażenie, że kamienna podłoga zadrżała w tej samej chwili. Był w takim stanie, że uwierzyłby w każdy omam. Zdążył zrobić zaledwie krok i zjawisko się powtórzyło. Znów zagrzmiało i znów piaskowiec delikatnie zadrżał. Tym razem dźwięk zdawał się dobiegać z wnętrza.

Odwrócił się i jeszcze raz omiół światłem pomieszczenie. Rzeźby stały na swoich postumentach, zgromadzone wokół płyty. Płyta. Przemógł się i podszedł do niej. Miała ze dwa metry średnicy. Złapał ją, próbując przesunąć.

Wtedy usłyszał trzeci odległy grom. Nie miał wątpliwości. Płyta zadrżała.

Tego było już za wiele. Wybiegł na zewnątrz i zamknął pospiesznie kłapę. Podmuchy wiatru kołysały gałęziami. Pierwsze krople deszczu spadały mu na policzki.

* * *

Kruk wrócił do domu. Wziął szybki prysznic i przebrał się w czyste ubranie. Technicy z wojewódzkiej już odjechali. Na wyniki badań trzeba poczekać parę dni, a pies nic nie znalazł.

Nie miał pojęcia, z kim się podzielić odkryciem. W głowie coś mu kielkowało, ale rozmowa z posterunkowymi nie wchodziła w grę. Wzięliby go za wariata. Po południu zadzwonił do szpitala. Janik ciągle nieprzytomny, stan stabilny.

Po dziewiętnastej poszedł pod kościół. Proboszcza spotkał pod plebanią.

- Potrzebuję twojej pomocy, Boguś.

Dał znak ruchem głowy i ruszyli nieśpiesznym krokiem w stronę szopy.

- Co to za święty? Ten przywieziony przez Klimczyków? - zapytał.

- A bo ja wiem? Żaden.

- To czemu go wzięłeś?

Proboszcz spojrział na niego z politowaniem.

- Dałem im parę groszy na chleb. Święty mi niepotrzebny, ale nie chciałem im robić przykrości.

Doszli do szopy. Kruk odchylił plandekę zakrywającą wyrwę w ścianie i włączył latarkę. Weszli do środka. Przykucnęła i poświecił na pierś rzeźby.

- Co to za znak? - zapytał.

Ksiądz przyklęknął na kolanie.

- Nie mam pojęcia. Czemu pytasz?

- Znalazłem u Gromnika więcej takich.

Proboszcz wzruszył ramionami. Podniósł się, bo zaczynało go boleć kolano.

- Mógł sobie wycinać, co chciał.

- Słuchaj, ty jesteś z tych stron. Znałeś go?

Proboszcz przytaknął.

- Czym się zajmował?

- Rzeźbił. Nie słyszałem, żeby gdzieś pracował.

- A jego kobieta? Z czego żyli?

Wroński się uśmiechnął.

- Z tego, z czego wszyscy dawniej. Z ziemi, z lasu. Miał brata po drugiej stronie drogi.

Kruk spojrział zdziwiony na księdza.

- Brata?

- Bernat. Zanim odjęło mu rozum, robił na wyrębach. Potem oszalał, wybudował mur dookoła domu i ganiał z widłami, jak ktoś podszedł za blisko.

- Nie nazywali się tak samo?

- Nazywali. Ludzie mówili Gromnik, ale po ojcu też był Bernat. A czemu cię to interesuje?

- Zaraz ci powiem. Dlaczego Gromnik?

Ksiądz nie był zadowolony z odpowiedzi.

- A bo ja wiem? Czasem się coś do człowieka przyklei.

- A dzieci?

- Niby mieli dwoje czy troje, ale pomarły.

- Możesz to sprawdzić w księgach? Ile ich było?

Proboszcz parsknął.

- Gromnik do kościoła nie zaglądał. On z kobietą pochowany na miejskim, a gdzie dzieci - nie mam pojęcia.

Kruk otarł pot z czoła. W szopie zrobiło się duszno.

- Niewierzący? Ludzie pewnie nie dawali mu spokoju?

- Nie, szanowali go. Jak mu kobieta zmarła, to się okoliczni trochę nim zajmowali. Podobno umiał wróżyć i przywoływać duchy. Chodzili do niego i tacy, co w niedzielę stali w pierwszym rzędzie przed ołtarzem.

- Naprawdę umiał przywoływać duchy? - Kruk zmrużył oczy.

- Zdzisiek, ile ty masz lat?

- Ale istnieją? Uczyli was chyba w seminarium.

- W seminarium to ja byłem pięćdziesiąt lat temu.

Kruk się uśmiechnął.

- Popatrz na to.

Wyciągnął telefon i pokazał zdjęcie Janika, a w szczególności znak na piersi. Proboszcz pochylił się nad ekranem. Oczy mu się najpierw zwęziły, a potem rozszerzyły.

- Podrapał się gdzieś. Może faktycznie buszował w szopie i tam sobie to zrobił.

- Wierzysz w to? - Kruk przesunął do ostatniego zdjęcia. - U Gromnika znalazłem jeszcze coś takiego.

Tym razem oczy proboszcza od razu zrobiły się duże. Pięć figurek ustawionych wokół kamiennej płyty wywarło na nim wrażenie.

- Co to jest? - zapytał ledwie słyszalnym szeptem.

- Ziemiańska u Gromnika na podwórku. Stamtąd pochodzi ten święty. Nie wiem, jak dzieciaki go oderwały, bo ja nie byłem w stanie ruszyć żadnego posążka. Wszystkie posiadają znak, a płyta ze dwa metry średnicy i nie ma mowy, żeby jeden chłop ją tam położył. Potrzebuję twojej pomocy. - Kruk spojrzał Wrońskiemu prosto w oczy. - Tu się dzieje coś dziwnego. Trzeba ogromnej siły, żeby wywalić taką dziurę. Żadnych śladów, w szopie nic nie jest zniszczone. A Janik leży w szpitalu nieprzytomny ze znakiem na piersi.

- A jak niby mogę pomóc?

Kruk pomyślał, że lepsza chwila się nie nadarzy.

- Może coś w niego weszło? Umiesz odprawiać egzorcyzmy?
Proboszcz złapał się za głowę.

- Czyś ty oszalał?

- Boguś, ja się nie znam na tych sprawach. Przecież to twoja robota. O tej porze prawie nikogo nie ma w szpitalu. Załatwisz to po cichu i wracamy.

- W życiu nie odprawiałem egzorcyzmów. W głowie ci się pomieszało?

- Słuchaj, przecież to nasza robota, żeby służyć ludziom.

Proboszcz patrzył na posterunkowego z niedowierzaniem.

- Janik leży w szpitalu, tam są tacy, co wiedzą, jak się nim zająć.

Kruk zaczął tracić nadzieję.

- Wiesz, co ludzie mówią. Ksiądz, dziwka i policjant to nie zawód, tylko powołanie. Czasem trzeba się poświęcić dla innych.

Wroński odsunął plandekę i wyszedł. Krople deszczu moczyły mu włosy.

- Boguś, tam się dzieje coś dziwnego. Coś jest pod tą płytą.

Proboszcz nawet się nie odwrócił. Rzucił tylko przez ramię:

- Idę do siebie. Ty zrób to samo.

* * *

Kruk poszedł do siebie. Zjadł kolację i usiadł przed telewizorem. Rozmowa z żoną się nie kleiła. Powiedział, że dostał trudną sprawę i dała mu spokój.

Po godzinie zadzwonił telefon. To był Wroński.

- Ty, policjant, przyjedź po mnie. Jeśli potrzebujesz też dziwki, to musisz sobie załatwić ją sam.

Dwadzieścia minut później jechali już do miasta. Strugi deszczu tłukły o dach samochodu. Proboszcz trzymał między

nogami siatkę z kropidłem i wodą święconą w butelce po mineralnej. Nie odzywali się.

Pod szpitalem stał radiowóz.

- Ten wasz Janik uciekł. - Lekarz nie miał nic więcej do powiedzenia, podobnie jak policjanci z komendy miejskiej.

- Oddziałowa spała. Jakoś się wymknął.

- Na bramie go nie zatrzymali? Przecież był w pizamie. - Kruk próbował coś od nich wyciągnąć.

- Nie wyszedł przez bramę. Na monitoringu widać, jak przechodzi przez ogrodzenie. Zanim tam dobiegli, już zniknął. Poszedł w las.

Nikt nie zamierzał prowadzić poszukiwań w lesie po ciemku i w deszczu. Kruk znów zostawił numer do siebie i kazał dzwonić o każdej porze. W drodze powrotnej Wroński przysnął.

* * *

Telefon zadzwonił koło piątej nad ranem. Kruk miał tej nocy płytki sen. Obudził się od razu i odebrał po trzecim dzwonku. To był policjant spod szpitala.

- Dostaliśmy zgłoszenie, że jakiś wariat chodzi w samych gaciach po obwodnicy.

- Znaleźliście go?

- Nie, na siatce wzdłuż lasu wisiała góra od pizamy.

- Gdzie to było?

- Koło Starego Młyna.

Za oknem już świtało. Dzień zapowiadał się brzydki, na niebie wisiały ciemne chmury. Kruk ubrał się i zamierzał poszukać Janika na własną rękę. Wyciągnął z szafki mapę. Szpital stał na zachodnich obrzeżach miasta, pomiędzy osiedlem a lasem. Przez ten las dało się dojść do Starego Młyna prawie po linii prostej.

Ale czy Janik dałby radę w środku nocy? Gdzie mógł pójść dalej? Jeśli dalej szedł lasem w tym samym kierunku, to dotrze w końcu w okolice swojego domu. Może najprościej poczekać? A jeśli nie wraca do domu? Parę kilometrów za obwodnicą, na skraju lasu, znajdowała się mała kropka.

Jaworka.

* * *

Proboszcz odebrał po drugim sygnale.

- Janik się znalazł. - Policjant nie tracił czasu na powitania.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł...

Wroński po przespaniu nocy miał najwyraźniej nowe przemyślenia. Kruk nie zamierzał ich słuchać.

- Przyjadę za dziesięć minut.

Proboszcz znów trzymał w ręce siatkę z kropidłem i święconą wodą.

- Załatwimy potem coś w mieście - rzucił, wsiadając.

- Nie jedziemy do miasta. Godzinę temu widzieli go niedaleko Starego Młyna.

Wroński zmarszczył czoło.

- Gdzie on teraz jest?

- Gdzieś w lesie.

- Czy ty się dobrze czujesz? Widzisz, jak pada?

Kruk odczekał chwilę, zanim znów się odezwał:

- Myślę, że idzie do Gromnika.

Ksiądz bezwiednie wypuścił powietrze. Pobladł na twarzy.

- Ja się po krzakach nie będę włóczył. Za stary jestem. Odwieź mnie.

- Czego się tak boisz? Przecież duchy nie istnieją.

Wroński zacisnął usta.

Ostatni odcinek drogi rozmókł od deszczu. Zostawili samochód, proboszcz zapiął szczelnie kurtkę i założył kaptur.

Gdzieś w oddali uderzył piorun.

Kruk zabrał metalowy pręt, którym teraz chłostał krzaki róży, łamiąc gałęzie i poszerzając przejście. Niewiele to dawało, kolce wciąż czepiały się ubrania. Przystanął, bo w deszczu, bez śladów wyłobionych przez wózek, nie był pewien, czy dobrze idzie. Chmury zakryły niebo, ulewa się nasilała, a pioruny były coraz bliżej.

Odwrócił się, żeby poszukać innej ścieżki. Wroński wyglądał jak nieszczęście. Po twarzy spływały mu strużki wody, trząsał się z zimna. Chyba się bał.

Parę minut później dotarli pod pagórek. Kolejny piorun uderzył z trzaskiem.

Policjant przemógł się i podniósł klapę. Teraz on zaczął się bać. Deszcz spływał po schodkach, a na dole, w załomku korytarza, ściany rozświetlała pomarańczowa luna.

- Musimy tam wejść - powiedział.

Wroński zajrzał mu przez ramię. Popatrzył na bijącą z ziemianki poświatę, upuścił siatkę i odwrócił się. Kruk krzyknął za nim, ale proboszcz ruszył ścieżką między krzakami.

- Tam coś jest, pod tą płytą. Ona się ruszała.

Ksiądz się zatrzymał. Nie odwrócił się, zaczął się cofać. Kiedy wyszedł pomiędzy gałęzi, potknął się i przewrócił. W przejściu między krzewami ktoś stał.

Kruk od razu go poznał. Janik - ubrany w przemoczone spodnie od piżamy, z okaleczonymi stopami i podrapanymi rękami, po których spływała z deszczem krew. Patrzył przed siebie, w dal. Ruszył w stronę wejścia.

- Janik! - krzyknął posterunkowy. - Słyszysz mnie?

Nie zareagował. Kruk złapał go za ramiona.

- Stefek, musisz wrócić do szpitala.

Janik nadal patrzył niewidzącym wzrokiem. Kruk naparł na niego mocniej. Niewiele to dało. Ciało mokre od deszczu

wyślizgiwało się, ręce odpychały go, a stopy szły dalej.

Posterunkowy podstawił mu nogę i przewrócił. Usiadł mu na piersi.

- Bierz się do roboty! - krzyknął do proboszcza.

Wroński siedział wystraszony w kałuży. Otrząsnął się i podpełzł do swojej siatki. Ręce mu się trzęsły z zimna i ze strachu. Nie mógł wyciągnąć kropidła. Wstał i odkręcił butelkę. Chlapiąc wodą na Janika, recytował łacińskie formuлки.

Mokre ciało nie poddawało się słowom ani czynom. Wił się i wykrecał, pełzł zapamiętane ku schodom.

- Nie działa - krzyknął Kruk. - Dlaczego nie działa?

- A skąd mam wiedzieć? Egzorcyzmy są na Szatana, a to, co tam jest, nie ma nic wspólnego z Szatanem.

Policjant na chwilę stracił koncentrację. Wyswobodzona ręka Janika zacisnęła się w pięść. Cios był celny i mocny, trafił w szczękę.

Kruk upadł, tracąc orientację. Kiedy się pozbierał, Janik schodził już do komory. Policjant zbiegł i rzucił się na niego. Odbili się od ściany i runęli na podłogę.

Ściany gorzały od blasku. Kamienna płyta popękała na całej powierzchni, spomiędzy szczelin wydobywał się ognisty blask. Za każdym uderzeniem pioruna spod ziemi dochodził głośny pomruk. Podłoga drżała.

Janik znów próbował się wyrwać, a Kruk ścisnął najmocniej, jak potrafił. Wiedział, że w końcu braknie mu sił.

- Nie mogę cię puścić. Słyszysz mnie, Stefek?

- Zostaw go.

Wroński stał w wejściu. Głos miał spokojny i stanowczy.

- Zostaw go. On tu przyszedł pomóc nam, nie... temu. - Widząc niepewne spojrzenie Kruka, dodał: - Czasem trzeba się poświęcić.

Policjant powoli rozluźnił uchwyt. Janik podniósł się i ruszył w stronę pustego postumentu. Pioruny na zewnątrz raziły wściekle ziemię. Pomruk w głębi zmienił się w charczenie. Wydawało się, że płyta unosi się i opada. Kiedy mężczyzna stanął na postumencie, wewnątrz zaczął wypełniać czarny dym. Chmura omiotła najpierw wszystkie sześć postaci, a następnie, wirując coraz szybciej i szybciej, zawisała nad kamienną płytą pośrodku. Rozszerzała się i powiększała, aż w końcu wypełniła pomieszczenie. Szum zagłuszył pioruny na zewnątrz, zrobiło się zupełnie ciemno.

A potem wszystko ucichło. Została tylko ciemność.

* * *

Wrócili tam pod koniec czerwca, parę tygodni później.

Niebo było czyste, ptaki przekomarzały się w gałęziach, pachniało latem. Dzika róża wciąż czepiała się ubrania.

Janik stał sztywno na postumencie, oczy miał zamknięte. Znak na piersi był bardzo wyraźny. Nogi i tors zamieniły się w drewno.

Aleksandra Knap

Wszyscy jesteśmy grzeszni

- Ojcie nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje. - Chłopak rozdeptywał krzewy poziomek. Łamał gałęzie. Przedzierał się przez zarośla. Zatrzymał się pod sosną, próbując złapać oddech. Wbił paznokcie w twardą korę, przyłożył rozpalony policzek do pnia. Sapał.

W oddali rozległ się chichot, a echo niesło go po lesie.

Przez ciemną noc przebijają się światło księżyca. Chłopak odwrócił głowę, choć nie powinien. Zmarszczył brwi, przeskakując wzrokiem między drzewami, by odnaleźć źródło hałasu. Zimny podmuch musnął go po karku.

Zza sosny wyłonił się kawałek białego materiału. Powiewał na wietrze, chowając się za pnem. Chłopak zrobił kilka kroków do przodu, mijając krzew jarzębiny. Następnie zatoczył łuk. Drgnął, gdy obok tkaniny ujrzał dłoń.

Zaskrzypiał sznur ocierający się o gałąź. Czarne kosmyki opadały na klatkę piersiową, zasłaniając twarz. Ręce zwisały wzdłuż tułowia. Nogi kołysały się nad ziemią. Falował brzeg sukienki.

- Bądź wola Twoja, jako w Niebie, tak i na ziemi. - Wykonał znak krzyża, wbiegając na polanę. Słyszał dzwony kościelne. Podążał za ich dźwiękiem, brnąc przez wysoką trawę.

Gonił go śmiech. Delikatny. Lekki jak piórko.

Przeszywający na wskroś.

- Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie. - Chłopak przedostał się na drogę. Żwir kaleczył stopy. Koszula przykleiła się do pleców, pot zrosił czoło. Zaskrzybiały zawiasy, gdy chłopak rozwarł drewniane drzwi. - I nie wódź nas na pokuszenie.

W świątyni panował półmrok. Świece paliły się przy ołtarzu, rzucając światło na figurę Chrystusa umierającego na krzyżu. Młodzieniec przeszedł szpalerem kolumn i zatrzymał się przed klęcznikiem.

- I nie wódź nas na pokuszenie - wyszeptał, padając na kolana. Złączył dłonie, pogrążając się w modlitwie.

- Nadarze, czy pragniesz spowiedzi? - Ksiądz Jaromir położył dłoń na jego zeszywniałym ramieniu.

- Tak, ojcze. - Uniósł głowę, mimo to nie miał odwagi spojrzeć duchownemu w oczy. - Ojcze, wybacz mi, bo zgrzeszyłem.

- Wszyscy jesteśmy grzeszni. Wyznaj swoje winy, a będzie ci odpuszczone - odparł proboszcz ze zrozumieniem i nutą rezygnacji.

- Pozwoliłem, by zawładnęły mną nieczyste myśli.

Ksiądz spojrzał na Nadara zielonymi oczami i wziął głęboki wdech. Pogładził brodę, potarł czoło. Rozmasował opuchnięte powieki. Koścista sylwetka duchownego pochyliła się nad Nadarem.

- Zeszłej nocy tropiłem zwierzynę w lesie. Panował upał. Postanowiłem się ochłodzić. Zdjąłem koszulę i pochyliłem się nad stawem. Usłyszałem plusk. Wtedy ją ujrzałem. Siedziała na brzegu, zanurzając stopy w wodzie. Jej głowę zdobił wianek. Długie pasma opadały na nagie piersi. Blask księżyca sprawiał, że włosy zdawały się złote. Gdy pomyślałem, że to niemożliwe, dziewczyna zachichotała.

- Rozmawiałeś z nią? - Głos proboszcza zdradzał podenerwowanie. Duchowny jeszcze mocniej zacisnął palce na barku młodzieńca.

- Nie. - Nadar pokręcił głową. - Gdy otworzyłem usta, dziewczyna zsunęła się ze skarpy i zniknęła w głębinie.

- Pozwoliłeś, aby potrzeby cielesne zapanowały nad duchowymi - zagrzmiął ksiądz, po czym dodał: - Człowiek jest słaby, ulega pokusom. Żałujesz, że pozwoliłeś, by zawładnął tobą Szatan?

- Tak, ojcie. - Przeżegnał się. - Nie mogłem spać, nie mogłem przestać o niej myśleć. Przybiegłem do księdza, by wyznać grzechy.

- Dzisiejszej nocy będziesz spał spokojnie.

Ksiądz zniknął w zakrystii, by po chwili pojawić się z drewnianym krzyżykiem. Zawiązał rzemyk na szyi Nadara i przykazał:

- Zbliżają się Zielone Świątki. Poświęcony symbol będzie cię strzegł. Nie wchodź bez niego do lasu.

- Dziękuję, ojcie. - Młodzieniec poczuł, jak spływa na niego łaska Boga.

Zahuczał wiatr, łaskocząc Nadara po policzku. Chłopak zerknął w stronę drzwi, upewniając się, że je za sobą zatrzasnął. Tak, zostały zamknięte.

* * *

Krzyżyk spoczywał na torsie Nadara. Kropla potu spłynęła po skroni. Otwarte na oścież okno wpuszczało do środka gorące powietrze. Poduszka z pierza uwierała mocniej niż zwykle.

Matka chrapała za ścianą. Brała wdech, po którym zapadała cisza. Nadar wyczekiwał. Czasami kobieta nie wydawała żadnego dźwięku tak długo, że Nadar zbliżał się do drzwi, gotowy wbiec do jej pokoju i sprawdzić, czy matka żyje. Zwykle

nie zdążył przekroczyć progu, gdy rozlegało się charkotanie przeplatane atakami kaszlu.

Matka sypiała tak niespokojnie, odkąd sześć lat temu zmarł ojciec. Gdy w zeszłą wiosnę zaginęła córka Nasława, kobieta przestała mówić. Na jej twarzy pojawiły się zmarszczki. Powieki opadły, posiwiały brwi. Skóra na szyi zwiotczała, a na żyłastych dłoniach pojawiły się żółte przebarwienia. Kobieta wyglądała, jakby w ciągu ostatniego roku postarzała się o dziesięć lat.

Nadar przekręcił się na bok, ściskając w dłoni drewniany krzyżyk. Zamknął oczy. Ujrzał czarne włosy. Bose stopy chygotały się nad mchem. Brzeg sukienki falował, odsłaniając uda. Podmuch uniósł materiał, sprawiając, że pośladki zaśliznęły w promieniach słońca. Zaskrzypiał sznur. Głowa potoczyła się po ściółce. Nogi kołysały się nad ziemią.

Rozległ się śmiech. Dudnił w uszach. Zdzierał korę. Łamał gałęzie. Rozsadzał kamienie.

Nadar zerwał się z łóżka. Trzasnęło okno. Zimny powiew wtargnął do sypialni. Po spoconych plecach przeszedł dreszcz. Ujadał pies. Młodzieniec przyłożył ucho do ściany; matka chrapała. Ubrał spodnie i wyszedł z pokoju.

Zmierzał w stronę drzwi. Syknął, gdy natrafił piętą na wystające z podłogi ostrze. Przykucnął, wyszarpując przedmiot tkwiący między łączeniami desek. Chwycił rękojeść noża. Poczłapał do kuchni, zostawiając za sobą ślady krwi. Odłożył narzędzie na stół.

Wschodziło słońce, gdy Nadar wyszedł na podwórze. Zwierzak nie przestawał szczekać. Miotał się przy ogrodzeniu. Chłopak pogładził go po grzbiecie, nakazując spokój. Mimo to pies warczał, szczerząc kły. Za płotem pojawił się cień. Czarny jak ziemia, w którą czworonóg wbijał pazury.

Wiatr poruszał liśćmi. Kołysał łodygami traw. Nadar cofnął się kilka kroków; rzemyk zsunął się z jego szyi. Próbował go przytrzymać, jednak krzyżyk wbił się w glebę. Schylił się, gdy

zaskrzypiała furтка. Cień oddalał się, aż w końcu zniknął za klonem. Pies spuścił łeb, podrapał się za uchem i ułożył pod krzakiem bzu.

Nadar usłyszał chichot. Musiał wydać mu się znajomy, bo pomyślał o dziewczynie znad stawu. Ruszył w głąb lasu. Promienie przebijały się przez korony drzew. Chłopak zboczył ze ścieżki, nie chcąc tracić czasu. Przedzierał się przez krzewy kaliny, odgarniał łodygi czeremchy. Przyspieszył kroku. Prowadził go śmiech.

Zastukał dzięcioł. Zakrakała wrona. Trzasnął konar i zwałił się pod nogi Nadara.

Z oddali dochodziło pluskanie. Chłopak ominął przeszkodę i dobiegł nad skraj gąszczu. Słońce wspinało się nad wzniesienie i odbijało w tafli. Dziewczyna wynurzyła się na powierzchnię. Odgarnęła do tyłu mokre włosy. Woda spływała po ramionach. Piersi kołysały się, gdy zmierzała w jego stronę. Biodra falowały w rytm kroków. Kropla spłynęła wzdłuż mostka, otarła się o pępek i zniknęła we wzgórku łonowym.

Nadar wyciągnął rękę i pogłodził jej policzek. Musnął opuszkami palców czerwone jak jarzębina wargi. Panna przylgnęła do niego, wtulając twarz w koszulę. Nadar powąchał wianek ze stokrotek spoczywający na jej głowie. Zdążył wyczuć jej twarde sutki, gdy dziewczyna odskoczyła w bok, klaszcząc w dłonie.

- Kim jestem? - Jej głos był delikatny jak rosa osiadająca na płatkach konwalii. Dźwięczny jak deszcz uderzający o liście dębu. Czysty jak przebieśnigi o poranku.

Nadar objął ją w tali, przyciągając do siebie.

- Kim jestem? - Ponowiła pytanie, chwytając młodzieńca za rękę. Nadar nie zauważył, kiedy stopy dotknęły dna. Nie mógł oderwać oczu od pośladków zanurzających się w wodzie.

Rechot żab niósł się po lesie.

Koścista dłoń zacisnęła się na barku Nadara i wyciągnęła go na trawę. Chłopak leżał na wznak, obserwując Ojca Jaromira wymachującego kropidłem. Ksiądz wyciągnął krzyż spod sutanny i skierował go w stronę dziewczyny. Gdy wypowiedział słowa modlitwy, panna zanurkowała.

- Gdzie krzyżyk, który ci podarowałem? - zapytał z wyrzutem duchowny.

- Upadł mi - wyjącał. - Przed domem.

- Chodź ze mną.

- Ojczy, nie potrafiłem nad sobą zapanować - lamentował, gdy zmierzali w stronę domu Nadara. - Nie wiem, co mną zawładnęło.

- Ja wiem. Rusalka. - Ksiądz pchnął furtkę i wszedł na podwórze, rozglądając się dookoła.

- Powinien leżeć gdzieś tutaj. - Nadar zatrzymał się w przejściu między drzwiami a krzakiem bzu. Drewniane listewki tkwiły w grudce ziemi. Wytarł ubłocony krzyż o koszulę, po czym przełożył rzemyk przez głowę.

- Pilnuj go - rozkazał ksiądz.

- Dobrze. - Nadar ucałował święty symbol.

- Opiekuj się matką. Tomira cię potrzebuje. - Duchowny zerknął w stronę okna, w którym mignęła kobieca postać. - Mam nadzieję zobaczyć was na procesji. Dzisiaj obchodzimy uroczystość Zesłania Ducha Świętego.

- Przyjdę sam. Matka zwątpiła - wyszeptał Nadar, spuszczając wzrok. Następnie przybliżył się do księdza i dodał: - Ona cały czas czeka. Wierzy, że Nasława któregoś dnia wróci do domu.

Proboszcz odsunął się, uciekając wzrokiem w stronę lasu. Otworzył usta, ale nie wypowiedział słowa. Odwrócił się i odszedł zgarbiony, jakby zarzucił na plecy ciężar ponad swoje siły. Westchnął z żalu, że zdecydował się go nieść.

Zerwał się wiatr. Szarpnął koszulą Nadara, urywając guzik. Pies warknął i wbił pazury w ziemię.

* * *

Nadar otworzył drzwi i wszedł do sieni. Matka ubrana w czarną suknię stała przy stole. Za każdym razem, gdy Nadar obserwował jej krucze pasma gładko zaczesane w kok, przypominała mu się Nasława. Siostra, pomimo sprzeciwu matki, zawsze nosiła rozpuszczone włosy.

Kobieta odwrócona do syna plecami poruszała energicznie ramieniem, Nadar kątem oka dostrzegł w jej ręku nóż. Na blacie leżał bochen zarumienionego chleba.

- Dzień dobry, matko - przywitał się, a następnie ruszył w stronę sypialni. Poczul zimno pod stopami. Rozległo się chrapanie. Nadar spojrzął na matkę, która poruszała łokciem w przód i w tył. Słyszał, jak ostra krawędź trze o drewnianą powierzchnię.

Kobieta wzięła głęboki wdech, po którym nastąpiła cisza. Chłopak podszedł do stołu. Matka zaczęła się krztusić. Wpatrywała się w punkt za oknem z taką intensywnością, aż w oczach popękały naczynka. Strużki krwi spływały po policzkach. Nadar podążył za jej wzrokiem. Za szybą ujrzał cień.

Ostrze wrzynało się w deskę. Palce zaciśnięte na rękojeści zsiniwały.

Nadar chwycił za nadgarstek, wytrącając matce nóż. Zasłonił kobiecie oczy, przygarniając do siebie. Gdy objął ramieniem zeszywniałe ciało, mięśnie się rozluźniły.

Położył matkę do łóżka i przykrył kocem. Nalał wody do miski i obmył twarz. W jej oczach w dalszym ciągu gościł strach. Nadar czuwał, dopóki nie zasnęła.

Wybił dzwon. Chłopak ubrał czystą koszulę i spodnie. Wyciągnął z szafy buty, które zakładał do kościoła. Zamknął za

sobą drzwi. Dotknął szyi, upewniając się, że znajduje się na niej rzemyk.

* * *

Gdy Nadar przeszedł przez bramę przyozdobioną gałązkami brzozy, słońce znajdowało się nad dachem budynku.

Promienie wpadały do środka przez wysokie okna i oświetlały ołtarz przyozdobiony bukietem czerwonych kwiatów.

Młodzieniec przybył na mszę wcześniej. Przyklęknął w tylnej części nawy, próbując pogрузić się w modlitwie. Ręce dygotały, gdy przykładął palce do czoła. Głos drżał, gdy wypowiadał słowo *Amen*. Nadar myślał o matce. I dziewczynie znad stawu. Widział krew spływającą po policzkach. Mokre włosy przylegające do piersi. I stopy kołyszące się nad ziemią.

Do uszu Nadara dobiegł stłumiony odgłos podeszew uderzających o murowane stopnie. Chłopak odwrócił głowę. We wnęce między schodami prowadzącymi na emporę a konfesjonalem znajdowały się drzwi. Nadar usłyszał dźwięk przekręcania klucza w zamku. Zaskrzypiały zawiasy. Z ciemnego wnętrza wyłonił się ksiądz Jaromir. Wygładził brzeg ornatu, przecesał fryzurę, założył biret. Wyciągnął z kieszeni krzyż, musnął go ustami, a następnie zawiesił na szyi. Trzy razy uderzył się pięścią w piersi. Zamknął drzwi, ściskając w dłoni klucz. Gdy duchowny przeszedł obok ławek, Nadar dojrzał na jego policzkach wypieki.

Rozległ się śmiech. Dziewczęcy. Urzekający.

Przeszywający na wskroś.

Nadar zbliżył się do wnętrza i stanął przy konfesjonale. Na posadzce leżały płatki kwiatów.

* * *

Nad rzeką rósł tatarak. Nadar podwinął rękawy koszuli i wyrwał mieczowate liście, kłącza i korzenie. Żar palił mu kark.

Błoto brudziło buty. Chłopak złożył łądygi w stos i zarzucił na ramię. Minął klon i popędził do domu.

Gdy wszedł do lasu, usłyszał chichot. Zatrzymał się, zamierzając zawrócić, gdy śmiech przerodził się w pojękiwanie. Rozejrzał się. Wśród łąnów zawilców zobaczył złotowłosą dziewczynę. Siedziała na kwiatach z wyprostowanymi plecami i odgiętą do tyłu głową. Jej piersi falowały, gdy pieściła dłonią swoje krocze.

Trzasnęła gałąź. Rusałka dostrzegła Nadara. Chłopak ułożył tatarak pod krzakiem i klęknął przy dziewczynie. Powąchał jej skórę. Musnął koniuszkiem nosa kosmyki. Oblizał wargi i zaczął pieścić językiem raz jedną, raz drugą brodawkę. Rusałka chwyciła jego rękę i wsunęła między swoje uda. Nadar poczuł jej ciepłe i wilgotne wnętrze.

Rozpiął spodnie i wszedł w nią gwałtownie. Rusałka opadła plecami na ziemię, unosząc biodra. Drżała, zaciskając nogi wokół jego talii. Krzyczała, gdy zagłębiał się w nią coraz zachłanniej i mocniej.

Nadar mógłby przysiąc, że orgazm trwał jeszcze długo po tym, jak się ubrał, a dziewczyna odeszła w stronę stawu.

- Jak ci na imię? - zawołał.

Odwróciła się, odgarniając włosy z twarzy i poprawiając wianek.

- Niestanka.

* * *

Pies spał w cieniu bzu. Nadar układał tatarak na ścieżce prowadzącej od furtki do domu. Garść liści położył na parapecie, kłacza rzucił na próg, by odpędzić zło.

Wiatr zaszeleścił w drzewach.

Nadar wszedł do środka, a podmuch zatrzęsął za nim drzwi.

Matka stała przy ścianie, trzymając w ręku nóż. Rzeźbiła ostrzem w drewnianej powierzchni. Chrapała.

- Matko? - wyszeptał.

Jej ramię znieruchomiało. Ostra krawędź utkwiła w desce. Kobieta odwróciła głowę, ukazując czerwone oczy. Krople krwi kapąły na podłogę.

Zatrzeszczało okno. Wiatr zdmuchnął tatarak z parapetu i wtargnął do izby.

Nadar złapał matkę w talii i zaprowadził do pokoju. Zamknął drzwi, które następnie zastawił krzesłem. Tomira usiadła na łóżku, wydając z siebie świszczący dźwięk. Nadar ściągnął krzyż i zawiesił go na szyi matki.

Złączył dłonie, wypowiadając modlitwę. Zimne powietrze wypełniło pomieszczenie.

Chłopak usłyszał wycie psa, które po chwili przerodziło się w skomlenie. Zapadła cisza.

- Matko, porozmawiaj z Bogiem - błagał, klękając przy jej nogach. Kobieta milczała, wpatrując się w podłogę. Chłopak podążył wzrokiem za przerażonym spojrzeniem. W szparze między drzwiami a posadzką pojawił się cień. Ciemna plama obracała się na boki, aż uformował się z niej podłużny kształt z rogami.

Zawiasy drgnęły. Krzesło oderwało się od podłoża i trzasnęło o ścianę. Drzwi otworzyły się z hukiem, wyrwijąc okucia. Potężna siła uniosła Nadara pod sufit.

Matka z trudem łapała oddech, gdy cień osiadał na jej stopach. Krzyż żarzył się, wypalając dziurę w sukni. Wtapiał się w skórę, sprawiając, że z klatki piersiowej unosił się czarny dym. Kobieta wrzeszczała, a krew tryskająca z oczu chlapała na szafę. Chwyciła święty symbol i zerwała rzemyk. Rzuciła nim w kąt.

Wstała z łóżka i przeszła przez próg. Nadar runął na podłogę. Poczul ból w potylicy. Pokój zawirował. Chłopak stracił przytomność.

Otrzeźwił go chłodny powiew. Dźwignął ciało, przytrzymując się ściany. Wyszedł z pokoju, natrafiając na nóż wbity w deskę. Złapał go skostniałymi palcami i wyszarpnął. Dostrzegł wyrytą w drewnie rzymską cyfrę dziewięć.

Pokuśtykał na podwórko. Dał wicher. Nadar rozejrzał się w poszukiwaniu psa. Zauważył go leżącego na ścieżce. Chłopak zagwizdał, ale czworonóg nie zareagował. Gdy podszedł bliżej, dostrzegł ślinę zwisającą z pyska, powykręcane łapy i przetrącony kark.

Nadar usłyszał śpiew. Na polanie paliło się ognisko. Wieśniacy tańczyli, wymachując brzozowymi gałązkami.

Zapadał zmrok.

Nadar wziął wdech i wszedł do lasu.

- Musimy znaleźć twoją matkę. - Ksiądz znalazł się przy jego boku.

- Nie wiem, dokąd poszła - wyjęczał chłopak.

- Wydaje mi się, że widziałem ją przy klonie. Spieszmy się. Dziś rocznica. - Spuścił wzrok. - Twoja matka wygnała z serca Jezusa. Przez to stała się bardziej podatna na złe moce.

- Bóg pozwolił, by Nasława odeszła. Dlatego matka w niego zwątpiła. Nie rozumie ojciec, przez co przeszła. - Nadar niemal krzyczał.

- Zdaję sobie sprawę, co nią zawaładnęło. Pomożemy jej.

Nadar wyteżał wzrok. Omijał krzaki, unosił wysoko nogi. Słyszał kroki księdza, który podążał tuż za nim. Przez chwilę odniósł wrażenie, że pośród drzew dostrzega ognisty krzyż.

- Ojczy?

- Słucham.

- Co oznacza cyfra dziewięć?

- Dlaczego pytasz?

- Matka wyryła ją na ścianie, wtedy, gdy z jej oczu płynęła krew.

Ksiądz westchnął, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Dziewięć chórów anielskich. Dziewięć owoców Ducha Świętego - wymieniał.

- A rzymska cyfra?

- Dekalog został wyryty na kamiennych tablicach w systemie numeracji rzymskiej. Ale przykazań jest dziesięć.

- Może matka chciała zwrócić uwagę nie na wszystkie przykazania tylko na konkretne, dziewięte: *Nie pożądam żony bliźniego swego* - wyrecytował Nadar, myśląc o dziewczynie znad stawu. Tyle że matka nie miała prawa o niej wiedzieć. Chłopak spojrzał na księdza. Na jego czoło wstąpiły krople potu. Duchowny wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł twarz.

- Gorąco - skwitował.

Szli w milczeniu.

Szumiały liście.

- Oddaj mi córkę - zagrział głos. Ciężki jak grzech potępionego. Rozdzierający jak jęki maltretowanej duszy. Głęboki jakby dochodził z piekła.

Odwrócili się, dostrzegając matkę Nadara. Krwawe łyzy spływały po policzkach i osiadały na wargach. Krucze pasma rozwiewał wiatr. Rozdarta suknia zwisała z bioder. Na piersiach tliła się rana w kształcie krzyża.

Zadomowiona w kobiecie siła rzuciła księdzem o drzewo. Duchowny zawył, gdy wystająca gałąź wbiła się w łopatkę. Syknął, gdy kora przecięła szatę, raniąc plecy.

Rozległ się śmiech.

Plusnęła woda.

Księżyc w nowiu oświetlił staw, z którego wyłoniła się Niestanka. Rusalki jedna po drugiej wychodziły na brzeg. Klaskały w dłonie, rozbryzgując wodę. Tańczyły, poruszając biodrami. Chichotały, trzymając się za ręce. Nucily, wachając kwiaty. Hipnotyzowały nagością, urzeakały wdziękiem.

Niestanka przysunęła się do chłopaka. Nadar poczuł na swoim ramieniu jej ciepło. Dziewczyna wyszeptala mu do ucha:

- Nadarze, twoja matka domaga się, by ksiądz przyznał, gdzie przetrzymuje Nasławę.

- Co takiego? - wydukał.

- Gdy Nasława zawisała na drzewie, stała się częścią naszej społeczności. Niewinna, czysta, zupełnie jak my. Uplotyliśmy jej wianek, chciałyśmy zabrać do stawu, do domu. A on nam ją ukradł. - Zmarszczyła brwi, wskazując palcem na duchownego, który ścisakał w dłoni kropidło.

- Pomogłem jej - wyjęczał ksiądz, coraz mocniej przyciskany do pnia. - Przybiegła do kościoła w białej sukience. Włosy opadały na ramiona. Pragnęła spowiedzi. Nosila smutek w oczach i ból w sercu. Odrzucona przez ukochanego, samotna, nie znalazła ukojenia w słowach Boga. Wybiegła na drogę. - Ksiądz zacisnął powieki, oblizał wargi. - Gdy sen nie przyszedł do mnie tamtej nocy, postanowiłem jej poszukać. Upewnić się, że wróciła do domu. Znalazłem ją w lesie. Sznur oplatał jej szyję, stopy wisiały nad ziemią, sukienka powiewała na wietrze. Rusalki zdążyły podarować jej wianek. Usłyszałem śmiech. Odwiązałem linę i zaniostałem Nasławę do świątyni, po to, by ją ratować. - Spojrzał na sznur przewieszony przez gałąź klonu.

- Oddaj mi córkę - wrzasnęła Tomira, aż zatrzęsała się ziemia. Wiatr łamał gałęzie, wyginał konary. Podmuchał różniósł płomień z paleniska ułożonego przez wieśniaków na pole. Ogień zajął łany zbóż. Ksiądz zdołał unieść kropidło. Święcona woda spadła na kobietę. Parzyła skórę. Matka Nadara upadła

na kolana. Naprężyła sylwetkę, odgięła głowę. Otworzyła szeroko usta, aż gruchnęła szczęka.

Wraz z wydechem uleciał z niej cień.

Nadar uniósł rękę i wycelował nóż. Ostrze przecięło powietrze. Zatrzymało się tuż przed rogatą sylwetką, jakby napotkało mur. Następnie runęło na glebę. Ciemny kształt oddalił się i zniknął za drzewem.

Matka opadła z sił i osunęła się na ziemię, łądując twarzą w błocie.

Nadar klęknął przy matce i przekręcił jej głowę na bok. Wyłamana szczęka nie pozwoliła kobiecie krzyczeć. Z gardła wydobywało się jedynie rżenie przepłatane szlochaniem.

- Lepiej uznać kogoś za zaginionego niż martwego, Nadarze - odparł ksiądz, który odzyskawszy kontrolę nad ciałem, usiadł na trawie i dyszał.

- Niech Ojciec na nią spojrzy. Tak wygląda człowiek, który czeka - wycedził Nadar, po czym zwrócił się do matki:

- Odnajdę Nasławę. Twoja córka wróci do domu. Obiecuję. - Ułożył jej ciało na mchu.

Rozkazał księdzu, by prowadził go do siostry.

* * *

Przekroczyli próg kościoła. Przy ołtarzu paliły się świece. Gromnice oświetlały boczne nawy. Nadar wszedł w zaułek, w którym znajdowały się płatki kwiatów. Drzwi zostały otwarte. Na posadzce umazanej czerwoną cieczą widniały ślady stóp.

- To niemożliwe - wyjęczał ksiądz. - Tylko ja mam klucze.

Rozbrzmiały organy. Zagłuszał je śmiech. Spływał wraz z woskiem po świecznikach. Przenikał przez stulę przewieszoną na konfesjonale. Osiadał na ranach ukrzyżowanego Jezusa.

Zza filara wynurzyła się Nasława z wiankiem na głowie. Kosmyki kleiły się do spoconych policzków. Przemoczona

sukienka oplatała biodra. Dziewczyna trzymała w rękach noworodka. Jego skórę pokrywała tłusta wydzielina. Blask płomyków padał na pomarszczoną jak u staruszka twarz i zielone źrenice.

Siostra Nadara zachichotała, wycierając usta z galaretowatej mazi. Krew spływała po jej nogach. Między udami zwisała sprężysta lina. Nasława schyliła się, chwyciła pępownię, wyszarpując ją ze swojego wnętrza. Łóżysko pacnęło na podłogę.

Ksiądz wznosił ramiona, błagając Boga o wybaczenie. Cofnął się, by paść na kolana przed ołtarzem. Modlił się, żałując za grzechy i połykając łzy. Wyrzuty sumienia oraz strach przed boską sprawiedliwością rozchodził się echem po świątyni.

Nadar wziął Nasławę wraz z dzieckiem na ręce.

Weszli do lasu.

Otoczyły ich rusałki. Śpiewały pieśń do księżycy, splatając dłonie.

Niestanka stała nad brzegiem. Jedną rękę wyciągała do Nadara, w drugiej trzymała wianek ze stokrotek. Za jej plecami płonęło zboże. Tryskały iskry. Syczał ogień. Ziarna spadały na ziemię.

Chłopak postawił siostrę na ziemi. Rusałka z rudymi włosami wzięła noworodka w ramiona. Malec się uśmiechnął.

Matka wstała, przytrzymując się pnia sosny. Obserwowała, jak rusałki wprowadzają jej córkę do stawu. Pomagają zdjąć sukienkę. Obmywają krocze. Dziecko unosiło się na powierzchni. Dryfowało pośród lilii, aż w końcu któraś z dziewczyn wciągnęła je pod wodę.

Tomira zrobiła kilka kroków w stronę klonu. Wbiła paznokcie w korę, próbując wdrapać się na górę. Ześliznęła się, obcierając kolano. Na gałęzi siedziała rusałka. Przeczesała palcami jasne błyszczące pasma. Nuciała wesołą melodię,

machając nogami. Chwyliła dłoń kobiety i pomogła wspiąć się na konar.

Rusałka chwyciła sznur i przełożyła go matce Nadara przez głowę. Tomira spojrzała w dół.

Niestanka wręczyła Nadarowi wianek. Rozpięła koszulę i zsunęła ją z ramion. Ściągnęła spodnie i wyrzuciła je w krzaki. Nadar wszedł do wody, w której zatapiał się księżyc.

Niestanka znikła w głębinie. Nadar zacisnął powieki i zanurkował. Poczuł, jak opuszka palca rusałki łaskocze go w szyję. Otworzył oczy, choć nie powinien. Ujrzał szkaradę z zielonymi niczym glony włosami. Uśmiech odsłaniał czarne zęby. Napięta skóra twarzy podkreślała wystające kości policzkowe. Obwisłe piersi ocierały się o mulaste dno. Powykręcane kończyny pociągnęły młodzieńca na dno.

Zaskrzypiał sznur.

Alan Żegota

Nocna Parada Stu Demonów

Iwamura Musashi o świcie opuścił Osakę. Zaledwie wczoraj przyплыł z Awaji-shimy, z wyprawy przeciwko tamtejszemu plemieniu onich. Po wielu dniach błędzenia po cuchnących jaskiniach cieszył się, że wreszcie ponownie zawita do domu i zobaczy Kimiko... a może nie tylko ją? Chociaż miał nadzieję, że dziecko jeszcze nie przyszło na świat, chciał być obecny przy narodzinach.

Kiedy zbliżał się do granicy prowincji Settsu, zastała go noc. Na szczęście dostrzegł światła, pochodzące, jak sądził, z wioski usadowionej między wzgórzami. Musashi, nie chcąc podróżować po zmroku, postanowił w niej przenocować. Od własnej posiadłości nie dzieliła go daleka droga. Jeśli jutro wyruszy z samego rana, do celu dotrze po południu.

- Tobie też przyda się odpoczynek, prawda? - zwrócił się samuraj do konia i już zamierzał skierować go ku osadzie, kiedy jego uwagę zwrócił oświetlony blaskiem księżyca monolit o niezwykłym kształcie. Przypominał olbrzymiego potwora z rogami i długim pyskiem. Musashi mógłby przysiąc, że szczyt skały się unosi, jakby w oddechu...

Wtem jak spod ziemi wyrósł przy nim malutki, brzydki człowieczek w szacie mnicha.

- Witaj, szlachetny panie. Nad czym tak dumasz?

Musashi, zaskoczony nagłym pojawieniem się nieznanego, spojrział na niego, a potem z powrotem na skałę. Tym razem

jednak nie dostrzegł w niej nic nadzwyczajnego.

Umysł spletał mi figla, pomyślał samuraj, po czym odpowiedział:

- Ja? Po prostu... kontempluję krajobraz.

Mały mnich w ciszy skinął głową i również zerknął na dziwną formację skalną, przyświecając sobie trzymaną w dłoni latarnią. Tymczasem Musashi, uznając milczenie za nietaktowne, zagaił:

- A ty, mnichu, dokąd wybrałeś się tak późno?

Obcy opuścił latarnię i odrzekł z uśmiechem:

- Jestem pielgrzymem. Odwiedzam święte miejsca w Settsu. Tak się składa, że jedno z nich znajduje się niedaleko tej wioski, nad rzeką. - Wskazał latarnią pobliskie zabudowania. - Zamierzam spędzić tam noc.

- O, i ja jadę w tamtym kierunku - oznajmił Musashi. - Może dotrzymam ci towarzystwa?

- Byłoby miło. W grupie zawsze raźniej, zwłaszcza w taką noc jak ta...

Ruszyli zatem we dwójkę - samuraj na koniu idącym stępą oraz mnich drepczący wyjątkowo żwawo u jego boku.

Dopiero teraz Musashi zwrócił uwagę na nietypową aparycję kompana. Drobne ciało wieńczyła nieproporcjonalnie wielka głowa o osobliwym, wydłużonym kształcie. *Czyżby jakaś choroba?*

- Jak się nazywasz, jeśli wolno mi spytać? - zapytał rycerz.

- Nūrihyon - padła odpowiedź. - A ty, panie?

- Iwamura Musashi.

Nūrihyon pokiwał głową i powtórzył kilkakrotnie „Iwamura Musashi, Iwamura Musashi”, jakby próbował zapamiętać nazwisko swego towarzysza, a następnie zapytał:

- Wybacz mi ciekawość, Iwamura-san, ale chciałbym wiedzieć, dokąd zmierzasz.

- Och, twoja ciekawość w ogóle mi nie przeszkadza. Cały dzień nie miałem okazji do rozmowy - przyznał Musashi i pokrótce opowiedział o swojej podróży. Nūrihyon słuchał ze zmarszczonymi brwiami, a całą historię skwitował krótkim:

- Ach tak...

- Ale dość o mnie - powiedział samuraj, obawiając się, że znudził mnicha swoim gadaniem. - Opowiedz o swojej pielgrzymce.

- Cóż, to nic takiego - odparł skromnie Nūrihyon. - Odwiedzam głównie stare kapliczki, o których nikt nie pamięta. Czasem je sprzątam i odnawiam, jeśli są bardzo zaniedbane, ale głównie modlę się i medytuję.

Zrobił krótką pauzę i dotknął niewielkiego tobołka wiszącego u paska, upewniając się, że jest bezpieczny.

- Tu na przykład - kontynuował - znajduje się miejsce kultu pewnego bardzo starego kami. Już od dawna nikt go nie czci, ale sama kapliczka pamięta czasy pierwszego cesarza. Wioskę założono ze względu na nią.

Musashiego nagle ogarnęły wątpliwości.

- Czy kami pozbawiony wyznawców nie staje się demonem?

- Nie! - zaprzeczył gwałtownie Nūrihyon. - Nie, nie, nie, Iwamura-san, nie nazywaj yōkai demonami. Widać, że... nie rozumiesz ich natury - dokończył spokojnie, choć z nieco wymuszonym uśmiechem.

- Ty, mnich, twierdzisz, że yōkai nie są złe? - Samuraj nie czuł się przekonany.

- To bardziej złożone byty. Zupełnie jak ludzie - westchnął duchowny, po czym zapytał z chytrą miną: - Powiedz, Iwamura-san, czym według ciebie są yōkai?

- Cóż... Tak jak mówiłem, sądziłem dotąd, że to kami, których nie otoczono kultem.

- Tak? A co jeśli kami to otoczone kultem yōkai?

Musashi poczuł dyskomfort, ale postanowił nie ciągnąć tematu.

Gdy dotarli do wioski, samuraj stwierdził, że coś jest nie tak. Panowała tu absolutna cisza, niezakłócana nawet przez szczekanie psów czy cykanie świerszczy. Główna uliczka była pusta, a jedyną oznakę obecności mieszkańców stanowiły światła w oknach domów. Wewnątrz nie dało się jednak zaobserwować żadnego ruchu.

Musashi przypomniał sobie słowa mnicha, na które wcześniej nie zwrócił uwagi.

- Co miałeś na myśli - zapytał - mówiąc o „takiej nocy jak ta”?

- Cóż... Czy słyszałeś o Hyakkiyagyō? Nocnej Paradzie Stu Demonów? - odpowiedział pytaniem Nūrihyon. Jego twarz rozciągnęła się w złowieszczym uśmiechu. - Dziś właśnie yōkai mają święto. Zepchnięte na margines przez ludzi i ich coraz bardziej sformalizowane rytuały, tej jednej nocy powracają, obejmując Japonię we władanie...

Musashi skrzywił się. Jego wyobrażenia o yōkai sprowadzały się do krwiożerczych potworów, jak te, z którymi niedawno walczył. Chytre istoty ze starych opowieści, mające własny, ukryty przed ludźmi świat, do nich nie należały.

- Wieśniacze przesady.

- Możliwe. - Nūrihyon spoważniał i otaksował go nieprzyjaznym spojrzeniem. - Ale mimo wszystko nie liczyłbym dzisiaj na ciepłe przyjęcie.

- Do czasu, aż zobaczę, kim jestem - powiedział z naciskiem Musashi, klepiąc rękojęść swojego miecza. - To otwiera mnóstwo drzwi.

- Jak chcesz, Iwamura-san, ale nie zdziw się, jeśli będzie tak, jak mówię. - Mnich wzruszył ramionami. - Kapliczka jest tam. - Wskazał palcem gdzieś w prawo. - Przejdź na drugą stronę

rzeki i zaraz będziesz na miejscu. Zawsze możesz do mnie dołączyć.

- Dziękuję, ale raczej nie skorzystam. - Musashi zsiadł z konia i odszedł, prowadząc go za uzdę. Tymczasem jego towarzysz zniknął między domami.

Sądząc po braku zajazdu albo chociaż czegoś, co by go zastąpiło, wioska nieczęsto gościła podróżnych. Po chwili błądzenia wśród budynków samuraj postanowił poprosić miejscowych o pomoc, a w ostateczności - o nocleg. Skierował się ku najokazalszemu domostwu i zapukał do drzwi. Nikt nie odpowiedział, więc Musashi zapukał jeszcze raz.

- Halo? Jest tam... - Urwał, stwierdzając ze zdziwieniem, że drzwi same się przed nim uchyliły. Uznał, że to w wyniku mocniejszego uderzenia. Zajrzał do środka.

Umieszczone pośrodku izby palenisko płonęło jasnym ogniem, oświetlając pochyloną nad nim zgarbioną postać. Stała tyłem do Musashiego.

- O... Dobry wieczór - przywitał się, otwierając drzwi szerzej. - Raczej wybaczyć mi to najście, dobry człowieku, ale szukam...

Zamilkł i zmarszczył brwi. Postać nawet na niego nie spojrzała, nadal była zwrócona w kierunku paleniska. Nie odzywała się.

Może jest głuchy, pomyślał Musashi i niepewnie przekroczył próg, czując się zmuszonym do pogwałcenia zasad etykiety. Wówczas gospodarz odwrócił się spokojnie, zupełnie jakby doskonale wiedział o gościu za jego plecami, ale nie uznał za stosowne zaszczyenia go spojrzeniem. Niemniej Musashi, zamiast odczuć ulgę, ze świstem wciągnął powietrze nosem, zatrzymując się w pół kroku.

On nie miał twarzy.

Samuraj cofnął się, sięgając drżącą ręką po miecz.

- Kim... Czym ty jesteś?

Nagle poczuł, że coś szarpnęło go za nogawkę. Mimowolnie spojrział w dół i zobaczył stwora przypominającego wiadro wyposażone w osiem włochatych, pajęczych odnóży i paskudne żuwaczki. Musashi jęknął z obrzydzeniem i kopniakiem odrzucił chochlika na bok. Na próżno, bo wokół niego pojawiło się więcej obrzydliwych postaci.

Ze wszystkich kątów wypełzały ożywione przedmioty - od pałeczek zwieńczonych gałkami ocznymi, ciągnących za sobą nerwy wzrokowe, przez kłapiące zębatami pokrywkami naczynia, po utensylia przypominające tłuste, kudłate ćmy. Istota podobna trochę do parasola, trochę do meduzy, złapała samuraja za ramię. Ten spróbował przeszyć ją mieczem, ale yōkai uskoczył do tyłu, wydając dziwne dźwięki, brzmiące jak szyderczy śmiech. Masa niepokojących stworzeń osaczyła Musashiego. Ten jednak w ostatniej chwili zdołał wydostać się na zewnątrz, zatrzasnąwszy drzwi. Wówczas z przerażeniem odkrył, że okolica uległa przemianie.

W wiosce zaroilo się od paskudnych istot. Blask pochodni oświetlał ich mniej lub bardziej nieludzkie oblicza. Część oddawała się dzikim tańcom lub grze na instrumentach wykonanych z ludzkich kości i ścięgien, których kakofoniczne dźwięki wypełniały powietrze. Inne zwyczajnie snuły się bez celu, rechocząc obłąkańczo. Główną uliczkę przemierzała niewielka procesja prowadzona przez kota o dwóch ogonach, za którym podążała grupa demonów niosących pałankin. Centralne miejsce zajmowała na nim toporna figurka z twarzą skrytą w cieniu.

Na widok tych scen Musashim wstrząsnął impuls - musi odnaleźć Nūrihyona. Jeśli ktoś może teraz cokolwiek zaradzić, to tylko duchowny.

Samuraj puścił się biegiem między domy, mijając coraz straszniejsze postacie. Toczące się płonące koło. Jenot grający

na własnym, ogromnym przyrodzeniu jak na bębnie. Kobieta z brzytwą w dłoni i ustami rozciętymi od ucha do ucha. Na szczęście yōkai zdawały się nie zwracać na niego szczególnej uwagi.

Tak Musashi dobiegł do rzeki, jednak wtedy szczęście go opuściło. Nawet nie dlatego, że w pobliżu nie było żadnego mostu, bo potrafił nieźle pływać. Gorzej, że zobaczył go stwór przypominający połączenie małpy, żółwia i ptaka. Zawzięcie płukał coś w wodzie, ale na widok intruza porzucił swoje zajęcie i zaskrzeczał z nienawiścią:

- Człowiek, człowiek! - Skoczył w stronę Musashiego. Samuraj wykazał się jednak refleksem, nadziewając yōkaia na ostrze miecza. Ten zacharczał nieludzko donośnym głosem i znieruchomiał. Zabójca wyszarpnął broń z jego trzewi, odetchnął głęboko i z pewnym oporem wszedł w nurt, trzymając katanę nad głową.

Gdy był już w połowie niezbyt głębokiego koryta rzeki, coś wściekle zabulgotało. Z wody wynurzyły się głowy istot pokrewnych tej ubitej przez niego przed chwilą. Złorzeczyły mu i z pewnością zamierzały pomścić pobratymca.

Musashi, czując, że nie poradzi sobie z całym stadem, rzucił się do desperackiej ucieczki ku drugiemu brzegowi. Szarpany i podszczypany przez rozwścieczone yōkai, sam nie wiedział, jakim cudem zdołał w końcu stanąć po przeciwnej stronie cały i zdrowy. Potwory kpiły i wyzywały go, ale z jakiegoś powodu nie ścigały. Obawiając się wznowienia pogoni, Musashi szybko odszedł.

Otoczona niskim płotem kapliczka faktycznie się wyróżniała. Dookoła niej lśniło tyle świateł, że wydawało się nieprawdopodobnym, iż wszystkie zostały zapalone przez jedną osobę w tak krótkim czasie. Samuraj jednak nie zastanawiał się nad tym. Przekroczył ogrodzenie i ujrzał swojego nowego znajomego, pogrążonego w modlitwie przed ołtarzykiem.

Nūrihyon, widząc zbliżającego się przemoczonego samuraja z oblędem w oczach, przerwał obrzędy.

- Wielki Amido, Iwamura-san! Co ci się stało?

- Miałeś rację - powiedział cicho Musashi. - Miałeś rację, w wiosce roi się od demonów!

Upadł na ziemię, łapiąc mnicha za szatę.

- Co robić? - jęknął. - Na pewno jestem co najmniej rytualnie nieczysty... A co jeśli yōkai rzuciły na mnie klątwę? Mogę być już trupem!

Nūrihyon wyszarpnął połę ubrania z rąk nieszczęśnika.

- Uspokój się i usiądź normalnie, to nie przystoi rycerzowi - zbeształ go. - Iwamura-san, gwarantuję ci, że twój czas jeszcze nie nadszedł. - Oznajmił to takim tonem, jakby nie było nic bardziej oczywistego pod słońcem.

- Skąd ta pewność? - spytał Musashi, podnosząc się. Nūrihyon uniknął udzielania odpowiedzi.

- Najpierw opowiedz mi dokładnie, co spotkało cię w tej wiosce.

Musashi zaczął mu drżącym głosem opowiadać o wypadkach, które zaszły, odkąd się rozdzielili. Gdy dotarł do spotkania z przerażającą istotą bez twarzy, Nūrihyon westchnął.

- Ach tak... - mruknął, a na jego obliczu zatańczył tajemniczy uśmiech. - Powiedz mi - poprosił, patrząc prosto na swego rozmówcę - Czy ten yōkai wyglądał mniej więcej *tak*?

Pogładził dłonią policzek, a jego twarz zniknęła. Stała się taka sama jak oblicze stwora z wioski. Musashi nie wytrzymał i krzyknął ze strachu. Po chwili wszystko spowiała ciemność.

* * *

Pod jego powiekami przesuwaly się kolorowe smugi tworzące chore kształty. Nie mógł się poruszyć, ale mimo to czuł pęd

powietrza.

- Wybacz moją ciekawość, wodzu - rozległ się wywołujący dreszcze głos gdzieś spoza przestrzeni - ale dlaczego akurat tam?

- Cóż, mam pewną wiadomość do przekazania tamtejszym mieszkańcom - odpowiedział drugi głos, jakby znajomy. - Nasz nowy przyjaciel wyświadczy nam tę przysługę i... Hej, hej, nie budź się, jeszcze nie...

Musashi poczuł ukłucie i znów zrobiło się ciemno i cicho.

* * *

- ...czemu? Wiesz, co o nas mówią. Za chwilę połowa kraju będzie trąbić o mnichach, którzy uprowadzili samuraja.

- Zważaj na słowa, bracie Kenshin. Nasz klasztor...

- Uciszcie się obaj! Budzi się...

Musashi powoli otworzył oczy. Leżał na zimnej, wilgotnej ziemi. *To grób?*, pomyślał, ale zaraz przypomniał sobie o wydarzeniach minionej nocy. Gwałtownie usiadł i ujrzał przed sobą trójkę mnichów o zatroskanych obliczach. Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, ale zaraz odczuł ulgę, widząc, że nie ma wśród nich Nūrihyona.

- Witaj, panie... - Krzepki mnich w średnim wieku odezwał się powoli, jakby nie do końca pewien, czy nieznajomy go rozumie. - Jestem brat Toshiro, to jest brat Kenshin, a to czcigodny brat Gōremon - przedstawił pozostałych. - Mieszkamy w pobliskim klasztorze i...

- Klasztorze? - wszedł mu w słowo Musashi, do którego powoli docierała straszna świadomość, że nie poznaje okolicy. Po rzece nie było śladu, a on znajdował się na szczycie wzgórza porośniętego rzadkimi drzewami. Wokół rozciągał się widok na inne wzniesienia, a jedyną dostrzegalną zabudową był ufortyfikowany klasztor na jednym z nich.

Poderwał się z ziemi i złapał zaskoczonego Toshiro za ramiona.

- Gdzie ja jestem?! - krzyknął samuraj prosto w twarz biednego mnicha. - Jak tu trafiłem?

- W pro-pro-prowincji Hizen, panie... - wyjąkał Toshiro. - Na ziemiach daimyō Ryūzōji, niecałe pięć kenów od...

- Hizen?! - Pod Musashim ugięły się nogi. - Na Kiusiu? Ja... To niemożliwe, ja... - Puścił duchownego. Zasepił się. Nagle w jego umyśle wyrosło straszliwe podejrzenie. - Jaki dzisiaj dzień? Jak długo byłem nieprzytomny?

- Piąty dzień trzeciego miesiąca - oznajmił oziębłym tonem Kenshin, najmłodszy z mnichów. Popatrzył przy tym wymownie na starszych towarzyszy, jakby dając do zrozumienia, że obcemu brak piątej klepki i najlepiej go jak najszybciej porzucić. Samuraj mimowolnie sięgnął do miecza - na szczęście wciąż go miał - ale w porę się opanował.

- To niemożliwe - powtórzył z uporem. - Jeszcze wczoraj byłem w Settsu, rzut kamieniem od mojego domu. Muszę tam wrócić, moja żona na pewno się niepokoi. Ona...

- Rozumiem. - Tym razem głos zabrał stary, pomarszczony jak suszona śliwka brat Gōremon. - I wierzę ci, rycerzu, ale nic nie poradzę na to, że jesteś na innej wyspie, wiele dni drogi od domu. Pozwól, że zaproponuję ci gościnę w naszym klasztorze. Opowiesz nam, jak doszło do tego, że tu trafiłeś, a my znajdziemy sposób na jak najszybsze odesłanie cię do Settsu.

Musashi zmarszczył brwi.

- Zdaje się, że i tak nie mam wyjścia - stwierdził. - No dobrze, prowadźcie mnie do tego klasztoru.

Mnisi ruszyli wydeptaną ścieżką w dół z bocza. Kenshin oglądał się na samuraja z podejrzliwością, Toshiro - z lękiem. Musashi nie przejął się tym i ruszył ich śladem pogrążony w niewesołych rozmyślaniach. Nagle potknął się o coś.

- Co z tobą? - spytał niecierpliwie Kenshin.

- Nic, nic. - Musashi zastanawiał się, jakim cudem ten bezczelny smarkacz został mnichem. Jednocześnie sięgnął po leżący w trawie przedmiot. Wydawał mu się znajomy.

Zamarł.

- Co to takiego? - Gōremon przydreptał do niego z powrotem w asyście młodszych mnichów. Na widok znaleziska Musashiego zdjęła go groza.

Była to ta sama okropna figurka, którą samuraj widział wczoraj w palankinie. Teraz jej oblicze stało się wyraźne i... nie mogło być mowy o pomyłce. Chude kończyny, wielka, podłużna głowa, brzydka twarz - patrzyli na podobiznę Nūrihyona.

- To niemożliwe - wyszeptał stary mnich. - On nie mógł powrócić.

Małgorzata Sanchez

Mordnik

Czekałam na tę podróż. Odliczałam dni i w dziecięcej naiwności wierzyłam, że zmieni wszystko na lepsze. Wierzyłam, że będę mieć rodziców tylko dla siebie. Że nie będę musiała dzielić się nimi z pacjentami wymagającymi więcej uwagi niż córka. Dwa tygodnie bez obaw, że zmęczenie rodziców wygra z tym, co chciałyby im powiedzieć.

Na samą myśl, że wsiądziemy do załadowanego bagażami auta, serce biło mi szybciej. Uśmiechałam się do siebie, starannie wybierałam zabawki na wyjazd. Chciałam spakować latawiec, ale tata przypomniał mi, że przecież jedziemy na spływ kajakowy. Szkoda. Morze zawsze wydawało mi się najwspanialszym miejscem na wakacje. Jeździliśmy nad nie, odkąd pamiętam, bo tata nad morzem się wychował.

- Woda w jeziorze jest słodka, a w morzu słona - powiedział, kiedy zauważył, że posmutniałam. - Akurat na to zawsze narzekałaś.

Wiedział, jak mnie rozweselić. Potem opowiadał o spływach kajakowych, a kiedy to robił, z radości błyszczały mu oczy. Mówił o starych drzewach, dyskretnym szumie wody, ćwierkających ptakach, ważkach mieniących się w słońcu i zakątkach, do których da się dotrzeć, tylko płynąc rzeką. Uwierzyłam tacie. Nie zniechęcił mnie nawet komentarz mamy o kleszczach, komarach i ramionach bolących od wiosłowania. I o tym, że tacie nagle zachciało się powrotu do młodości.

Mama od kilku dni była milcząca. Coraz częściej dostrzegałam na jej twarzy smutek, który przykrywała uśmiechem, gdy tylko pojawiałam się w pobliżu. Lubiła malować, a ja lubiłam malować z nią, nawet jeśli wychodziło mi to gorzej. Spakowałam więc notes, farby i kredki, zabrałam też ulubione książki. Mama czytała mi dużo lepiej niż tata i obiecała, że będzie to robić regularnie. Wtedy wydawało mi się, że obietnice mają moc sprawczą. Wtedy byłam jeszcze dzieckiem.

* * *

Wczesnym rankiem obudził mnie głos taty:

- Morze, morze! Całe życie próbuję zostawić je za sobą i wciąż muszę tam wracać!

Trzask bagażnika. Zrzuciłam kołdrę, podbiegłam do okna i wyjrzałam na zewnątrz. Tata wsiadł do auta i odjechał z piskiem opon. Chwyciłam Lulusia, mojego misia, i przycisnęłam go do siebie. Przytulałam maskotkę zawsze, kiedy bałam się zasnąć albo kiedy rodzice się kłócili. To mnie uspokajało.

Podreptałam do salonu, w którym zastałam zapłakaną mamę. Nalewała czerwonego wina do kieliszka. Kiedy mnie zauważyła, otarła łzy i się uśmiechnęła. Jej uśmiech wydał mi się jeszcze bardziej wymuszony niż ten, który widywałam przez ostatnie dni.

- Dziś wyjazd. Cieszysz się? - spytała.

- Ale przecież tata...

- Wróci.

- Na pewno?

Mama podeszła, przytuliła mnie i usiadłyśmy na wersalce. Położyłam głowę na jej kolanach, a Lulusia posadziłam obok. Zwykle zastępował któregoś z rodziców, teraz mógł odpocząć.

- My, dorośli, czasem się kłócimy, co nie znaczy, że się nie kochamy.

Po niespełna godzinie przekonałam się, że miała rację. Tata wrócił z uśmiechem od ucha do ucha i z bukietem goździków. Mama przyjęła go powściągliwie i równie powściągliwie podziękowała. Rozpromieniła się, dopiero kiedy tata powiedział:

- Moje drogie damy, jedziemy nad morze!

Ze szczęścia zaczęłam skakać po wersalce.

- Czyli będziemy puszczać latawca? Hura!

- Dzwoniłem do znajomego, który prowadzi pensjonat blisko plaży. Został mu wolny pokój. Z oknami na południe, co prawda, ale nie zamierzamy przecież siedzieć w czterech ścianach. Zbierajcie się. Czeka nas długa droga.

Dla mnie wakacje zaczęły się z chwilą, z którą przekroczyłam próg domu. Kiedy usiadłam w fotelu i zapięłam pasy, poczułam ten dreszcz, jaki potrafi doznać tylko dziecko, dla którego świat wciąż wydawał się tym, co należy odkrywać, a nie tym, co rozczarowuje. Chłonełam oczami przesuwający się za oknem krajobraz: zielone i żółte pola, rosnące wzdłuż trasy drzewa, fantastyczne obłoki, po których ślizgały się promienie słońca, nadając im perłowy odcień. Wypatrzyłam nawet sarnę spoglądającą czujnie w stronę ruchliwej drogi. Powietrze wyrzucane z klimatyzatora przyjemnie chłodziło twarz; słyszałam tylko szum silnika. No właśnie. Dlaczego rodzice ze sobą nie rozmawiali? Przecież już układało się dobrze.

Odchyliłam się w bok, żeby widzieć twarz mamy.

Patrzyła przez okno, zaciskając zęby.

- Tatusiu...

- Tak?

- Jak długo będziemy jechać?

- To zależy - odrzekł, nie odrywając wzroku od jezdni.

- A od czego zależy?

- Od korków na przykład. I od pogody. Zapowiadają burzę.

Burze. Wciąż się ich bałam. Machinalnie sięgnęłam po Lulusia i zdałam sobie sprawę, że zostawiłam go w domu. Ogarnął mnie strach. Co teraz? Jak zasnąć?

- Mamusiu...

Mama, zaniepokojona płaczącym tonem, odwróciła się natychmiast.

- Chyba zostawiłam Lulusia na wersalce...

Uśmiechnęła się kojąco.

- Zaraz po niego wrócimy.

- Wykluczone - zaprotestował tata. - Chcę zdążyć przed burzą.

- Milenka nie umie bez niego spać.

- Jest już duża. - Tata zacisnął ręce na kierownicy. - Powinna w końcu się nauczyć.

- Oszalałeś?! Jedziemy na wakacje. Ma się dobrze bawić, a nie przechodzić terapię szokową!

Stres. Znow się kłócili. Tym razem przeze mnie. Jak mogłam zapomnieć Lulusia? Tata nie dawał za wygraną:

- Nie mamy czasu.

- Przejechaliśmy dopiero trzydzieści kilometrów!

Tata prychnął i pokręcił głową.

- Jeśli zawrócimy, zrobi się sześćdziesiąt, potem dziewięćdziesiąt, a my będziemy w tym miejscu, co teraz. Jestem zmęczony.

- Zawróć - rozkazała mama.

- Kurwa!

Skuliłam się i zaczęłam płakać. Starłam się zachowywać jak najciszej, żeby bardziej nie denerwować taty. Bałam się, kiedy tak się złościł.

- Nie kłóćcie się - wychlipałam. - Spróbuję spać bez Lulusia...

Tata zjechał na prawy pas, zawrócił i za chwilę zmierzaliśmy w kierunku naszego rodzinnego miasta. Droga do domu upłynęła rodzicom na sprzeczkach o wakacje, o pracę i jakąś pielęgniarkę, której mama nie lubiła, i o to, że babcia mówi tacie, co powinien robić. A ja starałam się nie płakać. Tata tego nie lubił.

* * *

Luluś rzeczywiście czekał na wersalce. Przytuliłam go mocno; dotyk zmierzwionego futerka na policzku był tym, czego potrzebowałam. Kochałam Lulusia za to, że jako jedyny potrafił milczeć uspokajająco.

- Pojedziemy nad morze - powiedziałam i pogładziłam go po uszku. Zaczynało się odrywać. - Nie martw się. Mama jest lekarzem. Przyszyje ci je.

Kiedy wróciłam do auta, tata stał na zewnątrz, oparty o drzwi kierowcy. Pocierał podbródek, zagryzał wargi, coś zajmowało jego myśli na tyle, że nawet mnie nie zauważył. Wsiadłam, zapięłam pasy i przycisnęłam Lulusia do siebie.

Mama otworzyła okno.

- No wsiadaj - warknęła. - Tak ci się spieszyło, a teraz co?

Tata wsiadł, odpalił silnik i ruszył z piskiem opon. Wcisnęło mnie w fotel. Mnie i Lulusia.

- Powiedz to - prowokował tata. - No powiedz.

- Nie.

- Dlaczego?

Mama nie odpowiedziała, tata przyspieszył i zabrał się do wyprzedzania. Śmignął koło auta na sąsiednim pasie tak, że wydało mi się czerwoną, rozmazaną plamą. Tata docisnęła gaz, samochód przed nami zjechał pospiesznie.

- Zwolnij! - rozkazała mama. - Dokończymy tę rozmowę sam na sam.

- Mamusiu...
- Zaczekaj. Zwolnij.
- Jaką rozmowę? - dopytywałam.
- Wieziesz dziecko, kretynie!

Ten argument przemówił tacie do rozsądku, zjechał na prawy pas. Drżała mu szczęka, nerwowo przełykał ślinę. Mama kręciła głową, zagryzała usta. Nie wiem, o czym rozmawiali, kiedy poszłam po Lulusia, ale jestem pewna, że gdyby nie ja, wrzeszczeliby na siebie jak opętani.

Zachciało mi się pić. Sięgnęłam po butelkę do plecaka, Luluś wysunął mi się z rąk. Schyliłam się, żeby go podnieść. Klakson. Głośny, przeciągły. Pisk opon, huk i dźwięk miazdzonej stali. Uderzyłam głową o przedni fotel, ból wycisnął mi z oczu łzy. Kiedy je otworzyłam, zdałam sobie sprawę, że przód auta wbił się pod naczepę ciężarówki.

- Mamusiu...

Cisza.

- Mamusiu?

To, co zostało mi w pamięci z tamtych wydarzeń, to przebłyski i strzępy zdań. Wyrażna była tylko myśl, że gdybym nie zapomniała zabrać wtedy Lulusia, rodzice wciąż by żyli. Ta myśl towarzyszyła mi przez lata dzieciństwa, które po wypadku przybrało mroczne barwy. Samotność, jakiej nie powinno cierpieć żadne dziecko, zdawała się gorsza niż koszmary powracające w nocy.

* * *

Po wypadku trafiłam pod opiekę babki. Dotychczas nie wiedziałam o jej istnieniu, bo tata utrzymywał nas w przekonaniu, że stracił rodziców we wczesnym dzieciństwie. Mieszkała w nadmorskiej wiosce, nad klifem, z którego rozpościerał się widok na zatokę i kamienistą plażę.

Przyjechałam tam w dżdżysty dzień, ściskając łapkę Lulusia. Nie miał już oderwanego uszka, przyszyłam je sama.

Wilgoć w powietrzu sprawiała, że panujący chłód wydawał mi się nie do zniesienia. Wiatr wiał od morza, które tamtego dnia przybrało siny kolor. Fale szalały, pienily się, wdzierały w głąb lądu i rozbijały o skały. Niemal czułam sól na języku, wokół unosił się zapach mokrej ściółki i sosen. Krajobraz niczym posępna wersja wspomnień, które wciąż były świeże i bolesne.

Na wioskę składało się dokładnie trzynaście gospodarstw. Wśród ubogich chat dom babki prezentował się okazale: ściany niedawno wybielono, drewniane okiennice pomalowano starannie na ceglany kolor, a płot przechodził właśnie remont. Zajmował się nim mężczyzna, którego, jak się później okazało, we wsi nazywali „Zbora”. Miał nieprzyjemną gębę, a ubrany był w kalosze i przeciwdeszczową pelerynę. Powitał mnie nieufnym spojrzeniem i wrócił do pracy. Kiedy moja nowa opiekunka stanęła w drzwiach, skłonił się nisko, zdejmując czapkę. Wtedy zrozumiałam, że babka cieszyła się we wsi poważaniem.

Tamtego dnia miała na sobie wykrochmaloną i starannie wyprasowaną koszulę, białe włosy schowała pod kwiecistą chustką. W jej szarych oczach, wyróżniających się na pociemniałej od słońca twarzy, dostrzegłam coś, co przepełniło mnie niepokojem. Wargi zaciśnięte w linię sprawiały, że babka wydawała mi się surowa i nieprzystępna.

- Dó ojca podobna - powiedziała, kiedy już zmierzyła mnie wzrokiem.

W oczach stanęły mi łzy. Tata. Już nigdy go nie zobaczę. Mamy też nie.

- Ni mo si có mazgaic. Wchodzi. Mie tyż ródzice za młodu pomarli i żyjem.

W środku pachniało gotowanymi kartoflami i starym drewnem - jak w skansenie. Podłoga skrzypiała pod stopami,

jakby cierpiała katusze.

Weszłam do kuchni i rozejrzałam się. Kwadratowe kafelki na ścianie błyszcząły jak w reklamie, drewniane półki ugiwały się pod ciężarem misek, pudełek, glinianych pojemników, na parapecie suszyły się zioła, a z gara na piecu dobywało się ciche bulgotanie. W każdym kącie panował ład, a łazienka, uchodząca w tej wsi za luksus, wyglądała tak, jakby nikt jej nie używał.

Największy pokój zastawiono meblami, na których czas zapisał dzieje domu otarciami, pęknięciami i dziurą po pocisku. Nigdzie nie zauważyłam zdjęć. To uderzyło mnie najbardziej. U nas fotografie zdobiły wszystkie ściany. Mama wieszała je z zaangażowaniem, jakby pragnęła w ten sposób utrwalić każdy magiczny moment. Udało jej się, z tym że odkąd odeszła, widok chwil upamiętnionych w ramkach już nie cieszył.

Pokój, który przypadł mnie, miał dwa małe okienka, umieszczone na tyle nisko, że dziecku wyglądało się przez nie wygodnie. Białe zasłonki w łączkę przypominały te w moim domu, podobnie jak pościel na łóżku zasłanym z hotelową starannością. Samo łóżko okazało się jednak twarde i brzydkie, stało naprzeciw pustej, nieznośnie pomarańczowej ściany.

Wróciłam do kuchni z Lulusiem i usiadłam przy stole. Babka akurat odcedzała kartofle.

- Dlaczego nie ma zdjęć? - spytałam.
- Czygo ta znówu ni mo?
- Zdjęć. Mamusia...

Babka nałożyła kartofli na talerz i postawiła go przede mną. Do szklanki nalała mleka, które dziwnie pachniało, po czym usiadła na taborecie.

- Jydz, bo wystygni. I nich paminto, żyby ni brudzić. Bo któ ma czysto w dómu, tyn mó czysto w siercu.

- Ale...

Rozpłakałam się i wybiegłam na podwórze. Tam wyskoczył na mnie jednooki kundel z kołnierzem długiej szarej sierści wokół szyi. Przewrócił mnie, chwycił w pysk Lulusia i zaczął szarpać.

- Zostaw! To moje! - Nie wyobrażałam sobie, że jeszcze Lulusia mogę stracić. - Niech mi pani pomoże!

Babka wyszła na zewnątrz, kundel wyszarpnął misia i pobiegł w stronę wybrzeża. Zaniósłam się płaczem, babka rzuciła mi gniewne spojrzenie.

- I po có si tak drzy?

- To był mój przyjaciel!

- Dó domu idzie, i to ju!

- Ale ja nie mogę spać bez Lulusia... - wychlipałam, ocierając łzy.

Babka parsknęła i weszła do sieni. Stratę opłakiwałam długo, w samotności podczas bezsennych nocy.

* * *

Kiedy przywołuję babkę z pamięci, widzę ją siedzącą na taborecie w kuchni, pochyloną nad robótkami ręcznymi. Albo mieszającą w garze farsz na pierogi. Robiła ich setki. Codziennie, wczesnym rankiem, przyjeżdżał po nie van. Kierowca wręczał babce plik banknotów, które ona skrupulatnie przeliczała. On nigdy pierogów nie ważył. Ufał babce tak, jak ufali jej wszyscy we wsi. Ci „wszyscy” byli dla mnie życzliwi, ale czułam na sobie ich dziwne spojrzenia. Bywało, że słyszałam za plecami szepty: „Ó, idzie ta ód Tomiły” albo „Bidne dzicko”.

Do babki zwracałam się „pani”, ale życie pod jednym dachem układało nam się nie najgorzej. Dopóki sprzątałam, myłam naczynia i pomagałam w kuchni z należytą dokładnością, była zadowolona i znośna w obyciu. Mówiła mało

i nie raz dała mi do zrozumienia, że tego samego oczekuje ode mnie.

W szkole nazywali mnie „tą miastową”, bo różniłam się od „tych tutejszych”, których zwalniano z odrabiania prac domowych za pomoc na gospodarstwie. Ja pomagać nie musiałam, a odrabiać zadań już nie chciałam. Czas upływał mi więc na wegetacji w szkole i bezcelowych, popołudniowych wędrownkach. Godzinami snułam się po plaży, zbierając kamienie, z których potem układałam fantazyjne wzory. Niekiedy siadywałam na skalistym cyplu i wyobrażałam sobie, jak pochłania mnie morze, jak tonę w lodowatej wodzie. Lodowatej i słonej jak ły.

Mijały tygodnie. Plażę coraz częściej pokrywał śnieg i spowijała mgła. Późną jesienią babka zaczęła przestrzegać mnie przed wychodzeniem poza zatokę. W taki sposób okazywała troskę. Drugim jej przejawem było przygotowywanie posiłków tak gorących, że parzyły język. Jeśli babka kiedykolwiek miała serce matki, to zwierzało ono i skruszało.

- Dlaczego nie wolno mi chodzić dalej? - spytałam któregoś dnia, kiedy sękatymi dłońmi lepiała mięsne kulki na pierogi.

- A bó ta zle spótkać móžno.

- Złe, czyli co?

- Mórdniki. Ale ni mo si có ta mortwić. Ni bydzie ta chódzić, tó nic złygo si ni stani.

Babka schyliła się, ułożyła kulkę naczosnkowanego farszu na krążku z ciasta i zaczęła je zlepiać, formując falowany brzeg. Robiła to z rzemieślniczą dokładnością, a gotowe pierogi układała na stolnicy dziesiątkami. Celebrowała to, jakby lepienie pierogów stanowiło sens jej istnienia.

- Ale co to są te murdniki?

- Anó taki stwóry. Razym z pirwszym śnigiem si pókazujom. Óny tu były, odkód pamintom. Pierw tó je chcili zabijoć, ale mórndiki chytre sóm i chyże. Cyk, myk i ju ich ni mo. Ino smród

zostaje i taki jyst, że si długo trzymo. Mórdniki si potym same mnózom. Żych widziola gniazdy taki na plaży. A młóde paskudne, jyszcz górsze niż stare. I tyż śmirdzom.

Przerażona przełknęłam ślinę.

- Jak si dó gnizda takigo pódejdzie, tó ju człek móże nie wrócić, bo stary mórdniki si bojowe róbiom. I syczom, a pótem, jak si człek nie usunie, to skaczom dó gardła i o, tak łapióm. - Mówiąc to, zacisnęła rękę na gardle. - Starygo Kiełbase tak zrobiły. Ón ślypy był, mindzy chwosty wložł i gó dópadły. Pótym wyżarły có si dało i tak lyżoł przez zime, aż szkilet na wiósne sam spód roztopów wyszeł.

Babka wstała, opłukała dłonie i wytarła w fartuch. Gdyby na mnie popatrzyła, widziałaby, jak bardzo byłam przerażona.

- A ty żyś mórdnika widziola kidy?

- Nie...

- Za cyplym jedyn taki swój rewir mo. Żych go widziola pary razy. Rybi óczy mo, có świcom w nocy, i szpóny, có niemi ófiary pruje. Łuski taki szary i zielony tróche, bo wiadómo, w wódzie bytuje. Nó i jak ryba śmirdzi. Ale my go karmim, tó nam krzywdy ni róbi. Kurakiem si zadówolo albo prosiem. A najlepiej tó on lubi...

- Co?

- Psy. Psy mu podchódzom najlepiej. Jakby takigo kidy obaczyła, to nich paminto, że w óczy paczyć ni wólno. Bó sierce wyrwi.

Przełknęłam ślinę.

- Tata go widział? Tego murdnika? Dłatego uciekł?

Babka zaśmiała się, jakbym zapytała o coś głupiego. Nie odezwała się słowem.

- Dłaczego nigdy nie pyta pani o tatę?

- Syn si matki wyrzykł, tó có si pytać mom?

Popatrzyła przez okno, pokiwała głową, jakby komuś przytakiwała. Zdawało mi się, że po jej twarzy przemknął cień wzruszenia.

- Jo zych mówiło, że ta zimia swóich ni wypuszczzo. Że si ó nigo upomni i bydzie musioł wracoć. Ón albo któ inny jygo krwi.

Przywykłam do jej dziwactw. Wtedy jednak babka wydała mi się podobna do Baby Jagi z baśni o Jasiu i Małgosi. W przeciwieństwie do czarownicy babka istniała naprawdę i, co gorsza, bezsprzecznie wierzyła w opowieść o mordnikach. W tej wsi świat wierzeń i zabobonów mieszał się z rzeczywistością, a mnie coraz trudniej przychodziło postawić granicę między jednym a drugim.

Babka w końcu zerknęła na mnie i zdała sobie sprawę, że jej historia odcisnęła piętno na dziecięcym umyśle. Postanowiła załagodzić sprawę najlepiej, jak potrafiła:

- Chcysz pirogów, Helyniu? Trza cie tróche potuczyć. Samy skóra i kości. Jyść by ni było có.

Wtedy pierwszy raz zwróciła się do mnie po imieniu. Pomyliła tylko Milenę z „Heleną”.

* * *

Minął ponad miesiąc od tamtej rozmowy. Mimo niesprzyjającej aury wczesnym rankiem babka wyjechała z panem Zborą do miasta. Padał śnieg z deszczem, morze za oknem burzyło się, a wiatr szarpał gałęziami drzew. Postanowiłam wykorzystać nieobecność babki i zakraść się do jej pokoju, do którego zabroniła mi wchodzić. Sądzę, że w ten sposób pragnęła zachować dla siebie nietykalny fragment przestrzeni, nienaruszony moją osobą kawałek świata, w którym funkcjonowała przez większość życia. Klucz chowała w głębi kuchennej szuflady, za skrzynką ze sztucami, dyskretnie, ale nie na tyle, by to przede mną ukryć.

Swój pokój babka urządziła prosto i schludnie. Na środku stało łóżko z wytartym drewnianym wezgłowiem, przykryte pościelą we własnoręcznie haftowane wzory. Koło okna stała szafa, skromnie wyposażona, o czym przekonałam się na samym początku, obok szafy - komoda z bielizną i kolorowymi chustami. Nie dostrzegłam nic wartego uwagi, dopóki nie zajrzałam pod łóżko. Tam leżało pudełko pokryte grubą warstwą kurzu. Babka musiała o nim zapomnieć.

W środku znalazłam dwa ludziki z kasztanów, dziecięce rysunki, kamyki i czarno-białe zdjęcie z 1963 roku. Widnieli na nim chłopcy w białych koszulach i ciemnych spodniach, a wśród nich rozpoznałam tatę. Ciągnął za ucho młodszego chłopca, ten płakał i się wyrывał. Ktoś zamalował jego twarz czerwoną kredką, przez którą dość wyraźnie przebijały się rysy twarzy.

Usłyszałam głos babki, dochodził z oddali. Chwilę potem zgrzytnęła furtka. Zatrzasnęłam wieczko i schowałam skrzynkę pod łóżkiem. Wypadłam z pokoju, zamknęłam za sobą drzwi i schowałam klucz do szuflady. Potem rzuciłam się na swoje posłanie i przybrałam znudzoną pozę, jednocześnie opanowując przyspieszony oddech. Babka weszła do domu.

- Cóż za dzień. Pado i pado, ale zara ma przystość.

- Mogę wyjść?

- Możesz. Ino żybyś na óbiad była.

Moment później ubierałam już kurtkę i śniegowce; wybiegłam na zewnątrz.

Idąc wzdłuż wybrzeża, rozmyślałam o tacie i chłopcu z zamalowaną twarzą. Kto pobazgrał zdjęcie? Tata? Nie lubił tego chłopca? I dlaczego babka nie zagląda do pudełka, nawet go nie odkurza? Następną myśl przeraziła mnie najbardziej: co zrobi, jeśli zobaczy na nim odciski moich palców? Jak mogłam być tak nieuważna?

* * *

Zawędrowałam dalej niż zwykle, na piaszczystą plażę. Zdałam sobie z tego sprawę, dopiero kiedy zaczęła osaczać mnie mleczna mgła. To było jakieś dwa kilometry na zachód od zatoki, koło charakterystycznej sosny, która rosła tak, jakby zamierzała położyć się na ziemi. Zawróciłam przestraszona, że zabłądzę.

Poczułam rybi smród, rozejrzałam się. Wydawało mi się, że we mgle dostrzegam zarys ludzkiej sylwetki, która ciągnie coś po plaży. Przypomniały mi się słowa babki. Dziecięca wyobraźnia pracowała, strach przybierał na sile. Nie byłam pewna, czy naprawdę słyszę mlaskanie i pochrapywanie, czy raczej plusk wody i chrobotanie kamieni rzucanych przez fale. Przerazona, rzuciłam się do ucieczki. Biegłam co sił w nogach. Nie przeszkadzało mi nawet, że do butów dostawała się lodowata woda.

Wpadłam do domu, ciężko dysząc. Zrzuciłam przemoknięte śniegowce i nalałam do miski gorącą wodę. Usiadłam na kuchennym taborecie i zanurzyłam w niej stopy. Piekły niemiłosiernie.

- Stałó si có? - spytała babka, ugniatając farsz w kulki.

- Tam... Tam był potwór. Ten murdnik chyba. Widziałam...

Babka poderwała się i zgromiła mnie wzrokiem.

- A mówiło, żyby dalyko ni chódziła?!

- Ja... Nie chciałam. - Zaniosłam się płaczem. - Zgubiłam się, tak jakby...

- A ón widzioł?

- Nie... Nie wiem...

Westchnęła, usiadła i wróciła do lepienia pierogów.

- Ale... Co jakby mnie widział? Ten murdnik?

- Móże przyj po nocy i zabroć dó sidliska.

- Boję się...

Podciągnęłam kolana pod brodę i podsunęłam się pod ścianę. Gdybym chociaż mogła przytulić Lulusia... Rozległo się pukanie do drzwi. Babka nie od razu przerwała pracę. Wydawało mi się, że zastanawia się, czy wstać i otworzyć. W końcu jednak wyszła z kuchni. Skrzypnęły drzwi.

- Czygo ta znówu szuko?

W głosie babki pobrzmiwała niechęć, może nawet wrogość. Odpowiedział jej zdecydowany męski głos:

- Zebrałem więcej informacji. Wynika z nich, że Alicję jednak widziano w tej okolicy.

- Któ niby widzioł?

- Przyjezdni. W dniu zaginięcia przebywali na plaży. Jej rodzice odchodzą od zmysłów. Jeśli pani coś wie...

- Jo żych ju mówiło. Mórđnik musioł zabroć. A jak ni ón, tó si pywnikiem utópiła i drugi mórđnik z tygo bydzie.

- Te bajki może pani dzieciom opowiadać. Albo...

- Jo ta wim, có si z potópionych dzici róbi; takich, có je ójciec z matkom zóstawili.

Podeszłam bliżej, wyjrzałam zza framugi. Ubrany na czarno mężczyzna, o dwie głowy wyższy od babki, stał naprzeciwko niej z rękoma splecionymi na piersi.

- Tego dziecka nikt nie porzucił.

- Ale ni upilńowoł.

- Proszę pani...

Nie dokończył.

Przerwał mu metaliczny dźwięk. Chyba ktoś przewrócił wiadro za oknem. Potem dał się słyszeć syk i pochrapywanie.

- On tu jest! - wrzasnęłam.

Pobiegłam do swojego pokoju i nakryłam się kołdrą.

- Idę sprawdzić! - krzyknął mężczyzna.

Chwilę później usłyszałam kroki babki. Weszła do pokoju i otworzyła okno, a ja zebrałam się na odwagę, żeby wyjść z

łózka. Tamten brodził po kolana w pozółkłych od zimna trawach.

- Co to za smród? Ryby tu wyrzucacie?

- Nidóbrze. - Babka pokręciła głową. - Mórđnik pod domóstwa ni powinin podchóđzić.

- Nikogo tu nie ma.

- Mórđnik prawdziwy je, jak jo tu stoje. Wim, bo żych gó widzioła ni roz.

Mężczyzna zerknął na babkę, przemilczał to, co pomyślał.

- Wnuczka? - zagadnął.

Przyglądał mi się tak, jakby chciał zapamiętać każdy detal mojej twarzy.

- Ni jygo rycz. Idź pan przyjzycznych wypytywoć, skóro tacy wiedzóncy sóm.

- Ja też go widziałam! Znaczy się, słyszałam. Chyba...

- Gdzie?

- Na plaży, koło leżącej sosny.

- Wiem, gdzie to jest. - Mężczyzna uśmiechnął się ciepło, a ja poczułam, że nabieram do niego sympatii. - Rozejrzę się tam jeszcze dziś.

- Jest pan policjantem?

- Detektywem, pracuję dla...

Babka zatrzasnęła okiennice, a raczej usiłowała to zrobić, bo detektyw przytrzymał ręką jedną z nich.

- Uważaj na siebie - powiedział, po czym się odsunął.

Okiennica zamknęła się z hukiem.

- Miastówy nawidzony jakiś - mruknęła babka, blokując zamek.

Potem umyła ręce i zabrała się za pierogi, jak gdyby nic się nie stało.

- Nó nic. Có si stało, tó si ni odstani. Cós zaradzimy. Jo ta wim, jak si z mórđnikiem trza obchóđzić.

* * *

Po lekcjach wybrałam się na spacer. O tej porze na plaży zwykle widywałam kilku właścicieli psów, których znałam z widzenia. Przychodzili tu z sąsiednich wiosek, czasem z miasta. Teraz po plaży przetaczało się znacznie więcej ludzi. Jedni gromadzili się w mniejszych grupkach, inni szli wybrzeżem na zachód. Niektórzy wyglądali na poruszonych i żywo ze sobą rozmawiali. Podążyłam za czterema kobietami w średnim wieku, przysłuchując się ich konwersacji:

- Krew? - odezwała się szczupła brunetka. - I myśli pani, że może chodzić o tę dziewczynkę z gazet?

- No a kogóż by innego? - odrzekła druga, z podłużnym kokiem na czubku głowy. - Córka przeczytała coś w tym Internecie, czy jak to tam się nazywa.

Poczułam uścisk w żołądku. Czyżby babka nie myliła się co do losu Alicji?

Nad skarpą zaparkował samochód z logiem lokalnej telewizji. Operator kamery zbiegał właśnie po wąskich schodkach.

- Szybciej! - ponaglała go dziennikarka w przeciwdeszczowej kurtce. - Dlaczego zawsze musimy być ostatni?

Kobiety przede mną przyspieszyły kroku. Z przodu, koło leżącej sosny, zgromadził się tłum. Nie chciałam dłużej czekać, pobiegłam w tamtym kierunku.

Część plaży ogrodzono plastikową taśmą. Człowiek w białym kombinezonie fotografował miejsca oznaczone ponumerowanymi tabliczkami, między innymi czerwoną plamę na piasku. Kręcił się tam też detektyw. Rozmawiał z dwoma policjantami, którzy skrupulatnie notowali to, co im mówił.

Grupka czterech kobiet dołączyła do grona gapiów zgromadzonych kilka metrów dalej. Ta z kokiem stanęła obok

starszego pana, który przyglądał się wszystkiemu, kręcąc głową z niedowierzania.

- Wie pan, co tu się stało? - spytała, jakby trafiła tu zupełnym przypadkiem.

- Mówią, że rękę znaleźli ogryzioną. I że to tej dziewczynki, co jej szukali.

- A to ona się nie utopiła przypadkiem? - zainteresował się młody chłopak z blizną na skroni.

- A gdzie tam utopiła! - obruszył się starszy pan. - Widzisz krew, tak? Zabił ją kryminalista jakiś.

- Biedne dziecko...

- I biedni rodzice - zdławionym głosem dodała jedna z czterech kobiet.

Ta z kokiem ocierała łzy, pozostałe milczały ponuro, ja trwałam jak sparaliżowana, nie mogąc w pełni pojąć potworności tego, co się działo wokół mnie. Dopiero po chwili zauważyłam, że trzęsą mi się ręce.

- Może ciało znalazł pies i odgryzł rękę? - zastanawiał się chłopak. - Takie rzeczy się zdarzają.

Starszy pan zgromił go wzrokiem. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale ostatecznie się powstrzymał.

- Pani babka mówi, że to był morderca - wypaliłam nagle.

Wszyscy popatrzyli na mnie skonsternowani. Kobieta z kokiem uśmiechnęła się przez łzy, wydała mi się w tym momencie podobna do mamy.

- A ty tak tu sama nie powinnaś chyba chodzić? Gdzie mieszkasz?

- Tu niedaleko... - powiedziałam, wskazując kierunek, z którego przyszłam.

- Patrzcie! - ożywił się chłopak. - Wychodzą nurkowie.

- Jezus Maria! - krzyknęła kobieta, zakrywając ręką usta.

Stało się jasne, że jeden z nich niósł ciało dziecka. Nie potrafiłam dłużej na to patrzeć. Odszukałam wzrokiem detektywa, który jeszcze rozmawiał z policjantami. Potem podbiegł do pary młodych ludzi. Po plaży przetoczył się wrzask pełen rozpacz:

- Alicja! - Kobieta uklękła, zawodząc, a mężczyzna, z którym przyszła, obejmował ją i tulił. - Moja Alicja. Moje dziecko!

Zaniosłam się płaczem, znów skupiając na sobie uwagę starszych.

- Jak ci na imię, kochana? - spytała kobieta z kokiem.

- Milena - wyryczałam.

Wtedy podbiegł do nas przysadzisty mężczyzna, z asem wytatuowanym na szyi.

- Ja tę rękę widziałem - wydyszał. - Świr jakiś grasuje po okolicy. Trzeba powiedzieć w miasteczku, żeby uważali na dzieci.

- Chodź, zaprowadzę cię do domu. - Kobieta chwyciła moją dłoń i łagodnie pociągnęła mnie za sobą. - Do babci, tak?

- Do pani babki - poprawiłam, wciąż rycząc.

- Przyjechałaś do niej na ferie?

- Nie na ferie. Na zawsze.

Na jej twarzy odmalowało się współczucie.

- Chętnie poznam panią babkę.

- I ciało też widziałem - ciągnął tamten z tatuażem. - Tam stałem. Trochę się przepchałem i widziałem. To dziewczynka. A brzuch! - Machnął ręką. - Jakby go coś wyzarło. Wszystko, do kręgosłupa samego. Aż żałuję, że patrzyłem. Będzie mi się teraz po nocach śniło.

* * *

W drodze do domu minęłyśmy pana Zborę. Ubrany jak zwykle w wytarte ogrodniczki i kraciastą koszulę, przechadzał się w tę

i we w tę po polnej ścieżce, niedaleko domu babki. Cuchnęło od niego wódką, a na opuchniętej, czerwonej twarzy malował się wyraz niepewności. Zbora okazał się tak zaprzątnięty własnymi myślami, że nawet nas nie zauważył.

Poprosiłam kobietę z kokiem, która okazała się być „panią Krysią”, żeby zostawiła mnie przed furtką na podwórzu. Kiedy weszłam do domu, babka energicznymi ruchami wymiatała brud z sieni. Robiła to inaczej niż zwykle, nerwowo, trochę chaotycznie. Zdjęłam buty, żeby się jej nie narazić. Miałam już przekroczyć próg, kiedy spojrzała na mnie rozeźlona.

- Na plaży żyś była?

- Tak...

- W butach piochu ni mo?

- Chodziłam ostrożnie.

Babka skinęła głową.

- Dziło si ta có?

- Znalaziono jakąś dziewczynkę... Nieżywą...

Znów lży cisnęły mi się do oczu. Nigdy jeszcze tak bardzo nie chciałam znaleźć się w objęciach babki. Powiedziałam nawet:

- Przytulisz mnie, babciu?

Zrobiła to. Sucho, mechanicznie, jakby obejmowała ramionami szorstki pień drzewa. Potem wróciła do zamiatania, a ja usiadłam przy kuchennym stole. Obserwowałam świat za oknem, zimny i martwy. Szybko jednak poczułam potrzebę rozmowy:

- Wszyscy byli bardzo zdenerwowani. Pan Zbora też.

Babka przerwała zamiatanie i odwróciła się gwałtownie.

- Tyś gó widziała?! Gdzi?

- Tam, przy drodze. Chodził sobie...

Wcisnęła mi w rękę miotłę.

- Dókończ - rozkazała, po czym nałożyła płaszcz, śniegowce i pospieszyła w stronę furtki.

Zaskoczyła mnie reakcja babki, która zwykle wykazywała się opanowaniem. Uznałam, że nic się nie stanie, jeśli za nią pójdę, a potem powiem, że posprzątałam. Podłoga była już dostatecznie czysta.

Ubrałam się pośpiesznie i wyszłam z domu, dopiero kiedy babka znikła za zakrętem. Szłam jakieś trzydzieści kroków za nią, brzegiem rowu, w którym mogłam się szybko schować. Nie zanosilo się jednak na to, aby babka coś podejrzewała. Pruła naprzód, przebijając rękami.

- Zbora! - krzyknęła, gdy zza krzaków wyłoniła się jego sylwetka.

Wskoczyłam do rowu. Babka przyspieszyła, ja też. Wkrótce znalazłam się kilka metrów od Zbory. Wychyliłam się ostrożnie, żeby widzieć, co się dzieje.

- Gdzi żyś był?! -

Zbora odwrócił się i postąpił krok w tył, jakby nabrał chęci do ucieczki.

- Cho nó tu, bó cie mórdnikowi na pózarcie dóm!

Skapitulował i niespiesznie ruszył w stronę babki, spoglądając na bok, jakby upatrywał ratunku.

- Gdzi żyś był, có? - spytała raz jeszcze. - Có żyś róbił?

- Tó ni na móje nyrwy jes - odrzekł drżącym głosem. - Jo ni móge tak. Jak zych to dzicko bidne obaczył, pó tym, jak je mórdnik rozpruł, to zych ucikoł, gdzi piprz róśnie. A potym mie w nócy strachy naszły, spać zych nie móg. No tom popił tróche i tak ju pószło.

Babka trzepnęła Zborę w głowę, tamten się skulił.

- Pinióndze dóstałeś i robóte żyś mioł zrobić, jak trza. A tera có? Dzicko znalyźli i bedóm winnygo szukoć. I jak cie zamknóm, to ta ju ni pópijesz.

Znieruchomiałam. Babka brała w tym udział?! Ta dziewczynka... To... To wszystko przez babkę? Co ja teraz zrobię? Co ona chce zrobić ze mną?

Zbora ponownie oberwał w głowę.

- Ale jo zych ni chcioł zły, inó tak wyszło...

Babka nie odpowiedziała. Teraz ona chodziła tam i z powrotem jak wcześniej Zbora. Z tym że ona nie wyglądała na przestraszoną. Pewnie obmyślała, co należy uczynić. Tymczasem Zbora uspokoił się i odezwał pewniejszym tonem:

- Ludzióm si nie podóba, że ta twója si tu pałynto. Gadajóm, że to przyz niom mórđnik pod domóstwa podchódzi.

Kątem oka dostrzegłam ruch z prawej strony. Znow ten smród, usłyszałam bulgotanie. Mordnik. Zbliżał się. Śnieg trzeszczał pod jego stopami, odór gęstniał. Zacisnęłam powieki, usiadłam na śniegu i ukryłam twarz w dłoniach. Oddychałam coraz szybciej. Nie patrzeć. Będzie dobrze. Ale jeśli pożre mnie jak Alicję? Oddech mordnika rozbrzmiał tuż za moimi plecami. Alicja. Dziewczynka z wyjedzonym brzuchem.

- Pomocy!!! - wrzasnęłam. - Murdnik! Babciu, murdnik!

Usłyszałam, jak zebrał się do ucieczki. Zaraz nadbiegli babka i Zbora. Bulgotanie ucichło, smród wciąż się unosił w powietrzu. Nie odważyłam się otworzyć oczu. Zrobiłam to, dopiero kiedy babka szarpnęła mnie za ramię.

- Có żyś słyszóła?!

Rozryczałam się. Babka wymierzyła mi bolesny policzek.

- Trzyba jyj pilńować - powiedział Zbora. - Kłopotów móże naróbić.

- Kłopotów tó ty żyś ju naróbił - fuknęła. - Zabiraj jóm.

- Gdzi?

- Dó dómu, a gdzi?

Zbora zacisnął łapę na moim ramieniu i pociągnął za sobą.

- Nie oddawajcie mnie mordercy! - krzyczałam, próbując się uwolnić. - Babciu, powiedz, że tego nie zrobisz! Nie chcę umierać! Przepraszam! Przepraszam! Ja już będę słuchać!

Babka szła przodem, nie oglądając się za siebie.

Dotarliśmy do domu. Babka otworzyła drzwi z impetem, Zbora zawłókł mnie do jej pokoju.

- Pód podłógę z nióm - zarządziła, siłując się z ciężkim łóżkiem.

Zbora pomógł je odsunąć, wciąż ścisnął mnie za ramię. Potem lewą ręką podniósł klapę, wsadził mnie do piwniczki i zamknął.

- Ja nie chcę! - krzyczałam, kiedy przesuwali łóżko na miejsce. - Babciu! Babciu, ja się boję!

Odeszli. Spróbowałam podnieść klapę, ale znajdowała się na niej noga od łóżka. Zostałam sama w pustej piwniczce. Chłód bił od wilgotnych ścian, w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. To moja wina. Gdybym tak bardzo nie chciała jechać nad morze, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. Jedyne, co mogłam zrobić, to wyobrazić sobie, że przytulam się do rodziców, a Luluś siedzi obok.

* * *

Nie wiem, ile czasu spędziłam w piwniczce, nim zmógł mnie sen. Obudziły mnie promienie słońca, które wdzierały się do środka przez szczeliny w podłodze. Zdawało mi się, że znów czuję rybi smród. Stałam na palcach i mocno wciągnęłam powietrze nosem. Naprawdę śmierdziało. Morderca cwałował w pobliżu. Usiadłam na ziemi i wcisnęłam się w kąt, byle jak najdalej od klapy.

Skrzypnięcie podłogi. Podniosłam głowę. Cień powoli przesunął się nade mną. Nie miałam odwagi się poruszyć; wydawało mi się, że nawet oddech może zdradzić moją obecność.

- Milena? Jesteś tu?

Rozpoznałam głos detektywa. Czy nie czuł tego smrodu? Nawet jeśli czuł, pewnie wciąż nie wierzył w opowieść o morderniku.

- Nie musisz się bać. Wiem, co zrobiła twoja babcia. Zabiorę cię stąd.

- Niech pan ucieka. Tu jest mordernik!

Detektyw ukląkł i zajrzał do mnie przez szczelinę.

- Gdzie klapa?

- Pod łóżkiem. Ale niech pan nie otwiera! Mordernik...

Detektyw uśmiechnął się.

- One nie istnieją - powiedział.

Bulgotał. Detektyw gwałtownie odwrócił głowę. Cień śmignął w jego kierunku, wydając z siebie zwierzęcy syk.

- Niemoż...

Szamotoł, uderzenie o podłogę, stęknienie. Drugie uderzenie.

- Milena! Musisz ter...

Słowa zmieniły się w rżenie zwiastujące agonię. Mordernik pochrapywał i bulgotał. Zaciśnęłam powieki. Nie patrzeć na mordernika. Nie patrzeć. Siedziałam skulona, z głową ukrytą między ramionami. Młaskanie i chłeptanie. Coś spłynęło po skroni. Uciekłam w głąb piwniczki i otarłam skórę. To nie krew. To coś żółtego, co pachniało jak wymiociny. Z trudem powstrzymałam krzyk.

Mordernik uporał się z posiłkiem i zaczął węszyć. Wyczuwał moją obecność.

Dotychczas wyobrażałam go sobie jako stworzenie podobne do dzikiego zwierzęcia. Jednak mordernik urodził się jako człowiek, a dla człowieka odsunięcie łóżka nie stanowiło problemu. I do tego właśnie się zabrał.

Skrzypnęły zawiasy. To koniec. Zbliżył się; czułam jego cuchnący oddech na policzku. Obwąchiwał mnie, jak pies obwąchuje nieświeże mięso. Charczał i bulgotał do ucha. Mokre kosmyki prześlizgiwały się po mojej ręce. W końcu zacisnął lepką łapę na moim ramieniu tak jak wcześniej Zbora. Nie patrzeć na mordercę. Nie patrzeć. Może sobie pójdzie.

- Nie rób mi krzywdy... - jęknęłam, kiedy zaczął badać językiem smak mojej skóry.

Wtedy wydał z siebie syk, ten sam, który poprzedził atak na detektywa. Morderca zatopił zęby w moim przedramieniu. Ból przeszył ramię, potem wstrząsnął całym ciałem. Wylałam, wrzeszczałam.

- Fryś! - krzyknęła babka. - Wón mi ston!

Morderca zaskomlał i puścił moją rękę. Mimowolnie otworzyłam oczy - babka schodziła właśnie do piwniczki.

- Swóim si krzywdy ni róbi! - warknęła i dzieliła mordercę kijem od miotły.

Ten skulił się i wcisnął w kąt jak skarcone dziecko. Wtedy zdałam sobie sprawę, że na niego patrzę. Wyglądał tak, jak mówiła babka: rybie oczy, kły, szpony i błyszcząca od śluzu szara skóra, porośnięta gdzieś glonami. Coś w jego paskudnej aparycji przypominało jednak chłopca ze zdjęcia.

Babka wyciągnęła z fartucha kawałek ligniny.

- Trza tó łoczyścić - powiedziała, owijając go wokół rany.

- Myślałam, że chcesz mną nakarmić mordercę... - wychlipałam.

- Jo żych cie tu ino prze nim schowała, bo ón tróche gupi jes.

A więc babcia nie była taka zła. Ta myśl ogrzała serce jak promień słońca wdzierający się do piwniczki.

* * *

Nie wiedziałam, co stało się z ciałem detektywa i dlaczego babka nie wezwała lekarza. Zasnęłam z głową na jej kolanach, otumaniona jakimś zielarskim specyfikiem, który łagodził ból i wyciszał świadomość.

Nad ranem kojące działanie lekarstwa ustało, a umysł oprzytomniał. Co miała na myśli, mówiąc: „swoim się krzywdy nie robi”? Zacisnęłam zęby, zwlekłam się z łóżka i podreptałam do łazienki. Tam w lustrze zauważyłam we włosach szare pasmo. Oglądałam je długo, nie wierząc własnym oczom. Wtem zdałam sobie sprawę, że babka rozmawia z jakimś mężczyzną. Jej głos wydał mi się inny, zdławiony.

- Ju żych mówiła. Tó syn mój i jo żych gó miła na śmirć skazać? Ón musi dzici jyść, inaczej zemrze.

- Alicja miała przed sobą całe życie! - powiedział tamten, a jego słowa przepełniał żal i gniew zarazem. - Inne dzieci też. Ile ich było, co? Ile ich było przed Alicją?

Babka milczała. Kolejne słowo mężczyzna wyrzeszczał, aż dom zatrzęsł się w posadach:

- Mów!!!

Podeszłam bliżej, najciszej jak potrafiłam. Zajrzałam do pokoju. Babka siedziała na fotelu, tym, na którym zwykle szyła. Przy oknie stał tata Alicji. Mierzył do babki z pistoletu, drżała mu ręka.

- Powiedz, że żałujesz!

- Ni żałujym niczygo! Jydyn Fryś mi się ostoł i żych róbiła, có mógła, żyby szczyśliwy był!

Babka przeniosła na mnie wzrok.

- Twój ójciec ni chcioł, ale ty musisz. Ni upilnówoł brata, a pótem ucikł. Musisz Frysia kormić. Ón ju nikogo ni mo, ino cibile. Bydziesz pamintoć?

Padł strzał. Na czole babki wykwitła czerwona plama, głowa zwisała na piersi. Zakryłam dłonią usta, chociaż krzyk zastygł w

piersi.

Ojciec Alicji popatrzył na mnie. Balansował na granicy obłądu i rozpacz. Wycelował w swoją skroń, zapłakał i nacisnął spust. Ciało osunęło się na podłogę.

Podbiegłam do babki, chwyciłam jeszcze ciepłą dłoń. Trzymała w niej pluszowego misia. Musiała szyć go przez ostatnie dni.

Musiała szyć go dla mnie.

Krzysztof Szabla, Aleksandra Knap

Czarny motyl

Jechałem zdezelowanym autobusem. Duszący zapach paliwa mieszał się ze smrodem przywodzącym na myśl wymiociny. W ostatnim rzędzie siedział skulony mężczyzna z kapturem nasuniętym na głowę. Mamrotał coś zachrypniętym głosem, jednak nie byłem w stanie zrozumieć sensu wypowiedzi. Zwłaszcza że zagłuszał go kaszel kobiety zajmującej miejsce kilka foteli przede mną. Siwe włosy podskakiwały nad oparciem, gdy wychudzona staruszka dusiła się i charczała, jakby oderwał się jej kawałek płuca i ugrzązał w przełyku. Odwróciłem się do okna, wbijając wzrok w ciemny krajobraz. Słońce nie zdążyło wzejść. Posępne drzewa wykrzywiały gałęzie. Chałupy straszyły wielkimi oknami, w których przemykały cienie.

Kierowca wydawał się skupiony na trasie. Jednak co jakiś czas pochylał się nad deską rozdzielczą, majstrując przy pokrętle od radia. Pomimo wysiłków mężczyzny i rzucanych przez niego przekleństw, z głośników wydostawały się jedynie szumy.

Nagle coś huknęło. Poderwałem się z miejsca. Na przedniej szybie wylądował czarny stwór. Rozłożył skrzydła, a następnie zaczął nimi pocierać o szklaną powierzchnię. Kierowca i pasażerowie zdawali się go nie zauważać. Usłyszałem trzask, a po chwili ujrzałem rysę. Szkło pękło. Krople deszczu przedostawały się do środka i kapały na kierownicę. Rozlewały

się po prędkościomierzu niczym smoła. Czarne owady okrążyły autobus. Unosiły się nad ziemią i opadały, tworząc fale. Jeden z nich przywarł do szyby, tuż obok mnie. Ujrzałem czułki, z których kapła smoła. Motyle uderzały o blachy pojazdu. Mężczyzna w kapturze mamrotał, staruszka charczała. Fale radiowe szumiały. Skuliłem się, chowając twarz w ramionach. Słyszałem trzask wgniatanej karoserii. Wzdrygnąłem się, gdy kierowca zacisnął palce na moim karku.

- Twój przystanek - zakomunikował.

Wstałem, zdając sobie sprawę z tego, że motyle znikły, tak samo jak staruszka i mężczyzna w bluzie. Schodziłem po schodkach, mijając czystą kierownicę i gładką szybę.

Wysiadłem z autobusu. Ostatni przystanek, do którego mogłem dojechać. Nie było żadnej wiaty ani nawet znaku. Dalej w grę wchodziła wyłącznie piesza wędrownica.

Kierowca również opuścił duszne wnętrze pojazdu, wyjął papierosa i zaczął go miętosić w ustach. Skoro dysponował wolną chwilą, zagadnąłem go o okolicę.

- Nie ma tu zbyt wielu mieszkańców - powiedział. - Miastowi nazywają takie miejsca zadupiami.

- A tamta droga?

- Na jej końcu mieszkają tylko dziad i baba. Krążą plotki, że stary, jak to mawia młodzież, mierzwił łono swojej córki, która nie wytrzymała i uciekła do lasu. Niegdyś jeździła tym autobusem, ale od dawna nikt jej nie widział. Pewnie ojczulek pozbył się jej po cichu, a później powiedział, że zaginęła. A może wilki ją pożarły. Kto to wie? Żyje z nimi parobek, choć nie zdziwiłbym się, gdyby okazał się synem starego zrodzonym z kazirodczego związku. Znaczne ubytki w mózgu rekompensuje pewnie sześciora palcami u nóg. Ich dom wyznacza kraniec cywilizacji, za nim znajduje się tylko bór.

- I Wiedźmi Wzgórek - powiedziałem. - Właśnie tam zmierzam.

- Po co?

- To jeden z tych zakątków, o których podróżnicy mówią szeptem.

- Naprawdę? Raczej nic przyjemnego dla niedzielnych turystów. Szczyt mało wybitny, a widoki żadne, wszystko zakrywają drzewa. Nie wróżę, żeby to miało się szybko zmienić. Wybierają się tam jedynie dziwacy. Wybacz, jeśli cię uraziłem. Powiem tylko tyle... Dotarłeś do miejsca, które bije po oczach napisem: *Zawróć!* Ja właśnie tak teraz uczynię.

Z oddali doleciało krakanie wrony. Kierowca schował papierosa, którego nawet nie zdążył zapalić, wsiadł do autobusu i odjechał.

- Co za dzicz - rzekłem do siebie, po czym wyjąłem telefon i pstryknąłem selfie. Nie było sensu zwlekać, jeśli chciałem tego samego dnia wrócić, a nie zamierzałem przecież nocować na Wiedźmim Wzgórku.

Ruszyłem przed siebie ostatnią drogą, która mi pozostała, tak zwaną wyboisto-kamienną.

Po kilkunastu minutach marszu dotarłem do chaty ze słomianym dachem i bluszczem porastającym północną ścianę. Przy płocie siedzieli dziad i baba. Z nieruchomymi twarzami i sztywnymi kończynami. Wyglądali jak kukły.

- Przepraszam, dojdę tędy na Wiedźmi Wzgórek? - zapytałem.

Stara poruszyła okiem i warknęła:

- Po cóż tam leziesz?

- Lubię dzikie tereny oraz rzadko odwiedzane wzgórza. Odhaczam je sobie na mapie.

- Jasne, na pewno chce poruchać czarownice - rzekł cicho dziad. - Przychodzą stamtąd, a ja je dymam. O tak. W przód i w tył.

Stary jął bujać się na krześle, prawie z niego spadając.

- Milcz! - wrzasnęła jego towarzyszka, a potem zwróciła się do mnie: - Idziesz na własną odpowiedzialność. Tam naprawdę są wiedźmy. I to takie cholernie niemiłe.

- Ja sędzę co innego - dorzucił dziad, po czym złapał się za gardło i zaczął rzezić. Już myślałem, że stara rzuciła na niego urok, żeby wreszcie się przymknął, ale po chwili wypluł sporą grudkę flegmy. - O czym to ja...?

Dziad i baba przekomarzali się, ale nie zamierzałem tego słuchać. Minąłem ich chatę i natknąłem się na wracającego z lasu mężczyznę. Pewnie parobek, o którym wspominał kierowca. Odruchowo zerknąłem mu na dłonie, ale oprócz tego, że były potwornie brudne, nie wyglądały na zdeformowane. Szczęściu palców się nie doliczyłem.

- Blu... sss...? - zapytał.

Nie zrozumiałem, o co mu chodziło.

- Słucham?

- Szcz-szcz?

- Wybacz, ale nie chwytam.

Przeszedłem obok niego. Nie miałem ochoty wdawać się w zbędną gadaninę. Wyglądał na niepełnosprawnego umysłowo. Z ust ciekła mu strużka śliny. Ufałem, że nie pójdzie za mną. Wolałem przebywać w lesie sam niż z kimś takim. Obliczyłem, że jeśli się nie zgubię, ani nie pożrą mnie wilki, dotrę na szczyt Wiedźmiego Wzgórka w samo południe, dzięki czemu bez problemu zdążę na autobus powrotny.

Niedaleko od chaty znajdowała się pokryta bluszczem rzeźba przedstawiająca mężczyznę w długiej szacie. Otwarte usta oraz złożone do modlitwy dłonie sugerowały odmawianie pacierza. Pnącze wychodziło spod jego stóp i rozrastało się na całą wysokość sylwetki. Intensywnie zielone liście kontrastowały z wyblakłym, spróchniałym drewnem. Nagle nadleciała wrona i usiadła na figurze. Wbiła we mnie czarne oczy i zakrakała.

- Modlimy się do niego. - Usłyszałem za sobą głos.

Gdy się obejrzałem, dostrzegłem młodą dziewczynę. Nosiła brudną sukienkę. Rozdarty materiał odsłaniał ramiona i wystające obojczyki. Czarne włosy oblepiały twarz i szyję.

- Czyj to wizerunek? - zapytałem, gdy dziewczyna stanęła obok.

Uśmiechnęła się krzywo.

- Miałam na myśli bluszcz, nie rzeźbę. Czego tu szukasz?

- Zmierzam na Wiedźmi Wzgórek - powiedziałem, cofając się o kilka kroków.

- Mało osób tędy przechodzi.

Zabrzmiało to tak, jakby istniała inna droga, o której nie wiedziałem, ale przecucie mi podpowiadało, że lepiej się nie dopytywać.

- Jesteś córką tego tam... dziada z chaty nieopodal?

- Nie, wesola ze mnie panna, która lubi pomagać mężczyznom w potrzebie. - Wykrzywiła usta, odsłaniając szare, dziurawe zęby. - Pewnie minąłeś tego szurniętego parobka?

- A, czyli po to chodzi do lasu.

- Często mnie odwiedza. Osładza moją samotność. Czasem wpadnie też stary albo kierowca autobusu. I tak mi radośnie mija życie. W ciszy, spokoju i dobrobycie. A może tobie też pomóc? - Dziewczyna wygięła rękę do tyłu i podrapała się po plecach.

- Nie mam ochoty, przykro mi.

- Szkoda. Miło się rozmawiało, ale muszę już iść. Siostry na mnie czekają. Na koniec opowiem ci pewną anegdotkę. W dzieciństwie dręczyły mnie koszmary i lunatykowałam. Kiedyś wspierałam się na dach domu, zbliżyłam do krawędzi i poleciałam w dół. Długo spadałam, aż w końcu uderzyłam o ziemię. Nic mi się nie stało. Potrafisz w to uwierzyć? - Przechyliła głowę na

bok, mierząc mnie wzrokiem. Następnie zbliżyła się, wysunęła nienaturalnie długi język i polizała mnie po szyi.

- Nie wiem. Może ci się tylko śniło - wycharczałem.

- Czasami coś, co robimy we śnie, wydaje nam się realistyczne, natomiast to, co traktujemy jak sen, okazuje się prawdą - szepnęła.

Kątem oka dostrzegłem, że dziewczyna ma sześć palców u rąk. A jednak wszystko zostaje w rodzinie.

- To ja spokojnie pójdę na szczyt, a potem wrócę i nie będę wam przeszkadzał, dobrze? - Odskokczyłem.

- Dobrze. - Przytaknęła, odwróciła się, a gdy weszła w gąszcz, straciłem ją z widoku.

- Dziwni ludzie tu mieszkają, prawda? - zapytałem sam siebie i odpowiedziałem: - Jak cholera.

Liczyłem, że dalej wszystko pójdzie jak po sznurku, ale się myliłem. Nieopodal rzeźby droga nagle się urywała. Zacząłem przedzierać się przez zarośla. Po kilku minutach ciężkiej przeprawy strzeliłem sobie kolejne selfie. Byłem spocony, zmęczony i czerwony na twarzy. Tak jak Kolumb, kiedy odkrywał Amerykę. Prawdziwy podróżnik nie przejmuje się niewygodami. Przetarłem spocone czoło i zorientowałem się, że palce pokrywa mi czarna substancja.

I wtedy ktoś zaszedł mnie od tyłu, podciął nogi i zwałił na ziemię. Telefon wypadł mi z ręki i zniknął w gęstwinie. Nie miałem jednak czasu ani sposobności, żeby go poszukać, gdyż dziewczyna przycisnęła mnie mocno do gleby, a w krocze wbiła kolano. Sapałem i przygryzłem język.

- Puszczaj, pieprzona dziwko! - wysyczałem.

- O nie, siostra powiedziała, że będziesz idealny - odparła z nutą rozczarowania w głosie.

- Do czego?

- Małe czarne motylki wirują mi w łonie, a ja lubię patrzeć, jak męczyzna tonie.

- Ja pierdolę - zdążyłem wyszeptać, gdy inna dziewczyna podeszła z drugiej strony i przywaliła mi w głowę kamieniem. Straciłem przytomność.

Ocknąłem się, leżąc na trawie ze skrępowanymi kończynami. Rozejrzałem się. Kwiaty o długich i cienkich łodygach wydzielają intensywny zapach. Silna woń osiadała na powiekach i szczypała w oczy. Poskręcane konary drzew porastał bluszcz. Na środku ogrodu stał murowany ołtarz, z którego spływała gęsta maź.

Obok mnie leżał facet, pewnie też turysta albo amator seksu pod otwartym niebem. W sumie gdybym nie odmówił mało cnotliwej pannie, może nie znalazłbym się w aż tak opłakanej sytuacji. Biadolenie mijało się z celem. Trzeba było siedzieć w domu, a nie wałęsać się po odludnych terenach.

Znana mi dziewczyna stała nade mną, oblizując wargi. Brudna sukienka wisiała na jej chudych ramionach. Wokół bioder miała zawiązany bluszcz. Przez skórę głowy przesiąkała czarna wydzielina i spływała po jasnych kosmykach. Dziewczyna zanurzyła palec w mazi, a następnie przejechała nim po swoich wargach. Wygięła do tyłu kręgosłup, po czym zaczęła intensywnie drapać się po plecach. Z jej gardła wydobywał się głośny śmiech i roznosił echem po lesie.

- Czego ode mnie chcecie? - zapytałem.

- To więdźmy! - wykrzyknął mój towarzysz niedoli. - Głoszą kazania ptakom i czczą czarne motyle. Widziałem na własne oczy. A wszędzie ten bluszcz. Musimy go przebłagać, by nas wypuścił.

- Ciebie weźmiemy pierwszego. - Dziewczyna wskazała palcem mojego sąsiada. - Za duzo kłapiesz mordą. Czy modliłes się wystarczająco gorliwie? - Zachichotała.

Przybiegły jej pomocnice. Mężczyzna wrzeszczał, kiedy prowadziły go w stronę ołtarza. Gdy położyły go na blacie, zamilkł. Wiedźmy pochylały się nad nim, wysuwając długie języki. Zauważyłem, jak jednej rozdarła się sukienka. Z rozcięć poniżej łopatek wysunęły się czarne skrzydła.

Z drzew zamiast liści spadały ciemne motyle. Lądowały bezwładnie na ziemi, pokrywając trawnik. Drżały, aby po chwili wzbić się w powietrze.

Intensywna woń kwiatów sprawiała, że kręciło mi się w głowie.

Wiedźma, którą spotkałem przy rzeźbie, usiadła okrakiem na grubasie i rozchyliła palcami jego wargi. Wirujące nad ziemią motyle wlatywały mu do gardła. Mężczyzna krztusił się, plując smołą. Tonął, a z każdym kolejnym łykiem jego skóra marszczyła się, tracąc jędrność. Ręce i nogi sztywniały. Twarz zastygła, sprawiając, że tłuszcioch przypominał kukłę.

Skrzydłata wiedźma odwróciła głowę.

- A ty? - zapytała. - Co z tobą zrobić? - Zeskoczyła z ołtarza i postąpiła kilka kroków ku mnie.

- Możecie mnie puścić, prawda? Nawet nie wiem, gdzie jestem. Nie trafię drugi raz w to miejsce.

- Jak już cię tu przytargaliśmy, to mamy teraz zwyczajnie uwolnić? To byłoby nieuczciwe wobec Świętego.

- Na pewno się jakoś dogadamy...

Bluszcz oplatający pnie ześlizgnął się na ziemię, podpełznął do ołtarza, a następnie wspiął się na ciało mężczyzny. Tłuszcioch odzyskał przytomność na tyle, żeby dźwignąć się do pozycji siedzącej. Przekręcił się, po czym stanął na nogi. Jedna ze skrzydlatych wiedźm odprowadziła go w kierunku drzew.

- Widzisz, jaki fajny ogród? Żyjemy sobie tutaj spokojnie, on nas karmi, my składamy ofiary, a wtedy dostajemy odrobinę

rozkoszy. Nic nam więcej do szczęścia nie potrzeba, prawda? Wesole z nas panny, nie sądzisz?

- Tak, bardzo wesole.

- To jest właśnie prawdziwy Wiedźmi Wzgórek. Ten, kto do nas przychodzi, jest zobowiązany modlić się do Świętego Bluszczu. Wypełniać jego wolę, by rósł w siłę. A wiesz, jak należy się modlić?

Pokręciłem głową.

- Nie wiesz? Więc pewnie wolałbyś wrócić już do domu, tak?

- Zdecydowanie - wyjęczałem, gdy bluszcz oplótł moją kostkę. Próbowałem go strącić, ale wrzynał się w skórę.

- To nie my decydujemy. Pomódl się do Świętego, a on może cię wypuścić. Co ty na to?

- Nie znam żadnej...

- Oj tam, jakąś modlitwę na pewno pamiętasz. No dawaj, zanim stracę cierpliwość.

- Ja... Jasne, już. Ojczy nasz...

Zapomniałem, jak się nazywam, już nie mówiąc o pacierzu. Zacząłem się jąkać i dukać kolejne słowa, będące mieszanką kilku modlitw i litanii. Skrzydlata wiedźma podniosła z ziemi kamień i zakołysała biodrami.

- Módl się żarliwiej - wycedziła przez dziurawe zęby. Następnie stanęła w rozkroku, a pnącze wraz z intensywnie zielonymi liśćmi wpełzło pod jej sukienkę. - Czy już wiesz, jak należy się modlić?

Pozostałe wiedźmy płąsały wokół mnie, unosząc brzegi sukienek. Dotarło do mnie, że pozostałem bez wyjścia. Tylko odpowiednia modlitwa mogła sprawić, że bluszcz wysłucha moich prośb.

Po odmówionym pacierzu, gdy leżałem na ołtarzu, sapiąc z wysiłku i krztusząc się wlatującymi do gardła motylami,

podeszła do mnie skrzydlata wiedźma. Uniosła dłoń i cisnęła kamieniem, który trafił mnie w okolice skroni.

Ocknąłem się tuż przy świętym bluszczu okalającym rzeźbę nieznanego mężczyzny. Krakąły wrony. Nie miałem już związanych rąk ani nóg, jakby cała ta historia z porwaniem w ogóle się nie wydarzyła. Kręciło mi się w głowie, ale czym prędzej schodziłem ścieżką. Minąłem chatę dziada i baby i ich wysuszone kukły. Odwróciłem się, gdyż zdawało mi się, że coś usłyszałem. Dziad otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk, tylko wyleciał motyl.

Autobus stał w tym samym miejscu, co wcześniej. Kierowca znów miętolił w ustach papierosa, nie zamierzając go zapalić.

- Jak było? - zapytał z uśmiechem, jakby bawił go mój podły wygląd.

- Świetnie. Kolejny szczyt zaliczony - odparłem i wczołgałem się do wnętrza śmierdzącego pojazdu. Przed oczami latały mi mroczki, choć równie dobrze mogły to być czarne motyle.

Kornel Mikołajczyk

Jędrzońskie posiukańce

7

Cymburzę. Siukam. Szczam. Nie pomnę, kiedy ostatnim razem robiłem co inszego. Żywot ulatuje ze mnie cieniusim, złotym strumieniem wprost do dzbańca, szumi w nim jeszcze i bulgocze, nim zamiera w ciszy.

Strzepuję. Prawie pełno. Nada mi znów nabrać wody z żurawia i opić się do nieprzytomności, lecz przed oczyma, z wycieńczenia, tańczą ćmy. Lękam się, iż, osłabion, przewalę się przez cembrowinę i zlecę w dół, w dół, w dół, do krynicy chłodnej jakoby łokcie Kostuchy.

Z drugiej strony, czyż nie lepiej pójść w objęcia utopców niżli dać się spać do cna Jędrzonowi?

1

Dziadzia zawždy powiadał, że nie lza ruszać ziemi za Gnilynym Płotem. Iście, tamtejsze okoły grozą napawały i chocia ugory te naszą właściwną stanowiły, mało któren człek li żwirz tam się zapuszczał. Jeno kruczydła czarne jak noc lubiły przysiądać na sztychach przytchłych dech i odprawiać koncerty, co to wdzierały się do kości śpiku i zginały członki w całocielnem wzdrygnięciu. Brrr!

Nie wybrałbym się tamoj nawet za klucze do królewskiej skarby, gdyby nie ta przeklęta - tfu, na psa urok! - Tomiłka. Parszywiała z dnia na dzień, tknięta jakową owczą morą. Gdy chwyciła się w kułak wełny kępę, odchodziła niby łupina ulęgałki pod nożem. Wyprowadził żem ją z zagrody, coby nie pozarażała stada, lecz uwiązana do słupka przy studni - tej starej, zabitej od dawien dechami - mizerniała ino prędeż. Beczała i beczała, mącąc mi sen, aż w końcu znalazłem ją sterczącą nieruchomo, jakoby zażrzała we ślipia bazyliuszka. Dopiero kiedy powiał zimny wicher, świszcząc w dziurawych ścianach stodoły, przewaliła się na bok, martwa. Niewiele myśląc, zaciąłem ją ku najdalszej miedzy - i wtedy to właśnie zwróciłem oko na bołotniaste, glinne grunty.

Wyliniałe obrzydlistwo w mogile pod Gnilynym Płotem... No, przyznajta sami, pasowało jak ulał, nie?

Niestecież, tym razem bajdolenia Dziadzia okazały się prawdą. I kopiąc grób Tomiłki, wykopałem go zarazem nam obojgu.

8

Wygrzebuję się ze snu niczym z mielerza smołą zalepionego. Tak, przydrzemałem nad wody cebrem. Niedoszczalem na czas.

Zrywam się z zydlu i łowię wzrokiem dzbaniak, nad którymż to pocilem się od nieszpórów, lecz te w chacie zebrane lśnią, złotopelne, miazmatem słonem ziejąc.

Toż to niemożne... Czym lunatykiem został i miast szwendać się, błędnymi wiedzion ognikami, cymburzył na prawo i lewo z oczyma zakrytymi?

Drzwi do chaty skrzypią na wietrze, to uchylając się, to chrobocząc o futryny krzywocinę. Dziadzia zawsze je domyka; inaczy od jazgotu spać nie potrafi.

Gdzież ów pleśniak wywędrował?

Zgarniam łuczywo grabowe i wychodzę w ćmę. Gumno suche jak pieprz, lecz coś szkli się tuż pod garnkiem. Nachylam się, by przyświecić.

Mokra, krwawa glina. Z odcisniętym w niej czarcim kopytem.

Jędzon tu był.

2

- Wzruszył żeś skiby na Jędońskim zagonie?! - zagrział Dziadzia, gdy przytargał do chaty pierwsze dwa naczynia.

Po deszczu uwalistym, któren zasnuł padoly wieczorem, oporządziłem żwirze i poszłem sprawdzić, czym nagrobca Tomiłkowego nie wpuścił nazbyt płytko. Nie chciałem, coby liszczę li kuna rozwlekło jej zewłok i pozarażało się choróbskiem paskudnem, roznosząc je wszędy. Miast piachu przegrzebanego uźrzałem parę uszu glinianych. Zaciekawion, pociągnąłem za nie, wyswobadzając z objęć grzęzawiska kształtne kanki.

Do kaduka... Czyżby zrodziła je ziemia?

Dziadzia pobladł, kiedy usłyszał, com uczynił. Porwał spod zydla butlę akwawity, po czym przyssał się do niej i odessawszy, pilno wylizał dziąsła bezzębne, ukazując żabie żyłki pod ozorem. Dopiero wtenczas wgapił mi się w oczy i wydyszał:

- Biada nam, chłopcze. Biada, dubielu i capie. Jędzon zwęszył dusze nasze nieśmiertelne i zmierza, ażeby je spić. Tak jak przed laty, gdyś jeszcze fajdał pod siebie, spił rodzonego oca twego...

Od Gnilnego Płotu dmie wiatr. Zawodzi, kniazi: „Wnęczku mój, posłuszaj... ty się poddaj... poddaj... ducha swego oddaj...” głosem aż nadto znajomem.

Dości. Postanowiłem. Jeżeli zabrnę dalej w tę oszczaną farsę, padnę niechybnie trupem, postradawszy klepki. To igrzysko, w które wygrać nijak nie idzie: albo kiszki rozpukną mi od przepicia jak beka zbita ręką fuszera, albo razu pewnego nie nadażę z napełnianiem garnców. Tak, siak czy owak, dusza ma nieśmiertelna w Jędzonowej się znajdzie garści.

Wyjście: *pactum*. Słyszał żem ongi gawędę o chłopie, co to z lichem się był dogadał, ażeby w szranki stanęli. Skończyło się to dlań drennie, lecz cóż wincy mogę uczynić?

Wytaczam się z chaty i wołam w pomrokę. Pomroka odpowiada. Takem udręczon, że nie poznaję, czy rozprawiam z diabłem kosmatym, czy z głoskiem w czaszce. Trzymając się żywota ostatnimi uryny kroplami, zawieram czarne przymierze.

Obym tego nie pożałował.

5

Ktoś kołatał mi do cebra. Ktoś kołatał do drzwi chaty. Kołatania owe jednobrzmiały i jednoznaczły i różnicy większej nie czyniło, czym wstał z łóżnicy i odsunął skobel, czym czaszki jeno, kiejwo doktor trepanem, rąbka uchylił, coby gościa za próg wpuścić.

Wlazł w buciorach ciężarnych od zastygłej gliny – górotwór rosnący pode powałę, okiem żółtem błyskający spod ni to kaptura obmierzłego, ni kołtuna brudem posklejanego. W łapskach jego: kranik do beczki, ze szpikulcem do wbijania na końcu, oraz obuch krzemieny, powrozem do styliska uwiązany. Koszmarny przybornik do wybijania beczek. Wybijania ludzi.

Otwarłem gębę, by przegnać intruza a kysz! Jędzon zgromił mnie aż do ścisku w podołku, bez słowa li szeptu. Gdym korzył się wnet u stóp kosmatych, zażądał ofiary z soków ciała mego za splugawienie gruntów, które od mileniów pod jego znajdowały się berłem. Mogłem skoro oddać ducha swego upłynnionego albo - jak ociec - ze szczyń składać mu conocne ofiary, chlustając w posiukańce, póki nie znuży go pęcherza mego uległość.

I nic na to poradzić nie zdołam. Kran zadzierzny lśni w blasku miesiąca; młot dygocze w oczekiwaniu na raz. I jeśli nie chcę skończyć z kurkiem toczącym żółć z kałduna, ostaje mi jedyny ratunek.

Szczać.

3

Dziadzi zaprawdę poszkapilo się w saganie. Znaczy, bardziej niżli zazwyczaj.

Jędzon utrupił mi oćca?

Chlejąc wtórą butlę, staruch przytoczył oną fantazyjną powiastkę. O tem, jak to rodziciel mój spił się razu pewnego i rozcepił Gnilyn Płot, padając na diaskowe grunty. Czołgał się po taplisku, aż padł, zmorzony snem.

Zbudziło go dźgnięcie ucha dzbannego pod zebro. Zatachał tę konew spod grud zrodzoną i wody studziennej doń nacerpał, coby czuwała przy leżu, gdy nocą pragnienie usta mu wypali. Po tem dopomógł Dziadzi przy oporządku żwirzy oraz syna swego jedynego - mnie, się rozumie, niedolatka po pachy uklistrowanego - zbumbaczył się na powrót i w barłogu zaległ. Naonczas w oćca kalendarzu dnia nie było, iżby do butli się nie dosmaczył. Tako za matulą żałobił, co to na zlogach ze mną dech oddała.

Przed świtem Dziadzio zwlekł się z wyra i zastał zięcia bledszego od wapna, bezkrwistego jak po upira nocnej wizycie, sterczącego pod okna gomułką. Ino to nie upir zawitał do chaty księżycową porą, a Jędzon. Chłop urzeknięty nie zdradził nic nad to, że siukać mu nada. Zewlókł galoty i ot, jął cymburzyć do dzbańca z pól przyniesionego, póki się żółcień górą nie przelewała.

Rochoczał przy tem i rochoczał póty, póki starczyło mu w piersiach tchu...

6

Jak co ranka od sam nie pomnę kiedy, wypuszczam się poza Gnilny Płot. Diabelskie łono nocy zrodziło glinne wyzwania, w Lucypera piecach wypalone. Dzbany, baniaki, kanki, konwie, garńce, amfory; małe i duże; uchacze i bez. Zgarniam swą dzienną dolę - już to solidny wazon, już to tuzin czasz. Nieistotne. Wszystko nada mi napęłnić po brzegi, nim w piekle zapieje czarny kur.

Na ganku mijam Dziadzia. Zerka ku mnie ślipiem niepokojnem, wszelako nie ma się czego obawiać. Nie on naraził Jędzona. Nie jemu w doli przypadło przetaczanie męcin wodnych ku uciezce strasydła. Idź zdrów w pole pasać owce, staruchu! Ostrzegałeś był mnie, ale żem nie słucał. „Nie lza ruszać ziemi tamtejszej, bowiem przeklęta ona!“. W istkę przeklęty stałem się i ja.

Nawarzyłem se piwska i tymraz przyszło mi je wypić. I jeśli nie zamierzałem skończyć marnie - pić aż do kresu sił.

Umówiny są proste. Nie bawim się w żadne bierki, družbarty ni paragony. Nie po tem, com przeszedł.

Stawiam ceber w połowie gumna. Kapkę bliżej następny. W sumie pięć, bo i tyle w obejściu się najdzie. Staniem z Jędzonem na dece krynicę zakrywającej i z wysoczyzny pocznem napierać na pęcherze, po kolei. Któren doszcza do dalszego zbiornika, ten wygrywa.

Przystanie na me warunki. To krotochwila dlań, drwina. Obaczy w tem szansę, ażeby dorwać się prędzej do mej żywicy i zakończyć tę utarczkę.

Wiedzieć nie musi, że na zawody będę zgotowion.

Bo co jak co, ale biedny Dziadzia bałwana pod dachem swem nie wschował.

9

Praociec leży rozkraczon pod starą studnią. Gębę rozkwaślił mu obuch krzemienny, ostawiając w sinorudnej pulpie odłamki szklące się krzysztalowo. Nie spito go. Suchy jak szczapa, i tak nie nosił w sobie dużo wody. Posłużył za przykład. Słyszę bowiem, czymże diaskowi zawinił; szept jego chrobacznie wpełza mnie w ucha głębinę. Ktoś niedosiukuje, by dosiukał ktoś. Kochany matuzal uźrzał, zem padł przed sądu godziną i niewiele myśląc, wykonał robótkę za mnie.

Niestecież, Jędzon obmaństwa nie toleruje. Łuszczy to głosidłem wzburzającym krwię w żyłach. „Nie cygań, nie szachruj, glinne dziecię. Paklibyś mnie odrwił, odwetuję. Paklibyś mnie powalił, powrócę. Jam powszebytny. Jam niezagasły”.

- Przepraszam - szepczę do Dziadzi, po czym wracam do chaty po łopatę. Jeśli ów piekielnik pragnie ofiar, niechże się

udławi kośćmi zmurszałemi. Koło Tomiłki będzie im w ziemi ciepło jak od brymuchy.

12

Księżyc wybielał obejście jak zaczarowany, akurat na nasze starcie.

Ledwom przekroczył próg chaty, od cieni za szopą odlepiła się ochmętna splechec, plaskając jak zawsze ufajdanemi giczalami. Jędzon stawił się na czas.

Podług mego przeobaczenia, zwęszył był fortel i posłał mnie, ażebym pierwszy swych sił popróbował. Nabzdyczony wodą, wywlokłem na wierzch fujarę obolałą od ciągłego lania, za czem wgramoliłem się na cembrowinę. Dechy zestarzałe zadygotały pode ciężarem, atoli udało mi się zająć wymierną pozycję. Puściłem strugę. Napierając i napierając, dosiukałem trocha poza trzeci zbiornik, lecz nie posięgnęłem czwartego.

Straszydłak zarochoczał. Jego kolej. Drewno skrzypiało i stukało pod jego brzemieniem. Z gęstwy pomiędzy rozkraczonemi udami wychynęło żądło - istna parchawica gotowa pobuchnąć pod naciskiem nieostrożnem. Huknęło płynem. Żółcień, zieleń, modrość, fiolet i biel pląsały wśród kropel spienionych, chlupocząc w cebrze, drugim, trzecim... by wylecieć na koniec poza piąty i gumno samo, zwałając z nóg owcę, jako na początku tegoż koszmaru.

Zakłęczałem. Diasek jął przemawiać tryumfnie. Nie zamierzałem go słuchać. Nie padł żem na kolana z wrażenia ni poddaniectwa, jak mu się w dufności swej zdawało. Tutaj, w piachu, spoczywał zasypany przeze mnie konopny sznur.

Moje sidło.

Pociąłem zań, ujawniając, gdzie przywiązany został wtóry koniec: do belki wystającej spod desek na studni. Jędzońskie

poszukiwanie wolno ustało; podzwoniło w najdalszym naczyniu, potem w bliższym i bliższym, odmierzając czas niby wskazówka zegara.

Oszczyrzyłem do niego gębę.

- Paszoł w bołoto! - Z okrzykiem szarpłem za powróż.

Wspornika bez, drewno zawaliło się do środka. Kopyta od gliny ciężarne pociąły Jędzona w dół. Zaczepił się - *klink!* - kranikiem swem wątrobianym i młociskiem machnął we wściekłości. W te pędy dopadłem doń i strąciłem kopniakiem metal głodny mych soków.

Fiiuuuuuu... KRAK!

Suchy trzask ozwał się w głębinie: pieczęć pod glejtem poświadczającym mą bezpieczeńność. Nastąpiła cisza. Spojrzałem w niebiosa i nareszcie, po tygodniach niezliczonych, odetchnąłem z piersi dna.

Dokonało się. Pomściłem Dziadzię, i diablę parszywe strąciłem pod ziemię, gdzie jego posiadało. Czas świętkować! Nu, byleby nie napitkiem żadnym. Szczania zbytecznego dości mi aż do ostatku żywota.

4

- Za czem działało się jeno gorzy - krakał Dziadzia, wycierając gluty w brudne paluchy. - Opiekun twój rozumność wszelką postradał i coraz to wincy onych garnców do dom znosił. Żłopał i szczał, żłopał i szczał, że ruszyć ci się w izbie nie szło. Żółklina po kolana. Żem wyniósł się z kołyską twoją, smarku, do obory, i widywał go tylko przy żurawiu. Wonczas przez łąd susza się przetoczyła i w krynicy starej czerpania zbrakło. Zabralim się z werwą do kopania nowej, przeto nie czynek ci to prędko, o nie! Nocą czarną wilcy zawyli w młodniku i tknęło mnie cosik w sercu... Znalazłem go spitego do kości. To, co zeń się ostało.

Gnaty jeno i skóry pergamin, któren rozpadł się, kiedym go tknął. W wątrobę zaś wbity ręką diabelską kurek. Takowy sam, co od beczułki w karczmie. I kanka ostatnia: niedosiukana na czas. Bo płynów w pęcherzu zwyczajnie mu zbrakło.

Westchnąłem i poszłem zająć się świniami. Kto by słuchał takiego staroduba? Jędzony? Dzbańce-posiukańce? Ludzie w baryłki przepoczwarzeni? Ociec był opój i lej. Jeżeli co go spiło, to gorzała, nie diasek jakowyś.

Ja zaś jego śladem bynajmniej podążać nie zamierzałem.

13

Trzy tegodnie mijają bez szmeru, kiedy zauważam to po raz pierwszy. Gęsta czerwień soczy się spomiędzy kamionów studnię okalających. Przed świtem zastyga w skorupę i rośnie coraz to wyżej i wyżej, oblejąc ku górze. Mija dzień roboty przy żwirzach, nim rozpoznaję w niej kształt garńca.

Bierę młot i rozbijam cholerstwo w perzynę, lecz z nastaniem ranka narośle powracają, przesłaniając niebiesie.

Kolejna rozwałka. Dnia połowa. I znów te same glinne przyrosty.

Wonczas dociera do mnie prawda. Potęga żadna na tym łoż padole nie powstrzyma tego, co nastąpić musi.

Wyciągam ze skrytki Dziadziowej butlę i siadam na ganku, pokonany. Wygląda na to, że nijak nie uniknę losu swego; doli wiecznego cymburnika. Próbował zem schytrzyć siły wielmożniejsze ode mnie, a to nigdy nie kończy się wedlemyślnie.

Ponad strzechą zawija się ucho dzbanne. Wnętrzem stolimańskiego naczynia wstrząsa znajomy chychot potępieńca. Diaska gotującego na mnie swój kranik.

Jednym haustem dopijam akwawitę, po czym prostuję się i zzuwam galoty. Tak, znów nadszedł mój czas. Czas żłopania i czas przelewania; żółtych potoków i pieczenia w kroku. Jędrzoński posiukaniec, jak by nie szachraić, nie napęli się sam.

7

Cymburzę. Siukam. Szczam. Nie pomnę, kiedy ostatnim razem robiłem co inszego. Żywot ulatuje ze mnie cieniusim, żółtym strumieniem wprost do dzbańca, szumi w nim jeszcze i bulgocze, nim zamiera w ciszy.

Strzepuję. Prawie pełno. Nada mi znów nabrać wody z żurawia i opić się do nieprzytomności, lecz przed oczyma, z wycieńczenia, tańczą ćmy. Lękam się, iż, osłabion, przewalę się przez cembrowinę i zlecę w dół, w dół, w dół, do krynicy chłodnej jakoby łokcie Kostuchy.

Z drugiej strony, czyż nie lepiej pójść w objęcia utopców niżli dać się spać do cna Jędrzonowi?

Posłowie

Opowiadanie powyższe czytać można na dwa sposoby: zgodnie z numeracją fragmentów – to znaczy chronologicznie – albo w ustalonym (nie)porządku. Polecam również eksperymenty z czytaniem na wspak czy też wpierw numerami nieparzystymi, a potem parzystymi.

Tak czy owak, schematu w opowieści uniknąć się nie da. Rozbijając jedną formę, natychmiast wpada się w drugą; podobnie jak wrzucając do studni Jędrzona, daruje mu się kolejny żywot.

Co nie oznacza, że nie należy próbować z nim walczyć.

Jarosław Klonowski

Lady in Red

1.

Nazywam się Adam Wolny. Jestem przeciętnym dyrektorem niskiego szczebla w finansowo-ubezpieczeniowej korporacji. Nie wymienię nazwy. Robo, Rodo i tak dalej.

Do niedawna byłem korporacyjnym bucem, dla którego liczył się głównie hajs i kontakty. Śniłem na jawie i jechałem przez życie bez trzymanki. Moje podstawowe paliwo stanowiło poczucie zadowolenia z siebie.

Teraz patrzę na swe odbicie w lustrze i trafia mnie szlag. Te wory pod oczami, blada cera... Jestem przemęczony i dobrze o tym wiem. Prawie nie odpoczywam. Mam wrażenie, jakbym nie spał od tygodnia. Albo miesiąca. Niemal jak wtedy, kiedy wprowadziła się do mnie Majka. Przy niej też przez większość czasu funkcjonowałem tak, jakby mnie walec przejechał, ale na innych zasadach. Już wcześniej powinienem dostrzec pewne... symptomy. Zachowania, które... No, sam nie wiem. Mądry Polak po szkodzie. Majka bawiła się w łóżku jak dzikie zwierzę. W ogóle nie szło nad nią zapanować. Ale jak każdemu facetowi podobał mi się ten brak zahamowań. Z Majką można było wszystko, wszędzie i o każdej porze.

Powinienem odwiedzić kardiologa. Dużo ostatnio się dzieje. Ale z drugiej strony, zawały to najczęstsza przyczyna zgonów w moim zawodzie. A co ja sobie z tego robię? Nic.

W sumie to... W sumie to, o co w ogóle mi chodzi? Właściwie nie powinienem marudzić. Ludzie mi powtarzają, jaki ze mnie szczęściarz. „Urodzony w czepku” Ha! Tak. Wpadam ciągle na „odpowiednie” osoby, które klepią mnie tylko po plecach... Może dlatego tak mnie potem boli krzyż? Praktycznie każdy uważa, że o swojej branży wiem wszystko... Szczerze? Wiem o niej TROCHE. Tylko tyle potrzeba, żeby osiągnąć sukces. Po prostu rozmawiasz z właściwymi ludźmi i mówisz właściwe rzeczy, czyli przeważnie to, co chcą usłyszeć. Omijasz idiotów. A przynajmniej się starasz, bo całkowicie nie da się ich uniknąć. Z idiotami nigdy nie wygrasz. Idiota, jak mu wejdiesz w drogę, sprowadzi cię do swojego poziomu, a potem pokona doświadczeniem.

Ludziom wydaje się, że praca agenta ubezpieczeniowego jest prosta. Służbowe samochody i siedzenie za biurkiem. Ja zaś pod koniec dnia odnoszę wrażenie, że spędziłem go w biurku, a nie za nim. A Maja? Nie ma nic przeciwko temu, jak noszę eleganckie garnitury, jeżdżę służbową bryką i że na każde urodziny może kupić mi krawat. Ale gdy próbuję z nią porozmawiać o pracy, nagle staję się najgorszym nudziarzem!

Tak, tak. Uważa mnie za skończonego nudziarza. I ma rację!

Po nawiązaniu ze mną znajomości Majka zatrudniła się jako asystentka w firmie o śmiesznie brzmiącej nazwie zajmującej się chyba consultingiem i wizerunkiem. Pracuje tam od dwóch lat, a ja tak naprawdę nie wiem, co właściwie robi. Z pewnością parzy kawę. Maja parzy najlepszą kawę na świecie.

* * *

Kiedy po raz pierwszy Majka zdradziła mi, że niby – jak to superfajnie określiła – „jest rusałką”, parsknąłem prosto w tę jej drobną, przejętą twarz. Nie chciałem jej wyśmiewać. Spojrzałem na oblicze w kształcie serca, na palące się w nim wielkie, ciemne oczy i pomyślałem: „zdużniała laska do

szczętu”. Kochanie, jestem rusałką. Tak. A ja ogórkiem małosolnym.

Pamiętam minę mojej młodej żony, to spojrzenie posyłane mi przez oczy błyszczące jak dwa żuki. Po chwili zwęziły się w szparki. Gdyby wzrok mógł spalić, natychmiast stanąłbym w ogniu.

W paru słowach: zdałem sobie wtedy sprawę z faktu, że ona tak na poważnie.

Ja i Maja. Poznaliśmy się na firmowej wycieczce, dwa lata wcześniej. Pojechałem tam pod delikatnym, ale stanowczym naciskiem szefostwa. Regionalny kierownik sprzedaży obstawał przy tym, że trzeba się integrować. To się integrowaliśmy. Mój trzeci rok w branży ubezpieczeniowej... Może dlatego sądziłem, że Koźmińskiemu się nie odmawia. Jego poklepywanie po plecach było tak samo denerwujące, co absolutny brak kompetencji, no ale jak mówi stare chińskie przysłowie: „Szanuj szefa swego...” i tak dalej.

Paweł Koźmiński był rozwodnikiem i wielkim wielbicielem żaglówek. Więc gdy tylko pojawiła się w beneficie kasa na integrację, postanowił, że jedziemy nad Jezioro Zegrzyńskie.

Mogło być gorzej. Wcześniej zorganizował spływ kajakowy i paintball.

Na miejscu zbiórki przy parkingu Lidla okazało się, że większość młodszych pracowników grzecznie, ale definitywnie odmówiła udziału. Zasłaniali się dziećmi, chorymi babciami i pogrzebami wujków z Ameryki. Ta dzisiejsza młodzież nie umie czerpać przyjemności z bycia w korpo. Zapowiadał się dwudniowy horror w towarzystwie kwiatu firmy. Ja, brzuchaty Koźmiński, jego dowcipy z brodą, paru nagranych czterdziestoletnich kawalerów pracujących w biznesach średnich przedsiębiorstw. Wreszcie cycata Kryśka z księgowości o bicepsie wielkim jak mój własny. To do niej wszyscy smalili cholewki, łącznie z kierownikiem.

Obecność nieznaney mi wówczas kobiety zauważyłem dopiero na postoju przy zjeździe z A2. Boże, wyglądała niczym gwiazdka Eurowizji. Jasnowłosa, nieświadoma własnego uroku kobietka w krótkich, jeansowych szortach. Nie zwracała na mnie uwagi. Zaśmiewała się z mało wybrednych żartów mojego łysiejącego szefa tym swoim uroczym, przesadnie wysokim głosem. Dotknęła ramienia Koźmińskiego, co ten od razu zanotował. Na jego twarzy pojawił się błogi, pełen cholernego samozadowolenia uśmiech. Gość urósł z dziesięć centymetrów i zmniejszył dystans, wchodząc w strefę prywatną drobnej blondynki. Bydlak. Trochę mi to zbyt poufale wyglądało. Dziewczyna nie przestawała chichotać z zakłopotania. Zdaje się, że czuła się nieswojo w towarzystwie podstarzałego lowelasa. Nagle, bez ostrzeżenia, w mojej głowie pojawiła się przykra myśl, że Koźmiński puka tę laskę.

Czy gapilem się na nią jak głupi? A jakże, przynajmniej do czasu, gdy mimochodem na mnie zerknęła. Przez parę uderzeń serca nie odrywała wzroku, mierząc mnie nim z góry na dół. Pod przyciętą jak od miski, jasną grzywką błyszcząły rozmarzone, smutne oczy o wykroju migdałów. Przyglądała mi się bezczelnie, powodując u Pawła bulgotanie krwi w żyłach i gulę w gardle wielkości tenisowej piłki.

Po czterech sekundach odwróciła wzrok i ani razu, aż do końca dziesięciominutowej przerwy, nie spojrzała już w moją stronę.

Po postoju bez słowa przysiadła się do mnie.

Z wahaniem przedstawiłem się, poprawiając w fotelu. Okazało się, że Maja nie była pracownikiem korpo, a jakąś przewodniczką czy pilotem z biura, które obsługiwało imprezę. Tak przynajmniej powiedziała. Ale nie zauważyłem nigdzie jej bagażu. Czemu nie wykonywała powierzonych jej zadań? O czym gadała z Koźmińskim i jak to się stało, że prześlepiłem moment, gdy wsiadała do mini busa w Łodzi? Tyle zagadek...

Każdy z uczestników integracji, którego pytałem o Maję, kręcił w osłupieniu głową i sugerował, że to chyba znajoma Pawła. Szefa rozpytywać nie zamierzałem. Ślina się na widok Majki, jakby była krwistym stekiem, a on Panem Głodem.

Dalej przeżyłem niezapomniany rejs po jeziorze. Trwał cały kwadrans, po czym prawie się utopiłem, spadając niczym ostatni idiota wprost do jeziora. Podziękować mogłem Koźmińskiemu. Poklepał mnie po plecach trochę zbyt życzliwie, widząc, jak wlepiam gały w pośladki blondyny.

Wieczorem odbył się grill. Stoły ustawiono w altanie oświetlonej romantycznie lampionami. Przysiadłem się do Majki. Zdążyłem, zanim Paweł załadował talerz toną karkówki i pieczonych ziemniaków, a następnie przywlekł swoje dyrektorskie cztery litery do stołu, lawirując w tłumie mięsem niczym zawodowy żongler. Cholera wie, co mnie tak ośmieliło... Majka zastąpiła szorty i bluzkę przewiewną kiecką w ogromne maki, których barwa harmonizowała ze sznurem koralu kołyszących się na odważnym dekolcie. Włosy zaplotła w luźny warkocz z mniejszych i większych splotów, ułożonych niesymetrycznie. Skomponowanie tak misternej fryzury wymagało dużo wysiłku. Zachodziłem w głowę, jak Maja zdążyła się tak odstawić w niecałe czterdzieści minut.

Sobie też się dziwiłem. „Co ja wyprawiam?“, pytałem się w duchu. Może dlatego, że tego dnia prawie utonąłem? Może to efekt wstrząśnienia mózgu? Nabawiłem się od tego kataru i lekkich zawrotów głowy. No, a potem wódka zrobiła swoje.

Tymczasem cieszyłem się chwilą. Carpe pieprzone Diem. Widziałem, jak Koźmiński łapie karpia. Paweł się wściekał, a ja nie przygotowałem tematów do rozmowy z Mają ani wymówki dla niego, czemu zgarnąłem mu zdobycz sprzed nosa. Zawisła nade mną groźba wypowiedzenia umowy o pracę z byle powodu. Przepiłem do szefa i uśmiechnąłem się łobuzersko w stronę mojej boginki.

Maja świetnie się poruszała, pływając jedynie wokół mnie z zalotnością naćpanej szesnastolatki na wiejskiej potańcówce. Była urocza, gdy zrzuciła obcasy i zaczęła tańczyć boso do jakiegoś zapomnianego kawałka Golec uOrkiestry. Jadła za czterech. Zdumiałem się, gdy poprosiła przy dokładce o krwistą karkówkę. Spoglądała na mnie z dziwnym błyskiem w oczach, ze swoistym wyzwaniem. Przypomniała mi się ostatnia wyprawa z chrześniakiem do łódzkiego Zoo. Tamtejsza pantera też tak wtapiała we mnie ślepia.

Karkówkę załatwiłem mocno niedosmażoną. Pochłonęła ją, jakby nie jadła całe poprzednie wcielenie, w ogóle nie przegryzając mięsa chlebem.

Kiedy po północy udobruchany alkoholem szef zorganizował dla nas karaoke, okazało się, że głos mojej boginki stanowił prawdziwe wyzwanie dla uszu. Coś pomiędzy jękiem godowym wodnego ptaka, przelotem bąka, a skrzekiem żaby. Zamiast śpiewać, krakała. Usiłując wyciągnąć wyższe tony, traciła głos, a z jej ust wydobywał się wylącznie charkot.

Paweł dwukrotnie próbował podrywać Majkę. W obu przypadkach odprawiła go z kwitkiem. W końcu odszedł w upokorzeniu i bez słowa pożegnania w stronę hotelowego lobby. Piliśmy więc dalej z Kryską, która wcześniej przegoniła ostatniego amanta prawym sierpowym. Kiedy księgowa zaginęła w pułapce damskiej ubikacji, zostaliśmy z Majką sami. Tylko my i nasza prawie pusta flaszka bez zagryzki. W tle monotonnie zawodził Chris de Burgh:

*The lady in red is dancing with me,
Cheek to cheek,
There's nobody here,
It's just you and me,
It's where I want to be,
But I hardly know this beauty by my side,*

I'll never forget the way you look tonight

Zaczęliśmy się rozstawać około trzeciej nad ranem. Zabłądziliśmy gdzieś w odmętach korytarzy liczącego raptem trzy piętra kompleksu hotelowego. A potem znaleźliśmy mój pokój. Serce waliło mi jak młotem.

Jeszcze nigdy nie poszedłem z nikim na całość. Lecz wtedy wydawało się to tak naturalne i szalenie oczywiste... Rzuciłem się na nią jak na kawał mięsa i prawie skończyło się kolejnym wypadkiem. Za drugim podejściem poszło spokojniej. Niemalże sennie. Oczy Majki nadal kipiały pożądaniem, ale ja nieco się opanowałem. Jej dłonie były wszędzie, tak samo, jak i moje. Drapała mnie po plecach jak zwierzak w rui, mruczac przy tym cicho do ucha.

W dzień powrotu Majka zachowywała w stosunku do mnie przykry dystans. Nikt by się nie domyślił, że spędziła ze mną noc. W duchu czułem jednak satysfakcję, bo unikała i Koźmińskiego. Po powrocie do Łodzi podeszła do mnie i bez ceregieli poprosiła o numer telefonu. Powiedziała, że mieszka na przedmieściach Łodzi.

Tydzień później poszliśmy do kina. Potem na kolację do pizzerii. Mecz piłki nożnej. Nie była wybredna, jeśli chodzi o randki. Śmiała się często i głośno. Mało o sobie mówiła, ale za to chętnie słuchała mojego gładzenia. Śpiewać nie nauczyła się od czasu żaglówek. Chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, że słoń nadepnął jej na ucho. Bosz... Kiedy mówiła, miała bardzo miły, dziewczęcy ton, ale jej śpiew przypominał ryk poranionej krowy.

Wpadłem jak śliwka w kompot. Po miesiącu zamieszkaliśmy razem. Po pół roku zabrała mi nazwisko. Noc poślubną wspominam jak maraton zapasów w stylu wolnym. Wyszedłem z nich podrapany, pokąsany i pewny, że moja żona naprawdę jest dziką kotką. Uśmiech nie schodził mi z twarzy przez cały

ranek. Swoją drogą, zaprosiliśmy Koźmińskiego na popołudniowe poprawiny, żeby go udobruchać. Byłem jeszcze półprzytomny, ale musiałem zrobić na szefie pozytywne wrażenie...

Co ja pieprzę. To zasługa Majki. Gnojek Koźmiński nie odrywał od mojej młodej żony ślepi przez całą imprezę, lecz Maja idealnie radziła sobie z jego końskimi zalotami i nie musiałem interweniować. Zresztą, po ostatniej nocy nie miałem na to siły. Więc pozwalałem mu wdzięczyć się do niej, znajdując pociechę w myśli, że i tak nic nie działa.

Miesiąc później baran odwdzieczył mi się awansem na doradcę korporacyjnego, na który skrycie liczyłem. Być może łudził się, że dostanie zaproszenie na uroczystą kolację, gdzie będzie mógł kontynuować swoje podrywy. Maja cieszyła się z perspektywy wyższych dochodów, ale świętowaliśmy skromnie, w hotelowej wannie przypominającej mini basen. Zaprosiliśmy jedynie masę bąbelków.

* * *

Moja żona uważa, że w ciągu dwóch lat małżeństwa zmieniłem się nie do poznania. Ale tak naprawdę zmianie uległ jej obraz mnie. W jej oczach zostałem oportunistą, który, owszem, zarabia krocie, lecz wszystko to przychodzi mu zbyt łatwo. A czego nie okupuje wysiłek, to nie powinno być wynagradzane. To prawo Majki - idealistki. Nigdy nie powiedziała tego wprost, ale coraz częściej czuję, że tak sądzi. Gdy mówię, że jestem zmęczony po pracy, omiata mnie spojrzeniem pełnym rezerwy. Maja sądzi, że nie mam prawa narzekać. Że wszystko, co robię, polega na gadaniu. A gadać potrafię jak mało kto.

Ale chyba chodzi o coś więcej. Zaczęło się od wieczora, gdy dokonała przede mną swojego uroczego wyznania.

* * *

- Muszę ci coś powiedzieć, Adamie.
- No?
- Ja... tak naprawdę nie byłam na tej wycieczce.
- Jakiej wycieczce?
- Na tej, na której się poznaliśmy.
- Na zagłówkach? No, ja zdecydowanie cię tam widziałem.
- Ale nie byłam tam zapisana.
- Cooo? - Zamarłem z kawą w pół drogi do ust. - Jak to?
- Przyłączyłam się do was dopiero na postoju.
- Nie rozumiem, jakim postojem?!
- No, na tym przy Maku. Na A dwójce.
- A Koźmiński?
- Zauroczył się mną.
- To akurat widziałem - przyznałem z przekąsem.
- Bo ja to tak naprawdę jestem rusałką.
- Że co?!
- Ja pierdołę, Adaś! Czego nie rozumiesz?! Dołączyłam się do waszej grupy. Nie byłam tam żadnym pilotem.

* * *

Dwa lata temu, jak dostawałem od niej krawat, to wieczorem go ubierałem. Na gołe ciało. Taki nasz zwyczaj. Potem następował namiętny seks. Ale ostatnio już się tak nie dzieje. Trochę przytyłem i może dlatego od dawna nie robimy nic szalonego...

Zacząło się, kiedy awansowałem na kierownika niższego szczebla, mniej więcej rok po ślubie. Początkowo bardzo mi się to podobało. Opieka nad własną agencją, ośmioosobowy zespół, wyższa pensja, Koźmiński tylko pod postacią upierdliwych tele raz na tydzień. Ale również zebrania i telekonferencje, nadgodziny i nieśmiertelne tabelki przestawne w Excelu.

Kiedy ostatnio udało mi się zaskoczyć Majkę? Ano wtedy, kiedy została po godzinach, a ja wróciłem wcześniej ze szkolenia. Założyłem krawat i zgasilem światło. Czekałem na nią nagusieńki, jak mnie Pan Bóg stworzył.

Powinienem nadmienić jeszcze jedną rzecz. Maja panicznie boi się ciemności. Tak, dziwna z niej rusałka, no bo przecież pod wodą nie uświadczy za dużo światła, nie? Czego ona się, kurwa, boi?! Wodnika?!

No i wtedy weszła moja bojąca się mroku żona, zapaliła światło i spojrzała na mnie. Myślę, że teraz boi się bardziej światła niż ciemności. Choć może ta reakcja wynikała z faktu, że przyprowadziła koleżankę? Mina koleżanki - bezcenna. Choćby dla niej warto było.

No dobra, przyznaję, zawsze krytycznie podchodziłem do swojego wyglądu. Prawda, ostatnio zrobiłem się lekko tatusiowaty. Lecz mojej sylwetki nigdy nie nazwałbym żurnalową. A Majka jeszcze dwa lata temu uważała, że kobiety kochają głównie pewnych siebie, łysych facetów z zasobnym portfelem. Powiedziała mi to na tym pamiętnym grillu, bezczelnie, w twarz. I, jak wtedy sądziłem, półżartem. Więc czym się miałem przejmować?

Maja dziwnie się ostatnio zachowuje. Zrobiła się taka... obojętna i odległa. Jakbyśmy spędzili razem nie dwa, a dwadzieścia lat. Kiedyś zżerała ją o mnie zazdrość. Gdy towarzyszyła nam inna kobieta, wsłuchiwała się w każde moje słowo, rysy jej twarzy wyostrzały się jak u drapieżnika na polowaniu; tygrys na chwilę przed skokiem na zdobycz.

Dochodzi do tego pogarszające się samopoczucie. Nie, nie serce czy duszności. Czuję się w domu jak intruz. Jedynie w pracy jest okay. Tam staję się sobą. Robię, co chcę, jestem jak Superman. Wszystko mi się udaje, dopóki mam wyprasowaną koszulę i gadane. W domu im więcej gadam, tym gorzej się dzieje.

Dwa lata temu sądziłem, że życie z Mają będzie jak niekończące się wakacje, wypełnione nieskrępowanym seksem i przygodą. Wydawało się, że jesteśmy tacy sami, trochę jak brat i siostra albo najlepsi przyjaciele. Że oprócz namiętności istnieje między nami osobliwa więź, jakbyśmy poznali się na długo przed tamtą wycieczką.

Nawet jeżeli coś nas łączy, to ile nas, cholera, dzieli!

Maja uważa się za artystyczną duszę. Ja reprezentuję praktyczną stronę związku. Kolejna różnica. Jakby się tak zastanowić, po początkowych wzlotach, po pierwszym zauroczeniu, dostrzegam, że tak właściwie mało się znamy.

Mimo to przez rok uchodziliśmy za parę idealną. Dlaczego? Nadal nie wiem. Znajomi wciąż nazywają nas Stalowymi. Stalowi. Para superbohaterów. Stalowi się nie złamią, są idealnie dopasowani. Zawsze ze sobą, choćby ogłoszono powszechną amnestię dla zdradzających mężów i zakaz dochowywania wierności w małżeńskim pożyciu. Byliśmy tymi, którzy przetrwają burze i zawieruchy. Trochę ich się przydarzyło, tych zawieruch i burz. Trafił się nawet huragan, gdy moi rodzice odwiedzili nas w zeszłym roku na święta. Do tej pory przełączam kanał, gdy w radiu leci „Last Christmas”.

Nas nie poróżniły burze. Po prostu ucichliśmy tak, jak cichnie deszcz. Może trochę w tym mojej winy. Żyłem według zasady: jak się mylisz i ktoś to zauważy, przyznaj się głośno do błędu. Ale kiedy ona robi coś głupiego, siedź cicho. Myślałem, że moja ustępliwość stanowi przepis na małżeństwo. Siła spokoju. Maja z kolei zachowywała się impulsywnie. Jak ją coś denerwowało, tylko się nakręcała, aż wreszcie problem ją przerastał.

No i znaleźliśmy się w punkcie bez powrotu. Przegapiłem ten wielki, czerwony budzik z napisem KONIEC SZCZĘŚCIA, który się rozdzwoił, gdy sobie smacznie spałem w pościeli z iluzji. Małżeństwo to podobno taki budzik dla miłości.

Zaczęło się niepostrzeżenie. Jęła oglądać te swoje seriale na Netfliksie. Albo godzinami rozczesywała włosy, nakładając na nie różne odżywki i, niekiedy, dość osobliwie pachnące świństwa. Skąd je brała, czy je zamawiała? Nie wiem. Kiedy nakładała rzeczzone świństwa, jej twarz lśniła, a oczy wydawały się zupełnie nieobecne. Przechodziły mnie po plecach ciarki. Po takim zabiegu zawsze namiętnie się kochaliśmy, zawsze też seks wynikał z jej inicjatywy. A ja odnosiłem wrażenie, że gdy dotykam tych jej pukli, one poruszają się, jakby obdarzone własnym życiem. I mimo że za każdym razem dochodziłem, to nie potrafiłem później zasnąć, przypatrując się włosom spokojnie śpiącej, cicho pochrapującej małżonki.

Z czasem, około drugiego roku pożycia, coraz rzadziej dochodziło do zbliżeń. Kilka razy to ja odmówiłem. Przygniatał mnie nawet roboty. Niekiedy sypiałem w osobnym łóżku, niekiedy zastawałem ją już śpiącą. Zdarzały się i noce, gdy stukiałem i klikałem do rana na komputerze, przygotowując durne prezentacje na temat funduszy i słupki.

Mijały wieczory. Ja i Maja przestaliśmy rozmawiać, a zaczęliśmy gadać: ja do komputera, a ona do telewizora. Tylko że sprzęt RTV to słaby słuchacz.

Może właśnie nadeszła pora, by wyciągnąć wtyczkę i popatrzeć sobie w oczy... Przyznaję, że tkwiłem w błędzie. Do pewnego momentu sądziłem, że wystarczy kochać. Jak miłujesz swoją żonę i ona o tym wie, to zwalnia cię z konieczności rozumienia jej potrzeb. I wolno ci się z niej naigrawać, gdy wyzna, że jest jakąś syreną czy innym żabim skrzekiem.

Czy aby nie przeradzamy się w jedno z tych małżeństw z rozsądku? Nagle on albo ona uprzytamnia sobie, że musi coś zmienić. Że muszą się ratować. Powinniśmy zacząć trzymać się za ręce, chodzić do kina i na kolacje przy świecach? Długie spacerunki po parku? Jasne. Problem z małżeństwami z rozsądku polega na tym, że żona woli w czwartki, a mąż we wtorki.

Bardzo bym nie chciał, żeby spotkał nas taki los. W skrytości serca nie wierzę, że ten kłopot nas dotyczy. Niemniej jednak, skoro tylko jedno na, powiedzmy, dwadzieścia małżeństw dociera do srebrnych godów, jaką dostanę gwarancję, że akurat do nas uśmiechnie się szczęście? Żadnej.

Z drugiej strony, może po prostu cierpię na stany lękowe? Co, jeśli oziębłość Majki wynika z tego, że podejrzewa mnie o romans? Że ja? Niby z kim? Gdzie? W pracy?

Owszem, były okazje. Młode dyrektorki, zakrapiane zebrania...

To przez tę cholerną robotę. Im wyżej się wspinam po szczeblach kariery, tym bardziej się oddalamy. Łóżko? Taaa, to taki mebel służący do spania.

Sam sobie jestem winien. Co ja sobie myślałem? Że Maja na mnie poczeka, aż osiągnę już wszystkie szczyty? Miłość tak nie działa. Ile razy pragnę się przytulić, ona nie chce. A kiedy ona potrzebuje bliskości, ja siedzę po uszy w robocie. Nigdy nie mamy ochoty na to samo w tym samym momencie. Ona by obejrzała komedię, ja coś z Seagalem. Ja... Wiem, że nie jest dobrze. Ale możemy stać się znowu świetną parą. Muszę po prostu usiąść i się zastanowić. Coś zmienić. Wezmę dzień wolnego. Albo nie... TYDZIEŃ... Ja cię! Jakies wyjscie do kina albo, o, do teatru! Maja lubi teatr. Jest straszliwą snobką. Najbardziej podobają jej się przedstawienia, gdzie aktorzy wchodzą w interakcję z widzami. Jak podczas spektaklu „Tramwaj zwany pożądaniem” młodych artystów z Bydgoszczy. Byli świetni. Tacy żywiołowi i w ogóle. W samym środku przedstawienia zaczęli rzucać w publiczność kondomami.

* * *

Może wszystko, czego potrzebujemy to miłość? Kwiaty, świece, romantyczna muzyka. Niestety, wraz ze wsadzeniem naszego uczucia do zamrażarki, moja żona zaczęła szukać specjalnej

okazji, żeby iść ze mną do łóżka. Okazji, jak urodziny albo nasza rocznica. Ja jestem... prościej zbudowany. Nawet nie potrzebuję do tego łóżka. Pomyśleć, że kiedyś myślałem, że pod tym względem nic się nie zmieni. Kiedyś było wszędzie, zawsze, wszystko. Ale Maja się zmieniła.

Powinienem z nią porozmawiać. Sęk w tym, że to nie takie proste. Nikt nie zna przepisu na miłość. Nikt nie wie, co będzie za rok, dwa. A potem przychodzi proza życia. Liryka się kończy, odchodzi do lamusa i jest ogólnie OVER.

* * *

A jeżeli ona ma kogoś innego? Tak mnie teraz naszło. Wspólne życie ją zmęczyło i musiała odreagować? Kto wie?

Nie, nie ona. Jest zbyt spokojna, zbyt trzeźwo myśląca. Nie lubi komplikować sobie życia. Maja wie, że jest dla mnie wszystkim. Nawet teraz.

Czas na zmiany. Zrobię to dla niej. Zrobię! Kocham ją, jaki ze mnie głupek!

A to co? Dzwoni telefon? Może to ona?

- Dzień dobry, komisarz Wodziński. Pan Adam Wolny?

Przyjazny głos, łagodnie modulowany, prawie senny.

- Przy telefonie.

- Chodzi o pana żonę, Maję Wolną.

Przechodzą mnie wzdłuż kręgosłupa ciarki.

- Co z nią?!

- Nic. To znaczy... - Ton mężczyzny staje się przepraszający, skrzepowany. - Nic jej... nie jest. Wie pan co? Lepiej niech pan po prostu przyjedzie. Wyjaśnimy na miejscu, w czym rzecz.

Stary, co ty robisz? Świetna, cudowna dziewczyna. Prawdziwa kobieta. Wszystko robi z wdziękiem. I do tego na imię jej Maja. Dziewczyna, na której widok każdy facet mięknie. Trudno mi to opisać. Dla takich kobiet się żyje. Dla nich się kradnie i popełnia inne zbrodnie.

Czy się zakochałem? A co, jeśli tak? Myślałem, że siebie znam, że mam wszystko pod kontrolą. A potem zaczęliśmy rozmawiać. Nie mogliśmy się sobie oprzeć. Boże, jak ona chłonęła moje słowa. A ja chłonałem ją. Gdy na ciebie spojrzała, to czuleś, że świat zwalnia. Nie, on naprawdę zwalniał.

Tylko że... Ona jest mężatką. Facet powinien ją nosić na rękach. Ja bym nosił. Co z nim nie tak? Nigdzie go nie widać. Ciągłe pracuje, zaniedbuje Maję. Ja cię, skąd się tacy biorą? Maja zostaje sama, choć tak bardzo potrzebuje czułości. Więc przyszła z tą potrzebą do mnie. Nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, co do mnie czuje, ale ja wiem. Wystarczy, że zbliżę się do niej, dotknę, a ona się roztapia, przylega do mnie jak jakieś mokre, morskie stworzenie, jak syrena albo, o, mała foczka.

Foczki są fajne!

No dobra, dość. Pierdołę jak potłuczony. No, ale nic dziwnego. Piękna kobieta, cudowna. Kurwa, innej przecież bym nie rwał.

Takie są najłatwiejsze. Piękne. Gorące pod spodem, choć zdają się zdystansowane. Ale to pozory. Sen zimowy, w który zapadły przez swoich tak zwanych mężczyzn. Mąż Mai to stary pierdziel, który jej nie docenia. Pracoholik, korporacyjny szczur zapatrzony w karierę.

Ale tak właśnie wyglądają te wszystkie związki. Dziewczyny są proste. Chcą prostych rzeczy i tylko sprawiają wrażenie, jakby chciały czegoś wysublimowanego. No i co, że mężatka? A moja mama przebywa w szpitalu. Każdy boryka się z jakąś sytuacją rodzinną. Czy to powód, żeby mnie przekreślać?

Odkąd pamiętam, miałem chody u zajętych dziewczyn. Co rusz zdarzały się takie sytuacje. Jakiś mój kolega i jego laska. Przypadkowa rozmowa i bach. Pocałunek. Albo coś więcej. Słowem: zdrada. Dobrze mi się z nimi gadało, im dobrze rozmawiało się ze mną. Tak bywa, kiedy dziewczyna dostrzega, że facet naprawdę słucha.

Szybko też zrozumiałem, czego właściwie chcę od kobiet i co mi się w nich podoba. Jak byłem mały, zauważałem, kiedy mama ubrała się jakoś tak lepiej. Specjalnie dla taty. „Mamusiu, jak ty ładnie wyglądasz! A jakie ty masz wielgaśne oczy!”, mówiłem, a ona się śmiała. Jeżeli ktoś mi zarzuci, że ze mnie męska szowinistyczna świnia, to powiem „Okej”. Może i tak. Ale to ja przez ostatnie dziesięć lat opiekuję się schorowaną matką, bo moja sis postanowiła pojeździć po świecie, a ojciec spierdolił po pierwszym wylewie małżonki, znalazł sobie dziesięć lat młodszą i dużo głupszą sikszę, dobrą na raz, i przesyła nam kartki z Australii w święta. Wszystkiego najlepszego, tato. Cześć, Monika. A może wolisz inaczej? Salam? Ahoy? Zdravo? Honneur? Ola? Hai? Salute? Ohayo? Xin chao? How do you do? Do you hau hau?

Podsumowując: niech żyje rodzina. Podstawowa, jebana, komórka społeczna.

* * *

Co mi się tak podobało w kobietach? Zawsze ta sama rzecz. Nie ukrywajmy, nie różnię się zanadto od reszty facetów. Może za wyjątkiem tego, że myśli wyrażam klarownie i szczerze. Nie udaję kogoś, kim nie jestem.

Maja potrzebuje rozmowy, zrozumienia, a ja jej to daję. Taka z niej delikatna osoba. W niezwykły sposób opisuje codzienność. Wymienia, co robi, żeby ten osioł, jej mąż, czuł się dobrze. Oczywiście, jest zbyt ułożona, żeby go przy mnie obrażać, ale ja wiem, co ją gnębi. Ma do palanta żal, ale słowa

o tym nie piśnie. Boże, nadal go kocha. A on nic. Nie zasługuje na nią. Maja przygotowuje mu codziennie kanapki do pracy. Ale nie takie zwykłe. Nazywa je „kanapkami z miłością”. Wkłada w nie wszystko, co znajdzie w lodówce, ale przede wszystkim dodaje uczucie i troskę o to, żeby ten pacan nie chodził do roboty głodny.

Prawie mi jej żal. Prawdziwy facet, taki jak ja, doceniłby ją.

Oddałby miłość. Sprawiłby, żeby to ona nie doznawała głodu. Głodu miłości i ciała. Tak, jestem przekonany, że w tej dziewczynie kryje się mała diabliska. Nikt jednak nie pokazał jej, jak ją wyzwolić. Nie obudził w niej tego, co dostrzegam w jej oczach.

Muszę ją wyrwać i mieć dla siebie. Tydzień, dwa. Dłużej nie wytrzymam, muszę ją zaliczyć.

Nic nie poradzę na to, że wiem, czego chcę i nie boję się po to sięgać. Nie ukrywajmy, większość facetów myśli tylko o jednym. Większość kobiet może o tym nie wiedzieć, ale to podejrzewa. Gdyby nie mnie, znalazłaby innego. Gorszego. Czy nie pełnię akceptowalnej społecznie roli? Przecież pomagam ich związkowi. Psychoterapeuta. Noooo, spoko. Psycholog, zajeście. Szkoda, że nie po szkole.

Jeśli nawet dojdzie do czegoś między nami, nie potrwa to wiecznie. Ona wróci do tego łajzy na klęczkach. I będą żyli długo i szczęśliwie. No, chyba że facet sam się połapie i zrobi zadymę. Tak czy siak, ludzie akceptują to zakłamanie.

Wszyscy bez wyjątku. Im tak naprawdę też chodzi o jedno. Pod tym względem nie różnimy się od zwierzaków. Dobra, trochę uogólniam. Są i tacy, którzy w tym kłamstwie żyją i go bronią. Właśnie dlatego facet, który zostawi kobietę, to ostatnia świnia, ale kobieta, która odchodzi, jest twarda i niezależna.

Kobiety chcą czuć się doceniane. Ile są w stanie zrobić, żeby dopiąć swego? By zostały zauważone, nawet przez obcego faceta? Mężczyzna nie musi grzeszyć urodą, chociaż to nie

zaszkodzi... Musi umieć słuchać. I tyle. Zwykle nadawanie na tych samych falach. Kurwa, znowu gadam jak psycholog.

Czy nie mogłaby po prostu dogadać się ze swoim facetem? W tym sęk. Każdym kierują jakieś motywy. Weźmy Maję... Czego tak naprawdę jej brakuje? Ładna, zgrabna, młoda, inteligentna, trochę zwichrowana. Taka już jej natura... lekko neurotyczna. I w dodatku dręczy ją poczucie winy, choć nic złego w zasadzie nie zrobiła. Uważa, że ma świetnego faceta, choć która tak nie mówi? Kto by się chwalił nieudacznikiem? Jeśli on jest taki super, to czemu czuje się z nim nieszczęśliwa?

Nie no, skoro mówi życzliwie o tym pajacu, pewnie coś jest na rzeczy. Zauważyłem, że szczerza z niej dziewczyna. Odnoszę wrażenie, że jej go przypominam. Taka jego wersja 2.0.

Przykra sprawa. Ona jest niezdecydowana. Neurotyczna mimoza. Mogłaby się w końcu przemóc. To by nam wiele ułatwiło.

Za bardzo się przejmuję. Ktoś kiedyś powiedział, że w miłości najważniejsza jest uczciwość. Ja jeszcze dodam: Naucz się dobrze ją udawać, całą tę szczerłość, a zdobędziesz każdą. To moje motto. Zawsze i wszędzie.

Czy ją oszukuję? Nie. Daję jej to, czego rozpaczliwie potrzebuje i sam też dostaję, czego chcę. Nie ma w tym śladu mizantropii czy nieszczerości. Ot, transakcja wiązana. Nie. W ogóle, ale to w ogóle, nie uważam siebie za hipokrytę.

Właśnie do tego zmierzam. Cholera, jak się nad tym zastanowić, to pełnię rolę nawet nie terapeuty. Jestem dla niej jak pieprzony ksiądz. Taaaaak, dokładnie. Maja przychodzi do mnie spowiadać się ze swojego życia, opowiada o pracy i mężu, jakby to było coś ciekawego. Gdy poznasz kilka takich lasek, ich historie są do siebie tak podobne, jakby prozie życia zabrakło dobrego scenarzysty. Psychoterapeuta łamane przez ksiądz. Jestem zajebisty.

Może to kwestia tego, że przyciągam określony typ dziewczyn. Co poradzę? Ja im zwyczajnie, TAKI JAKIM JESTEM, odpowiadam.

* * *

Mam zasady, których nie łamię. Nigdy nie spotykam się z więcej niż jedną naraz. To kwestia statystyki i doświadczenia. Ścigał mnie raz facet po rynku starego miasta, z dwuręcznym mieczem w garści. Wtedy zdałem sobie sprawę z tego, że należy zadawać się tylko z mądrymi kobietami, których przyjaciółki nie udają przyjaciółek męża.

Skoro ja nie wchodzę w czyjeś życie, to nie muszę nikomu tłumaczyć się ze swojego. Jestem tylko odskocznią. A gdy przestaje nią być... to do widzenia. Nie planowałem tutaj zapuszczać korzeni, proszę pani.

Nie można tego samego powiedzieć o kobietach. Niestety, wiele z nich nie dorosło do związku, który proponuję. Najpierw są rozanielone. Z czasem prawie każda rozważa odejście od męża. Ja zaś nie planuję być niczym chłopakiem ani, broń Boże, mężusiem.

Na szczęście ratuje mnie mój system. Opowiem o nim. Najpierw musisz się z taką zaprzyjaźnić, dogadać. Odnaleźć wspólny język, coś, co was łączy. Należy wiedzieć, co ją kręci, przez co płacze, co lubi, takie rzeczy. Kolejna faza zaczyna się wtedy, gdy z jakiegoś powodu jest jej źle. Obczaj, kiedy ostatnio zrobiło jej się smutno i dlaczego. Nie myśl, że kobietka od razu wskoczy ci do łóżka, bo jej facet nie poklepał jej po tyłku wtedy, kiedy chciała.

Jak już udowodnisz, że jesteś godny zaufania i ona zrozumie, że może na ciebie liczyć, czas na fazę trzecią. Zmasowany atak, droga wprost do jej majtek.

Ale, jak mówiłem, nie powinieneś się śpieszyć, bo nie o to tu chodzi. Wcale nie musisz kończyć z każdą w ten sam sposób.

Naprawdę. To, co na przykład mi się najbardziej w kobietach podoba, to ich towarzystwo. Zawsze. Wiesz, jest takie przysłowie, że kobieta łagodzi obyczaje. To prawda. One naprawdę łagodzą moje obyczaje. Staję się przy nich tak miły, że na ich miejscu sam bym się w sobie zakochał.

No i właśnie o to chodzi. Żeby spędzać ze sobą miło czas. I żeby obyło się bez skutków ubocznych, takich jak małżeństwo albo, nie daj Boże, dzieci.

O, cholera, dzwoni ktoś do drzwi. Która teraz potrzebuje chętnego słuchacza?

* * *

Jak osłupiały wchodzę do przedpokoju. Pełno tu ludzi, ktoś świeci mi po oczach latarką, ktoś inny przepuszcza przez kawałek żółtej taśmy, przyklejonej do przeciwległych ścian korytarza. Kątem oka widzę wykafelkowane pomieszczenie obryzgane krwią. Maja siedzi tam, w kuchni, na taborecie. Są z nią dwie policjantki. Zaczepia mnie jakiś facet w dresach. Ma spoconą głowę, jakby właśnie oderwali go od ćwiczeń fizycznych. Jego słowa dolatują do mnie rykoszetem. Czuję się, jakbym znajdował się w tunelu metra. Dopiero po chwili rozumiem, że powtarza swoje nazwisko i stanowisko służbowe. Chyba już gdzieś je słyszałem. Macha mi przed oczami odznaką. On i jeszcze jeden, w poplamionej fast foodem koszuli z krawatem i spodniach w kant, wyprowadzają mnie na korytarz. Mijają mnie wyjeżdżające na kółkach nosze, prowadzone przez ubranych w kombinezony paramedyków. Przenikliwie piszczy gumowa osłona kółek. Na noszach spoczywa gruby plastikowy worek.

W uszach mi szumi. Dosięgam wzrokiem zakrwawionych paznokci i drżących dłoni Mai, jej zagubione, nieobecne spojrzenie. Analizuję obrazy, poddaję je obróbce, montuję w mózgu w spójny, choć nieźle popierdolony film. Krew miała też

na twarzy, kapąła jej nawet z ust. Stojącą nad nią kobietę wyróżniały masywne plecy i kark wielki niczym kawał zdrowej szynki. Spódnica za kolano opinała gigantyczny tyłek. Cień babochłopa spowijał roztrzęsioną dziewczynę wraz z większością pomieszczenia.

- Co tu się, kurwa, dzieje?! - Wyrrywam się. Drugi gliniarz, krawaciarz, odpycha mnie, nie zmieniając wyrazu twarzy. Ma nijaką gębę, opuszczone w dół kąciki ust i żuje gumę. Powinien ogolić łeb na łyso. Po co mu te rzadkie, sterczące kłaczki?

- Pan Adam Wolny?

- To ja. Co tu...

- Niech pan się tylko uspokoi.

- Co się, kurwa, uspokoi?! Ja wam się uspokoję! Co tu się wyrabia, do cholery?!

- Co się wyrabia, panie komisarzu - poprawia mnie łysiejący.

- Niech pan usiądzie - zachęca drugi, ten w dresie. Ma miły, kojący głos, który pamiętam z rozmowy telefonicznej. Mógłby być jebanym psychoterapeutą.

- Co się stało mojej żonie?!

- To jego żona? - pyta krawaciarz, na co jego kolega kiwa tylko zdawkowo głową, z wyrazem zmieszania na twarzy.

- To ona się stała, tamtemu facetowi - odpowiada.

- Kaźmierczak! - upomina komisarza dres.

- No co? - Kaźmierczak wzrusza ramionami. - Umówili się tu na schadzkę. Może on usiłował ją zgwałcić, więc go zaatakowała. Przegryzła facetowi krtań. Jak tu wparowali sąsiedzi, zaalarmowani hałasem, żuła kawałek jego policzka. Metodycznie jak ja niedawno hot doga. Gdy to usłyszałem, przetrawiona parówka niemal stanęła mi w gardle. Trzymasz pan swoją żonę na głodzie, czy co?

- Kaźmierczak, kurwa, trochę wycucia!

- Zdarzało się to jej już wcześniej? - pyta mnie przyjazny głos.

Obaj spoglądają na mnie. Mają zmęczone twarze o poźółkłej cerze. A może to tylko kwestia słabego, padającego z innego pomieszczenia światła.

- Sorry, chłopie - Wodziński klepie mnie po ramieniu, a mnie jakoś tak absurdalnie przypomina się poklepywanie Pawła. - Ale nic nie wskazuje na to, że przyszła tu wbrew własnej woli. Według naszych ustaleń pozbawiła tego gościa przytomności. A właściwie, zadając ciosy czajnikiem, prawie zatłukła biedaka na śmierć. A potem... usiłowała tego gościa... Jak by to powiedzieć? Zjeść. Zaczęła od twarzy. Wtedy się chyba przebudził i zaczął z nią walczyć. Wywiązała się szamotanina i zlecieli się sąsiedzi. Na koniec przegryzła denatowi gardło. Części tkanki nie udało się odnaleźć. Będziemy musieli zrobić pana żonie... no, wie pan... płukanie żołądka.

- G-gardło? - powtarzam bezwiednie.

- Usiądź lepiej w pokoju, gościu. Zapal czy coś. Czeka cię długa i męcząca noc.

W tle słyszę odległe, ciche tony znajomej piosenki.

*The lady in red is dancing with me,
Cheek to cheek,
There's nobody here,
It's just you and me,
It's where I want to be,
But I hardly know this beauty by my side,
I'll never forget the way you look tonight.*

Aleksandra Woźniak

Raz, dwa, trzy, Baron Samedi patrzy

Obudziło ją pianie koguta. Już niemal się przyzwyczaiła, że to ten dźwięk, a nie melodyjka budzika z komórki, wrywa ją codziennie ze snu. Otworzyła oczy, ale dalej leżała nieruchomo. Nad nią rozciągał się chropowaty beton sufitu, upstrzony odchodzącymi płatami odparzonej gładzi. Wyblakła tak, że prawie nie było różnicy pomiędzy pierwotnym kolorem ścian a tym, który nadano im, by uczynić pokój przytulniejszym. Co przyniesie kolejny dzień w Bois Cheri? W żołądku znów czuła dwutonowy głąz, który powstrzymywał ją przed wstaniem i mówił: „Nic dobrego”. Powoli zsunęła się z łóżka i sięgnęła po ubrania. W drzwiach domu uderzyła ją fala ciężkiego i wilgotnego powietrza. Chyba w nocy znów padało. Nadchodziła pora deszczowa.

Matka gotowała coś nad paleniskiem przed chatą. Jej obfite ciało, owinięte w czerwono-żółtą sukienkę, zdawało się wypełniać każdy zakamarek białego, plastikowego krzesła, jakby siedziała tam tak długo, że przyjęła kształt siedziska. Krótkimi, zdecydowanymi ruchami skrobała bulwy pochrzyna.

- Cześć, mamó - rzuciła Roseline. Kobieta odwróciła się do niej z uśmiechem dalekim od radosnego. - Jak tam Tipiè?

Matka spochmurniała.

- Tak sobie, Roseline.- Westchnęła. - Pogorszyło mu się. Wysoka gorączka, bełkocze przez sen. Odette mówi, że dziś nie spali całą noc, tak krzyczał. Ale nie rozumieli, o co chodzi, czy

coś go boli, czy czegoś mu potrzeba... Brak z nim kontaktu. – Matka westchnęła i poprawiła pomarańczową chustkę na głowie.

– Zajrę do niego – rzuciła Roseline.

Rozejrzała się. W ten szary, pochmurny dzień wieś wyglądała na ponurą i opuszczoną. Na zewnątrz – ani żywej duszy. Szare, betonowe kłocę domów, rdzewiejąca blacha falista i łuszczące się ze ścian resztki spłowiałej farby sprawiały dziś przygnębiające wrażenie. Ciszę przerywało jedynie przytłumione gdakanie kur, a całe Bois Cheri wydawało się otulone grubą kołdrą wygłuszającą dźwięk. *Jak w niemym filmie*, pomyślała Roseline. *Gdzieś tam Ricardo znowu bije żonę, ale z jej ust nie wydobywa się głos, to powietrze tłumi wszelkie dźwięki...*

Ruszyła w stronę domu ciotki, ale głos matki zatrzymał ją w pół kroku.

– Nie.

– Mamo, powinnaś porozmawiać z hounganem... – zaczęła Roseline.

– A po co? – odparła matka. – To nie żadne *loa*, może zjadł coś trującego albo...

– W takim razie powinniśmy pojechać do miasta po pomoc. – Roseline splotła ręce na piersi.

– Ty się nigdzie stąd nie ruszasz. – Kobieta wróciła do obierania. Jej ruchy stały się gwałtowniejsze, agresywne, jak gdyby usiłowała obedrzeć biedne bulwy żywcem ze skóry. – Pamiętaj, że jeszcze nie wróciłaś do zdrowia. Jak ci się nudzi, idź na pole pozbierać kukurydzy, będzie na kolację. I kilka fig się przyda, ale nie odchodź za daleko. Chcę cię mieć na oku.

Roseline wolno ruszyła w stronę pola. Wszędzie dookoła tylko drzewa, krzaki, betonowe chatki, pył, kurz i błoto. Życie w Bois Cheri w niczym nie przypominało codzienności w mieście. Przyzwyczała się do wyasfaltowanych ulic, kolorowych

budynków o drewnianych okiennicach, fantazyjnie zdobionych galerii i balkonów na piętrach. I do ruchu. Klaksonów samochodów, dzwonków rowerów, pokrzykiwań ludzi. Tutaj, we wsi ukrytej wśród wzgórz w głębi lądu, cisza wydawała się gęsta jak niewidzialna wata, leżąca na wszystkim grubą warstwą.

Roseline z furią obrywała figi.

Postawa matki zaskakiwała ją. Do tej pory, kiedy ktokolwiek w wiosce podupał na zdrowiu lub dziwnie się zachowywał, Carole zawsze jako pierwsza zalecała poradzić się hounšana. Jej wiara w moc wudu była tak silna, że gdyby któregoś dnia Jeana Roberta zabrakło, pewnie zajęłaby jego miejsce w roli kapłanki. Zresztą, gdy Roseline wspominała o tym, że powinna iść do lekarza, matka mówiła, że najlepiej zrobi jej kuracja ziołami i medycyna wudu. Dlaczego więc nie kwapiła się, by skonsultować z hounsanem w sprawie syna?

Roseline straciła w Bois Cheri rachubę czasu. Jej telefon został zgnieciony na miazgę razem z karoserią samochodu starego forda jej przyjaciela, Etienne'a. Stara komórka matki nie łączyła się z Internetem, a inni, zapytani, czy pozwolą jej skorzystać z ich telefonów, wykręcali się kiepskimi wymówkami. Nie dopytywała, dlaczego.

Etienne ponoć ciągle leżał w szpitalu w Cap-Haïtien. Ją, po wybudzeniu ze śpiączki, w której przeleżała parę dni, przetransportowano do rodzinnego Bois Cheri, gdzie dochodziła do siebie pod opieką rodziny. Nie pamiętała tej podróży, ale nic dziwnego; dostała leki nasenne. Teraz czuła się dobrze, nic jej nie bolało, kości się zrosły, rany zasklepiły, siniaki i zadrapania zniknęły. Planowała wrócić do miasta, ale matka upierała się, że nie wydobrzała na tyle, by poradzić sobie sama.

Roseline westchnęła. W oddali śpiewał ptak. Wreszcie jakiś przejaw życia. Podniosła z ziemi kosz i podążyła w stronę wioski. Po drodze do ciotki bez słowa postawiła go na progu chaty i nie odzywając się do matki, ruszyła dalej.

- Jak chcesz, to pomóż mi z płukaniem ryżu - powiedziała ciotka Odette, gdy już się przywitały. Roseline usiadła na taborecie i zabrała się do pracy.

Przez nieszczelne deski drewnianej chaty, która służyła ciotce za kuchnię, prześwitywało światło słońca. Odette siedziała na taborecie koło paleniska i co chwilę trącała wypalające się gałęzie pogrzebaczem. Może wyciśnie z nich jeszcze trochę. Jeszcze chociaż mały płomyczek. Roseline zaś przysiadła na macie rozłożonej na klepisku. Ciotka, podobnie jak jej siostra, ubierała się w długie, wzorzyste sukienki w jaskrawych odcieniach żółci i oranżu, kontrastujące z jej ciemną skórą, a długie warkoczyki upinała w kok i obwiązywała chustą.

- Ciociu, dlaczego mama upiera się, żeby nie prosić hougana o pomoc? - spytała w końcu dziewczyna, nie odrywając wzroku od przesypywanych ziaren. Wyglądały tak hipnotyzująco, że na moment prawie zapomniała o zmartwieniach. Prawie.

Odette westchnęła i pokręciła głową.

- To sprawa między Carole a Jeanem Robertem. Jeśli uważa, że twój brat tego nie potrzebuje, to musisz jej zaufać. Przecież wiesz, że jest niemal tak samo biegła jak hougan.

Roseline zacisnęła usta z irytacją. No tak, szczerza rozmowa odpadała.

- A czemu nie pozwala mi wrócić do miasta? - Zaatakowała z innej flanki.

- Jesteś po ciężkim wypadku, Roseline - skarciła ją Odette. - Nie dziw się, że Carole chce mieć cię na oku.

- Ale minęło kilka tygodni. Czuję się dobrze, nic mnie nie boli. Wolałabym wrócić na studia i do pracy. Narobię sobie zaległości.

- Tutaj w razie czego zwrócisz się do Jeana Roberta...

- Czyli ja tu tkwię, żeby w razie czego poradzić się hougana, bo nagle, zupełnie bez powodu, może mi się pogorszyć. Z kolei Tipiè leży tam od wielu dni nieprzytomny, ale z tym już nie warto iść do hougana?

Z Roseline zaczęła się wylewać długo ukrywana wściekłość. Wściekłość nie tylko na matkę, ciotkę, ale na pozostałych mieszkańców wioski, którzy od czasu jej powrotu zachowywali się tak, jakby zamiast paru blizn po operacji nosiła plamy trądu. Albo jakby córka marnotrawna powróciła na łono rodziny po hulaszczych latach w mieście. A przecież jej pobyt w mieście nie należał bynajmniej do hulaszczych. Studia, dorywcze kelnerowanie, żeby pozwolić sobie na wynajem klitki w Cap-Haïtien na pół z koleżanką. Westchnęła. To prawda, że od kiedy się wyprowadziła, praktycznie nie przyjeżdżała do domu. Ale jak tu pogodzić naukę, pracę, układać sobie życie w mieście i do tego odwiedzać wioskę? Skoro gdy późnym wieczorem lub w nocy wracała do współdzielonego z Kaniyą pokoju, pragnęła wyłącznie spać? Głos ciotki wyrwał ją nagle z rozmyślań.

- Uspokój się - nakazała chłodno Odette. Zdawałoby się, że karci niesfornego trzylatka. - Twoja matka na pewno naradzała się z Jeanem Robertem i ustalili, jak postąpić.

- Ciekawe jak, skoro ze sobą nie rozmawiają - mruknęła Roseline. Odette wzruszyła ramionami i jęła zawzięcie grzebać w węglach.

- W takim razie... - Dziewczyna ze złością przerzucała ryż w pełnej wody misce. - Sama do niego pójde i go zapytam. Ale najpierw zobacze, co z Tipiè.

Wyszła z drewnianej wiaty i skierowała się do przylegającego do niej domu. Przystanąła, aby rzucić okiem na

wieś, która, mimo że był środek dnia, wydawała się wymarła. Nawet grzebiące w ziemi kury gdakały ciszej niż zwykle. Czy jej wspomnienia z dzieciństwa z czasem się zatarły? Pamiętała wioskę jako tętniące życiem miejsce, pełne pisków i krzyków dzieci, nawoływań kobiet, a przede wszystkim ciągłego ruchu. Mężczyźni chodzili w pole, kobiety gotowały, sprzątały obejście, rozwieszały pranie. Od kiedy wróciła, odnosiła wrażenie, że świat stanął na głowie. Brakowało dzieci, powyjeżdżały do miasta do szkół z internatem, starsze do pracy, a nowe się nie rodziły, w końcu mało kto z młodych osiedlał się i zakładał rodzinę. Mało kto wychodził z domu. Sąsiedzi nie rozmawiali ze sobą. Albo, co równie prawdopodobne, nie rozmawiali z nią.

Ostrożnie wślizgnęła się do domu Odette. Wewnątrz natrafiła na klepisko, jak w większości tutejszych domów, ale za to pobielone ściany wyglądały lepiej niż u Roseline. Odkąd znowu zamieszkała w rodzinnym domu, matka poprosiła młodszego syna o przeniesienie się na jakiś czas do ciotki, żeby ona mogła skupić się na opiece nad córką. Tipiè nie protestował, zresztą jak każdy czternastolatek, któremu proponuje się choć czasowe wyrwanie spod matczynej kurateli. Problem w tym, że wkrótce zaczął podupadać na zdrowiu. Wymiotował, spał całymi dniami, majaczył. Teraz dostał wysokiej gorączki, a Carole upierała się, że wkrótce mu przejdzie i nie ma co mieszać do tego houngana.

Chłopak leżał na boku, oddychając ciężko. Roseline przykucnęła przy łóżku. Nie chciała go budzić, planowała tylko obserwować przez chwilę, czy jego stan się nie pogorszył. Patrzyła na twarz brata i słuchała niespokojnego, świszczącego oddechu. Nagle powieki chłopaka rozchyliły się i spojrzał wprost na nią. Jego oczy jawiły się jako martwe, nieruchome, a tęczówki wyblakłe, prawie białe. Wargi powoli się rozchyliły i wydobył się z nich charkot. Roseline poczuła, że na czoło występuje jej zimny pot.

- Mamo.

Carole powoli podniosła głowę znad talerza. Jej wyraz twarzy wskazywał, że jest pewna, iż Roseline znowu poruszy temat, który rano zepsuł jej humor.

- Mamo, byłam sprawdzić, co u Tipiè - podjęła Roseline. Ale widząc wyraz twarzy matki, szykującej się do ofensywy, szybko przypuściła kolejny atak, chociaż zacięła się co parę słów. - Te jego oczy... To nie jest zwykła choroba. On jest opętany. To *loa*, jestem pewna.

- Nie wiem, czy twoja znajomość *loa* jest wystarczająca, żeby to zdiagnozować, Roseline - powiedziała cierpko Carole. - Ale dobrze. Przyjrzy się temu. Pójdę dziś wieczorem zobaczyć, jak się miewa.

- Już, powinnaś iść już i...

- Roseline - przerwała Carole głosem ostrzejszym niż nóż wbijający się w bulwę pochryznu. - Rozumiem, że martwisz się zdrowiem brata, ale zadbaj też o swoje. Jedz, musisz nabrać siły.

- No dobrze. - Dziewczyna westchnęła z rezygnacją. Odrzuciła dłonią warkoczyki za ramię i sięgnęła znów po łyżkę, po czym zawahała się i wyciągnęła rękę po stojącą na blacie solniczkę. Próbowała posolić zupę, jednak naczynie okazało się puste. Rzuciła matce pytające spojrzenie. Carole wzruszyła ramionami.

- Skończyła się, zapomniałam kupić.

- Może pójdę pożyczyć od Odette? - spytała Roseline, podrywając się z krzesła, ale matka powstrzymała ją gestem.

- Nie, sama później pójdę. Zjedz tak, bez soli nawet zdrowsze.

Roseline jeszcze przez chwilę bezwiednie bawiła się pustą solniczką. Nagle zdała sobie sprawę, że na dziurkowanym

wieczku nie uchowało się ani ziarnko soli. Odkręciła je. W środku podobnie. Ktoś dokładnie ją umył.

Tym razem snu Roseline nie przerwało pianie koguta. Przerazony krzyk matki rozerwał nocną ciszę. Otworzyła oczy. Wokół panował mrok. Zerwała się na równe nogi i pobiegła do drugiej izby. Na łóżku Carole szarpały się dwie postacie. Roseline przyjrzała się tej drobniejszej, szczupłej i zdecydowanie męskiej. To był Tipiè. Nie miała wątpliwości. W świetle księżycy dostrzegła błysk w ręce chłopaka. Nóż.

- Pomocy! Pomocy! - zaczęła krzyczeć Roseline, jednocześnie rzucając się na walczące postacie, chcąc je rozdzielić. Szamotali się we trójkę. Brat wrywał się gwałtownie z jej uścisku. Carole bezskutecznie próbowała wyslizgnąć się spod ich ciał. Roseline poczuła, że powoli traci siły. Nagle do domu wbiegło kilku mieszkańców wioski. Zapewne obudziły ich krzyki. Mężczyźni próbowali obezwładnić wrywającego się chłopaka. Kobiety stały w drzwiach, przyglądając się ze strachem. Chłopak wrywał się z nieludzką siłą, niczym nie przypominając złożonego gorączką od paru dni, słabego nastolatka.

- Baron odbierze to, co należy do niego. - Z gardła chłopaka wydobył się na poły charczący, na poły świszczący głos. - Widzi was. *Yonjoupouchasè, yonjoupoujibye.*

Raz jesteś łowcą, raz zwierzyną.

- Zawołajcie houngana! - krzyknęła Roseline, odwracając się w stronę pozostałych, którzy stali w drzwiach. Nikt nie ruszył się na krok ani nie wykonał najmniejszego ruchu. Prawie czarne w mroku nocy ludzkie postacie wydawały się tylko woskowymi figurami.

- Nie - powiedziała chłodno Carole za jej plecami. Roseline wiedziała, że matka zwraca się bardziej do niej, niż do

sąsiadów, ci bowiem przypatrywali się scenie sparaliżowani strachem. - Zwiążcie go i połóżcie w komórcę za domem. Przyniosę mu koce, żeby nie zmarł w nocy.

- Mamo, to już nie są żarty! - Roseline uderzyła dłonią w stół, aż kubki podskoczyły. Jadły śniadanie, jak gdyby nic się nie zdarzyło. Jakby za ścianą wcale nie leżał skrępowany Tipiè, który niedawno próbował zabić śpiącą matkę. - Nadal się upierasz, że to zatrucie? Trująca roślina spowodowała, że rzucił się na ciebie z nożem? I te oczy... Boże, mamo! Przecież to z pewnością *loa*. Wspomniał zresztą o Baronie...

- Przesłyszałaś się. - Carole wzruszyła ramionami. - Zresztą, nawet jeśli, uważasz, że należy słuchać, co bredzi nastolatek w malignie?

Roseline uderzyła dłonią w stół.

- Jak śmiesz tak o nim mówić? Nie bredzi! Jest opętany, a my musimy mu pomóc!

- Roseline, czy ja cię wysłałam do miasta na studia po to, żebyś powtarzała stare przesady? Myślisz, że za te pieniądze nie żyłabym trochę lepiej? Nie zapewniłabym lepszej przyszłości dla Tipiè? Zamiast tego wszystko poszło na twoją edukację w Cap-Haïtien. Nigdy nie paliłaś się do naukiwudu, chociaż proponowałam ci to wiele razy. Uważałaś je za przestarzałe zabobony, więc...

- Baron Samedito nie przesąd - oświadczyła zimno Roseline. - Nie udawaj, że tak nie jest. Uparł się, żeby zniszczyć Tipiè, a ty nie zamierzasz nic zrobić? Wiesz, co powiedział mi dzisiaj Jean Robert? Tak, poszłam do niego. Zaraz po świcie. Po tym, co się wydarzyło, nie mogłam postąpić inaczej.

- Nie wiem i nie obchodzi mnie to. - Carole wydeła usta.

- Powiedział, że przez nas na wioskę spadają nieszczęścia. I że nie będzie ze mną rozmawiał.

- I co, uwierzyłaś mu?

Roseline wolno pokręciła głową. Usiadła obok matki na ławie i złapała ją za dłoń.

- Proszę, powiedz mi... Czy on zaczął... pracować na dwie ręce? Czy on nas przeklął?

Houngani nie parali się czarną magią. To o bokorach mówiło się, że pracowali na dwie ręce - prawą czyniąc białą, a lewą czarną magię. Bokor potrafił też stworzyć zombie - zsyłał na wybranego człowieka chorobę, a gdy tamten leżał, złożony niemocą, kradł jego duszę. Kiedy ofiara leżała w grobie, zabierał ciało. Ożywiony zombie funkcjonował prawie jak człowiek, jadł, pił. Poza jednym: był pozbawiony własnej woli. Kierował nim bokor, wykorzystywał do pracy w polu lub czegokolwiek, co sobie zaplanował. Czy ktoś miał właśnie taki zamiysł wobec jej brata?

Carole westchnęła i przycisnęła palcami kąciki oczu. Spod nich wypłynęły łzy i stoczyły się po jej policzkach.

Kłątwa, pomyślała Roseline, przewracając się z boku na bok. Jesteśmy przekłete. W końcu usiadła na łóżku. Schowała twarz w dłoniach. Siedziała chwilę, próbując uspokoić oddech, po czym wstała. Założyła T-shirt i dresowe spodnie i stąpając cicho na palcach wyszła na zewnątrz. Gęsta pokrywa chmur nie przepuszczała światła gwiazd i księżyca, więc wieś pogrążyła się w mroku. Czarne bryły domów majaczyły na tle jeszcze ciemniejszego lasu. Było chłodniej, ale nadal duszno. Tak bardzo brakowało jej morskiej bryzy z Cap-Haïtien. Czy wcześniej nie czuła, że tutaj po prostu nie da się oddychać? Roseline postanowiła odwiedzić cmentarz. Może pod krzyżem Barona Samedi znajdzie coś, co naprowadzi ją na właściwy trop? Ruszyła w stronę małej, wioskowej nekropolii.

-Lepiej tam nie idź. - Usłyszała za sobą znajomy głos. Odwróciła się. Parę metrów za nią stał houngan. W ciemności ujrzała zaledwie zarys sylwetki, ale nie wątpiła, że głos należał do niego. Ruszyła w jego stronę, ale postąpił krok w tył. - Nie, Rosaline. Nie podchodź. Po prostu posłuchaj mnie. Dla twojego dobra. Nie idź na cmentarz, zwłaszcza w nocy.

Roseline stanęła w miejscu. Nocne spotkanie, ostrzeżenie i cała sytuacja zbiły ją z tropu na tyle, że nie wiedziała nawet, od czego zacząć.

-Dlaczego? - zapytała.

Jean Robert pokręcił głową.

-Próbujemy cię pilnować, ale nie zawsze będziemy tam, gdzie trzeba. Pamiętaj, żenie tylko my cię widzimy.

Odwrócił się na pięcie i zniknął między drzewami. Roseline odwróciła się i spojrzała w stronę cmentarza. W ciemności majaczyły migotliwe iskry płomieni. To świece, które się nie dopaliły. Ogień dla *loa*.

Chcę cię mieć na oku. Baron na was patrzy. Nie tylko my cię widzimy. W wiosce nie była w stanie nic zrobić. Ciągłe ktoś obserwował każdy jej krok. Matka. Sąsiedzi. Loa.

Kolejnej nocy Roseline znów obudziły hałasy. Zazwyczaj szelesty nie niepokoiły jej, to w końcu po obejściu kręciły się kury, śwynie, cokolwiek... Ale ten odgłos brzmiał inaczej. Nie jak jeden z naturalnych dźwięków nocy. Miarowy, powtarzalny... Najpierw pomyślała o deszczu, ale to nie to. *Woda*, pomyślała. *Ktoś coś wylewa.*

Sięgnęła po latarkę i najciszej jak potrafiła podniosła się z łóżka. Ostrożnie, na palcach, podeszła do wyjścia. Uchyliła drzwi domu i wyszła na podwórze. Przed progiem widniał rysunek wysypany ziarnami prosa, zboże bieleło na tle ciemnej ziemi. Zwieńczony krzyżem grobowiec. *Veve Barona Samedi.*

Roseline wstrzymała oddech. W normalnych okolicznościach nie uznałaby tego za zły znak, ale teraz... Nad rysunkiem stała czarna kura i spokojnie dziobała ziarno. Gdy omiotła ją smuga światła podniosła głowę i spojrzała na dziewczynę świdrującymi, pomarańczowymi ślepiami.

Kura Maman Brigitte, pomyślała Roseline. *Kolejny zły omen.*

Za chatą znów rozległy się szelesty. Zgasiła latarkę i na palcach, małymi kroczkami, przesuwając się wzdłuż ściany. Ostrożnie wyjrzała zza rogu. W ciemności majaczyła sylwetka pochylonej kobiety. W rękach trzymała kanister, którego zawartością oblewała fundamenty budynku. Do nozdrzy Roseline dotarł ostry zapach benzyny. Mimo mroku, od razu rozpoznała przysadzistą, krągłą sylwetkę postaci.

- Tamara! - krzyknęła, zapalając latarkę i celując nią w kobietę. - Co ty wyczyniasz?

Przygarbiona postać zamarła. Powoli zwróciła twarz w jej stronę. Oczy Tamary okazały się puste, a tęczęwki wyblakłe.

- Baron was wzywa - wysyczała przez nienaturalnie ściśnięte gardło. - Ogień wypali winę.

Roseline odruchowo cofnęła się o krok.

- Kim jesteś? - zapytała drżącym głosem. Tak, to już pewne. Przed nią stało ciało Tamary poruszane przez innego ducha.

- Służę Baronowi. Baron nie wybaczy. Patrzy na was. - Tamara cały czas kuliła się w nienaturalnej, zgarbionej pozycji, a jej palce zaciskały się na kanistrze jak szpony. W końcu rzuciła go na ziemię i niezgrabnie zerwała się do biegu. Po chwili zniknęła w ciemności. Roseline ostrożnie wróciła do domu. *Veve* Barona zniknęło, nigdzie nie dostrzegła też śladu czarnej kury. Mimo to nie odważyła się zasnąć. Ktoś z jej rodziny naraził się *Guede*, *loa* śmierci, a one nie zamierzały im tego darować.

Przewracała się z boku na bok, wsłuchując się w odgłosy nocy. Gdy zapiał kogut, westchnęła. Jeszcze jakiś czas leżała

nieruchomo, patrząc w sufit. Czy powinna powiedzieć matce, o tym, co zaszło? Czy też od razu iść do hounšana i żądać wyjaśnień?

Najpierw sprawdzę, co się dzieje z Tamarą, pomyślała i dźwignęła się ciężko z łóżka.

Godzinę później spacerowała po wiosce, rozglądając się uważnie. Tego dnia było inaczej niż zwykle. Większość mieszkańców wyległa na zewnątrz. Wszyscy wydawali się pochłonięci zajęciami, a jeśli ze sobą rozmawiali, to przyciszonym głosem. Niemniej nic nie wskazywało, by ktokolwiek zdawał sobie sprawę, że poprzedniej nocy opętana sąsiadka próbowała spalić im dom. A może udawali? Może z powodu klątwy bali się spojrzeć jej w oczy?

- Dzień dobry, Marie - rzuciła do szczupłej trzydziestolatki w krótkiej sukience na ramiączkach i z głową obwiązaną chustą. - Widziałaś Tamarę?

- Dzień dobry. Tak, gotuje kawę przed chatą - odparła beztrudno tamta, wskazując kierunek dłonią.

Roseline wślizgnęła się w wąską szparę między domami. Chata Tamary znajdowała się bliżej lasu. Kobieta siedziała na ławce pod ścianą domu i mieszała w dużym garnku bulgoczącym na palenisku. Roseline domyślała się, że sąsiadka nic nie pamięta z poprzedniej nocy. Przysiadła obok niej na ławce.

- Dzień dobry, Tamaro.

- Dzień dobry, Roseline. - Głos Tamary brzmiał przyjaźnie, ale zawierał nutkę niepokoju. - Co u ciebie?

- Obawiam się... - zaczęła Roseline niepewnie. Założyła warkoczyk za ucho. - Musimy porozmawiać. Co pamiętasz z dzisiejszej nocy?

Tamara odłożyła łyżkę i wytarła ręce w szmatkę. Westchnęła.

- A więc jednak - mruknęła. - Mąż powiedział, że coś się ze mną działo. Stary ma sen mocny jak kamień, ale obudził się zaraz przed wschodem słońca, mówił, że dopiero wtedy wróciłam do łóżka. W ubraniu, ale poszarpanym, we włosach liście i gałązki, stopy brudne od ziemi... Tego się bałam... Po tym, co się ostatnio dzieje... Że to coś złego. Wiesz, dokąd poszłam? - zapytała, a w jej głosie pobrzmiwała nadzieja, że Roseline zaprzeczy, powie, że Tamara po prostu lunatykowała po wsi.

- To... nieistotne. - Roseline przełknęła ślinę. - To znaczy... pozostanie nieistotne, jeśli powiesz mi, o co chodzi w... tej sytuacji. Myślę, że inni coś przede mną ukrywają. Matka, houngan, cała wieś. Nikogo nie zaskoczyło, kiedy Tipiè próbował...

Tamara patrzyła na nią badawczo. Wyjęła pogniecioną paczkę papierosów, ukrytą w przepastnym dekolcie różowej bluzki, i zapaliła jednego.

- Przysięgałam, że będę milczeć - odezwała się w końcu. - Jedyne, co mogę, to...

Wstała powoli, odgarnęła zasłonę z koralików przed wejścia do domu i zniknęła we wnętrzu. Wkrótce powróciła. Złapała Roseline za nadgarstek, drugą ręką włożyła coś w jej dłoń, zdecydowanym ruchem zaciskając na zawiniątku palce dziewczyny. Nie zadając pytań, Roseline podziękowała i ruszyła w drogę powrotną.

Ostrożnie uchyliła drzwi domu. Zamierzała najpierw sprawdzić, czy matka jest w środku. Owszem. I to nie sama. Drugi głos, choć przyciszony, z pewnością należał do mężczyzny.

- Próbujesz nas obie zabić? - szepnęła ze złością Carole.

- A Tipiè? Na jego życiu ci nie zależy? - Roseline знаła ten głos. Gościem matki był z pewnością Jean Robert.

- Chłopak jest silny. Da radę. Chciałby tego. - Matka westchnęła z udręką. - Wiem, że by chciał.

- Więc wybieraj, on albo wy.

- Obiecałeś mi pomoc - syknęła Carole.

- Nie damy rady tego dłużej ciągnąć - odparł Jean Robert stanowczo. - Dziś w nocy wezwiemy Barona Samedi. Pamiętaj, że on patrzy. *Apré bal, tanboulou*, Carole.

Po tańcu bęben jest ciężki, powtórzyła w myślach Roseline. Czyny niosą za sobą konsekwencje. Tak cicho, jak tylko umiała, wymknęła się z domu.

Desperacko potrzebowała chwili dla siebie. Poza zasięgiem oczu, i to nie wyłącznie ludzkich. Chociaż mieszkańcy wioski jej unikali, przecież zawsze ktoś patrzył. Matka, houngan... Baron Samedi. Czy od początku pobytu w Bois Cheri zrobiła chociaż krok nieobserwowana przez nikogo?

Minęła ostatni dom na skraju wsi i ruszyła w stronę pola bananowców. Przeciskała się między wysadzonymi równo drzewkami. Zwisały z nich zielone kiście małych, twardych owoców. Pomiędzy liśćmi dostrzegła koniec tego labiryntu - biel zachmurzonego nieba, która zapowiadała otwartą przestrzeń. Wreszcie dotarła na stok wzgórza, skąd roztaczał się widok na dolinę. U jej stóp rozpościerało się morze zieleni. Drzew, krzaków, a pomiędzy nimi niekiedy pojedyncze domy. Tak daleko od miasta! Przysiadła na kamieniu. Czyżby właśnie się udało? Znalazła miejsce, gdzie da się spokojnie pomyśleć? Gdzie nikt na nią nie patrzy? Nagle dobiegł ją szelest. Spojrzała za siebie. Spomiędzy rozłożystych liści najbliższego bananowca wyszła czarna kura i zaczęła spokojnie grzebać pazurem w ziemi. Roseline zerwała się na równe nogi i pobiegła w stronę wioski. Skierowała się do domu hougana.

- Mówiłem, żebyś tu nie przychodziła - mruknął Jean Robert.

Jak zgadł, że to ona? Nawet się nie odwrócił. Kuczał przy ołtarzu *loa* i porządkował jego zawartość. Stała na progu tonel, wioskowej świątyni. To tutaj odbywała się część uroczystości. Chociaż słowo „świątynia” brzmiało zbyt górnolotnie - był to zwykły dom z pomalowanymi na czerwono ścianami. Naprzeciw drzwi stał betonowy stół, na którym zgromadzono przedmioty przydatne podczas rytuałów. Na środku, pośród całego wielobarwnego rozgardiaszu, stał oparty o ścianę obrazek z chrześcijańską Matką Boską. Po prawej stronie straszyły dwie głowy lalek w słoikach, obok trzy wazon-y z kwiatami. Pomiedzy wazonami stały butelki różnego rodzaju alkoholi. Obrazu dopełniały figurki świętych, z którymi utożsamiano niektóre *loa*, chustki, kamienie i wiele rzeczy, których Roseline nie dostrzegała w tym chaosie. Houngan odwrócił się. Miał około czterdziestu pięciu lat. W kąci-ku wąskich ust tlił się papieros. Nosił krótki zarost i jak zwykle miał na sobie dres. Nie, żeby jakoś mocno odstawał pod względem stylu od innych mężczyzn w wiosce.

- Może powiesz mi, co to jest? - Rosaline wyciągnęła w jego stronę zawiniątko, które dostała od Tamary. Woreczek wypełniony białym proszkiem.

- Chyba sama najlepiej wiesz, skoro z tym przyszłaś do mnie. - Houngan wzruszył ramionami.

- Wiem. To proszek zombie.

Jean Robert zaklaskał w dłonie, po czym zaciągnął się papierosem. Patrzył na nią z jednoczesną niechęcią i ciekawością. Proszek, który trzymała w ręce, okazał się specjalną miksturą, jakiej bokor używał do ujarz- mienia swojego przysze-łego niewolnika.

- Czy ty... zacząłeś działać na dwie ręce? - spytała nieśmiało dziewczyna.

Houngan podniósł brwi.

- To poważne oskarżenie, Rosaline. Zdajesz sobie z tego sprawę? - Nie przemawiał jednak z urazą ani złością. Raczej z uprzejmym zdziwieniem.

- Słyszałam waszą rozmowę u nas w domu. Kazałeś mamie wybierać między nami a Tipiè. Czy to ty go przekląłeś?

- Nic nie rozumiesz, Roseline - mruknął Houngan, zgniatając niedopałek na klepisku. - To nie ja. To Baron. Przecież słyszałaś słowa brata.

A więc ktoś doniósł hounganowi, jakie słowa padły z ust Tipiè tamtej feralnej nocy.

-Więc skąd się to wzięło? - Dziewczyna potrząsnęła woreczkiem.

- Przyjdź dziś wieczorem na cmentarz - kontynuował Jean Robert, ignorując jej pytanie. - Skoro słyszałaś moją rozmowę z Carole, rozumiesz, że będziemy wzywać Barona. Wszystko się wyjaśni.

Roseline odwróciła się, ale gdy przekraczała próg, zatrzymał ją głos houngana.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo jest mi przykro, Roseline.

Bębny i śpiewy było słychać na skraju cmentarza. Z daleka majaczył oświetlony płomieniami ogniska krzyż Barona Samedi. Jak na każdym haitańskim cmentarzu, w pobliżu którego zamieszkiwali wyznawcy wudu, położony w centrum nekropolii, na skrzyżowaniu głównych alej krzyż poświęcono przywódcy Guédé. Tam odbywały się modły ku czci Barona, a houngan przyjmował w sobie jego ducha, służąc mu za naczynie.

Roseline ruszyła przed siebie. W tłumie wokół krzyża zgromadzili się mieszkańcy wioski, chociaż nigdzie nie mogła znaleźć matki. Kilka kobiet tańczyło, a houngan podlewał rumem buchające płomienie. Nosił czarne okulary, wyraźnie

wpędzął się w trans. Możliwe, że Baron już wstąpił w jego ciało.

Gdy dziewczyna, manewrując uważnie między tańczącymi, przesuwiała się w stronę krzyża, Houngan nagle zamarł i odwrócił się w jej stronę. Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, a biel zębów kontrastowała z czernią skóry i mrokiem nocy. Z krzyża niezdarnie sfrunęła czarna kura i wylądowała mu na ramieniu. Przyglądała się Roseline niepokojąco, a w jej pomarańczowych ślepiach odbijał się ogień. Skoro Baron nie przybył sam, ale w towarzystwie żony, Maman Brigitte, sytuacja przedstawiała się niezwykle poważnie.

Roseline bała się Barona. Nie tylko jako potężnego *loa*, ale po prostu, jako istoty. Gdy wstępował w powłokę houngana, zachowywał się brutalnie, wulgarnie i gwałtownie. Zwłaszcza kobiety musiały liczyć się z jego nachalnością, a przecież nie wolno obrazić tak potężnego ducha.

- Ty należysz do mnie, moja droga - syknął Baron. Położył jej rękę na pośladku i zbliżył twarz do szyi. Roseline wstrzymała oddech. Znowu to. Ale tym razem jego słowa brzmiały inaczej niż zwykle. - Byłaś moja kiedyś, ale mi cię odebrano.

Roseline zacisnęła powieki. Nie uczestniczyła w rytuale od początku, sama nie wpadła w trans. Nigdy wcześniej nie rozmawiała z *loa* w tym stanie umysłu. Tymczasem Baron nadal szeptał jej do ucha, ocierając się o nią w tańcu.

- Nie mogę jej darować. Ani tobie. Ciebie chcę z powrotem, a ona poniesie karę. Ale twarda jest, oj twarda! - zachichotał. - Nawet syna by poświęciła. Bezczelna suka. A tyle lat mnie kochała, nie wiesz, jak mnie kochała! Ooooch, o wilku mowa! - Gwałtownie oderwał się od Roseline i spojrzał w dal.

Roseline powiodła wzrokiem wokół. Paręnaście metrów od ich grupy stała matka. Nie ruszyła się ani na krok.

- Carole. Miło, że przyszałaś. Powiedz jej, Carole. Powiedz, powiedz! - Baron tańczył dalej wokół krzyża, dopijając rum z

potłuczonej butelki. Szkło chrzęściło mu między zębami.

- Nie jesteś rozmowna, moja droga. Może trochę rumu otworzy ci usta? A może masz ochotę na co innego? - Oblizwał się lubieżnie. - Oj, nie zachęcę cię chyba. - Zachichotał i rzucił się znowu do dzikiego tańca. Objął kręcącą biodrami Odette, która znajdowała się już w głębokim transie. Pocałował ją w usta, przez chwilę tańczyli, ocierając się o siebie.

- W takim razie ty, Odette. Ty jej powiedz. Więzy krwi są ważne. Ty powinnaś to uczynić.

Odette wciąż tańczyła, starając się nadążyć za jednostajnym biciem bębnow.

- Carole... odebrała cię Baronowi. Przebywałaś w jego domenie - zaśpiewała, czy raczej inkantowała nienaturalnym głosem, nie wychodząc z transu. - Wbrew zasadom... Houngan odmówił, ale... Wszyscy współczuliśmy jej... że straciła córkę... Zaczęła działać... na własną rękę... Nie jak bokor... Myśleliśmy, że się udało... Ale Baron... Baron się nie zgodził... To, co umarło, należy do niego.

Sól, przypomniała sobie Roseline.

Sól, która zniknęła z ich domu. Zombie, który zje potrawę doprawioną solą, przypomina sobie, że jest martwy i wraca natychmiast na cmentarz. Spojrzała na swoje dłonie. Czy to prawda? Czy nie żyje od czasu wypadku z Cap-Haïtien?

- No i co teraz, co teraz? - Baron zaklaskał w dłonie wirując wokół własnej osi. - Obie musicie pójść ze mną, obie będziecie moje. Młoda wróci, bo uciekła bez pozwolenia, stara złamała moje zasady. Nieładnie, Carole, nie łamie się zasad Barona Samedi.

Ludzie zgromadzeni wokół krzyża rozstąpili się. Na środku zostali Baron i Rosaline. Carole ruszyła w ich stronę. W blasku ognia migotały spływające po jej twarzy łzy. Rosaline spojrzała niżej. W dłoni matki błysnął nóż.

- Chodź, chodź, kochana, jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię - śmiał się dalej Baron lejąc rum w płomienie.

Rosaline spojrzała w jej oczy. Nieruchome. Martwe, bez wyrazu, jak u Tipiè. Ale to nie był znak obecności *loa*, a przynajmniej tak zakładała. To był ból i desperacja. Strach ścisnął gardło Roseline. Instynkt podpowiadał jej ucieczkę, ale nogi zdawały się wrastać w ziemię. Matka postąpiła krok do przodu.

-Hm, Carole, jak zamierzasz to załatwić?-Baron zachichotał. - Chcesz dźgnąć ją czy siebie? Mnie? Oj, tego nie próbuj. - Pogroził żartobliwie palcem. - Wiesz, że wrócę. Zawsze mam was na oku.

Matka podniosła dłoń, w której ścisnęła nóż. Jej palce drżały. Rozprostowała je nagle. Nóż upadł na ziemię.

- Carole - odezwał się wolno Baron. Tym razem jego głos brzmiał inaczej. Głębiej, bardziej spokojniej, ale przez to bardziej złowieszczo. Roseline poczuła, jak po jej plecach przeszedł dreszcz. I pomyślała, że to pierwszy dreszcz, od kiedy wróciła do wioski. Nie czuła tu nigdy ani nadmiernego zimna, ani gorąca. Więc to prawda...?

- Carole, dałem ci ostatnią szansę, a ty ją zmarnowałaś - kontynuował Baron. - Pragnęłaś odzyskać jedno dziecko, a stracisz oba. - Podniósł stłuczoną butelkę. Przyglądał się uważnie ostrym krawędziom szkła, po których pełgały odbłaski ognia. - Ciebie może zabiorę, a może nie... Może cię tu porzucę, żebyś przemyślała swoje zachowanie. Na przykład to, że nie wolno łamać praw rządzących życiem i śmiercią. Kto umarł, ten nie powróci, Carole. Nas nie obchodzi, jak uparcie się na to nie zgadzasz. - Wyciągnął rękę z butelką i błyskawicznym ruchem chlasnął nią gardło Roseline. A przynajmniej tak pomyślała, gdy spojrzała w dół i zobaczyła ciemne plamy rozlewające się na białej bluzce. Bo przecież nic nie bolało.

- Dzieciaka też sobie wezmę. Próbowałam mi zabrać, co moje, więc ja ci zabiorę to,co i tak kiedyś należałoby do mnie... - Roseline słyszała słowa Barona coraz ciszej i ciszej. Bębny były nieme. Mimo tuzina dłoni, które w nie uderzały, nie wydawały żadnego dźwięku. Tłum powoli rozpływał się w barwną plamę. Tylko Barona widziała wyraźnie. Nie miał już ciemnej twarzy hougana, ale własną, białą nagą czaszkę zwieńczoną cylindrem. Kura trzepotała na jego ramieniu. Ale nic nie czuła. W końcu wszystko wróciło na swoje miejsce.

Adrian Gawin

Trwoga w Gałązkach

Droga do domu dłużyła się Piotrowi w nieskończoność. Stary polonez mozolnie sunął wąską gruntówką. Żółwie tempo nie wynikało wyłącznie ze zmęczenia leciwego auta – główną przeszkodę stanowiły ekstremalne warunki atmosferyczne. Gęsty jak śmietana całun skutecznie przysłaniał okolicę; kierowca nie potrafił dojrzeć drzew po obu stronach drogi tudzież gałęzi splecionych nad nią. Mlecznobiała zasmała sprawiała wrażenie, że nie powstała na skutek kondensacji pary wodnej, a zestaliła się w ogromne, wszechogarniające i przytłaczające ciało stałe. Światło reflektorów wręcz grzęzło i dusiło się w mgławych kłębach. Popołudniowa szarówka, zwiastująca rychłe nadejście wieczoru, ograniczała widoczność niemal do zera. Gdyby ktoś nagle wyszedł przed maskę, Piotr nie miałby najmniejszych szans zahamować na czas – prędzej usłyszałby huk, niż zobaczył człowieka przetaczającego się po karoserii.

Mężczyzna pochylał się nad kierownicą i wlepił wzrok w nieprzeniknioną ścianę, jakby liczył, że prześwietli ją oczami. Pokręcił korbką w drzwiach i uchylił okno. Nie był w stanie dostrzec nawet przodu swojego samochodu, uznał więc, że warto zdać się na słuch. Jednak mgła drwiła z jego prób – chłoneła dźwięki jak gąbka wodę. Tłumiła warkot wysłużonego silnika oraz przekleństwa rzucane pod nosem przez kierowcę.

Piotr zaczął się bać. Dziwne, irracjonalne wrażenie osiadło na jego skórze i przykleiło się na dobre. Ciarki przebiegły mu po kręgosłupie.

- To tylko cholerna mgła, to tylko mgła - powtarzał sobie.

Mimo to czuł, że coś tu nie gra. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej spotkał się z podobnym zjawiskiem. W białych kłębach kryła się niepokojąca upiorność.

Gdy na lewo od drogi z mlecznej zawiesiny wyłoniło się ramię starego drewnianego znaku z nazwą wsi Gałązki, mężczyzna odetchnął z ulgą.

Naraz złowieszczą ciszę przerwał przenikliwy, świdrujący czaszkę dźwięk. Piotra przeszył lodowaty dreszcz. Odruchowo nadepnął na hamulec, a silnik poloneza zakrztusił się i zgasł. Hałas urwał się, po czym rozbrzmiał na nowo. Dobiegał gdzieś z góry, spomiędzy gałęzi drzew. Mężczyzna powoli wychylił głowę przez otwarte okno, starając się zidentyfikować źródło. Niestety, mgła okazała się nieprzenikniona. Nie słyszał dotąd czegoś takiego. Trochę jak ptasi skrzek, ale głośniejsze i dużo bardziej przejmujące. Jak zawodzenie pogrzebowej płaczki. Piotrowi zdawało się również, że w tym dziwnym krzyku słysząc coś, co przypominało rozpaczliwy płacz małego dziecka. Kiedy wrzask rozległ się po raz trzeci, jakby bliżej auta, mężczyzna aż podskoczył na siedzeniu. Prędko zamknął okno i szepcząc pod nosem modlitwę, odpalił silnik.

Ruszył stanowczo zbyt szybko jak na tak niesprzyjające warunki. Już się prawie ściemniło. Polonez zabuksował kołami w wilgotnej nawierzchni i wyrwał do przodu. Przez przednią szybę kierowca ujrzał duży cień przelatujący tuż nad samochodem.

Piotr cały się trząsł. Oddychał szybko i nerwowo. Po plecach spłynęła mu strużka potu. Wiedział jednak, że od domu dzieli go nie więcej niż dwieście, góra trzysta metrów.

I być może właśnie ta świadomość go zamroczyła. Być może dlatego nie zdążył zahamować na czas. Być może dlatego przez maskę jego pojazdu przetoczył się człowiek, zostawiając na przedniej szybie pajęczynę pęknięć.

Piotr krzyknął i gwałtownie zahamował. Drżącą dłonią otworzył drzwi auta i półprzytomny z przerażenia powoli obszedł wóz. Kilka metrów za nim leżała zakrwawiona kobieta.

- W imię Ojca i Syna... - jęknął, czyniąc prawą ręką znak krzyża.

Przykucnął przy potrąconej. Gdy pochylił się nad kobietą, zobaczył w jej szyi parę wąskich otworów przypominających nakłucia. Podobne rany zauważył na brzuchu i klatce piersiowej. Chciał przyłożyć ucho do twarzy ofiary i sprawdzić, czy oddycha, ale zanim się do tego zabrał, za plecami usłyszał mrozący krew w żyłach skrzek. Identyczny z tym, który towarzyszył mu podczas jazdy do domu.

Nie zdążył się odwrócić i sprawdzić, co go wydało. Coś chwyciło go od tyłu za głowę, wbijając szpony w oczy, jednocześnie wgrzając mu się w szyję. Wrzasnął z bólu i rozpacz. Gorąca krew oblała mu ramię i plecy. Zamachał bezradnie rękami, starając się dosięgnąć napastnika. Bezskutecznie. Po trwającej kilka sekund rozpaczliwej walce zawirowało mu w głowie. Zatoczył się, stracił równowagę i upadł twarzą do ziemi. Bezradny, zdany na łaskę agresora. Zdany całkowicie. I ostatecznie.

- Wstawaj, Zenek, wstawaj szybko! Tragedia się stała, mój Boże, tragedia! - łkała kobieta, szturchając śpiącego męża w ramię.

Mężczyzna otworzył oczy i wykrzywił twarz w grymasie niezadowolenia.

- Kobieto, czego się drzesz z rańca? - warknął, siadając na łóżku i próbując wetrzeć trochę życia w klejące się od snu powieki.

- Morderstwo, Zenek! U nas we wsi! Mój Boże...

Pięćdziesięcioletni, łysiejący były policjant w stopniu aspiranta, Zenon Murawski, błyskawicznie oprzytomniał. Z pewnym trudem zerwał się na równe nogi, odruchowo przyglądził resztkę włosów na głowie i zabrał się za zakładanie spodni.

- Jak morderstwo? Mów mi tu szybko. No dalej, nie lamentuj, mów konkretnie!

- Sam zobacz, ja... ja nie mogę mówić z... z tych nerwów. Przy wjeździe do... do wsi.

Mężczyzna założył koszulę, wciągnął buty, złapał w biegu leżącą na kuchennym stole chlebową piętkę i wyszedł z domu.

Zenon stracił zaufanie do policji. Zwolniony dyscyplinarnie - tak to się teraz ładnie nazywało. W rzeczywistości wyleciał z hukiem. Za łapówki i jazdę po pijaku. Jakby tylko on dawał sobie przemówić do kieszeni i wsiadał za kółko po paru piwach! Nie; on jeden wpadł przez wrodzonego pecha. A jak pojawił się kozioł ofiarny, to czemu by go przykładowie nie ukarać, co by udobruchać opinię publiczną? Wywalili go na zbity pysk, nikt się za nim nie wstawił. Także ci, których on zawsze krył. Ci, którzy chętnie rozpijali z nim wódeczkę. Wreszcie ci, których uważał za dobrych, godnych zaufania kolegów. Jeden za wszystkich, tak to leciało?

Jednak, mimo że Zenek stracił do policji zaufanie i szacunek, to policjanta w sobie uśmiercić nie potrafił. Jego serce nadal nosiło odznakę. Dlatego gdy żona wspomniała mu o morderstwie we wsi, poczuł silny impuls, który kazał mu zająć się sprawą i znaleźć sprawcę na własną rękę. Niech te policyjne psy nie pchają swoich wścibskich kinoli w sprawy mieszkańców Gałązek. Zenon Murawski udowodni, że popełnili

błąd, stawiając na nim krzyżyk i zrzucając w ciemną toń jak niepotrzebny balast.

Wieś była malutka - składała się z ulicy, wzdłuż której stało zaledwie jedenaście domów, więc niegdysiejszy funkcjonariusz szybko trafił na miejsce zdarzenia. Przecisnął się przez otaczający je wianuszek obowiązkowych w takich sytuacjach gapiów.

- Nie dotykaj go! - warknął do Romka, lokalnego moczymordy i samozwańczego specjalisty w każdej dziedzinie, który obrócił właśnie nieboszczyka na plecy i macał go po kieszeniach

- Sprawdzam, czy ktoś go nie ograbił, Zenek - wytłumaczył, po czym przybrał minę znawcy. - Mnie to wygląda na napad na tle rabunkowym.

- Mnie to wygląda na to, że pchasz paluchy nie tu, gdzie trzeba. Ja się tym zajmę. Już mi stąd!

Romek skrzywił się, ale usłuchał. Zenon miał wśród sąsiadów posłuch i szacunek. I choć ten ostatni podupadł nieco po wyrzuceniu z policji, mieszkańcy Gałazek nadal liczyli się z nim i jego zdaniem.

Zenek przykucnął najpierw przy kobiecie. Zidentyfikował ją od razu. Beatka - trzydzieści dwa lata, ładna, szczupła brunetka. W trzecim czy czwartym miesiącu ciąży. Jej mąż pracował w Berlinie, ciułał pieniądze na dom pod miastem, do którego mogliby się przenieść razem z żoną i maleństwem. Teraz raczej wystarczy mu pewnie zwykła kawalerka. Powiesić idzie się nawet na dwunastu metrach.

Mężczyzna przyjrzał się obrażeniom. Głębokie rany klute i paskudne szarpane w okolicy karku, na szyi i klatce piersiowej. Dużo krwi. Noga wygięta w nienaturalny sposób - z pewnością efekt bliskiego spotkania ze zderzakiem poloneza. Trudno na pierwszy rzut oka ocenić, co mogło stanowić przyczynę

śmierci - rany czy zakończony twardym lądowaniem skok przez maskę.

Zenon zbadał drugiego denata, leżącego tuż obok dziewczyny mężczyznę. Piotr - samotny, czterdziestoletni chudzielec z siwizną na skroniach, pracował jako dostawca towaru do okolicznych sklepów spożywczych. Podobne rany szarpane i kłute. W odróżnieniu od Beaty, Piotr został dodatkowo pozbawiony oczu.

Gapie szemrali między sobą.

- Ja myślę, że to ktoś z zewnątrz.

- Panie, takich rzeczy to tu nigdy nie było.

- Boże, szkoda dziewczyny, Boże mój...

- A ja wam mówię, że to klątwa.

- Gównu nie klątwa, puknij się w łeb.

- Trzeba zadzwonić na policję, detektywa jakiegoś niech przyślą.

Zenon, usłyszawszy tę wypowiedź, podniósł głowę.

- Nigdzie nie będziemy dzwonić, ja się tym zajmę.

- Ty już, Zenuś, nie pracujesz w policji, nie pamiętasz? - spytała wyzywającym tonem Grażyna, miejscowa sklepikarka, łapiąc się pod boki.

- Pracuję czy nie, znam się na robocie. Nie będą się te hieny plątać na moim własnym podwórku.

- To nie jest kwestia dumy, tu kogoś zamordowano!

- Zenek dobrze mówi - wtrącił się do rozmowy Paweł, mechanik mieszkający przy wjeździe do wsi, który również wolał wziąć sprawy w swoje ręce. - Patałachy przyjadą i zamiast szukać mordercy, będą nas maglować, wypytywać i kto wie, co jeszcze. Sprawa będzie się ciągnąć miesiącami, a oni będą się tłumaczyć papierkami i procedurami, tfu!

Zdyskredytowany gliniarz, widząc w barczystym mężczyźnie wsparcie, dalej forsował własne zdanie.

- Dokładnie tak. Wiem, jakie procedury ich wiążą, wiem, ile to oficjalnie trwa. My ominiemy te biurokratyczne pierdoły. Sami złapiemy tę szuję. Tak czy nie, chłopy?

W tłumie rozbrzmiało kilka głosów sprzeciwu, ale większość wzięła stronę Zenona. Ten kuł żelazo, póki gorące.

- No jak, chcecie, żeby sprawca się wywinął? Beata miała przed sobą całe życie. Piotrek był dobrym człowiekiem. Chcecie, żeby temu mordercy uszło to płazem? Chcecie, żeby policyjne pieprzenie z papierkologią dało zabójcy więcej czasu na ucieczkę? Wyobrażacie sobie, ilu sprawców się dzięki temu wywinęło? A ja owszem, bo działałem w tej machinie. Działałem - dodał z naciskiem, po czym kontynuował: - O nie, ja się na to nie godzę. Dorwijmy sukinsyna, niech wie, że mieszkańcy Gałazek to nie popychadła, że nie damy sobie dmuchać w kaszę. Kto jest ze mną?!

Tym razem głosy poparcia rozbrzmiały liczniej. Zenon pokiwał głową.

- Bardzo dobrze, zaraz zaplanujemy, co dalej. Ale najpierw niech ktoś pomoże z tymi nieszczęśnikami. Madziu - Zenek zwrócił się do emerytowanej lekarki - pomożesz? Będzie trzeba zająć się ciałami, jakoś zabezpieczyć, dopóki nie znajdziemy sprawcy.

- Zenuś, na litość boską, trzeba pogrzeb im uszykować, trzeba ciała obmyć, trzeba...

- Wiem, ja to wszystko wiem. Ale trzeba też złapać tego sukinsyna.

Paweł krążył po warsztacie.

- Czego użyli, noża? - zapytał.

- Raczej nie. - Zenon pokręcił głową. - Nie raz oglądał rany po nożu. To nie to. A te szarpane? Jakby jakieś dzikie zwierzę się na nich rzuciło.

- Co za zwierzę zrobiłoby coś takiego? - wtrącił się do rozmowy Marek, emerytowany strażak, drugi z mężczyzn, których ekspolicjant wziął sobie jako przybocznych.

- Powiedziałem „jakby”. To na bank człowiek, ale zabijał brutalnie jak... no, jak jakaś bestia.

Rosły mechanik zawahał się. Pokręcił głową w zamyśleniu.

- Zenek, a może lepiej, żeby to sprawdziła policja? Źle to jakoś wygląda.

- Nawet mnie nie denerwuj! Rozwikłamy tę sprawę, koniec, kropka. Słuchajcie, idźcie popytań ludzi. Czy widzieli albo słyszeli coś podejrzanego. Zdaję sobie sprawę, że była mgła, że oko wykol. Ale może jednak komuś się coś przypomni. Zaczniście od strony, od której wjeżdżał Piotrek. Ja pójdę od końca, spotkamy się pośrodku. - Zenon zmierzył towarzyszy wzrokiem. - Jakies pytania? Czy działamy?

- Działamy - rzekł Marek, a Paweł pokiwał twierdząco głową.

- No to jazda, postarajcie się, panowie.

Dom na końcu wsi zamieszkiwała samotnie dziewięćdziesięciodwuletnia kobiecina, Alicja, zwana przez mieszkańców Gałazek babcią Aluszką. Zmagała się z charakterystycznymi dla sędziwego wieku dolegliwościami, takimi jak ból kręgosłupa i spuchnięte kostki. Z tego powodu starowinka prawie nie opuszczała swojej chatki, najwyżej wybierała się na krótkie przechadzki po małym zielonym ogródku. Poza tym kobieta nie miała zbyt wielu powodów do wycieczek. Najpotrzebniejsze artykuły żywnościowe, chemię domową i środki higieniczne dostarczał jej syn listonosza, któremu zawsze w ramach wdzięczności wręczała (oczywiście oprócz pieniędzy na zakupy) pięciozłotową monetę. Poza tym we wsi uważano ją za dziwaczkę, żeby nie powiedzieć:

wiedźmę. Chusta na głowie, wypłowiła podomka, ogród z tajemniczymi ziołami i wyrzeźbiony na ścianie domu, tajemniczy dla większości mieszkańców, symbol sześciokąta podzielonego na sześć równoramiennej trójkątów.

Dlatego właśnie Zenek z początku chciał pominąć domek babci Aluszki. Szczerze wątpił, czy mogła widzieć lub słyszeć coś podejrzanego. Jeśli już, pewnie będzie winić kłutwę albo jakieś złośliwe duchy z bajek, o których słuchała w dzieciństwie, a które teraz na starość wydają się jej prawdziwe tak samo jak Piłsudski czy Wałęsa. Mimo to postanowił, dla zasady, zapukać do jej drzwi. Odhaczyć dom i ruszyć dalej. I stało się dokładnie to, czego oczekiwał.

- Tego nie uczynił człowiek, proszę pana - rzekła staruszka, kręcąc głową.

- Tak? To kto? Pewnie jakieś lichy leśny, co? - zadrwił Zenek.

- Licho nie, proszę pana. Licho nie zabija ludzi. Licho przynosi nieszczęścia i chorobę. Licho nie.

Były funkcjonariusz popatrzył na kobiecinę z politowaniem.

- Kto w takim razie, babciu Aluszko? - zapytał, choć właściwie nie oczekiwał sensownej odpowiedzi.

- Nie kto, ale co. Coś, co szuka zemsty, proszę pana. Coś nieszczęśliwego. Nie spocznie na tym, co uczyniło, na pewno nie. Słyszał pan żalosne krzyki we mgle? Ja słyszałam, proszę pana. Jakby ptacy, ale nie oni. Coś gorszego.

Zenon poczuł się nieswojo. Nie wierzył w bzdury starej dziwaczki, ale i tak po plecach przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz.

- Niech babcia nie opowiada bajek - rzucił na odchodne i ruszył w stronę kolejnego domu.

Aluszka stała chwilę w progu, rozejrzała się trwożnie po koronach okolicznych drzew.

- To wróci, proszę pana - szepnęła, mimo że Zenon już jej nie słyszał. Spojrzała w kierunku sąsiedniego domu, pokręciła głową i dodała: - To była kwestia czasu.

Z pobliskiego dębu z głośnym krakaniem poderwało się stado wron. Babcia prędko zatrzaskała drzwi.

Obejście kilku domów nie zajęło trójce samozwańcych śledczych wiele czasu. Po niecałej godzinie mężczyźni spotkali się na środku ulicy. Zenon, głównodowodzący akcji, odezwał się pierwszy:

- No i co, czego się dowiedzieliście? - spytał, choć miny Pawła i Marka nie zapowiadały przełomu w sprawie.

- A, niczego ciekawego - zaczął mechanik, wzruszając ramionami. - Nikt nic nie widział. Mgła taka się snuła, że mało komu się chciało wyłazić na dwór.

- To może ktoś coś słyszał chociaż? Krzyk jakiś albo szamotaninę?

Tym razem głos zabrał strażak.

- A skąd! Głucha cisza. Tylko ptaszysko jakieś krakało, nic więcej.

- A wy? Też słyszeliście to ptaszysko? - zapytał Zenek, przypominając sobie słowa babci Aluszki o żalonym krzyku. „Jakby ptacy, ale nie oni. Coś gorszego”. Mimowolnie się wzdrygnął.

- Ja tam nie wiem, tak po prawdzie to popiliśmy wczoraj ze szwagrem i szybko padłem na mordę - przyznał się Marek.

- A Ty, Paweł? Mieszkasz najbliżej miejsca zbrodni.

- Hej, Zenek, chyba nie myślisz...

- Nie, pewnie, że nie. Zdurniałeś? - przerwał mu dawny aspirant. Nawet mu nie przyszło do głowy, żeby podejrzewać mechanika o maczanie palców w zbrodni. Pawłowi zdarzało się

wybuchać, ale gdzie mu tam do zimnokrwistego mordercy. – Chodzi mi o to, czy też słyszałeś to krakanie.

– Coś słyszałem. Rzeczywiście. – Paweł podrapał się po głowie. – Przed wieczorem jakoś. Okno miałem otwarte i jak coś nagle zaskrzeczało, to aż podskoczyłem. Wyrząłem przez szybę, a tam mleko, widoczność zerowa. Ponownie zaskrzeczało, ale trochę dalej. Myślałem, że to jakiś duży ptak. Zamknąłem okno, żeby zimno nie leciało i wróciłem do swoich zajęć. – Zmartwiony mechanik spojrział przeproszająco na Zenona. – Ale nie miałem pojęcia, że to może mieć jakiś związek.

– Nie martw się tym, skąd miałeś wiedzieć. – Ekspolicjant potarł palcami skronie, po czym rozłożył bezradnie ręce. – Ale przecież ptak nie popełnił morderstwa, do jasnej cholery. Szukamy zabójcy, pieprzonego człowieka!

Zenek wpadł do domu na szybki obiad. Na trzy razy wciągnął talerz gołąbków, usiłując bezskutecznie uspokoić lamentującą żonę, po czym wrócił do centrum operacyjnego, które mieściło się w warsztacie Pawła. Popołudnie minęło trójce mężczyzn na planowaniu dalszych działań, analizowaniu śladów i próbach zrekonstruowania przebiegu tragicznych wydarzeń. Przez cały czas jednak brakowało im kilku kluczowych elementów. Zabójca nie zostawił żadnych śladów. Szukali czegokolwiek, co naprowadziłoby ich na trop mordercy i rzucić więcej światła na sprawę – odcisków stóp w wilgotnej nawierzchni, urwanego guzika, wybitego zęba, porzuconego narzędzia zbrodni. Nie znaleźli niczego.

– Hej! Marek! – Zenona uderzyła nagłą myśl. – Nie oddałeś jeszcze tej kamery, coś pożyczył od szwagra, nie?

– No, gdzieś tam powinna leżeć w kredensie schowana. A co?

- Przynieś. Spróbujemy ustawić ją w oknie u Pawła i nastawimy na nagrywanie.

Paweł w zamyśleniu mierzwił czuprynę. Marek spojrzał powątpiewająco.

- Ale po co nam kamera? Przecież to już się stało, nie nagramy nic wstecz.

Były policjant spojrzał z rezygnacją na kolegę.

- Jezu, jasne, że nie nagramy wstecz, rozumiem, jak działają kamery. Ale może morderca tu wróci.

- Po co miałby wracać? - zapytał strażak z niepokojem.

- Pomyślcie: czy sprawca coś ukradł? Nie. Portfel, biżuteria, niczym się nie zainteresował. Czy Beatka i Piotrek narobili sobie wrogów? Czym komuś zawiniła ciężarna trzydziestolatka, żeby ten ktoś ją zasztyletował? A Piotr? On bał się własnego cienia, myślicie, że ktoś by się na nim za coś mścił? - Zenek zrobił pauzę, dając kolegom czas na przetrwanie informacji. - Otóż nie. Ja myślę, że to jakiś psychol, którego po prostu bawi zabijanie ludzi. Pewnie trzyma się gdzieś blisko, a jeśli tak, to wie, że nie wezwaliśmy służb. Uważam, że będzie próbował to wykorzystać i wróci tu znowu. A jeżeli się nie mylę, to jest szansa, że ta kamera go nagra. Będzie materiał dowodowy.

- Cholera jasna... - szepnął Paweł.

- Powiedzcie ludziom, żeby wieczorem nigdzie nie wychodzili. Niech zamkną drzwi i okna na cztery spusty i siedzą na dupach. My urządzimy zasadzkę.

- Zasadzkę? - Na twarzy Marka malował się strach.

- No zasadzkę. Chcemy w końcu dorwać gnoja, nie?

Słońce chyliło się ku zachodowi. Trójca śledczych ponownie ruszyła w teren, żeby poinformować mieszkańców o wieczornej godzinie policyjnej. Zenek znów skierował kroki do babci Aluszki. Co prawda scenariusz, w którym staruszka

wybierałaby się gdzieś wieczorową porą, uważał za mało prawdopodobny, ale - jak to mówią - strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Tym razem jednak Najwyższy nie strzegł chyba dość uważnie, bo Zenon zastał kobiecinę przed domem, z laską w jednej dłoni i niewielkim tobołkiem w drugiej.

- A gdzie to się babcia wybiera? - zapytał zdumiony.

- Muszę iść, proszę pana, w pewne miejsce. To bardzo ważne - powiedziała śmiertelnie poważnym tonem.

Mężczyzna stanął przed nią, zastawiając drogę.

- O nie, nigdzie babcia dziś nie pójdzie. Jest godzina policyjna. - Rozejrzał się dyskretnie na boki i dodał półszepem: - Zasadzamy się na tego zabójcę.

Staruszka wydawała się zupełnie nieprzekonana.

- Nie, to nic nie da, proszę pana. To nie jest zabójca, mówiłam. To coś gorszego. Duch nieczysty. Ja wiem, jak temu zaradzić. Muszę spróbować.

- Babciu, nie mamy czasu na te bzdury o duchach - powiedział trochę ostrzej, niż zamierzał. - To poważna sprawa. Dla własnego bezpieczeństwa powinna babcia pozostać w domu. Zamknąć okna, drzwi i...

- Nie, nie, nie, proszę pana, nie - przerwała mu zdecydowanie. - Ja pomogę, ja to zatrzymam. Trzeba ugłaskać ducha, trzeba go uwolnić...

- Nie! - uciął i chwycił kobietę za ramię. - Niech babcia da działać profesjonalistom.

Nie zważając na opór i protesty Alicji, odprowadził ją z powrotem pod drzwi.

- Proszę, niech pani nie utrudnia. Nie pozwolę się pani narażać, ten człowiek jest nieobliczalny.

Staruszka prawie płakała.

- Zobacz pan, on wróci i znowu zrobi coś złego. Mówię panu, wspomni pan moje słowa. O, proszę spojrzeć - rzekła i rozejrzała się dookoła z niepokojem. - Znow zbiera się na mgłę. Jeśli panu życie miłe, proszę też się schować.

- Dobrze, babciu, schowam, niech się babcia nie martwi - skłamał gładko.

Spojrzała na niego powątpiewająco.

- Jak pan usłyszy we mgle przeraźliwy wrzask, niby ptasi, niech pan nie wychodzi, nie patrzy. Błagam pana.

Kobieta już-już zniknęła za progiem domku, ale nagle odwróciła się i złapała Zenka za nadgarstek. Odłożyła tobołek, wolną ręką zdjęła z szyi drewniany amulet i wcisnęła mężczyźnie w dłoń.

- Niech pan to weźmie, proszę. Dębina. Perun będzie nad panem czuwał - rzekła tajemniczo i zamknęła za sobą drzwi.

Zenek przyjrzał się prezentowi. Na okrągłej tarczy wielkości pięciozłotówki wyrzeźbiono symbol sześciokąta, taki sam, jaki widniał na ścianie Aluszkowej chatki. Uniósł brwi i pokręcił głową.

- No dobra, co mi tam - rzekł do siebie.

Schowwał amulet do kieszeni na piersi i ruszył do kolejnego domu.

- No i jak kamera? Kameruje? - zapytał Zenek, obserwując majstrującego przy sprzęcie Marka.

- Kameruje, kameruje, spokojna twoja głowa. Światelko się świeci, znaczy, że działa. Ale czy coś będzie widać w tej mgle, to nie wiem.

- Też nie wiem, ale lepiej niech będzie w gotowości. Jak coś się nagra, to dobrze, jak nie to trudno. Zostaw ją tak i chodźmy.

Trzej mężczyźni, uzbrojeni w latarki i oręż do walki, uzgadniali ostatnie szczegóły akcji. Tylko Zenon dysponował

prawdziwą policyjną pałką – co prawda zdał sprzęt, odchodząc z policji, ale kiedyś załatwił sobie „półoficjalnie” zapasowy egzemplarz. Wyglądało na to, że – w ostatecznym rozrachunku – nie była to taka głupia decyzja. Paweł dzierżył w wielkiej dłoni półmetrowy klucz nasadowy, a Marek zatknął za pasek drewniany tłuczek do mięsa. Śmiałkowicie wymienili porozumiewawcze spojrzenia i przystąpili do realizacji planu.

Emerytowany strażak został w domu Pawła i wypatrywał przez okno podejrzanych ruchów. Zadanie mechanika polegało na zaczajeniu się za żywopłotem przy okolicznym sklepiku, obserwacji i nasłuchiowaniu. Zenek natomiast zainstalował się w swoim, strategicznie zaparkowanym, volkswagenie passacie i z ukrycia wypatrywał zagrożenia.

Eksgliniarz, a obecnie nieoficjalnie prowadzący sprawę zabójstwa śledczy, nie był pewien, czy to wszystko ma sens. Czajenie się po krzakach, nagrywanie mgły. Wątpliwości kłuły go na każdym kroku jak kawałek żwiru w bucie. Cechowała go niemniej zbyt wielka duma, by się wycofać. Przekabacił całą wieś, odwiódł mieszkańców od zgłoszenia tragedii służbom. Jak teraz powiedzieć im, że nie jest pewny, co robić? Poza tym: żal do policji, do byłych kolegów, napędzał jego rozbujaną ambicję. Złapanie mordercy na własną rękę – który z tych krawężników mógł się pochwalić takim sukcesem? Zenon wyobrażał sobie, jak przekazuje skrępowanego zwyrodnialca policji i spluwa im z wyższością pod nogi. Dla takiej sceny warto się postarać.

Tymczasem mijały sekundy, minuty, kwadransy, a nie działo się nic. To jednak nie film, w którym przestępca wyłazi z ukrycia jak na zawołanie w ciągu paru chwil. To życie, w którym trzeba się naczekać i natrudzić, żeby osiągnąć rezultat. A i to nie zawsze.

Zenek ustalił z partnerami, że co pół godziny będą składać sobie krótkie sprawozdania. Wcześniej oczywiście kazał kolegom wyciszyć telefony i ustawić tryb wibracji. Po

półtoragodzinnym czatowaniu i odhaczeniu meldunków mężczyzna rozsiadł się wygodnie w fotelu passata, wyciągnął ze schowka kanapkę z kiełbasą i rozwinął papier. Nie lubił pracować na głodniaka.

Ugryzł raz i o mało się nie zakrztusił. Przed maską samochodu mignął duży czarny cień, wrzeszcząc przeraźliwie. Dźwięk przeciął tumany gęstej mgły, przebijając się przez jej wytłumiającą powłokę jak chirurgiczny skalpel. Przypominał ptasi skrzek, ale jednocześnie brzmiał jak rozpaczliwy, potępieńczy płacz. Płacz dziecka.

Zenek rozkaszał się, wypluł odgryziony kawałek i upuścił kanapkę na podłogę. Sięgnął drżącą dłonią po telefon i wybrał numer do Pawła. Przebywał na otwartej przestrzeni, należało go ostrzec. Ale przed czym, do cholery?!

- Odbierz, Paweł, odbierz - powtarzał, przyciskając telefon do ucha.

- Zenek! - zabrzmiał głos mechanika. Dało się w nim wyczuć nutę zdenerwowania. - Słyszałeś to? Ruszamy?

- Nie wiem, co to jest. Nie wychodź z ukrycia. Na razie...

Nie zdążył dokończyć. Usłyszał w słuchawce rozpaczliwy krzyk Pawła i połączenie się urwało.

- Jasna cholera! - zaklął głośno Zenek.

Otworzył drzwi auta i dygocząc, szybkim krokiem ruszył poboczem w stronę sklepika. Dzieliło ich od siebie zaledwie kilkadziesiąt metrów. Lecz mgła i zapadający wieczór uniemożliwiały szybki marsz. Żeby nie wpaść na potencjalne przeszkody, mężczyzna oświetlał drogę latarką. Pod pachę wetknął sobie policyjną pałkę, a wolną dłonią zaczął wybierać numer do Marka. Zauważył, że miał od niego dwa nieodebrane połączenia - w zamieszaniu przegapił wibracje. Teraz z kolei to strażak nie odpowiadał.

Oczom byłego policjanta ukazała się już bryła sklepika. Wtedy kolejna fala wrzasku przetoczyła się po okolicy.

Mężczyzna zaczepił o coś nogą i poleciał na twarz. Upadając, upuścił telefon, który – jak na złość – zniknął w wysokiej trawie. Zenek w pierwszej chwili chciał go szukać, ale zrezygnował. Wpadało sprawdzić, co z Pawłem.

Wyjrzał zza rogu i skierował wzrok ku żywoplotowi, za którym skrywał się mechanik. To, co tam zobaczył, wręcz wbiło go w wilgotną glebę.

Mężczyzna leżał na ziemi z rozrzuconymi na boki rękami. Na jego klatce piersiowej siedziało... coś. Zenon nie potrafił zidentyfikować istoty. Stało się jednak jasne, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, niż zakładali.

Małe stworzenie pochylało się nad szyją Pawła, mlaszcząc i obrzydliwie siorbiąc. Jego czarna jak smoła skóra, ciasno oplatająca szkielet, połyskiwała w słabym świetle latarki jak węzowe łuski.

– Co to, kurwa... – jęknął cicho Zenek, nie mając pojęcia, jak zareagować. Skoro to coś powaliło mechanika, który nie należał do ludzi wątłej budowy, musiało stanowić nie lada zagrożenie. Tak czy owak, Paweł mógł nadal żyć. Należało działać.

Mężczyzna zebrał resztkę odwagi, jaka mu pozostała.

– Hej, ty! – krzyknął łamiącym się głosem. – Odejdź stąd!

Istota błyskawicznie obróciła głowę w jego stronę. Zenonowi włosy stanęły dęba.

Babcia Aluszka się nie pomyliła.

Stworzenie wielkością i budową ciała przypominało noworodka. Ale tu podobieństwa się kończyły. Głowę „dziecka” oplatała podskórną pajęczyną nabrzmiałych żył. Rozciągniętą na szerokość twarzy paszczę wypełniały dziesiątki maleńkich, ostrych zębów. Oczy o krwistoczerwonych tęczęwkach przecinały pionowe, gadzie źrenice. Miejsce nosa zajmowały dwa niewielkie otworki. Upiornego widoku dopełniał długi, wąski, siny jęzor dyndający luźno na boki.

Stwór puścił Pawła i całkiem odwrócił się w stronę Zenka. Zeskoczył z ofiary i postąpił dwa kroki, ciągnąc za sobą pępowinowy „ogon”.

Mężczyzna poczuł, jak jego szczęka niekontrolowanie drży. Odruchowo wymacał w kieszeni amulet, który powierzyła mu Aluszka. Wyjął go i trzymając za sznurek, wyciągnął rękę w kierunku demona. Medalion podskakiwał w trzęsącej się dłoni.

Stwór przystanął i popatrzył na wisiorek. Przekręcił łeb i rozdziawił zębatą paszczę, a z jego gardzieli wydobył się złowieszczy gulgot.

Dla Zenka to było zbyt wiele. Balansował na granicy utraty zmysłów. Powodowany przerażeniem i bezsilnością, zaczął krzyczeć. Stał jak wryty i patrząc na potwora, darł się wniebogłose. Na nic nie liczył, niczego nie oczekiwał. Po prostu wrzeszczał ze strachu.

Demon syknął i na jego oczach zmienił się w dużego czarnego ptaka. Spojrzał na Zenka wściekle czerwonymi ślepiami, rozwarł zakrzywiony dziób i zaskrzeczał przeciągle, po czym z głośnym łopotem wzleciał w powietrze i zniknął we mgle.

Mężczyzna przyłgnął plecami do ściany sklepu i usiadł ciężko na ziemi. Dygotał, cały mokry od potu. Starał się oddychać głęboko i uspokoić bicie serca. Szacował, że jego puls osiągał teraz prawdopodobnie wartość ponad dwustu uderzeń na minutę.

Zenon na czworakach podszedł do leżącego bez ruchu Pawła. Po czymś takim nie łudził się, że zastanie żywym.

Mechanik spoczywał w kałuży krwi. Szyja rozerwana, blada twarz zastygła w przerażeniu. W wytrzeszczonych oczach nieboszczyka niespełniony glina ujrzał ból i strach. Niezdolny dłużej patrzeć na ten makabryczny widok, zakrył twarz kolegi ściągniętą w pośpiechu bluzą.

Na szczęście zdążył odwrócić się w drugą stronę, nim jego ciałem szarpnęły torsje. Zwymiotował w trawę. Z emocji. Ze strachu. Z obrzydzenia.

Drżącą dłonią podniósł leżący obok telefon Pawła i usiłował wybrać numer do Marka. Udało mu się dopiero za trzecim razem. Strażak odebrał już po pierwszym sygnale.

- Kurwa, Paweł, jesteś tam? Słyszałem wrzaski! Powiedź coś, melduj mi!

- Marek, Marek. - Zenek próbował ułożyć w głowie sensowne zdanie. - To ja. Paweł nie żyje. Marek, przyjdź pod sklep. Proszę.

- Jasna cholera... - rzucił rozmówca. - Zaraz będę, czekaj.

Minęła minuta, może dwie, ale dawny aspirant odnosił wrażenie, że czekał na kolegę godzinami. Gdy ten wreszcie wyłonił się zziązany z za żywopłotu, Zenek aż krzyknął z emocji.

- Jezu... - Strażak spojrział na leżącego we krwi Pawła i stanął osłupiały. - Co mu się stało?

Zenon starał się nie rozkleić. Co rusz zawieszając głos i łapczywie chwytając oddech, opowiedział Markowi przebieg wydarzeń. Ten zdawał się nie dowierzać w to, co usłyszał. Był policjant z początku poczuł irytację, ale za chwilę kiwnął ze zrozumieniem głową.

- Wiem, jak to brzmi - powiedział słabym głosem. - Mnie też trudno w to uwierzyć. Ale to prawda, przysięgam. Jak dobiegłem tutaj, zobaczyłem to coś... Coś nieludzkiego. Babka miała rację, babka miała rację...

- Babka? Mówisz o starej Alicji? - Strażak zmarszczył brwi.

- Tak. Dała mi to, żeby mnie chroniło. - Zenek pokazał rozmówcy amulet. - I potwór mnie oszczędził. To prawda. Nie człowiek zabija, to coś gorszego - mówił, samemu nie wiedząc, czy słowa kieruje do siebie, czy do kolegi.

Marek stał, wlepiając wzrok w jeden punkt. Przetwarzał w głowie zasłyszane rewelacje.

- Zajmiesz się ciałem? - zapytał nagle Zenon, patrząc strażakowi w oczy.

- Jak się zajmę? Czy ja ci wyglądam na grabarza?

- Zaniesiemy go do jego domu. Pójdź po Magdę, niech pomoże obmyć zwłoki i doprowadzić je jakoś do porządku. Trzeba będzie przygotować kolejny pogrzeb.

- Zenek...

- Proszę cię - powiedział eksplinierz z naciskiem. - I uspokój ją jakoś. Ja wiem, gdzie szukać pomocy.

- Jak niby ją uspokoić, do jasnej cholery?! - wybuchnął strażak. - Zginęła następna osoba! I to zginęła tragicznie. Myślisz, że Magda i pozostali spokojnie to przyjmą?!

- Nie, wcale nie. Dlatego trzeba to utrzymać w tajemnicy.

- Jesteś niemożliwy!

- Błagam cię. Panika nam nie pomoże. Zrób to, proszę, a ja postaram się to zakończyć. Jeszcze dzień. Jeśli się nie uda, odpuszczę.

Marek westchnął ciężko.

- Robię to wyłącznie dla ciebie, Zenek, ale nie jestem pewny, czy to dobra decyzja. Dzień. Potem mówimy wszystkim, co się dzieje i wzywamy policję, czy kogo tam... Dzień.

Zanieśli ciało Pawła do domu. Zenon polecił strażakowi sprawdzić nagrania z kamery. Liczył na to, że coś się nagrało. Coś, dzięki czemu może nie zamkną go w wariatkowie, jak już cała historia wyjdzie na jaw.

Potem uszczuplona drużyna rozdzieliła się. Marek poszedł po Magdę z nadzieją, że kobieta pomimo późnej pory pomoże w potrzebie, Zenek natomiast skierował się wprost do chatki babci Aluszki.

Zenon zapukał zdecydowanie raz, drugi. Modlił się w duchu, żeby staruszka nie spała. Stojąc przed jej domem, z niepokojem kręcił głową na boki, wypatrując złowieszczych cieni.

Drzwi uchyliły się na kilka centymetrów, a z wnętrza buchnął zapach czosnku i mieszanki ziół. Kobieta wyjrzała przez szparę. Gdy zobaczyła roztrzęsionego i mokrego od potu mężczyznę, otworzyła szerzej i szybkim gestem zaprosiła go do środka.

- Babciu... - zaczął Zenek.

- Wiem, kochanieńku, wiem - odrzekła Alicja, popychając go w stronę krzesła. - Niech pan usiądzie, uspokoi się.

- Miała babcia rację, to nie człowiek, to...

- Tak, wiem - przerwała mu kolejny raz. Postawiła przed nim kubek z parującym, intensywnie pachnącym wywarem. - Proszę wypić.

Zenon usłuchał. Zamilkł i wziął łyk napoju. Gorzki, wyraźny ziołowy smak.

- Niech pan mi powie - rzekła - czy to przypominało wielkiego czarnego ptaka?

- Tak... Ale nie tylko. Przed tym, jak stało się ptakiem, przypominało małe, potworne dziecko.

Alicja ani trochę nie wyglądała na zaskoczoną.

- To poroniec - odpowiedziała na niezadane pytanie. - Poroniec zabija. Dusza nieszczęśliwa. Wiedziałam, że to się dobrze nie skończy.

Usiadła po przeciwnej stronie stolika i utkwiała wzrok w ścianie. Kontynuowała:

- To dusza dziecka, które się nie narodziło. Duch przemieniony w demona.

- Ale skąd tu coś takiego? I co się dobrze nie skończy? O czym pani mówi?

Kobieta westchnęła ciężko i wydmuchała nos w płócienną chustkę.

- Kowalewscy, pamięta pan? Renata i Witold. Mieszkali tu, zaraz naprzeciwko.

Zenek zastanowił się.

- No tak. Pamiętam. Witek się przecież zapisał na śmierć parę lat temu. A Renatę zabrali do wariatkowa, po tym, jak straciła dziecko.

- Tak, tak. - Babcia pokiwała głową. - Ale słyszał pan, jak ona straciła dziecko?

- Nie, dokładnie nie.

- Ona nie chciała tego maleństwa, proszę pana. Oni obydwójce pili. Dużo alkoholu. Nie chcieli dziecka, nie dbali o nie. Renata próbowała się go pozbyć z brzucha. Raz... - Staruszka zawiesiła głos. - Raz ten Witek ją pobił, po brzuchu ją bił. Tak się podobno namówili. Że jak ją pobije w brzuch, to ona nie urodzi.

Zenek patrzył na babkę w napięciu. Do niedawna był przekonany, że wie wszystko o wsi i jej mieszkańcach. Tymczasem pod samym jego nosem rozegrały się takie sceny.

- I co nastąpiło potem? - zapytał, choć dalszą część historii dopowiedział sobie w myślach.

- Udało się. Ona poroniła, płód martwy urodziła przed czasem. Potem Witek wziął i zakopał maleństwo za domem. Pod drzewem.

Niegdyś funkcjonariusz popatrzył na kobietę, która z przejęciem kiwała się w przód i w tył.

- Ale skąd pani ma takie informacje?

- Bo mnie osobiście, proszę pana, Renata nachodziła i pytała. Pragnęła wiedzieć, jak dziecko spędzić. Wiedziała, że ja na ziołach się znam. A ja nie zamierzałam pomóc. Tak nie wolno, nie mogłam.

- I co było dalej?

- Powiedziała w złości, że poprosi męża, żeby jej wytłukł bachora z brzucha. Tak mówiła, dokładnie pamiętam. - Babci zadrzał głos. - Następnego dnia przyszedł Witek, pijany w sztok. I mi wykrzyczał, że już po dziecku, że gnije pod drzewem. Nie wiem, po co mi mówił. Potem za jakiś czas się zapał na śmierć. A Renata straciła rozum. Zabrali ją.

Siedzieli w milczeniu.

- Ale czemu to coś mści się na innych mieszkańcach? - zapytał w końcu.

- Jest złe, bo nikt nie zareagował. Nikt się nie sprzeciwił, nie zapobiegł nieszczęściu. Zabija z zemsty! - Alicja rozplakała się. - To moja wina! Powinnam coś wtedy zaradzić. Czułam, że to się zemści - mówiła przez łzy.

Zenek wstał i położył jej dłoń na ramieniu.

- Niech się babcia nie zadręcza - mężczyzna starał się, by jego słowa brzmiały pewnie i krzepiąco - to dla babci trudne przeżycie. Ale winę ponoszą Kowalewscy. To oni dopuścili się strasznej rzeczy.

Staruszka szlochała i ocierała nos chustką.

- Babciu, w tej chwili mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Zginął Paweł, to coś go zabiło.

- O nie, wiedziałam! - Kobieta ponownie wybuchnęła płaczem.

- Trzeba to powstrzymać, słyszy pani? To jest teraz najistotniejsze. Pozostańmy silni. Potrzebuję pani pomocy. Nie mam pojęcia, co dalej.

Zenek zobaczył, że staruszka zaczęła się uspokajać. Wykorzystał sytuację.

- W pani nadzieja. Może pani naprawić dawny błąd, pomagając mi pozbyć się tego demona. Czy jest jakiś sposób, żeby go odesłać?

Alicja otarła łzy i opanowała oddech. Spojrzała na mężczyznę, a z jej oczu były pewność i zdecydowanie.

- Jest sposób. Wiem, jak należy postąpić. Ale to musi stać się dziś. Nie pozwolimy umrzeć nikomu więcej.

Babcia poinstruowała Zenka w kwestii dalszego postępowania i kazała mu poczekać, a sama rozpoczęła przygotowania. Mężczyzna z podziwem patrzył na staruszkę, w którą wstąpiła nowa energia. Krzątała się po izbie, szperając po szafkach i szufladach. On w tym czasie zadzwonił do żony z telefonu Pawła - o odszukaniu swojego zupełnie zapomniał. Starając się kontrolować głos, uspokoił ją i skłamał, że wszystko jest w porządku. Wyjaśnił, że nadal trwa akcja poszukiwania przestępcy i pouczył, żeby została w domu i obdzwoniła sąsiadów, przekazując im podobne instrukcje. Kończąc rozmowę, szepnęła: „kocham cię”. Robił to rzadko, stanowczo zbyt rzadko. Obiecał sobie, że jeśli sprawa z demonem pójdzie po jego myśli, zadba o relacje z żoną.

Po wykonaniu telefonu dokładniej przyjrzał się wnętrzu chatki babci Aluszki. Na parapetach leżały ususzone gałązki i liście. Zioła uwiązano wzdłuż futryn i pod sufitem. Na ścianach wisały tabliczki z tajemniczymi symbolami, których znaczenia mężczyzna nie potrafił rozszyfrować. Wierzył jednak, że te osobliwe obrazki nie służą wyłącznie do ozdoby.

Po dłuższej chwili Aluszka podeszła do Zenona. Wręczyła mu główkę czosnku i poleciła włożyć po ząbku do każdej kieszeni. Dała mu również lekki lniany woreczek.

- Niech pan to weźmie. Lubczyk i dziurawiec, do ochrony. Ma pan amulet, który dałam panu wcześniej?

- Tak, o tutaj - odrzekł Zenek, wydając naszyjnik z kieszeni.

- Niech pan założy - nakazała.

Staruszka położyła na kawałku deski parę roślin z bogatej kolekcji i podpaliła je. Następnie zdmuchnęła płomień i zaczęła okadzać siebie i mężczyznę dymem.

- Bylica i pokrzywa powinny zapewnić nam bezpieczeństwo - wyjaśniła.

Chwyciła jeszcze jeden większy, wypełniony czymś tobolek i wrzuciła do niego kilka garści ziół. Włożyła też do kieszeni podomki niewielki flakonik. Podała Zenkowi blaszaną tacę.

- A to po co?

- Demony nie lubią hałasu - odrzekła krótko.

Zadzwoił telefon. Na ekranie wyświetliło się połączenie od Marka.

- Halo, Marek, nie mogę teraz rozmawiać.

- Zenek, dobrze gadałeś. - W głosie strażaka zabrzmiała nuta strachu. - Na kamerze... nagrało się coś. Mała czarna postać we mgle. Kurwa, co to niby jest?

- Słuchaj, siedź w domu i czekaj na sygnał ode mnie. Zajmuję się sprawą. Trzymaj się. Odezwę się - rzekł i zakończył połączenie.

Alicja czekała, wpatrując się w ekspolicjanta. Z jej postawy emanowały skupienie i determinacja. Zupełnie nie przypominała bezradnej babuszki. Biła od niej nowa energia.

- Gotowy pan?

Zenon wziął głęboki wdech.

- Zróbmy to.

Nie mieli daleko. Wystarczyło przejść na drugą stronę ulicy. Tam stał - obecnie niezamieszkały - dom Kowalewskich. A za nim rósł leciwy wiąz. Cel ich krótkiej, ale niebezpiecznej podróży.

- Mgła nie rzednie, widzi pan? Poroniec grasuje.

Zenek przełknął ślinę. Czuł suchość w ściśniętym ze strachu gardle. Dziękował w duchu za księżyc w pełni, który sprawiał, że w mlecznych, wiszących nad ziemią obłokach dało się cokolwiek zobaczyć.

Szedł przodem, dwa kroki przed staruszką, rozglądając się niespokojnie. Wiedział, że w każdej chwili może im spaść na głowę ogromne ptaszysko i zadziobać oboje na śmierć. Albo co gorsza, poroniec ukaże się w postaci tej małej zębatej istoty, a to był chyba nawet gorszy scenariusz. Zresztą - żadna z tych wizji nie napawała optymizmem.

Obchodzili właśnie dom Kowalewskich, kiedy gdzieś wysoko nad głowami usłyszeli znajomy skrzek. Zenka przeszła fala lodowatego przerażenia, ale Alicja niewzruszona parła przed siebie, wyprzedzając dawnego aspiranta. Mężczyzna zreflektował się i ruszył dalej.

Przeszywający krzyk z góry to się przybliżał, to oddalał. Poroniec w postaci czerwonoookiego ptaszyska kołował nad nimi i czekał na dogodny moment do ataku.

Stanęli wreszcie pod wiązem. Babcia rozsznurowała tobołek i zatopiła w nim dłoń. Szerokim ruchem rozsypała pod drzewem tajemnicze granulki.

- Dla nas życie, a dla nieboszczyka odpoczynek wieczny - mamrotała pod nosem raz za razem, drepcząc dookoła i sypiąc ziarnem.

Zenek stał obok, lustrując okolicę. Wtem od strony domu Kowalewskich dobiegł rozdzierający krzyk. Mężczyzna wypatrywał oczy, próbując dostrzec cokolwiek w gęstej zawieszynie, jednocześnie błagał Boga, żeby nic się z niej nie wyłoniło. Modlitwy nie zostały jednak wysłuchane.

Najpierw usłyszał ohydne gulgotanie. Wyciągnął z za paska policyjną pałkę i pewnie złapał blaszaną tacę. Potem na tle mlecznobiałego całunu ukazała się niska, drobna sylwetka, przypominająca małe, zagubione we mgle dziecko. Zenon

wiedział niemniej, że z bezbronnym podrostkiem istota nie miała wiele wspólnego.

Poroniec ruszył w ich kierunku. Stawiał krok za krokiem, chwając się i zataczając. Przez cały czas wydawał upiorny gardłowy dźwięk.

Były policjant spojrział przez ramię na Alicję, ale ta zdawała się przebywać w innym świecie. Mruczała pod nosem niewyraźną mantrę i odprawiała sobie tylko znany rytuał. A demon zbliżał się i zbliżał.

Zenek zaczynał panikować. Obawiał się, że zanim Aluszka zrobi swoje, potwór zdąży rozszarpać im gardła. Uderzył mocno pałką w trzymaną w drugiej ręce tacę. Istota zatrzymała się i przekrzywiła głowę. Mężczyzna powtórzył czynność raz i drugi. Stwór wrzasnął przeraźliwie. Jęzor zwiślał mu prawie do samej ziemi. Czerwone oczy płonęły wściekłością.

- Zioła i amulet wstrzymują demona, ale nie umiem powiedzieć na jak długo - przemówiła nagle staruszka. - Kłębi się w nim wiele gniewu i żalu. Nie da się przebłagać. Spróbuj poświęcić. Proszę hałasować.

Zenon usłuchał. Raz po raz walił w tacę, pokrzykując łamiącym się głosem:

- Precz, bestio! Odejdź stąd, won!

Potwór wyglądał na coraz bardziej rozwścieczonego. Mimo wszelkich zastosowanych magicznych środków ochronnych nie odpuszczał. Mężczyzna był o krok od rzucenia misji w cholerę i podjęcia szalonej próby ucieczki w las.

Nagle coś odwróciło uwagę porońca. Obrócił łeb w stronę budynku. Zenkowi zajęło sekundę, żeby zorientować się w sytuacji. Ktoś nadchodził.

- Co tu się dzieje, do cholery jasnej?! Po nocy hałasują, spać nie dają szłowiekowi, chuliganeria! - pomstował ktoś bełkotliwie od strony ulicy.

O kurwa, pomyślał Zenon. Rozpoznał głos. To Romek. Popił sobie i wiedziony hałasami, zbliżał się do domu Kowalewskich.

- Romek, uciekaj stąd, fora! - ryknął eksplinarz.

- Zenek, to ty? Co się dzieje?! Spaś próbuję!

- Romek, wiej, to nie czas...

Wypowiedź przerwał przeraźliwy skrzek. Poroniec zniknął we mgle, z której po krótkiej chwili dobiegł wrzask bólu i przerażenia.

- Babciu... - zawołał Zenon i urwał. Spojrzał na Alicję, która z małego flakonika rozlewała wokół święconą wodę. Trzeba mu pomóc, idę! - oświadczył, ale nim zdążył się odwrócić, poczuł ucisk na nadgarstku.

- Nie może pan tam iść. - Jej głos brzmiał śmiertelnie poważnie. - Dla Romka jest już za późno.

- Muszę spróbować, nie mogę pozwolić...

- Nie - powtórzyła, jeszcze mocniej ściskając rękę Zenka. - Widział pan, co poroniec potrafi. Potrzebuję pana tutaj. Jak pan też da się zabić, całe Gałązki czeka marny los. W nas obojgu cała nadzieja.

Krzyki z ulicy ucichły.

Niegdysiejszy funkcjonariusz zagryzł wargi. Wyraźnie bił się z myślami. Wyobrażał sobie, że w tej chwili gaśnie życie biednego Romka. Jednak stawka była znacznie wyższa. Trzeba było zaakceptować tę ofiarę, choć Zenon wiedział, że nigdy sobie tego nie wybaczy. Pokiwał nerwowo głową. Aluszka puściła jego rękę i wróciła do święcenia ziemi.

- Cholera... - mruknął, z trudem panując nad oddechem. Spojrzał na kobietę. - I jak, babciu, działa to?

Poroniec zawył triumfalnie, jakby w odpowiedzi na pytanie policjanta.

Staruszka podniosła wzrok na rozmówcę. Spojrzenie nie zwiastowało niczego dobrego.

- Demon jest zbyt silny, zbyt rozżalony. Nie odesłemy go - zawyrokowała pustym głosem.

- Szlag! No i co teraz?! - spytał mężczyzna, próbując zapanować nad drżącym ciałem.

- Można spróbować go zniszczyć. To jedyne wyjście. Nie możemy mu już pomóc, nie odzyska spokoju. - Babcia pokręciła głową. - Niech pan posłucha, on zaraz wróci. Posili się i wróci. Nie mamy wiele czasu.

- Ale jak zniszczyć coś takiego? Jak?!

- Spalić. Zagnać do domu rodziców i podłożyć ogień.

- Jak?

- Ktoś musi go zwabić do środka. Trzeba też obłożyć okna ziołami i znakami magicznymi, żeby nie uciekł. Zostawić jedno wyjście i zamknąć zaraz za nim. Potem podpalić. - Staruszka przemawiała pewnie i zdecydowanie. - Niech pan biegnie do mnie do domu. W szafce przy lodówce jest spirytus, dwie butelki. Zapałki także trzeba wziąć i wszystkie zioła ze stołu niech pan wrzuci do worka i też przyniesie. Niech pan idzie, póki demon jest zajęty!

Zenon wykonał polecenie bez wahania. To Alicja rządziła. Wyłącznie ona mogła uratować Gałązki przed porońcem.

Uwinął się tak szybko, jak potrafił. Wracając, zachowując kilka metrów odległości, minął potwora zajętego żerowaniem na zwłokach Romka. Stłumił odruch wymiotny i przyspieszył kroku. Zastał babcię Aluszkę przy oknie domu Kowalewskich. Obsypywała je ziołami i skrapiała wodą z flakonika. Poinstruowała Zenona, by rozrzucił zioła wokół domu. Mężczyzna skwapliwie wykonał polecenie.

- Co dalej? - zapytał i otarł z czoła pot.

- Niech pan przyszykuje spirytus, trzeba będzie podpalać. Ja wejdę do domu i zwabię demona.

Zenek wytrzeszczył oczy.

- O nie, babciu, to zbyt niebezpieczne. Ja wejdę i...

- Nie, proszę pana. Raz mnie pan nie posłuchał i co? Tylko ja w tej wsi umiem postępować z nieczystymi duchami. - Kobieta odetchnęła głęboko i dodała z naciskiem: - Ja nie dam rady podpalić domu. Nie wolno nam zmarnować tej szansy. Rozumie pan?

- A jak to panią dopadnie? - Zenonowi nie podobał się ten plan. Wiedział jednak, że kobieta ma rację. To nie czas na spory.

- Gdy pan podpali, ja ucieknę przez drzwi. Zamkniemy je i demon spłonie. Do dzieła.

Jak na zawołanie, poroniec skończył ucztę i zawył przeciągle.

Zenek schował się za rogiem i zaczął upychać kawałki podartego worka po ziołach do szyjek butelek z alkoholem. Babcia stanęła w progu domu Kowalewskich. Zamek został wyłamany dawno temu, wejście nie sprawiło więc kłopotów.

- Zaklinam cię, duchu, odstęp! - Rozległo się wołanie Alicji.

Mężczyzna wyrzał z za osłony i zobaczył kroczącego ku drzwiom stwora. Plan działał.

- No, babciu kochana, wierzę w babcię... - szeptał cicho, pełen lęku i nadziei.

Demoniczny skrzek i krzyk babci odbiły się echem od ścian. Oznaczało to, że zarówno kobieta, jak i potwór są w środku. Teraz.

Zenek podpalił improwizowany lont i cisnął butelką o ścianę drewnianego domu. Obiegł budynek z drugiej strony i powtórzył operację. Płomienie buchnęły wysoko, rozświetlając mrok. Mężczyzna cofnął się, unikając nieznośnego gorąca i przebijając nogami, ze zniecierpliwieniem oczekiwał wyjścia babci. Zamiast tego usłyszał jej rozpaczliwy krzyk i ryczącego, jakby z satysfakcją, demona.

- Babciu! - wrzasnął i mimo żaru dopadł do uchylonych drzwi. Otworzył je szerzej i znieruchomiał.

W przedpokoju ujrzał leżącą bez ruchu staruszkę i siedzącego jej na klatce piersiowej porońca. Kałuża krwi na podłodze rosła z każdą chwilą.

- Ty... ty... - urwał, nie mogąc wydusić ani słowa więcej. Patrzył z wściekłością na zębatą paszczę potwora.

Cofnął się i zatrzasnął drzwi. Wysypał resztę ziół przed wejściem. Cisnął w nie też czosnkiem i amuletem ofiarowanym mu wcześniej przez Alicję. Z kilku metrów obserwował płomienie, które z coraz większą pasją oplatały stare ściany i dach.

W pewnym momencie z wnętrza rozległ się wrzask porońca, jeszcze donośniejszy i bardziej przerażający niż wcześniej. Tym razem dało się w nim jednak poznać cierpienie i strach. Demon umierał w płomieniach. Po paru sekundach zapadł się dach, a krzyki ucichły zupełnie. Jedyne ogień huczał i trząskał, trawiąc wypełniony złą energią budynek.

Zenek siedział na ziemi cały mokry i roztrzęsiony. Z oddali usłyszał dźwięk syren. Ktoś z mieszkańców musiał się złamać i wezwać służby. Ale mężczyzny już to nie interesowało. Tkwił w bezruchu, z twarzą szarą, zastygłą jak kamienna rzeźba, wpatrzony w punkt przed sobą. Nie ruszył się nawet wtedy, gdy na ramieniu położył mu dłoń jeden z przybyłych na miejsce policjantów.

Nie był pewien, co będzie dalej, nie miał pojęcia, co powie ludziom - żonie, służbom, sąsiadom. Wiedział tylko, że po tym, co ostatnio zobaczył, już nigdy nie będzie w stanie przespać spokojnie nocy.